


V
B
J
C



J. BLIZIŃSKIEGO

SZKICE I OBRAZKI.



JLLUSTROWAŁ

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
Nowolipki Nr. 2406 (3).
1876.

DZIWOLĄGI.

DZIWOLĄGI.

SZKICE I OBRAZKI

PRZEZ

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

JLLUSTROWAŁ

FRANCISZEK KOSTRZEWSKI.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
Nowolipki, Nr. 2406 (3).

1876.

Дозволено Цензурою
Варшава, 6 (18) Августа 1875 г.

Druk J Ungra, Warszawa. Nowolipki Nr. 2406.



KŁOPOTY PANICZYKA.

Jakiś mędrzec, podobno chiński, powiedział: „Staraj się mówić o sobie ile możności najmniéj; bo pochwałom z pewnością ludzie nie uwierzą, a naganie więcéj niżbyś pragnął.“ Kto wié, czy to nie prawda, ale nie mając zasady do przyznawania chińczykom monopolu rozumu, wolę już stwierdzić prawdziwość słów rodzinnego naszego mędrca, który powiedział: że wszelki morał jest dla nas grochem na ścianę, bośmy mądrzy dopiéro po szkodzie. Więc bez względu na to co nastąpi, dotykam epoki mojego życia, nasuwającéj mi najsmutniejsze po sobie wspomnienia, nie obwijając w bawełnę okoliczności, które lubo stały się dla mnie źródłem światła na przyszłość, wszakże w oczach ludzi zapatrujących się na rzecz bezwzględnie, w niekoniecznie pochlebnéj przedstawić mnie mogą barwie.

Przy sposobie życia jakie prowadziłem, dostatnia fortuna, mogąca kilkunastu rodzinom pracującym na chleb uczciwie, zapewnić niezależność, z skrzętnością ciułana dla jedynaka przez najlepszych rodziców, rozwiała się prędko jak bańka mydlana, i ani się spostrzegłem, jak w lat zaledwie kilka po ich śmierci, wywłaszczono mnie z Żmud wielkich i małych. Kłopotu nie wiele mia-

łem z tą robotą; wierzyciele, czy jak ich pospoliciéj nazywają dłużnicy, wzięli wszystkie trudy na siebie, mnie tylko likwidując koszta; ale że przyzwyczajony byłem jak wiadomo tym, co mnie znają, wszystkie interesa począwszy od najdrobniejszych sprawunków, załatwiać przez faktorów, którym suto za to płaciłem, więc nie dało mi się to tak dalece we znaki.

Mówiąc o faktorach przyszło mi na myśl, i muszę się przyznać, skoro już przedsięwziąłem spowiedź, że byłem nader drażliwy w kwestji datków tak zwanych



na piwo, bojąc się okazać zły ton zbytecznem skąpstwem. Prędzéj byłbym zniósł wzruszenie ramion lub spojrzenie pogardy spieszącego do pracy uczciwego przemysłowca, gdy zmuszony był umknąć się w rynsztok przed dorożką, którą pędziłem bezmyślnie dla przejażdżki, aniżeli znak niezadowolenia fagasa gdym mu za błahą usługę dał dziesięć kroć tyle co zarobił, albo dorożkarza gdy otrzymał zwykłą, podług przepisu zapłatę. Unikałem tego jaknajmocniéj; to téż wszyscy lokaje w hotelach, portjery i dorożkarze mówiąc o mnie dodawali: „to dobry pan“, a każde przejście przez sień lub bramę hotelu,

było owacją, manifestującą się skwapliwem powstawaniem z siedzenia i odkrywaniem głów. Jakże mi miłemi były te trjumfy! Gdy rączym kłusem, godnych lepszego przeznaczenia szkap dorożkarskich *rozbijałem się* w wagnerce wobec publiczności snującéj się po Nowym Świecie i aleach, byłem szczęśliwy, kontent z siebie, i odganiałem jakieś niezrozumiałe wówczas dla mnie skrupuły, odzywające się gdzieś w odległym zakątku serca, a rodzące jakąś nieokreśloną czczość moralną. Pomimo téj czczości napastującéj mnie, jak splen anglika, ani pomyślałem o położeniu końca temu trybowi życia. Okoliczności wyręczyły mnie i sprowadziły ów koniec, ale w inny zupełnie sposób niż gdyby inicjatywa wyszła była odemnie samego.

Zaczęło się od tego, że wszystko co dotychczas stanowiło dla mnie powab życia, uwzięło się by mi to życie zaprawiać niesmakiem małych powszednich nieprzyjemności. Zadłużyłem się raz i drugi w hotelu, a lubo portjer i fagasy czapkowali jeszcze przedemną, bo mieć zawsze dla nich gotówkę postawiłem sobie za punkt honoru, z rządcą jednak miałem już maleńkie zajścia — mówił o bezpieczeństwie należnéj mu kwoty, żądał poręczeń, wreszcie skłonił bardzo łatwo do podpisania nader skomplikowanego wekslu, którego kruczków prawnych nie byłem w stanie ani się domyślić. Byłem w przekonaniu, że zrobiłem tém sobie kredyt nieograniczony; ale za następną bytnością w Warszawie, gdy sądziłem, że uiszczę się podpisaniem drugiego podobnego wekslu, skończyło się na tém, że za pośrednictwem faktora hotelowego musiałem zastawić przepyszny zegarek ankier z kutym łańcuszkiem. Dostałem na niego zaledwie piątą część wartości, czém podzielili się rządca, służba hotelowa i faktor, zostawiając mi zaledwie na dorożkę i koléj.

To mnie zniechęciło na jakiś czas do Warszawy

a że właśnie nastawały żniwa, ułożyłem sobie, aby sprzątnąwszy zboże, wymłócić paręset korcy pszenicy, nim nadejdzie gwałtowna konieczność siewu, i sprzedać,— a przyjechawszy do Warszawy z dostatecznemi funduszami, zegarek i weksel rządcy wykupić, a fagasom płacić gotówką. Miało to być szlachetną zemstą, a przytém wyrobieniem sobie kredytu na zimę. Ale chłop strzela, Pan Bóg kule nosi; nieprzewidziane okoliczności zniewoliły mnie do pewnych modyfikacji w tym planie.

* * *

Było to jednego z tych ranków sierpniowych, które więcéj przypominają jesień, niż lato. Czas był wilgotny, deszcz padał przez całą noc i niedawno ustał; pełno go było jeszcze wszędzie: na trawie, na listkach drzew i kwiatach — chłód był w powietrzu, wypogadzało się niby, ale słońca jeszcze nie było; zasłaniały go pędzone wiatrem resztki chmur, co jednak kombinując z barometrem, który dnia poprzedniego spadł był gwałtownie, a teraz zaczął pomaleńku iść w górę, mogłem spodziewać się nadejścia pogody, przynajmniéj od południa.

Pomimo to, byłem w najgorszym humorze, bo pogoda zmienna od samego początku żniw, psuła mi wszystkie szyki, opóźniając sprzęt. Wyrachowałem sobie kategorycznie, że zebrawszy do stodoły oziminę, wezmę się całemi siłami do młócenia pszenicy bez względu na jarzynę, która jeszcze w najlepsze stała na pniu. Podług ścisłego obliczenia, tydzień czasu był aż nadto dostatecznym do wybicia na dwóch młockarniach takiéj ilości, abym sprzedawszy ją, mógł przystąpić do zamierzonych w Warszawie reform. Mając tym sposobem wyznaczony niemal dzień mojego wyjazdu, niecierpliwiłem się naturalnie każdym dniem zwłoki, i dziś

właśnie stoczyłem stanowczą walkę z ekonomem, który nie domyślając się pobudek kierujących mojém postanowieniem, przeciwstawiał mi silne argumenta, popierane całą agronomiczną rutyną. Od wczoraj kopy stały na polu gotowe do zwózki, nocny deszcz przemoczył je na wskroś — wypadało więc porozstawiawszy je poczekać aż wyschną. Ekonom zadecydował, żeby czekać do jutra — co najwięcéj, gdyby słońce jeszcze przed południem zaczęło grzać mocno, możnaby zwieść coś przed wieczorem. Lecz mnie to nie przemawiało wcale do przekonania, zwłoka choćby najmniejsza, zanadto mnie kosztowała — wyrozumowałem więc sobie, że skoro potrzeba jest zaraz młócić, można zacząć od téj właśnie pszenicy, która tym sposobem, pomimo wilgoci, nie będzie miała czasu zagrzać się w sąsieku. Zatem nie patrząc w oczy ekonomowi, bo nie wiem dla czego wstyd mi go było, wydałem mu stanowcze polecenie, aby się wziął niezwłocznie całą siłą do zwózki.



Kontent z postanowienia, zasiadłem z piórem w ręku, co mi się dawno nie zdarzyło, do rachunków. Chciałem obliczyć, ile przy bieżących cenach zboża mogę się spodziewać gotówki, oraz czyby się nie dało pewną jéj częścią zaspokoić niektórych natarczywszych wierzycieli, mających u mnie drobniejsze sumki za cygara, wino i t. p. artykuły, a może i pomniejszych kupców zbożowych, z których żaden pomimo chętnie dotąd udzielanych zaliczek na ziarno, nie miał tego szczęścia, aby odebrał kiedy choć parę korcy w naturze. Ale pokazało się, że zbyt wielu ich było i jeden lepszy od drugiego — a ztąd i wybór był bardzo trudny — posta-

nowiłem więc nie wzbudzając pomiędzy nimi zawiści, wynieść się incognito z pieniędzmi do Warszawy, gdzie na obszerniejszéj arenie, odpowiedniejszy będę mógł zrobić z nich użytek.

Zatopiony byłem w najlepsze w tych finansowych kombinacjach, gdy zwróciło moją uwagę szczekanie psów i turkot jakiś przed domem. Instynktowo przeczułem interesanta, i bez przerwania zajęcia począłem bezwiednie pracować myślą nad zadaniem, jakby tego kogoś zbyć w téj chwili i odwlec do dnia, w którym przyjechawszy nie zastanie mnie już w domu. Wszystko mi było jedno kto był tym interesantem, bo dla wszystkich żywiłem jednakową niechęć; machinalnie jednak spojrzałem w okno — i osłupiałem, bo to com zobaczył, było dla mnie w téj chwili niezrozumiałem.

W bramę wjeżdżała bryka, powożona przez żydka najętego widać na najbliższéj stacji drogi żelaznéj. Na bryczce nie siedział ani Szmul, ani Lejzer, ani Srul, ani wreszcie żaden z woźnych miejscowych, których znałem na palcach — lecz jegomość jakiś nieznajomy mi zupełnie, w szlafroku wdzianym na suknie od kurzu, i kapeluszu stosowanym alias pirogu na głowie. Struchlałem, w głowie bowiem zaczęła mi się mącić, tańczyć, kotłować myśl o komorniku, który (tyle znałem procedurę egzekucyjcą) zjeżdżając na zajęcie, miał obowiązek przybyć w uniformie. Najwyraźniéj więc byłto komornik —ale od kogo, zkąd, za co? nie pojmowałem wcale, nie odebrawszy od nikogo w tych czasach nakazu egzekucyjnego. Że takowy był koniecznym, wiedziałem bardzo dobrze od mojego obrońcy z pobliskiego miasteczka, który wyplątywał mnie zwykle z sieci w podobnych przypadkach. Ile razy zapozwał mnie który z mniéj cierpliwych wierzycieli, pan Przerobiński przyjmował to z uśmiechem, który mnie uspokajał w jednéj chwili, i zwykł był mówić: „Panie dobrodzieju, pozew nie wy-

rok, wyrok nie nakaz, nakaz nie egzekucja. Damy sobie radę, zaśpiewamy Szmulowi tak, że będzie tańczył jak zechcemy. W sądzie pokoju puścimy sprawę zaocznie, żeby zyskać na czasie, a opozycję założymy do trybunału; żyd się zlęknie, i chętnie przystanie na układy. Pan dobrodziéj zostawi mi na pierwsze koszta ze trzydzieści rubli, a co do reszty, to już późniéj". I rzeczywiście nigdy nie przychodziło do egzekucji, lubo pan Przerobiński jak najmocniéj odradzał mi raz na zawsze układy przed sprawą — co zawistni starali się wystawić przedemną, jako brudne z jego strony na swoją korzyść wyrachowanie. Ale przekonałem się z czasem, że pan Przerobiński miał zupełną słuszność, gdyż jak amen w pacierzu, za przejściem sprawy do trybunału, każdy z moich wierzycieli stawał się miękki jak wosk, i za pośrednictwem obrońcy ugadzał się zemną. Wprawdzie powiększało to cyfrę długów, która skutkiem tych układów i prolongat zazwyczaj podwajała się; ale przynajmniéj miałem spokojną głowę, i nie potrzebowałem płacić natychmiast, o co mi przedewszystkiém chodziło.

Dzięki więc panu Przerobińskiemu, nauczyłem się niewiele sobie co robić z pozwów, wyroków, a nawet nakazów; ale co innego było z egzekucją. Sam czcigodny mój obrońca nie miał widać skutecznych na nią środków, skoro w swojéj definicji już daléj nie szedł; było to widać złe ostateczne, nieubłagane, na które jak na śmierć, nie było już lekarstwa. Pozwy i wyroki można było porównać z chorobą — egzekucja była już śmiercią.

Można sobie przeto wyobrazić, jak się przeraziłem widokiem komornika; pocieszałem się jeszcze przypuszczeniem jakiéjś omyłki, nieporozumienia — ale pomimo to z bijącém sercem postąpiłem parę kroków na-

przeciwko tego pana, który oswobodziwszy się w sieni z wierzchniéj odzieży, wchodził właśnie do pokoju.

— Czy z samym panem dziedzicem mam przyjemność mówić? — zapytał ujrzawszy mnie.

— Tak jest; cóż pana sprowadza?

— Jestem Pryszczkiewicz, komornik trybunału — rzekł wodząc na wszystkie strony oczyma, i przenosząc je z wielką bystrością ze ścian, sufitu i wszystkich kątów, na mnie, to ze mnie znowu na otwarte drzwi do



drugiego pokoju, który mi służył za sypialnię — przybywam wprost z Warszawy.

— Cóż to za interes? — zawołałem przerywając mu porywczo; — nie pojmuję jakiém prawem pan zjeżdżasz, skoro nie miałem z nikim żadnego procesu.

— Niech pan dobrodziéj będzie łaskaw nie unosić się — rzekł słodko, — wszak to nie sprawa gardłowa; wszystko się załatwi, jestem pewny, jak najzgodniéj; być może... że jest jakie nieporozumienie...

— Ale od kogoż pan zjeżdżasz?

— Od pana Markusa Nasenzweig.

— Od Markusa? — zawołałem zdziwiony, bo widziałem się z nim przed trzema tygodniami w Warszawie; był bardzo grzeczny, i ani słówka nie wspomniał o moim długu, co mnie bardzo ujęło za serce.

— Tak jest,—rzekł komornik — pan dobrodziéj winien mu dwa tysiące rubli.

— Właściwie tysiąc, bo więcéj gotówką nie wziąłem, a nawet nie wiem czy i tyle.

— Łaskawy panie, to już nie moja rzecz... ja się trzymam tego, co tu stoi, czarne na białem...

— Ależ wiem o tém i nie do pana to mówię; zresztą chociaż p. Markus nadużył mojéj łatwowierności najhaniebniéj, słowo się rzekło i podpisało; jednak nie mogę pojąć z jakiéj zasady...

— Termin wypłaty był jeszcze w Maju — rzekł p. Pryszczkiewicz przewracając papiery...

— Prawda; ale pan Markus nie wzywał mnie dotychczas o zapłatę i sądziłem, że może sobie poczekać choćby kilka miesięcy — tembardziéj, że mi to przyrzekł uroczyście...

— Na piśmie?

— Nie na piśmie, ale przy świadkach.

— Przy kim?—pytał wciąż p. Pryszczkiewicz tonem sędziego inkwirującego.

— Był obecny o ile sobie przypominam Endiger... Znasz go pan?—dodałem, widząc dziwny jego uśmiech.

— Endigera?... O! jak zły szeląg. A! w takim razie możesz pan założyć opozycję...

— Więc się bez zajęcia obędzie?—zawołałem ucieszony.

— Zajęcie dla formy musimy zrobić — rzekł pan Pryszczkiewicz, używając liczby mnogiéj, jak gdyby mnie robił solidarnym wspólnikiem swojéj czynności...

— Jakto, koniecznie?

— Koniecznie panie dobrodzieju... bez względu na jakąkolwiekbądź opozycję—taka jest forma. Zresztą lubo pan dobrodziéj mówisz, że p. Markus nie wzywał go o zapłatę długu, zdaje mi się, że możesz być w błędzie; bo ja w aktach mam oryginały i pozwu, i wyroku, i sam wreszcie doręczyłem panu nakaz... inaczéj nie wolnoby mi było przystępować do czynności.

— Jakto, mnie? czyś pan...— chciałem powiedzieć zwarjował, alem się powstrzymał...—kiedy? gdzie?

— Proszę pana dobrodzieja — odrzekł na to, przedstawiając mi akta — oto jest poświadczenie woźnego— i zaczął czytać—„Wyrok etc. którego kopję etc. etc. doręczyłem etc. w Warszawie w domu pod Nrem etc. o! „do rąk rządcy tegoż domu pod niebytność samego“... widzi pan dobrodziéj.

— Widzę, ale wcale nie rozumiem.

— To się znaczy, że pod niebytność pańską, woźny wręczał pozwy i nakaz rządcy domu.

— Ale zkądże? przecie zdaje mi się, że ja mieszkam w Zmudach, a nie w Warszawie.

— Pan dobrodziéj nie pamięta, że na obligu wyznaczone jest miejsce zamieszkania „do zrealizowania téj należności“, w Warszawie.

Teraz dopiéro zrozumiałem wszystko dokładnie. Zwykła to taktyka lichwiarzy, ile razy mają do czynienia z dłużnikami w moim rodzaju; mieszkającym na wsi, każą obierać „dla formy tylko“ jak zapewniają, miejsce zamieszkania w Warszawie, w którymbądź domu, zwykle w hotelu. Ponieważ natura tych pożyczek najczęściéj jest podejrzaną, co pomimo wszelkich kruczków, wobec sądów łatwo udowodnić, wiele im więc zależy na tém, aby drogę prawną dłużnikowi utrudnić. Przy wyznaczeniu fikcyjnego miejsca zamieszkania, cała sprawa toczy się w sądzie bez wiedzy dłużnika i wyrok zapada za-

oczny. Niewiedząc o nim, nie zakłada opozycji, i dowiaduje się o wszystkiém dopiéro wtenczas, gdy po załatwieniu wszelkich potrzebnych form i uprawomocnieniu wyroku, wali się na niego gotowa już egzekucja.

Zrozumiawszy to, nie wiedziałem sam czy gniewać się, czy wstydzić. P. Markus niedosyć, że mnie obdarł, ale jeszcze miał prawo śmiać się w duchu, że mnie wywiódł w pole, jak żaka. Co gorsza, przypomniałem sobie, że podpisałem więcéj wekslów i obligów z podobném zastrzeżeniem; mogłem więc być przygotowanym na kilka jeszcze niespodzianek tego rodzaju. Miecze Damoklesowe wisiały nademną; chodziłem ogromnemi krokami po pokoju, wielce poruszony, tworząc najrozliczniejsze plany,— z czego wypadła ostateczna konkluzja: że bytność moja w Warszawie, jest w téj chwili niezbędniejszą, niż kiedykolwiek; że pieniędzy potrzeba na to moc; że zatém młockę, a pierwéj jeszcze zwózkę pszenicy należy poprowadzić z energją, i na ostatek, że jeżeli się da, nicby złego nie było przyśpieszyć choćby o parę dni mój wyjazd.

I czy uwierzy mi kto? z tych wszystkich myśli rojących mi się po głowie, wysnuł się ponętny obraz Warszawy z jéj wszystkiemi przyjemnościami — i wdzięczny niemal byłem komornikowi, że za jego przyczynieniem się, prędzéj ją ujrzę. O interesach nie myślałem; zdawało mi się, że dosyć gdy pojadę, to się i zrobi wszystko. Rzekłem więc tylko:

— Mówiłeś pan, że zrobisz zajęcie tylko dla formy; możeby się obyło i bez tego, gdyż ja w tym jeszcze tygodniu, a najdaléj po niedzieli będę w Warszawie i z panem Markusem się obrachuję.

— Panie dobrodzieju, to jest niepodobieństwem: prawo jest wyraźne, zajęcia muszę dopełnić; lecz o ile się da zrobię to tak, aby panu nie sprawiać przykrości... i poprzestać tylko na formie...

— Będę panu bardzo wdzięczny — rzekłem z przyciskiem.

— Panie dobrodzieju!—zawołał pan Pryszczkiewicz zapalając się i ściskając moją dłoń — wiem przecie z kim mam do czynienia; zresztą sam zmiarkowałem zaraz, że tu pan dobrodziéj padłeś ofiarą swojéj łatwowierności; znane to sztuczki tych ichmościów — dodał, starając się zrobić minę pogardliwą — ale cóż robić, człowiek ma żonę i dzieci: to mój chleb, nie mogę go więc ryzykować.

— Ale nie myślę bynajmniéj żądać od pana rzeczy niepodobnych, tylko proszę, abyś pan to zrobił tak, aby był wilk syty i owca cała.

— Jak najchętniéj... powiedziałem, że wiem z kim mam do czynienia. Nie sądź pan — dodał, zniżając głos — abym przez całą drogę jechał w tym kapeluszu i przy szpadzie... broń Boże! ubrałem się dopiéro tu, już we wsi, aby zadosyć uczynić przepisom; ludzie są ciekawi... a nużbym był niechcący wygadał się... skompromitowałbym pana dobrodzieja najniewinniéj; nawet na ostatniéj stacji najmując furmankę, nie zdradziłem się ani słówkiem po co jadę, daję słowo uczciwości. Ja znam rzecz, panie dobrodzieju ... — rzekł na konkluzję, patrząc mi w oczy i jakby dopominając się abym powiedział, że i ja także znam się na rzeczy.

— Jakże więc pan zrobisz? — zapytałem.

— Pan dobrodziéj sprzedałeś p. Markusowi z prawem odkupu, inwentarze, maszyny gospodarskie i meble.

— Ale gdzież tam! to miało być tak tylko.

— Ja wiem, panie dobrodzieju, ja wiem; czysta forma, jako pewność należności. Ale termin odkupu, już dawno minął, i p. Markus gdyby się uparł, miałby prawo rościć do tych ruchomości pretensję; sądzę jednak, że gdy mu pan dobrodziéj zapłacisz...

— Ale zapłacę, zapłacę—rzekłem rozdraźniony; bo i o tym warunku obligu zupełnie zapomniałem.

— W takim razie nie będzie żądał ścisłego wykonania umowy, która widocznie była symulacyjną...

— Rób pan zatem jak się panu zdaje, byle było dobrze. Pieniądze oddam co do grosza.

Nie wiedziałem wprawdzie, zkąd ich wezmę na prędce tyle, abym mógł cały ten dług spłacić; ale to moje oświadczenie zadowolniło zupełnie komornika.

— Bardzo dobrze — rzekł — już ja w tém, że się ten interes załatwi jak najlepiéj; a tymczasem *spiszemy* akcik zajęcia: dla formy tylko; inwentarze podyktujesz mi pan dobrodziéj sam... godna wiara; meble widzę, co zaś do sprzętów gospodarskich, to przejdziemy się po gumnach i zanotuję sobie co główniejsze; a przy ekonomie i przy ludziach odezwij się pan dobrodziéj, że jestem delegowany z Dyrekcyi Ubezpieczeń dla fajerkassy... umyślnie będę mierzył na kroki długość murów. Ale przedewszystkiém muszę odprawić furmana, bo nie chce czekać długo za darmo; pan dobrodziéj będziesz łaskaw odesłać mnie swojemi konikami.

— I owszem, i owszem.

Wyszedł, i wrócił za chwilę.

— Nie ma pan dobrodziéj przypadkiem pięciu rubelków? — zapytał, przybierając wdzięczną fizjognomję; —żyd nie ma mi zdać z 25-iu rubli, a innych pieniędzy nie posiadam. Jeżeli pan dobrodziéj tak dobry, to prosiłbym o łaskawe pożyczenie...

Wprawił mnie tém żądaniem w ambaras. Nie jednemu dziwnemby się mogło zdawać, żeby w czasie żniw, gdy co tydzień trzeba najemnikom wypłacać, dziedzic dwóch wiosek w dobréj ziemi, był bez pieniędzy. Rzeczywiście jednak tak się rzecz miała; byłem goły jak turecki święty. Wstydziłem się wszakże wyznać to przed p. Pryszczkiewiczem, i przywoławszy w sekrecie gospodynię, która służyła jeszcze u ś. p. moich rodziców, i nieraz już w podobnym przypadku zasilała mnie z swego

kapitaliku, wynoszącego trzydzieści kilka rubli, samemi pojedyńczemi papierkami, wziąłem od niéj pięć rubli, zakląwszy się poprzednio, że jéj oddam taką samą monetą, i wręczyłem p. komornikowi.

Odprawiwszy furmana, wziął się energicznie do roboty. Co się naoświadczał z dobremi chęciami, ile razy wobec świadków wspominał o dyrekcji ubezpieczeń i dobrodziejstwach asekuracji od pożaru, zliczyćbym nie potrafił — ale koniec końców, spisał wszystkie inwentarze, meble, oraz sprzęty domowe i gospodarskie, i za-



jął je na satysfakcję sumy 2,000 rubli, należnéj Markusowi Nasenzweig, naznaczając termin sprzedaży. Zaręczył mi jednak najuroczyściéj, że z ogłoszeniem takowéj wstrzyma się czas jakiś.

Tém tak mnie ujął, że lubo wiedziałem, iż obecnie nie należało mu się nic płacić, chcąc się wywdzięczyć, zapytałem ile mu jestem winien.

— To już, panie dobrodzieju, zostawiam pańskiemu uznaniu i delikatności — rzekł nie patrząc mi w oczy, zajęty niezmiernie papierami.

— Ale przecie? powiedz pan bez ceremonji...—a widząc, że nic nie mówi śledząc coś pilnie w papierach, dodałem, udając naiwność — wszakże za radę prawną, należy się zwykle honorarium... a pan mi poradziłeś... nie naruszając w niczém obowiązków swojéj funkcji... ręka rękę myje.

— Sądzę, — rzekł po chwili — że pięćdziesiąt rubelków.

— Zgoda.

— I koszta podróży — dodał skwapliwie, widząc moją gotowość — przynajmniéj powrotnéj.

— Odeślę pana do kolei.

— A koléj?

— Ileż kosztuje do Warszawy?

— Rubli sr. 4 kopiejek 20.

— No, więc razem pięćdziesiąt pięć rubli.

Nowy targ nastąpił, gdy p. Pryszczkiewicz dowiedział się, że nie mam gotówki. Musiałem wystawić mu rewers na 60 rubli, opisawszy się tak, iż mógł być najpewniejszym, że zaraz za przybyciem do Warszawy i pierwéj nim się dotknę sprawy z Markusem, odbierze owe pieniądze.

Pozbyłem go się wreszcie. Z jaką skwapliwością wydałem rozkaz zaprzęgania dlań koni, nie uwierzyłby nikt z tych, co znają moją gościnność. Gdy bryka zaszła, przeszedłem jeszcze męki czyścowe, bo wdał się w opowiadanie jakiegoś przytrafionego w Warszawie zdarzenia, z okolicznościami nader skomplikowanemi—a nie był wymowny; ciągle się powtarzał i dodawał: „co on robi“, „wziął się i poszedł“, „proszę ja pana“ i t. p. Żeby mnie ubito, nie byłbym w stanie powtórzyć ani słówka, bo patrzyłem ciągle przez okno na niecierpliwiące się na muchy konie i drzemiącego stangreta, a uwaga moja i pojęcie,ześrodkowały się w gorącéj chęci ujrzenia p. komornika już po za bramą.

Odjechał przecie, zaprzyjaźniony ze mną przez te kilka godzin tak, że na pożegnaniu okazał intencję pocałowania mnie w twarz — ale udałem, że tego nie spostrzegłem; kapelusz schował ostentacyjnie do pudła, a włożył czapkę, szpadę zawinął w czerwoną serwetę i siadając na brykę przypomniał, abym przybywszy do Warszawy najdaléj za dni dziesięć, udał się przedewszystkiém do niego — co w własnym interesie, zahaczony, przyrzekłem mu tym razem w najlepszéj wierze.



Z jakiém uczuciem zacierając ręce stałem w ganku i posyłałem ostatnie pożegnanie odjeżdżającéj bryczce, ten zrozumie, kto mając nieszczęście przyjmowania u siebie podobnych nieproszonych gości, doczekał się ich odjazdu: patrzyłem więc za nim, prosząc pana Boga, aby nim wyjedzie z dziedzińca, a nawet ze wsi i z mojego terytorjum, nie zepsuło się czasem koło u bryczki, lub nie złamał dyszel. Ale jakoś szczęśliwie bryka okrążyła trawnik przed dworem i wjechała w bramę — w tém z przeciwnéj strony pokazała się furmanka żydowska podobna do téj, jaką przyjechał p. komornik, a na niéj

dwóch nieznanych mi ichmościów. Obie bryki zatrzymały się w bramie i jeden z nowo przybywających, zawiązał z p. Pryszczkiewiczem nader ożywioną i interesującą widać obudwu rozmowę.

Cofnąłem się do pokoju, i ztamtąd przez okno śledziłem ich z wielką niespokojnością, która zwiększyła się nie mało, gdy ujrzałem p. Pryszczkiewicza zeskakującego z bryki, w czém naśladował go ten, co z nim rozmawiał, mężczyzna nader wspaniałéj tuszy. Obadwaj usunęli się nieco na bok i rozpoczęli niby naradę, jak można było wnioskować z dosadnych i tajemniczych giestów, trwającą jak mi się zdawało najmniéj z pół godziny, wreszcie p. Pryszczkiewicz wsiadł na swoją brykę i odjechał, a nowo przybyła furmanka zatoczyła się przed ganek.

Niestety, byłto p. Superfiński, komornik, z kimciś jeszcze do pomocy, przybywający od p. Szlamy Grünapfel, lichwiarza także warszawskiego, którego ze względu na nieugiętość i cierpkość w stosunkach, zwaliśmy „kwaśném jabłkiem". Z tym było daleko gorzéj, bo przypomniałem sobie dopiero teraz, że wydając mu oblig, znowu symulacyjnie niby tylko dla formy, wypuściłem w dzierżawę Zmudy wielkie i małe na lat trzy, za psie pieniądze jakiemuś podstawionemu przezeń jegomości, z prawem wykupienia się w pewnym terminie. O tych wszystkich warunkach zapomniałem tém łatwiéj, że zaledwiem wiedział o nich podpisując akt — i p. Superfiński, brutal, lubo nie przyjechał w kapeluszu, stworzony na komornika, nie chcąc gadać nawet ze mną i nie bawiąc więcéj jak parę godzin, wprowadził w dzierżawne posiadanie przybyłego z sobą towarzysza, którym był właśnie ów podstawiony przez p. Grünapfel jegomość.

Cios to był tém okropniejszy, że niespodziewany; zabił on we mnie wszelką działalność; chodziłem przez resztę dnia jak głupi, a nazajutrz po nocy spędzonéj bez-

sennie, wstałem z białym językiem, bez najmniejszego apetytu i z sinemi kółkami pod oczami. Pojmowałem tylko tyle, że raz już powzięte zamiary co do zebrania ile się da pieniędzy i podróży do Warszawy, powinienem obecnie tém skwapliwiéj przywieść do skutku; po kilku przeto szklankach herbaty z cytryną, posłałem po ekonoma, w celu wydania mu potrzebnych w téj mierze rozkazów. Ale posłaniec wrócił wkrótce z odpowiedzią, że ten pan co wczoraj przyjechał nie dał mu iść, oświadczywszy, że on tu teraz rządzi i jego tylko rozkazów mają wszyscy słuchać począwszy od ekonoma. Że nie dostałem w téj chwili apopleksji, przypisuję jedynie temu, że byłem na czczo; przekonany jestem, że gdyby to było po dobrym obiedzie i paru butelkach wina, jużby był koniec ze mną. Ale to przygnębiło mnie do reszty; obiadu ani tknąłem, na wieczór wypiłem znowu tylko parę szklanek herbaty z cytryną i położyłem się spać z gorączką.

Noc jednak przyniosła mi radę, która pomimo swojéj prostoty, nie przyszła mi przez cały dzień na myśl. Wstawszy rano, kazałem zaprządz do powozu konie cugowe, które względność pana Grünapfel zostawiła mi do użytku i pojechałem do mojego urzędowego obrońcy p. Przerobińskiego. Cóż powiecie? najpierwszą wiadomością jaką mi zwiastował, było przybycie do miasteczka p. Rukstejna komornika z Warszawy; ten jegomość odbywszy konferencję z innym obrońcą, najął już furmankę w celu udania się do Zmud, aby na satysfakcję długu wynoszącego 6,000 rubli, na który nie wiem czy wziąłem gotówką trzecią część, a należnego panu Zysie Ulrychkind, wystawić mój majątek na sprzedaż przez subhastację.

Tego było zanadto dla mnie. Nie chciałem już wracać do domu i uprosiłem p. Przerobińskiego, aby w mojem imieniu udał się z komornikiem do Zmud, i przy za-

jęciu dopilnował mojego interesu. Ja przez ten czas w miasteczku miałem czekać na niego, a potém mieliśmy razem pojechać do Warszawy. Jakim sposobem przy pomocy obrońcy, zdołałem pożyczyć od żydków miejscowych pieniędzy na drogę, opisywać nie będę; dosyć gdy powiem, że sto rubli które ledwie że dostałem, kosztowały mnie więcéj, jak drugie tyle procentu. Kto zna, jak trudniący się lichwą umieją korzystać z położenia człowieka potrzebującego, który udaje się do nich zwykle z nożem na gardle, zdziwią się pewno rączéj umiarkowaniu niż wysokości procentu; co do mnie, nigdy najświetniejszy interes pierwszorzędnego bankiera nie byłby zdolny zrobić mu tyle pociechy, ile mnie sprawiła ta mała pożyczka; ujrzawszy w ręku tęczowy papierek, sądziłem, że już jestem panem położenia, a zaciągnięcie na hipotekę summ potrzebnych na zaspokojenie tych interesów spadłych na mnie jak piorun, uważałem już tylko za kwestję podrzędną, któréj pomyślny obrót nie ulegał najmniejszéj wątpliwości.



Nazajutrz rano, w towarzystwie p. Przerobińskiego pełen najlepszéj otuchy, bo bezpośrednia obecność niebezpieczeństwa i widok upadku gospodarstwa, nie paraliżowały mnie — wyjechałem do Warszawy.

* * *

Czy uważał kto z potrzebujących gwałtownie pożyczki, jak w chwili, w któréj zmuszony jest zaciągnąć ją, kapitały znikają? jestto fenomen, który nie wiem czy ekonomja polityczna wyjaśniła; ja znam go tylko z pra-

ktyki, bo teoretycznie nie oddawałem się nigdy téj nauce, czego nie mogę dosyć odżałować — a dziś niestety, już zapóźno.

Wierzyciele moi, jak zaręczał mi obrońca, który w mojem imieniu traktował z nimi, okazywali jaknajlepsze usposobienie i gotowi byli odstąpić jeden od dzierżawy, drugi od sprzedaży ruchomości, trzeci od subhasty; pod jednym atoli warunkiem, abym im spłacił długi i powrócił wszystkie straty i koszta, co wynosiło, jakeśmy obliczyli, blisko połowę saméj wierzytelności. Ten był jedyny sposób odwrócenia klęski; ale zkąd wziąść pieniędzy? widząc zastępy rozmaitego rodzaju faktorów i pokątnych doradzców, snujące się w okolicy, któréj środkowym punktem jest cukiernia przy zbiegu ulic Miodowéj i Długiéj, nieświadomy rzeczy mógłby mniemać, że w Warszawie przychodzi to z wielką łatwością; ale tak przecież nie jest. Ci panowie stręczyli mi wprawdzie codzień pożyczki hipoteczne, ale żadna z nich nie przychodziła do skutku. Siedziałem już dwa tygodnie w Warszawie, zjadając codziennie z obrońcą i coraz to innym ajentem (jak się sami mianują) śniadania u Lipkaua i obiady u Brukalskiego; sto rubli, które miałem prawie w całkowitości za przybyciem do Warszawy, dawno już przejadłem, i zadłużyłem się wreszcie w tych dwóch zakładach, gdzie miałem jeszcze na pamiątkę dawnych czasów niejaki kredyt, a nic jeszcze nie zwiastowało pomyślnego końca moich zabiegów. Byłem w rozpaczy, gdy wreszcie los, na moje szczęście czy zgubę, zesłał mi mojego sąsiada, pana Klejne. Dziś wiem już, jak ocenić jego postępowanie; w owéj chwili uważałem go za zesłańca z nieba.

Są ludzie, którzy na podobieństwo pewnych ptaków drapieżnych, żywią się tylko padliną. Robią interesa otwarcie, bez żadnych tajemnic, nie pożyczają na lichwę, nabywając majątki dobrze na pozór płacą; ale nim cośkol-

wiek przedsięwezmą, wietrzą na swój sposób, a zwietrzywszy czyjś upadek, dążą za ofiarą, krążą koło niéj, dźwigają ją nawet niekiedy na nogi, aby przedłużyć konanie i śmierć uczynić tém pewniejszą, a gdy ta chwila nadejdzie, z trupa ciągną dla siebie soki pożywne. Dziś jestem pewien, bo mam dowody, że p. Klejne pociągnął umyślnie za mną do Warszawy, a co smutniejsza, za poradą p. Przerobińskiego.

Owoż dnia pewnego, siedziałem przy jednym z stolików w zakładzie Lipkaua, oczekując na obrońcę i na p. Grypsińskiego, ajenta, który mi właśnie proponował „złoty interes". Znajdowałem się tam już przeszło od godziny i z niecierpliwością spoglądałem na drzwi wchodowe otwierające się co chwila, bo byłem prawie naczczo, to jest tylko po szklance herbaty z warszawską śmietanką i bułeczką wiadomych rozmiarów, a chciałem śniadanie zjeść razem; wreszcie zwątpiwszy już, czy ich się doczekam, miałem właśnie zażądać porcji kiełbasy z kapustą, gdy wszedł do sali p. Klejne, a ujrzawszy mnie, usiadł zaraz przy moim stoliku.



— Coż tu somsiad porabia? — zapytał po przywitaniu.

— Czekam na Przerobińskiego.

— Czy won jest też w Warszawie?

— Przyjechaliśmy razem. A pan dawno?

— Ja? wod wczoraj...

— Coż tam słychać? — spytałem machinalnie.

Klejne obejrzał się, przysunął bliżéj do mnie, i tajemniczo, do ucha, z wyrazem jak mi się zdawało współczucia, rzekł:

— Też ja słyszałem co somsiad ma jakieś wambarasy; wypuszczają Zmudy w dzierżawę, czy co takiego? mnie żydki mówili.

— To było nieporozumienie — rzekłem kwaśno — zapomniałem o terminie i miałem ztąd kłopoty; ale załatwiłem.

Klejne widocznie nie uwierzył moim słowom; widziałem to z jego miny.

— Po co somsiad — rzekł — wdaje się z temi łajdakami; to są pijawki; to djabła warto: żeby somsiad sobie wszystko wziął pod krédkę, toby się przekonał, że najlepsza rzecz sprzedać, kiedy nie idzie.

— Co sprzedać?

— No! Zmudy, a kupić co mniejsze.

— Jeszcze sobie dam radę.

— No! daj Boże; ja panu życzę — i zagadaliśmy czem innem, ale po chwili znowu rzekł: — Ja sobię myślę czemu pan się nie żeni z sąsiadką z Dębowéj woli.

— Z panną Kościeszanką? zkądże to panu przyszło do głowy?

— A! bo ja wiem, że wona pana bardzo lubi; panby tam papierowe buty nie zdarł, a geszeft jest dobre, trzykroć stotysięcy, baar-geld.

— Gdybym był chciał, to dawno już mogłem się był starać.

— Wiem, wiem, i dla tego téż ja się bardzo dziwił, co pan nie chciał.

Słowa te wyrzeczone w obecnéj chwili, wbiły mi ćwiek w głowę, ale nie chciałem dać tego poznać po sobie, więc rzekłem:

— Co tam! nie mówmy o tem; oto lepiéj poradź mi pan co, bo potrzebuję pieniędzy.

— No! ja téż wod pana kupię Zmudy.

— Kiedy ja nie chcę się ich pozbyć.

— To ja panu powiem jak zrobić; napiszemy kon-

trakt, że mi pan sprzedaje wobie wsie, po tysiąc rubli za włókę, z prawem wodkupu na przyszły św. Jan; dam panu zadatku 10,000 rubli na te pilniejsze długi, a tymczasem pan się wożeni, i mnie te pieniądze wodda. A nie wodda pan, to ja dopłacę ile się będzie należało, i wezmę Zmudy. No! zgoda?

Nie chciałem okazywać skwapliwości, ale zrobiło mi się jakoś niezmiernie lekko na sercu, tak jak gdyby kamień młyński spadł z niego. Cały ten interes zdawał mi się tak jasnym i prostym, związek z panną Koście-



szanką tak stosownym, że nie mogłem pojąć, dlaczego nie pomyślałem o tém dawniéj; w duszy przystawałem już naprzód na wszystkie warunki p. Klejnego, i gdyby nawet był zechciał termin odkupu ograniczyć do jakich dwóch, trzech miesięcy, nie opierałbym się, tak byłem pewien pomyślnego końca całéj téj sprawy.

Panna Kościeszanka była osobą wprawdzie nie pierwszéj młodości, ale do trzydziestki brakowało jéj jeszcze najmniéj trzy lub cztery lata. Nie była ładną, ale brzydką także nazwać jéj bezwarunkowo nie było

można; miała oczy może trochę za małe, a nosek nieco zbyt zadarty, ale za to usta, lubo podług niektórych zbyt wielkie, można było porównać do rozkrojonéj wiśni łutówki — co wraz z pełnemi życia rumieńcami na twarzy, było oczywistym dowodem kwitnącego stanu zdrowia. Jedyną wadą, lubo niezbyt widoczną, była pewna maleńka ułomność kibici; że jednak rzeczywista wartość kobiety nie zależy na powierzchowności, więc też żywość dowcipu, zręczność w prowadzeniu rozmowy, i swobodne obejście panny Ireny, kazały zwykle zapominać o tym niedostatku. Chcąc coś powiedzieć o jéj wewnętrznéj wartości, trzeba było dokładniejszych danych niż te, na których mogłem się oprzeć, gdyż dotychczas nie studjowałem nigdy panny Ireny; nie tajno mi tylko było, że jako jedynaczka, pieszczotka ojca i matki, była w domu panią absolutną — ale ztąd wniosków żadnych nie poważyłbym się wyprowadzić, zwłaszcza, że gadaniny o uporze i kaprysach, które miały być jakoby skazami w jéj charakterze, uważałem poprostu za wymysły ludzi zawistnych.

Wieść niosła, że panna Irena miała pewną słabość do mnie, i że z tego powodu nawet odrzuciła dwóch konkurentów, którzy jéj się byli oświadczyli. Skutkiem tego, byłem nieraz celem żartów i prześladowań, ale nigdy nie brałem ich do serca, i śmiałem się dopomagając jeszcze tym, którzy brali na języki ową skłonność. Jako sąsiad, bywałem często w domu państwa Kościeszów, i bawiłem się tam nawet wybornie; ale ani mi przez myśl przeszło stanąć w rzędzie starających się o rękę panny Ireny. Dzisiejsza dopiero rozmowa z Klejnem otworzyła mi naraz oczy. Stan opłakany moich interesów, z którego nie widziałem żadnego wyjścia, chyba żelazną pracą i reorganizacją zupełną życia, usposobił mnie do innego zupełnie zapatrywania się na tę kwestję. Ni ztąd ni zowąd, pannę Irenę otoczyła w mojéj wyobraźni jakaś

aureola poświęcenia się i cierpień miłości niepodzielanéj, co ujęło mnie nagle za serce. W téj chwili byłem naprawdę w niéj zakochany. Stanęły mi na oczach okoliczności, dawniéj dla mnie niezrozumiałe, z których dziś czytałem jak z otwartéj książki; jak zbrodnię wyrzucałem sobie wszystkie męki, jakie ta luba dziewczyna przechodzić musiała, widząc mnie dla siebie obojętnym — i jednéj chwili radbym był paść przed nią na kolana i kazać zapomnieć o wszystkiem co przecierpiała. Nic tak człowieka nie uszczęśliwia jak przeświadczenie, że swoim postępkiem uszczęśliwia kogoś; równa się to ukontentowaniu z dopełnienia najsurowszego obowiązku. Uśmiech, wdzięczność panny Ireny, który wyobrażałem sobie już naprzód, jéj spojrzenia głębokie utopione we mnie — były dla mnie czemś anielskiem.

To wszystko, co tu wyraziłem w dość długim ustępie, przedstawiło się w mojéj myśli w mgnieniu jednéj chwili i odbiło w rozlicznych szybko następujących po sobie obrazach, których wewnętrzne znaczenie, sens moralny — był zawsze jeden, jasno świecący jak gwiazda poranna: uszczęśliwienie panny Ireny i moje własne szczęście. Trzykroć sto tysięcy posagu, na które byłbym się skrzywił pogardliwie przed rokiem, były w téj chwili cudownie usnutą tkanką, służącą za przedziwne tło tym niebiańskim obrazom.

Nawał tak drażniących myśli do tego stopnia mnie wzburzył, że zerwałem się z krzesła jak podsadzony minami, i przeszedłem się parę razy po pokoju, spoglądając bezmyślnie na zajadających i zapijających prozaików, którzy litość w téj chwili wzbudzali we mnie. Żałowałem ich; żaden z tych panów nie miał widoku ożenienia się z panną Ireną i otrzymania trzykroć sto tysięcy posagu.

Klejne spojrzał na mnie, i tłumacząc sobie inaczéj moje wzruszenie, zapytał:

— Czy się to panu nie widzi?

Miałem tyle mocy nad sobą, że odesłałem go do mojego obrońcy p. Przerobińskiego, który téż jak na to, wszedł z p. Grypsińskim, owym ajentem na którego czekałem.

Jak to jedna chwila zmieni człowieka! p. Grypsiński zbliżywszy się do mnie, zaczął wyliczać trudności, jakie niespodziewanie znalazły się w owym złotym interesie, który mi stręczył; ale oniemiał, gdy usłyszał z moich ust parę żarcików zakrawających wprost na drwiny. Wówczas zmienił taktykę, ale już było za późno; zbyłem go zimno, i nie zaprosiłem nawet na śniadanie.

Z panem Przerobińskim porozumiałem się w kilku słowach, i zaleciłem mu najmocniéj, aby interes proponowany przez p. Klejne przywiódł do skutku; a że jak się późniéj dowiedziałem, jego to właśnie było dzieło, więc skończyliśmy bardzo prędko. Zaraz po śniadaniu zakropioném kilku butelkami, poszliśmy naprzeciwko do rejenta, a na drugi dzień o tejże godzinie, podpisałem kontrakt sprzedaży Zmud wielkich i małych panu Klejne, z prawem odkupu na przyszły św. Jan, za zwrotem zaliczonych mi dziesięciu tysięcy rubli z procentem prawnym; w razie przeciwnym, p. Klejne stawał się właścicielem tego majątku po tysiąc rubli za włókę, i po przejęciu na siebie długów hipotecznych resztę dopłacał. Ponieważ w rzeczy nie była to sprzedaż, tylko wprost pożyczka 10,000 rubli, lubo formę miała sprzedaży, przeto koszta kontraktu wziąłem na siebie.

Po zaspokojeniu wszelkich Markusów, Grünapflów i Ulrychkindów, opłaceniu honorarjum panu Przerobińskiemu i zabawieniu się ze zwyczaju kilka dni w Warszawie, z trzemaset rublami w kieszeni, szczęśliwy i rozmarzony, powróciłem do domu.

* *
*

Powrót mój był istnym trjumfem, nie zastałem już bowiem zaimprowizowanego dzierżawcy, który zawiadomiony urzędownie, wyniósł się swoim kosztem dniem właśnie przed mojem przybyciem; zajęcia komorników były uchylone, a tém samém ręce rozwiązane, i pozostawiłem znowu ekonomowi tęż samą pełną moc gospodarowania podług wymagań agronomicznych, jaką dawniéj posiadał.

Zastałem wprawdzie kilka tuzinkowych pozwów od mniejszych wierzycieli, kupców i dostawców zaalarmowa-



nych zjazdami komorników; osobiście nawet było trzech czy czterech żydków, ale wszystkich uspokoiłem magiczném słowem „żenię się“. Nie wspomniałem z kim, ale dawałem do zrozumienia, że kolosalnie bogato i że wszystkie długi na jesień jeszcze popłacę. Uwierzyli widząc, jak skutecznie poradziłem sobie z komornikami, i przestali mnie niepokoić, a niektórzy nawet cofając swoje pozwy, polecali się dalszym względom, oświadczając się nadal z gotowością pożyczki na każde żądanie „jaśniego“ pana.

Zażegnawszy w ten sposób pierwsze podmuchy grożącéj mi burzy, pomyślałem o urzeczywistnieniu dalszych moich planów. Nie zwłócząc tedy, w obawie aby mnie kto nie uprzedził, dnia pewnego po południu, powozem i końmi w najlepszych szorach, wyświeżony, wytrefiony i wypachnidłowany, udałem się z wizytą do państwa Kościeszów, którzy mieszkali odemnie o dobrą milę. Nie byłem wolny od pewnéj obawy, gdyż od kwartału przeszło nie postawszy nogą w Dębowéj Woli, mogłem znaleść zmianę w uczuciach panny; ale przywiodłszy sobie na pamięć wszystkie symptomata i bijące w oczy wskazówki, nabrałem dobréj otuchy. Byłem najpewniejszy, że ten anioł ujrzawszy mnie powracającego jak syn marnotrawny i usiłującego wynagrodzić dawne uchybienia, przebaczy mi z całego serca. Zresztą postanowiłem stanąć przed nią uzbrojony zaczepnie od stóp do głów; przepędziłem w tym celu przeszło godzinę przed zwierciadłem; przeglądałem się nietylko z przodu, ale z boków, z profilu i z tyłu, za pomocą drugiego lusterka, układając spojrzenie i wyraz oblicza. Znając wpływ jaki moje zalety powierzchowne wywierały na pannę Irenę, starałem się uwydatnić je tak, aby być pewnym zwycięztwa.

Cały czas jazdy przemarzyłem rozkosznie, układając plan postępowania; nie mogłem się zdecydować, jak prędko i w jaki sposób się oświadczyć; lecz ufając w moją zręczność, zostawiłem wszystko okolicznościom, a tymczasem przeniosłem się już myślą w tę błogą chwilę, gdy przyjąwszy moje wyznanie panna Irena, ten pan domu, przed którym począwszy od rodziców wszystko drżało, będzie przy moim boku potulnym barankiem. Dłoń w dłoni, oczy utopione w oczach, z melancholijnym uśmiechem, z sercem wezbraném uczuciami, siedziemy przy sobie i marzemy o naszym przyszłym raju; trzykroć sto tysięcy, wierzajcie, nie zaprzątały mi głowy, były tylko

wdzięczném zabarwieniem tego obrazu; unosiły się wprawdzie przedemną, tańcowały, majaczyły, ale po za obrębem główněj myśli, którą było szczęście domowe, zgodne pożycie z panną Ireną, z panią Ireną z Kościeszów Zmudzką... Irena, śliczne imię!... Bolesław i Irena... zacząłem kombinować nasze cyfry... Bolesław Zmudzki... Irena Kóścieszanka... B. Z. I. K... pfe!... wypadło, bzik... Zanotowałem sobie w pamięci, aby zamawiając tort do cukrowéj kolacji, poprzestać na ogólnéj symbolice bez cyfer; któś złośliwy gotówby rzeczywiście upatrywać bzika w naszym związku. Bądź co bądź, Irena będzie panią Zmudzką; sąsiedztwo, rodzice, będą ją nazywać panią Bolesławową, albo prosto Bolesławową, Bolciową; ta myśl rozczulała mnie: istota, która oddaje mi całą swą przyszłość i... trzykroć sto tysięcy... (ta myśl przyszła mi, alem ją prędko usunął), będzie nazywaną mojém imieniem i nazwiskiem, to się znaczy, że będzie moją własnością, jednostką z cyfry większéj stanowiącéj nas oboje, jednostką mniejszą, słabszą, wspartą, obwiniętą około mnie, jak bluszcz około dębu. To roztkliwiało mnie i podnosiło; byłem silny i dumny!

W tych marzeniach, droga przeszła bardzo prędko, i anim się spostrzegł, kiedy znalazłem się w Dębowéj Woli i wjechałem w bramę dziedzińca. Widok dworu przywiódł mi na myśl rzeczywistość, i nasunął obraz obecnego położenia, z czego powstała znowu obawa, jak po tak długiéj niebytności będę przyjęty. Ale wszelką niepewność rozproszyło uśmiechnięte i rade jak zwykle oblicze gospodarza domu a przyszłego mojego papy, które na przyjęcie ujrzałem w ganku domu.

— A witajże bałamucie! — zawołał p. Kościesza, rozkładając ramiona do uścisków — niechże cię nie znam! tyle czasu, ani wiadomości dać nawet o sobie! nie warteś dobrego słowa — i poczciwiec nuż mnie ściskać i ślinić po policzkach.

Ujęty zostałem niezmiernie tém przyjęciem i serce zadrgało mi rozkosznie. Widziałem się u celu moich życzeń, i czego nigdy dotąd nie robiłem, pocałowałem p. Kościeszę w ramię.

Weszliśmy do pokoju. Mój przyszły teść wszczął rozmowę bardzo ożywioną o urodzajach, żniwie, polowaniu i spodziewanéj ilości zwierzyny, nakoniec o plotkach i nowinach w okolicy; mieliśmy o czém mówić, nie widząc się od tak dawna. Słuchałem go uprzejmie i potakiwałem we wszystkiém, lubo wielkie roztargnienie spra-



wiało mi zbyt długie niepokazywanie się kobiet; zdziwienie moje i niespokojność zwiększyły się jeszcze, gdy ujrzałem lokaja wnoszącego tacę z winem, bo nie zdarzało się nigdy u państwa Kościeszów, aby przyjmowano i częstowano gościa w gabinecie samego pana, gdzie właśnie znajdowaliśmy się; funkcja ta jak zwykle w domu gdzie jest panna pełnoletnia na wydaniu, była wyłącznym monopolem kobiet. Dawniéj byłbym bez ogródki spytał się od razu, co porabiają panie? dziś nie śmiałem; pomimo wmawiania w siebie uczuciowości i dobréj wiary, zdawało mi się, że snując plany na rękę córki pa-

na Kościeszy, sięgałem podstępnie po jego własność, i że za pierwszém zapytaniem o pannę Irenę, on to odgadnie. Więc zachowywałem iście złodziejską ostrożność, tworząc domysły jedne dziwaczniejsze od drugich; aż wreszcie p. Kościesza sam im położył koniec w sposób niemiłosierny.

Nalewając wino, rzekł:

— Kobiety będą żałować, żeś przyjechał w ich nieobecności, bo lubią bardzo twoje towarzystwo.

— A gdzież są panie? — zapytałem niby obojętnie.

— Jakto, nie wiesz? w Berlinie.

— W Berlinie?

— Ha, ha! już od tygodnia; pojechały po wyprawę.

— Jakto? — wymówiło mi się, nie wiem jak i kiedy, a serce zaczęło mi bić mocno i koło języka zrobiło się sucho.

— To on widzę o niczém nie wie. Irenka idzie za mąż; już po zaręczynach.

— Owszem, wiedziałem o tém...—wybełkotałem.

— Człowiek bardzo przyzwoity, nie pierwszéj młodości, ale daje wielkie rękojmie. Znasz go?

— Tak, trochę, z widzenia.

— Przyjechał z Franusiem, miesiąc temu. Dziewczyna z początku nie bardzo była chętna, ale po naradach z matką, zdecydowała się.

Słuchałem słów pana Kościeszy, opowiadającego mi rozmaite szczegóły o swoim przyszłym zięciu, jak bezprzytomny; nie dowiedziałem się nawet, jak się nazywa. W głowie mi się kręciło, szumiało, i rzecz dziwna, w żałości za zawiedzioną nadzieją, wśród smutnego obrazu rozwianych niemiłosiernie złudnych mar, ani razu nie stanęła mi na oczach postać panny Ireny. Po mózgu wirowała cyfra „300,000“, jedyna dla mnie obecnie ko-

twica ratunku; wirowała jak szalona i uciekała przedemną w piekielnym tańcu, a w jéj miejscu wynurzało się groźne widmo w postaci Klejnego, ukazując mi z daleka cyrograf, jaki podpisałem na mój majątek.

Zabawiłem krótko w Dębowéj Woli, bo miłość własna nie dozwalała mi okazywać zmiany humoru, która wobec otrzymanéj wiadomości byłaby dziwna — a udawać nie mogłem w żaden sposób. Wróciłem do domu znękany, zrozpaczony.

* * *



Czas biegł jak na skrzydłach, i nie wiem sam kiedy doczekałem się św. Jana. Od chwili smutnego rozczarowania, które mnie przybiło, opuściłem ręce zupełnie; już nie ja, tylko pan Klejne był rzeczywistym panem i gospodarzem w Zmudach. Siedział on mi już po uszy, jak to mówią, w kieszeni; kilka razy od tego czasu, dodawał pieniędzy na rozliczne potrzeby gospodarskie, a nawet na podróż do Warszawy, w celu niby starania się o pożyczkę, a to wszystko na rachunek kontraktu sprzedaży; tym więc sposobem zadatek coraz się powiększał, a z nim i trudność uiszczenia się.

Jedyną radą było ożenić się bogato; ale kroków w tym celu nie robiłem już żadnych. Przychodziły mi

wprawdzie rozmaite projekta, ale porzuciłem je, tłumacząc się sam przed sobą skrupułem, który nie dopuszczał mi rzucać się na tę wprost podstępną spekulację. Bo i jakże inaczéj w mojém położeniu nazwaćby się dał krok podobny? zmuszony byłem szukać przedewszystkiém posagu, na inne okoliczności zwracać uwagi nie było czasu i wolności; cóż więc w zamian za ten posag, gdybym go znalazł, mogłem był ofiarować? serce zimne, brudném wyrachowaniem wystudzone, wieczną urazę o to, że los skuł mnie jak galernika z istotą obcą mi duchem, a może wstrętną. Bo czyż podobieństwo, bym znalazłszy przypuśćmy posag, był tak szczęśliwy żeby zarazem trafić na serce zdolne wzbudzić bicie w mojém, i samo bijące dla mnie? podobne wyjątki zbyt rzadko się zdarzają. Rzeczywistą atoli przyczyną zaniechania matrymonialnych planów było to, że na kilka mil w około, nie znałem panny uposażonéj w warunki, jakich szukałem. Było parę mających znacznie więcéj niż potrzebowałem, ale do tych nie było się po co udawać w obecném mojém położeniu, wiadomém powszechnie; inne nie miały znowu tyle posagu, aby mógł wynagrodzić ofiarę, jaką byłbym zmuszony zrobić krępując się bez przywiązania. Gdyby nie to, z pewnością zrobiłbym jakieś ustępstwo z surowości zasad; lecz w podobnym stanie rzeczy, — tembardziéj, że miałem jeszcze blizko rok czasu, z konieczności stałem się moralistą, deklamującym o niezbędnym warunku wzajemnéj harmonji serc, i stawiałem się jako ofiara losu.

O wzięciu kredki do ręki, obrachowaniu ile jeszcze mieć mogę, i co z tych resztek przy energicznéj pracy, byłbym w stanie zbudować, nie pomyślałem ani na chwilę. Za małą jeszcze na to przeszedłem szkołę. Otrzymawszy raz już majątek bez zachodu, nie przygotowany na to, bo osierocony zawcześnie; zamiast surowych przestróg i nauki, nasłuchawszy się pochlebstw dyktowanych

przez interes, przywykłszy pędzić życie przez lat kilka bez trosk i potrzeby pracy, miałem się za przeznaczonego na jedwabne życie pieszczocha, napiętnowanego jakimś stygmatem odznaczającym mnie w społeczeństwie. Zbałamucony, wierzyłem jeszcze w moją gwiazdę; marzyłem więc o księżniczce bogatéj jak z tysiąca nocy, która odróżniwszy mnie jednem spojrzeniem wśród tłumu, wydźwignie mnie z kłopotu; o sukcessji jakiejś niespodzianéj, wreszcie w ostateczności, o wielkim losie na loterji. Wierzyłem w tę grzeczność mojéj gwiazdy tak mocno, że nieraz z uśmiechem politowania przyjmowałem smagania przeciwności; stan ten bezwarunkowo uważałem za przechodni, a złudzenia chorego rozumu, błędny ognik świecący mi w tych hallucynacjach, za punkt, cel widocznie oznaczony, do którego, leżąc na kanapie, dojdę bez żadnéj wątpliwości. Gdyby mi się kto zapytał, zkąd ta głupia wiara? odpowiedziałbym a przynajmniéjbym pomyślał: „jestem człowiek wyższy.“ Ale o pracy i o sile woli, które cuda stwarzają, o téj prawdziwéj broni ludzi wyższych, ani mi się przyśniło.

Pan Klejne w kontrakcie zaraz wymówił sobie, że na wiosnę, gdy już rozpoczną się roboty w polu, osadzi u mnie z swojego ramienia ekonoma, aby doglądał siewów, więc tak wszyscy ludzie, jak inwentarze, oddane już były do jego rozporządzenia. Zdawał się to warunek bardzo naturalny; zresztą podpisałem go bez wahania, rachując jeszcze wtenczas na pewno, na pannę Irenę, o któréj zamężciu, mówiąc nawiasem, zdrajca Klejne wiedział naprzód, i naprowadził mnie na myśl starania się dla tego jedynie, aby zrobić przystępniejszym dla podawanych przezeń warunków. Przystając na to, nie wiedziałem co sobie gotuję, i było to pierwsze z szeregu rozczarowań, z pomocą których miałem przyjść do rozumu.

Jak wszyscy podobni mnie, byłem bardzo dobry dla

służących. Patrzyłem na wszystko przez szpary, skutkiem nieopatrzności i lenistwa; byłem hojny bez sprawiedliwości i z zupełnie fałszywéj zasady, dla tego najlepiéj się mieli u mnie ci, co najmniéj tego byli warci; wypłata zasług i należności za najmy, szła zwykle niezbyt regularnie; ale za to, wszyscy począwszy od rządcy, a skończywszy na stadziarku, kradli mnie bez miłosierdzia. Muszę uderzyć się w piersi i przyznać, że przeważnie moja w tém była wina; bo ile razy dostrzegłem jakieś nadużycie, odwracałem oczy przez zupełnie błędne pojęcie mojéj pańskości i wzajemnego naszego stosunku. „Jestem pan“—rozumowałem sobie,—„i człowiek wyższy; że mnie kradną, że żyją ze mnie, nic naturalniejszego; pańskość moja nie będzie się brudzić poruszaniem tych śmieci“. Ani mi przez myśl nie przeszło, że tolerując złodziejstwo, przyjmując po pańsku i opłacając hojnie podłe usługi, stawałem się współwinnym złodziejstwa i podłości.

Naturalném następstwem tego stosunku mojego do ludzi, była z ich strony służalczość i podchlebcza uniżność, którą, złudzony moją sofistyczną filozofią, brałem za przychylność, przywiązanie, wreszcie mimowolnie wrażone uznanie mojéj wyższości, i naiwnie uważałem się za patrjarchę w stosunku do mojéj gromady.

Że byłem w błędzie, zaczynałem przekonywać się coraz dowodniéj w miarę zstępowania z piedestału, na który sam się wyniosłem. Gdy Klejne osadził w Żmudach swojego ekonoma i rozeszła się już pomiędzy ludźmi wieść, że pod jego dyspozycję przechodzą i oni i całe gospodarstwo, słowem, że od św. Jana napewno już przestaję być ich panem, musiałem znosić przykrości tém dotkliwsze, im większém poprzednio było moje złudzenie. Zaczęło się od drobnych ukłuć szpilkowych, jak: niezdejmowania czapki w mojéj obecności, hardych odpowiedzi w razie koniecznego zetknięcia; nakoniec, pro-

stych bez ogródki skarg i denuncjacji przed Klejnem i przed jego reprezentantem ekonomem, ku któremu dawny mój dwór zwrócił się z kadzidłami. Do mojego osobistego rozporządzenia został już tylko Jan furman; ale i ten widząc tymczasowość naszych stosunków, pomimo suto opłacanego strawnego, z każdym dniem stawał się niechętniejszym, a na nieszczęście coraz więcéj posług musiałem żądać od niego. Posłańca z listem na pocztę nie mogłem dostać, pod pozorem, że ludzie zajęci są przy gospodarstwie.

Położenie to nareszcie stało mi się nieznośném i postanowiłem znowu wyjechać do Warszawy, zwłaszcza, że należało jeszcze tam poszukać środków do uniknięcia niechybnéj ruiny. Miałem jeszcze jakąkolwiek nadzieję w prawie. Pan Klejne opisał mnie jak węża i kontrakt wyraźnie opiewał, że w razie niezwrócenia mu zaliczonych pieniędzy, stawał się właścicielem Zmud po rs. 1,000 za włókę; ale bądź co bądź, kontrakt był tak jak symulacyjny, a wartość ziemi w owéj chwili wyższą była w dwójnasób niemal. Możeby się dało zawezwać go do przysięgi, w razie gdyby temu zaprzeczał? Uchwyciłem się przeto téj myśli.

Ale o czém jechać do Warszawy? o czém tam siedzieć? musiałem znowu uciec się do Klejnego, przed którym, aby się nie domyślił po co ta wyprawa, udawać musiałem najfilozoficzniéj godzącego się z okolicznościami. Pieniędzy dał, ale każdy podobny dodatek, był utwierdzeniem jego prawa; kwitując z niego bowiem, akceptowałem za każdym razem poprzednie zobowiązania, i nowy na siebie zapisywałem cyrograf.

Warszawa oszołomiła mnie jednakże, jak zwykle, i w jéj atmosferze zapomniałem o smutném położeniu. Narady moje z prawnikami, były niczém więcéj jak posiedzeniami gastronomicznemi, zakrapianemi libacjami na cześć bogini zapomnienia. W chwilach jednakże trze-

źwiejszych, zapytywałem sam siebie, cò ze mną będzie po św. Janie? Chcąc znaleźć odpowiedź, wziąłem się raz przecie do porządnego zlikwidowania stanu mojego majątku i wyliczyłem, że w najgorszym razie, to jest gdy kontrakt Klejnego się utrzyma, po spłaceniu wszystkich długów, zostanie mi na czysto 3,000 rubli, z którerni będę musiał osiąść na bruku w Warszawie. Napisano widać było, że zostanę wiecznie krótkowidzem, bo ta odpowiedź wystarczyła na zaspokojenie mnie, i stała się jutrzenką przyszłości lepszéj, swobodnéj.

Rachowałem sobie tak: 3,000 rubli dla osoby jednéj w Warszawie, wystarczy na średnie i porządne życie przez lat trzy. Czy podobna, ażeby przez ten czas, człowiek mojego urodzenia, syn obywatelski, mający stosunki w świecie, otoczony urokiem minionych powodzeń, mogący wreszcie płacić za wszystko gotówką, zatém niepotrzebujący się kłopotać o codzienne potrzeby, nie znalazł nakoniec tego czego dotąd szukał napróżno? Miałem tu na myśli naturalnie znowu świetne ożenienie, ten myt najczęściéj niedościgły, ludzi mnie podobnych; o pracy, za pomocą któréj nie jeden z trzema tysiącami rubli w kieszeni, najuczciwiéj w świecie dorobił się stanowiska i przyzwoitego utrzymania, ani pomyślałem. Uśmiechały mi się raczéj w ostateczności tajemnicze budoarowe stosunki, lub zagadkowe procedery tak zwanego wielkiego świata. Z jakąźto nieraz ciekawością, powiem nawet uwielbieniem, spoglądałem na tych hrabiów, pułkowników, radców, o tytułach illuzyjnych, więc nieprzynoszących dochodu, którzy nie posiadając jak wieść niosła żadnego majątku, żyli jednak w Warszawie ukazując się zawsze na froncie, i uznani za wyrocznię smaku i mody! Niestety! trzeba być oczyszczonym przez ogień prób dotkliwych, uzacnionym przez pracę, podniesionym przez własne zasługi, aby potrafić wyczytać wyryte na czołach podobnych figur: pieczeniarz albo szuler. Pró-

żniactwo, zarozumiałość i próżność pokrywają wzrok bielmem, przez którego łuskę inaczéj te wyrazy czytamy, a mnie, nieszczęściem, nie zdjęto jeszcze téj katarakty!

Jak wyrachowałem tak się stało, pierwszy raz w życiu nie omyliłem się w rachubie; na św. Jan stałem się mieszkańcem Warszawy. Nie daleko od środka miasta, nająłem na drugiém piętrze apartamencik, składający się z saloniku, pokoju sypialnego i przedpokoju, i zapełniłem go sprowadzonemi ze wsi meblami; obrazy, zwierciadła i kosztowne fraszki, pozostałe jeszcze po rodzicach, nadały memu szczupłemu mieszkaniu, pozór bardzo dystyngowany. Tak zwanych przyjaciół, miałem bardzo wielu, nie brakowało mi więc gości; wszyscy winszowali mnie i sobie, żem się przeprowadził do Warszawy; ja odpowiadałem na to tonem lekkim, że zmusiły mnie do tego okoliczności: dla długów musiałem sprzedać majątek półmilionowy i dziś jestem goły. To przyznanie się do golizny, wobec eleganckiego urządzenia się, gotówki z któréj robiłem paradę, wreszcie życia próżniaczego, téj najlepszéj rekomendacji, było w niezmiernie dobrym tonie i zrobiło mi prędko renomę. Intuicyjnie trafiłem na najlepszy środek postawienia się dobrze w przekonaniu tych z którymi żyłem. Gdybym był dobrodusznie przyznał się, że z całego majątku zostało mi 3,000 rubli i liczył się z wydatkami, patrzanoby na mnie z góry i z politowaniem. Przyznając się, że nie mam nic, a życiem protestując przeciwko temu, stawałem się istotą zagadkową, wyższą.

Wystąpienie moje w świat warszawski, pod tą samą odbywało się rekomendacją. „Czy wiecie?“ — mówiono po cichu wskazując mnie sobie; „ten człowiek stracił przez dwa lata (rozumie się musiano przesadzić) pół miliona!“—„Pół miliona!“ — odpowiadano — „niechże go! to chwat!“ I spoglądano na mnie z podziwieniem, wię-

céj, z uwielbieniem. Przepuścić pół miliona i nie stracić miny, mieszkać w Warszawie i *zadawać szyku*! O! byłem pewny, że moje nadzieje się ziszczą, że zrobię karjerę; i na ten rachunek osądziłem, że mogę zwiększyć nieco budżet rozchodu; narzucenie dobréj o sobie opinji, było według mnie przysporzeniem dochodu.

* * *

W pół roku po mojém zainstallowaniu się w Warszawie, w samym początku karnawału, pędząc sankami



przez Miodową ulicę, spostrzegłem na trotoarze mojego ciotecznego brata Leosia z Gostyńskiego. Powitaliśmy się ukłonem i na tém byłoby się skończyło, ale Leoś stanął i tak zawzięcie kiwał na mnie, że zmuszony byłem kazać woźnicy zatrzymać się. Przybiegł do sanek nieuważając na śnieg kopny i powitał mnie serdecznie, ale z miną ubolewania, która mi się niepodobała. Porwał mnie za rękę, popatrzył w oczy

z współczuciem, i pocałował kilkakrotnie w oba policzki; obejrzałem się, czy kto znajomy nie widzi, bo wstyd mi było tych uścisków i wytartéj szopowéj szubki Leosiowéj i jego prostéj baraniéj czapki.

— No cóż ty nieboraku porabiasz?—rzekł wreszcie — jak się masz, zdróweś?

— Jak widzisz — odrzekłem śmiejąc się.

— To chwała Bogu. Cóż? znalazłeś co? — zapytał, przyglądając mi się od stóp do głów.

— Naturalnie, że znalazłem — rzekłem, śmiejąc się w duchu z qui pro quo.

— Winszuję ci. I gdzież? w urzędowaniu, czy téż prywatne miejsce?

Wstyd mi było sankarza, który mógł w sposób uwłaczający mi wytłumaczyć naszą rozmowę, więc tylko rzekłem:

— Przepraszam cię, nie mam w téj chwili czasu, śpieszę na umówioną schadzkę. Ale przyjdź do mnie jutro rano... Podwal Nr..., na drugiém piętrze. O dziesiątéj już nie śpię.

Byłem niezmiernie kontent z téj odpowiedzi, która widocznie zaimponowała Leosiowi. Gdy konie ruszyły z kopyta, obejrzałem się i widziałem jak stał w tém samém miejscu; o mały włos nadjeżdżająca kareta nie rozjechała go.

Nazajutrz rano, przybył punkt o godzinie dziesiątéj. Na jego przyjęcie przygotowałem się jak aktor do odegrania komedji; głos jakiś wewnętrzny mówił mi, że filozofja moja kuleje na wiele błędów, i dla tego chciałem wszelkim zarzutom jakie spodziewałem się usłyszyć od Leosia, przeciwstawić fakta, olśnić go jeżeli nie rzeczą, to jéj pozorem. Drażniła mnie sama myśl o współubolewaniu mojego kuzyna i poniżeniu w jakiembym się znalazł, gdyby ujrzał się w prawie udzielenia mi rad i przestróg. Leoś był porządny chłopiec; z szczupłym

fundusikiem, zacząwszy od małéj dzierżawki, dorabiał się chleba zawzięcie. Gospodarz niespracowany, od świtu do nocy na nogach, sam u siebie ekonom i niemal parobek, więc i oszczędny, aż do pedanterji, sam sobie był winien pewną zamożność, jaką zdobył już po kilku latach usilnéj pracy. Zaznawszy od młodości niemal biedy, umiał cenić grosz krwawo zapracowany, i strzegł go religijnie, widząc w nim podstawę swéj niezależności i dźwignię zamiarów, jakie miał na przyszłość. Było to wszystko bardzo piękne, ale zrobiło go nazbyt systematycznym, rachującym na zimno i pedantem. Zawczasu przeto mróz mnie przejmował na jego rozumowania, przeciw którym opancerzowałem się jak mogłem.

Gdy wszedł, siedziałem w szlafroku na szezlongu, za stolikiem zastawionym samowarem i wszelkiemi przyborami do śniadania. Przywitawszy się ze mną, zaczął rozglądać się po mieszkaniu, obejrzał wszystkie meble w saloniku, zajrzał do drugiego pokoju, który był sypialnym, i w którym umyślnie łóżko nie było jeszcze posłane, i pierwsze pytanie jakie zrobił, było:

— Ile płacisz za to mieszkanie?

— Dwieście dwadzieścia rubli — rzekłem niedbale.

— Dwieście dwadzieścia rubli! — zawołał zdziwiony,— to prawie półtora tysiąca złotych.

— Zdaje mi się — odrzekłem.

Zamilkł.

— Pozwolisz herbaty? — zagadnąłem po chwili.

— Dziękuję; piłem o ósméj kawę u Bautzowéj.

— To może co przegryziesz?

— Ha! przegryźć co, to zgoda—rzekł, biorąc się do bułki i masła, i spoglądając na resztki szynki pozostałe od mojego śniadania.—Wódki nie masz?

— Znajdzie się. Héj! Juljan!

— Tylko nie rób sobie kłopotu, prostéj, czystéj.

— No, no, zostaw to mnie. Juljan, — rzekłem do

służącego — przynieś dla pana wódkę i co do przegryzienia.

Służący wyszedł i po niedługiéj chwili powrócił niosąc na tacy butelkę z wódką, pudełko sardynek, kawior z oliwą i cytryną, i kilka porządnych plastrów szynki. Wszystko to przygotowane, czekało już na Leosia.

Spojrzawszy na tę zastawę, któréj się nie spodziewał, widocznie połknął ślinkę, bo był łakoméj natury i zawsze przy apetycie; ale widziałem, że to ukontentowanie psuł mu jakiś skrupuł wewnętrzny.

— Przepraszam cię, — rzekłem, — że nie piję do ciebie; jeszcze zawcześnie dla mnie.

Leoś nim sobie nalał, przedewszystkiém obejrzał flaszkę.

— Co to za wódka?

— Allasch.

— To musi być drogie, — rzekł oglądając etykietę.

— Jakąż pić?

Nalał sobie pełny kieliszek i wychylił jednym haustem. Potém, robiąc ciągłe ceremonje, w niedługim czasie zmiótł wszystko co było na tacy.

— Co robisz dziś? — zapytałem go, gdy smarował trzecią czy czwartą bułkę.

Leoś spojrzał na mnie wielkiemi oczyma.

— Co robię? zabawnyś! interesów mam po uszy.

— Nie o to się pytam; w teatrze będziesz?

— Chciałem, bo lubię teatr; wstępowałem do kasy, ale dają dziś jakąś nową sztukę i nie mogłem się docisnąć.

— Dosyć czasu przed siódmą.

— Ale gadasz! powiedziano mi, że już nie ma ani jednego biletu numerowanego.

— Jeżeli chcesz, to zostaw to mnie; tylko przygotuj się zapłacić podwójną cenę.

— Ba! dziękuję za to.

— Ja inaczéj nie robię. Zwykle rano nie wiem jeszcze jak dniem rozporządzę, i dopiéro wieczorem weźmie mnie ochota do teatru; po południu *pojedziemy* do Lursa, to się znajdą bilety.

Leoś widocznie się bał, żeby mu nie wypadło zapłacić sanek i zafundować biletu dla mnie, więc wymówił się, że dziś być nie może. Rozmawiał o rzeczach potocznych i obojętnych, ale widocznie miał coś na języku, tylko nie wiedział, jak przystąpić do rzeczy.

Gdy skończył jeść, Juljan na mój znak przyniósł butelkę porteru. Leoś zmierzył ją dziwnym wzrokiem, i po pierwszéj szklance, gdy podałem mu dwudziestogroszowe cygaro, nie mógł już znieść dłużéj.

— Ile ci téż zostało po sprzedaży Zmud? — zapytał poufale.

— Dla czego?

— Tak!

Zrazu chciałem skłamać, ale prędko zmieniłem zamiar, zastanowiwszy się, że z Leosiem nie na wieleby się to zdało, bo z pewnością świadomy był rzeczy; więc już wolałem przyznając się do rzeczywistych funduszów, zaimponować mu trybem życia jakie prowadziłem, otaczając się zagadkowością i tajemnicą, tak jak zagadkową dla mnie samego była własna moja przyszłość; postanowiłem złudzić go tak, jak sam siebie łudziłem.

— Zostało mi wszystkiego 3,000 rubli—rzekłem.

— Tak téż ja rachowałem, — odrzekł; — od tego, choćbyś umieścił jak najlepiéj, możesz mieć najwięcéj trzysta rubli rocznie, chyba, że... są rozmaite sposoby.

— Przecie nie posądzisz mnie, żebym został lichwiarzem.

— Więc dostałeś posadę? jakież masz zatrudnienie?

— Jakie zatrudnienie? zaraz ci powiem. Rano wstaję o dziewiątéj, piję herbatę do dziesiątéj, wychodzę na miasto między jedenastą a dwunastą na śniadanie, późniéj wizyty lub przechadzka, obiad od czwartéj do piątéj, wieczorem rozmaicie, czasem teatr; po teatrze...

— Kpisz sobie ze mnie! — zawołał Leoś nie mogąc już wytrzymać.

Nie mogę powiedziéć, abym w głębi duszy nie czuł prawdziwéj wartości mojego postępowania, ale draźniło mnie to, że na polu, na jakie weszła nasza rozmowa, Leoś musiał mieć koniecznie słuszność; więc przemocą wmawiałem w siebie, że robię tak jak powinienem, znajdując dostateczne usprawiedliwienie siebie w tém, czego właśnie wyjawić przed nim nie mogłem. Tém czémś, co usprawiedliwiało mnie w własnych oczach, był niedawno zawarty stosunek mój z hrabiną Laurą Komierską, bardzo bogatą wdową.

Laura słynęła z piękności i tonu na całą Warszawę; nie wiem sam jak i kiedy odróżniła mnie wśród bywających na jéj salonach mężczyzn, ale w jéj oczach tyle wyczytałem obietnic, że wszelką troskę o przyszłość osądziłem zbyteczną, a myśl o zmianie trybu życia i wzięciu się do pracy, która niekiedy acz rzadko napastowała mnie jak wyrzut sumienia, wprost zagrodzeniem sobie losu. Na téj podstawie opierałem dzieło mojego odrodzenia, i zuchwale rozumowałem, a raczéj bredziłem pod wpływem okoliczności mających być niby mojém uniewinnieniem.

— Z twojéj miny i półsłówek wnoszę, — rzekłem do Leosia przybierając ton serjo — że obawiasz się o moją przyszłość, która wydaje ci się zagadkową. Powiem ci na to, że nie wierzę w śmierć głodową pomiędzy swojemi. Społeczeństwo każde jest solidarnie obowiązane względem swoich członków, a skoro proletarjat i klasa rzemieślnicza mają domy przytułku i kasy zapomóg dla

podupadłych, dla czegóżby towarzystwo, do którego z urodzenia należę, nie znalazło sposobu wydźwignienia jednego z swoich, który padł ofiarą przeciwnego losu?

Nie można było wynaleźć niedorzeczniejszego rozumowania; pomimo to Leoś słuchał mnie uważnie. Był to chłopiec obdarzony bystrém pojęciem; na ostatni mój argument, uśmiechnął się dwuznacznie.

— Słowa twoje,— rzekł — rozmaicie możnaby tłu-



maczyć; nie chcąc ci ubliżać, nie przypuszczam, abyś chciał wyjść na pieczeniarza, lub...

— Mocno obowiązany — przerwałem żartobliwym tonem, ale to napomknięcie ukłuło mnie jak sztyletem.

— Pozostaje więc drugie przypuszczenie i zdaje mi się, że to miałeś na myśli. Chyba się żenisz.

— A gdyby tak było?

— W takim razie winszuję ci, jeżeli...

Wstrzymał się, a ja téż nie nalegałem o dokończenie,

bo widziałem jasno, że chciał powiedzieć: „jeżeli się nie sprzedajesz“.

— Ha! szczęść ci Boże, — mówił daléj — przyznam ci się, że miałem dla ciebie projekcik; z nim przyjechałem, ale...

— Jakiż to projekt? — zapytałem chcąc wiedzieć na wszelki wypadek.

— Rachując w przybliżeniu twój kapitał, nie wiele się omyliłem; sądziłem więc, że interes jaki się właśnie nastręczał, spadał jakby z nieba umyślnie dla ciebie. Wiesz, boś sąsiadował z Topolą, że prezes Sośnicki, ma po wycięciu lasu, okrągłe dwadzieścia włók dobrego, żytniego gruntu, na których chce pobudować folwark. Otóż, szuka dzierżawcy, któryby podjął się wystawić potrzebne budynki, wykarczować nowiny, i zamienić je w orne pole; wypuszcza na lat dwanaście, z których przez trzy pierwsze dzierżawca nic płacić nie będzie, a w następnych, stosunkowo bardzo mało. Chodzi mu o to, aby za lat dwanaście miał folwark zagospodarowany i zabudowany. Na budynki daje wszelkie drzewo z swoich lasów; glina na cegłę jest na miejscu, wapno podobnież; za te pieniądze które masz, bardzo łatwo mógłbyś postawić w pierwszym roku to co konieczne i nabyć potrzebne inwentarze; w drugim, jużby ci się część wróciła, a o następnych niema co mówić; wiesz co to jest plon z czystych nowin, jeszcze w takiéj ziemi—i za lat dwanaście nazwiesz mnie czém zechcesz, jeżeli nie będziesz miał dwanaście albo piętnaście tysięcy rubli czyściuteńkiego zysku.

— Albo téż, jak się noga podwinie, figę, i utopię kapitał nie używszy go.

— Siedząc w Warszawie ryzykujesz go na pewno; zresztą, bez pracy, nie będzie kołaczy. A pomyśl, za to — mówił zapalając się — co za pociecha widzieć wzniesione własnym trudem gospodarstwo; z pustek, wycin-

ków i zarośli urodzajne łany, budynki tam, gdzie się niedawno lęgła zwierzyna! miło jest patrzyć na dzieło rąk własnych.

Było ze mną w téj chwili tak, jak bywa i z największym tchórzem w szeregach, na podniecający odgłos bębna i trąby wojennéj; na paradzie zdaje mu się, że zuch, ale niech parę kroków oko w oko zajrzy niebezpieczeństwu, już po wszystkiém. Tak i mnie obraz tych wypracowanych trudem rezultatów, olśnił na chwilę, ale trwało to bardzo krótko; wnet zacząłem się cofać, wydało mi się nawet czystém głupstwem, dla jakichś wątpliwych korzyści, mających się osiągnąć kiedyś, krwawą pracą, porzucać pewne jakem mniemał widoki, obiecujące bez trudu odpowiednią memu usposobieniu świetną przyszłość.

— Wszystko to prześliczne, — rzekłem drwiąco — romansowe, ale nie na moje siły, które wolę schować na co innego. I gdzież to ten twój sielankowy dzierżawca ma mieszkać, bo zdaje mi się, że to w téj chwili goła nowina.

— Jest nie zły domek po pisarzu, dozorującym sprzedaży lasu.

— W którym mieścić się będzie musiał z czeladzią i bydlątkami, jak Noe w arce.

— Chwilowo tylko, bo jeszcze w tym roku, bardzo łatwo może stanąć drugi domek, i przynajmniéj jedna stodółka i obora.

— C'est du romanesque; czysta osada amerykańska; jak się to nazywa? czytałem gdzieś niedawno.

— Żartuj sobie jak chcesz — rzekł Leoś zimno, zabierając się do pożegnania; — szkoda, że nie rozumiesz własnéj korzyści.

— Rzeczywiście, korzyść nielada; pan Żmudzki, o miedzę od dawnych swoich dóbr, dzierżawcą jakiejś osady leśnéj, kolonistą! nieśmiałbym się pokazać w towarzystwach.

— A! o to ci chodzi — rzekł tonem tak pogardliwym, że aż mnie to ubodło — prawda, sam widzę, że to nie dla ciebie.

— Mam coś lepszego, — odrzekłem śmiejąc się, z ściśniętém mimowoli sercem.

— Daj ci Boże! życzę, abyś za rok powiedział mi to samo.

— Qui vivra, verra! — rzekłem z fantazją, wstając dla pożegnania Leosia, i wyprowadzając go do przedpokoju.

* * *

U hrabiny Laury bywając coraz częściéj, stałem się wreszcie codziennym gościem, wchodzącym bez meldowania; świat wydał mi nominację na jéj urzędowego kochanka i dziwy plótł o naszych stosunkach.

Półsłówka i dwuznaczniki, jakiemi mnie zaczepiano, przyjmowałem skromnie, nie potakując ani przecząc, co rzeczywiście mogło uchodzić za przyznanie, a było ze względu na istotny stan rzeczy niekonsekwentnością, jeżeli nie czém gorszem z mojéj strony. Widząc miłość Laury, bo widoczném było, że mnie kochała, chwyciłem się tego odkrycia jak deski ocalenia zesłanéj mi przez opatrzność; a przywykając widzieć w niéj przyszłą towarzyszkę życia, pragnąłem pozostawić ją czystą i nieskalaną w własném przekonaniu. Tymczasem, gdy chodziło o opinję świata, nie wahałem się powodować tém nikczemném wyrachowaniem, że im więcéj skompromitowaną zostanie przez nasz stosunek, tém łatwiéj dopnę celu.

Cel ten jednakże, lubo dążyłem doń wytrwale nie tracąc go z oczu na chwilę, stawał się coraz trudniejszym do doścignięcia, — i przyznam się, że nie widziałem już nareszcie jakiéj chwycić się taktyki, wobec postępowania Laury. Kochająca, zapominająca się, kompromi-

tująca na każdym kroku, oczyma i usty mówiła mi: „jam twoja“, ilekroć wszakże zacząłem zapuszczać się w przyszłość, w znaczeniu takiém, jak ją rozumiałem, zdawała się mnie niepojmować, lub zamykała mi usta białą i arystokratyczną rączką, mówiąc: „nie myślmy o jutrze; czy nam to tak źle?“

Nakoniec przekonałem się, już poniewczasie, że ta moja zbyteczna, jak na nasz stosunek, delikatność, uczyniła mnie śmiesznym w jéj oczach; dziecinném zaprawdę musiało jéj się wydać to lwiątko salonów, gruchające u jéj nóg jak Dafnis, i nie zdające się pojmować wyrazistych obietnic, wypisanych w jéj płomienistych źrenicach i palących uściskach dłoni..

Trudno nam już było porozumieć się; cyfry jakie pisałem na tym wulkanicznym gruncie, studziły go coraz bardziéj; nie spotrzegłem się, że ta kobieta namiętna, nie zapomniała się do tego stopnia, aby być niewolnicą sytuacji, którą stosunki nasze wywołały.

Przekonałem się o tém dotykalnie jednego dnia, gdy nie wiem już jakiemi słowy, przysposobiwszy kunsztownie rozmowę, że doszła do wskazanego przezemnie stopnia, dałem do zrozumienia Laurze, że pamiętam o jéj reputacji i napomknąłem o małżeństwie. Lubo to było powiedziane z najlepszą wiarą, trudno zaprzeczyć, że punktem wyjścia, zasadniczą myślą całego mojego postępowania, było wyrachowanie, — i ukarany téż za to zostałem.

— Nie kochasz mnie — rzekła zimno.

To powiedzenie na pozór z serca płynące, otworzyło mi oczy: w jednéj chwili spostrzegłem wszystko jasno jak na dłoni. Siedziało przy sobie dwoje spekulantów, podobających sobie w przyjemnościach życia i dogadzających temu upodobaniu; mężczyzna z rozpaczą szukający sposobu, aby ich użycie zapewnić sobie na przyszłość, kobieta zapewniająca je sobie kosztem i ofiarą wszystkie-

go, byle nie majątku. Gdyby materjalne moje położenie było to samo co przed kilku laty, to jest odpowiednie mniéj więcéj jéj położéniu, porozumielibyśmy się może łatwo; ale dziś było niepodobieństwem, spółka między nami nie była możliwą. Zrozumiawszy to, zawstydziłem się mojéj roli i z przerażeniem wejrzałem w przyszłość; i znowu, jak w chwili rozwiania się moich projektów na rękę panny Ireny, zamiast Laury, którą zdawało mi się, że kochałem, przed oczyma majaczyć mi zaczęły cyfry, w kształcie jakiegoś zagadnienia algebraicznego niepodobnego do rozwiązania; jasnowidzeniem ujrzałem w bliskiéj przyszłości chwilę, w któréj szczupłe moje zasoby, z powodu mniemanych świetnych widoków nadszarpnięte nad pierwotny zamiar, wyczerpią się do reszty. Myśli te były dla mnie okropne, ale zewnątrz zachowałem zimną krew, jak przystało na bywalca salonowego, i na odezwanie się hrabiny, rzekłem:

— Ja ciebie nie kocham? Laura to mówi!

Ale powiedziane to już było jak na scenie, więc nie trafiło do serca; rozmowa zakulała raptownie i już o własnéj sile iść nie mogła. Pożegnaliśmy się obcy już sobie duchem.

Za powrotem do domu, starałem się zdać sobie sprawę z mojego położenia; głowa mi pękała, rozumiałem tyle, że urzeczywistnienie zamiaru ożenienia się z Laurą, stało się niepodobieństwem. Tysiące projektów, środków do naprawienia tego co się zerwało, chodziło mi po głowie. Czułem się srodze obrażonym w mojéj miłości własnéj, moja duma cierpiała na tém dotkliwie; a jednak wstyd mi wyznać, nie wahałem się snuć projektów stokroć brudniejszych jeszcze, wyzyskania mojego położenia w sercu Laury; nie wahałem się powziąć zamiaru przedstawienia się jéj, jako ofiara nurtującéj mnie namiętności, pozbawiona spokoju duszy i mająca prawo żądać od kobiety, która stała się tego powodem, jakiejkolwiek...

kompensaty. Człowiek pełen sił jeszcze, leniąc się dobyć ich z siebie, zapisywał się w szereg najbrudniejszéj klasy pasożytów.

Powróciłem na drugi dzień do Laury, jak gdyby nic nie zaszło, postanawiając grać daléj moją rolę, pojętą teraz inaczéj, jak aktor po wskazówkach krytyki. Ale przekonałem się, że już było zapóźno; sentymentalność moja sprzykrzyła się Laurze, a zuchwalstwo w sięganiu po to co nie dla mnie było, oburzało ją.

Ona byłaby przebaczyła mi zuchwalstwo... innego rodzaju; dziś byłem w jéj oczach śmiesznym, a nic tak mężczyzny nie zabija w przekonaniu kobiety jak śmieszność.

Od pewnego czasu spotykałem się u Laury z niejakim baronem Klugstejnem, człowiekiem bogatym i salonowym, ale zimnym i rachunkowym do najwyższego stopnia. Bywał u niéj często, witali się i żegnali na zimno, rozmowy ich były to, rzekłbyś, zwierzenia dwóch bankierów; zastając mnie u niéj, witał się jak z znajomym, bez zbytniéj uprzejmości ani wyższości; patrzył na mnie jak na zwykłego gościa i żegnając się z hrabiną, gdy mnie u niéj zostawiał, nie pozwalał sobie ani cienia ciekawego spojrzenia lub dwuznacznego uśmiechu.

Zdumienie więc moje było nie małe, gdy doszła mnie naraz wiadomość o małżeństwie barona z hrabiną. Pojąć tego nie umiałem; nie wiedziałem czy się temu dziwić, czy śmiać się, czy płakać; jedno tylko jasném dla mnie było, to jest, że szedłem po śliskiéj i pochyłéj ścieszce, i że gałązka do któréj się przyczepiłem, oderwała się i pociągała mnie z sobą w przepaść. Przepaść tę widziałem przed sobą w całéj szkaradzie, a uniknąć jéj nie wiedziałem jak; nałogi moje i przywyknienia wytwarzały potrzeby, których nie miałem czém zaspokoić; zazdrościłem prostemu tragarzowi, który skromnego swojego dziennego zarobku ma dosyć na chleb i obówie, a nie

pragnąc więcéj, wie że potrafi zapracować na nié zawsze; przeczuwałem, że prawdziwym panem niezależnym od nikogo jest ten, co potrafi sobie buty wyczyścić— ja byłem na łasce wszystkich, począwszy od lokaja i golibrody.

* * *

Spędziłem kilka dni pijanych, bezmyślnych; zamiast zastanowić się nad sobą, chciałem się zagłuszyć i bywałem w miejscach, gdzie łatwo mi to przychodziło. Znalazł się właśnie w tym czasie w Warszawie, syn dawnych moich sąsiadów państwa Wielisławskich, Henryk, młody chłopiec najwięcéj dziewiętnastoletni, bardzo bogaty, bo i z rodziców i z zapisu jaki nań spadł po wuju; a lubo jeszcze pod kuratelą ojca, ale miewający już spore sumki do rozporządzenia, z któremi biegł do Warszawy, żądny zabaw i łatwych rozkoszy. Mnie cenił bardzo, jako wyzwolonego już w téj sztuce, któréj był gorącym adeptem, bo emancypował się na gwałt, a dotrzymać placu przy najwyuzdańszéj orgji lub przegrać z zimną krwią grubą sumę, było dlań celem, do którego szedł na przebój, wbrew poczciwéj swojéj naturze.



Bardzo mi był na rękę podobny towarzysz, bo chętnie płacił wszędzie za mnie i miał to sobie jeszcze za łaskę, tuląc się pod moje skrzydła i zasięgając rady na każdym kroku. Niestety! czułem, jaki był mój obowiązek względem tego dzieciaka; szkoła jaką przeszedłem, mogła była stać się dlań zbawienną przestrogą. Ale słabość moja i nałóg, silniejsze były od głosu sumienia,

z którém porozumiałem się bardzo łatwo, wmawiając, że działam dla dobra Henryka. Goła teorja, nigdy nie jest tém, co praktyka; że młody chłopiec milionowy, puści w Warszawie chociażby kilkadziesiąt tysięcy, to może tylko być z korzyścią dla jego wyrobienia się i otarcia w świecie; więc rozgrzeszony w własném przekonaniu, bez skrupułu upijałem się i umizgałem za jego pieniądze.

Dnia jednego po obiedzie, pojechaliśmy na kawę do Lursa; było to w czasach najświetniejszych turniejów bilardowych na „górce“. Sale były pełne młodzieży powierzchownie świetnéj i dobranéj, a w rzeczy niezmiernie mieszanéj, bo obok młodych chłopców z porządnych i uczciwych rodzin, nie brakowało szulerów z wytartemi czołami, nicujących kieszenie tamtych. Wspólne pole na ktorém się spotykali, równało ich z sobą i wszyscy byli ty a ty, chociaż znalazłby się nie jeden, nie godzien uścisku ręki lokaja.

W tém towarzystwie świetniał toaletą i głośno wygłaszanemi dowcipami pan Michał (nazwiska nie przytaczam, nawet zmyślonego), nizki w jakiejś podrzędnéj władzy urzędnik, djetarjusz podobno z posadką nie przynoszącą więcéj jak 200 rs. rocznie i bez innych wiadomych dochodów, ale który pomimo to, tyleż płacił za sam lokal. Było to dlań dostateczną legitymacją, i ci wszyscy panicze przyjaźnili się z nim otwarcie i bywali u niego — a i ja, muszę się przyznać, wraz z nimi.

Henryk nieznany był jeszcze w tém towarzystwie, ale pierwszy rzut oka na jego osobę, czynił go niezmiernie dlań pożądanym; już nie pierwszy raz zwrócił na siebie uwagę, tak u Lursa, jak i w innych miejscach.

P. Michał odciągnął mnie nieznacznie na bok i rzekł:

— Słuchajno, poznaj mnie z tym Wielisławskim; to porządny jakiś chłopiec.

— Dobrze — rzekłem, nie zastanawiając się dlaczego pragnie téj znajomości — pójdź.

— Tylko nie zaraz, wyglądałoby to jakbym mu się narzucał. Po chwili, z niechcenia.

Jakoż nie długo, p. Michał taktyk pod tym względem nie lada, przybliżył się do naszego stoliczka i nie uważając niby na Henryka, przemówił kilka słów do mnie, dobierając treści, na którą każdy powinien był plunąć lub co najmniéj wzruszyć ramionami; Henryk przecież spojrzał nań z zazdrością, niemal z uwielbieniem.

Korzystałem z chwili i rzekłem:

— Nie znacie się? pan Wielisławski, obywatel; pan Michał ***.

Po téj rekomendacji nastąpiły dwie konieczne odpowiedzi: „Bardzo mi przyjemnie“ — i „Bardzo mi miło“.

I te odpowiedzi tchnęły prawdą; obu tym panom było przyjemnie: p. Michałowi, z powodów, których każdy się domyśli, Henrykowi dla tego, że to rozszerzało koło jego znajomości, co mu było niezmiernie pożądanem.

P. Michał wziął się zaraz do Henryka umiejętnie.

Dwóch szermierzy grało w bilard; jak zwykle pełno było przypatrujących się, robiących uwagi i zakładających się, to za jednym, to za drugim.

— Panie Wielisławski — rzekł p. Michał na cały głos, tak, że się aż połowa obecnych obejrzała, — może będziemy parjerować?

— I owszem, — odrzekł Henryk, któremu pochlebiło to publiczne zwrócenie się do niego.

— Ja trzymam za tym fuszerem, który przegrywa partję po partji, choćby na złość pułkownikowi.

Pułkownikiem nazywano młodego człowieka, który wysłużył trzy lata w wojsku jako praporszczyk, i świeżo wziął dymisję w stopniu podporucznika.

— Trzymasz pan za pułkownikiem?

— Trzymam.

— Dziesięć rubli?

— Zgoda — rzekł Henryk, który z pewnością byłby przystał i na dziesięć razy tyle.

Partja nie długo trwała, pułkownik wygrał; p. Michał zaklął, ale z przedziwną zimną krwią dobył dziesięciu rubli i zapłacił Henrykowi. Ten doznał prawie skrupułu.

— Możemy się odgrywać, — rzekł.

— Dziękuję panu; ten fuszerby mnie zrujnował. Pan znasz przysłowie: nie za to ojciec bił syna że grał, tylko, że się odgrywał. Co dziś robicie?—rzekł po chwili z niechcenia, zwracając się do nas obu.

— Nie mamy planu — odrzekłem.

— To proszę do siebie na partyjkę — rzekł podając Henrykowi rękę — pan gra w preferansa?

— Gram — rzekł Henryk, chociaż nie lubił gier komersowych.

— Więc liczę na pana... za godzinę, bo mam jeszcze interes na mieście.

— Dobrze.

Za godzinę znaleźliśmy się w mieszkaniu p. Michała. Gospodarza nie zastaliśmy, tylko w saloniku siedział na kanapie ten sam fuszer, z którego przyczyny Henryk wygrał 10 rubli, w poufałéj rozmowie z młodą i bardzo ładną kobietą, palącą papierosa. Była to znajoma mi panna Żaneta, obecnie urzędowa kuzynka czy téż przyjaciółka p. Michała.

Fuszer za chwilę wstał i wyszedł; panna Żaneta z wdziękiem robiła honory domu; przeprosiła za Michała, który za lada chwilkę miał nadejść, a wskazawszy miejsce obok siebie Henrykowi, wzięła się do zbyt łatwego dla siebie dzieła, podbicia dziewiętnastoletniego młodzieńca. Biedny chłopiec w pół godziny był oczarowany; poufałość panny Żanety, była zbyt silną przeciwko niemu bronią.

Musiałem rozśmiać się pomimowoli, spostrzegłszy

zmięszanie jakie okazał na widok nadchodzącego Michała, pomimo że ten zdawał się nie zwracać wcale na nich uwagi. Gdy wszedł, Henryk skwapliwie powstał na jego powitanie, porozumiawszy się poprzednio wzrokiem z Żanetą, która odpowiedziała mu długiém zabójczém spojrzeniem. Nieborak był pewien, że nadużył prawa gościnności, jaką ofiarował mu nowy jego znajomy.

Wkrótce znalazło się kilku mężczyzn, po większéj części z tych, których widzieliśmy na „górce“, był między nimi i pułkownik. Gospodarz rozłożył stolik do kart.

— W co to gracie? — zapytała panna Żaneta — może w preferansa?

— Dla czego się pytasz?

— Dajcież pokój, to nudna gra; zagrajcie lepiéj w sztosa, to i ja się zabawię. Panie Henryku — dodała zwracając się do Wielisławskiego — gra pan w sztosa?

— Gram, pani — odrzekł tenże, uszczęśliwiony jéj poufałością.

— To ślicznie! — zawołała klaszcząc w rączki nie zbyt małe i zrywając się z kanapy; — będę się przystawiać do pańskich kart. Michel, daj mi pieniędzy.

Michel, nie spojrzawszy nawet na nią, dał pieniędzy i rzekł: Niechże będzie i sztos; a położywszy przed sobą sporą paczkę biletów bankowych, rozpieczętował dwie talje kart i zaczął je tasować.

Żaneta usadowiła się przy stole, wskazawszy z prześliczną minką miejsce przy sobie Henrykowi, a wybrawszy z wielkiéj kupy kart, którą jeden z obecnych cisnął na stół, trzynaście poniterek, rzekła: „podajmy sobie ręce na szczęście“, poczém, jak gdyby gorący jego uścisk obudził w niéj nieznane uczucia, raptem zamyśliła się i wsparłszy łokieć na stole, a pulchny podbródek na dłoni, niby zapominając się, wpatrzyła się długo w Henryka, tak, że biedny chłopiec kręcił się jak wąż pod tém spoj-

rzeniem; znieść go nie mógł, tak było wiele mówiące, a co większa, był w kłopocie, aby niedostrzegł go p. Michał, chociaż ten najobojętniéj w świecie nie patrząc nawet w ich stronę mięszał karty, a zebrawszy je parę razy i zajrzawszy pod spód, jakby się radził kabałki, rzekł wreszcie: sztos!

I zaczęła się scena bardzo pospolita, — z sytuacjami nie przedstawiającemi nic nowego. Henryk przegrywał grubo, chociaż panna Żaneta ofiarując mu swoją sympatję, wybierała własnemi rączkami poniterki; ale i ona przystawiając się do jego kart, znalazła się wkrótce bez grosza, i załamawszy rączki, powłóczyste spojrzenie topiąc w Henryku, rzekła żałośnie: „przegrałam wszystko!“ a zmieniając nagle ton, sucho odezwała się do p. Michała: „Michel, daj pieniędzy!“

Ale Michel tym razem nic nie dał, powiedziawszy tylko węzłowato, stanowczym tonem:

— W grze pieniędzy nie daję, wiesz o tém dobrze.

Żaneta zrobiła minkę, a zwracając się do Henryka i patrząc mu znowu w oczy, rzekła pieszczonym głosikiem:

— Szkaradnik!

Henryk, któremu pod tym wzrokiem i od tego głosu serce topniało jak wosk, rzekł zcicha, odsuwając jéj kilkanaście rubli:

— Pożyczę pani.

— Dziękuję! — odrzekła ścisnąwszy jego rękę, a zwracając się do p. Michała, dodała: — Obędę się bez twoich pieniędzy, pan Henryk mi pożyczył.

— Ostrzegam, że hipoteka nie pewna —rzekł p. Michał szyderczo, topiąc w Henryku wzrok surowy.

Henryk się zmięszał mimowoli, ale czuł się uszczęśliwionym spotkawszy w téj chwili powłóczyste wejrzenie Żanety, które tak pełne było obietnic, że nie mógł nie

dojrzeć w niém dostatecznéj pewności hipotecznéj dla swojéj pożyczki.

Gra szła daléj z tém samém szczęściem dla Henryka, który przegrywał coraz grubiéj. Ja wpisałem się także w grono szermierzy; z początku panowałem nad sobą, bojąc się zgrać przy uszczuplonych już znacznie funduszach, ale gdy zobaczyłem znaczne sumy na stole, żyłka się odezwała i postanowiłem spróbować szczęścia. Gdyby dopisało, miałem sposobność zasilić nie źle kasę; ale że więcéj chybiałem niż trafiałem, więc poniterowałem skromnie, czekając aby mi przyszło kilka szczęśliwych kart, ktoremi łamiąc się, mógłbym coś zrobić; ale dotąd szło mi źle i przegrałem już kilkanaście rubli. Myśl, że mogłem przegrać na pewno, nie przyszła mi do głowy, pomimo pewnego podejrzenia, od którego nie byłem wolny. Wiedziałem, że świat nazywa Michała szulerem, utrzymującym się głównie z kart, i sam podzielałem to zdanie; ale powodzenie jego przypisywałem umiejętności, zimnéj krwi i szczęściu, nie miałem dotychczas powodu przypuszczać, aby grał nieuczciwie, zresztą, uważałem pilnie na grę, sądząc, że gdyby miała miejsce jaka malwersacja, łatwo ją dostrzegę.

Ale zanadto zaufałem sobie, zapomniawszy, że tajemnice jakiejkolwiek sztuki, dostępne są tylko dla jéj prawowiernych kapłanów, — i gdy się gra skończyła, Henryk przegrał ośmset rubli, a ja pomimo wielkiéj wstrzemięźliwości w poniterowaniu, około pięćdziesięciu. Stanowiło to znakomitą część moich obecnych funduszów, i obeszło mię to daleko więcéj niż Henryka, który widział kompensatę w postępie łask panny Żanety.

Gdy mieliśmy się rozchodzić, p. Michał wziąwszy mnie na bok, zapytał:

— Ile przegrałeś?

— Czterdzieści kilka rubli; niech was kaci porwą!

Na to p. Michał sięgnął do pugilaresu, i wydobywszy papierek 50 rublowy, rzekł:

— Proszę cię.

— Cóż to znaczy?

— Bierz, nie pytaj; wracam ci przegranę.

— Czyś oszalał? ubliżasz mnie i sobie.

— No, no, nie dziwacz; pojmujesz, że nie byłoby sensu, gdybyśmy się zgrywali pomiędzy sobą.

— Jak to rozumiesz, pomiędzy sobą?

— Nie graj komedji; wiem, że dla ciebie pięćdziesiąt rubli nie chodzą piechotą. Bierzesz czy nie?

— Schowaj je sobie.

— Jak chcesz, pamiętaj tylko, że masz je u mnie, a drugi raz jak przyprowadzisz Wielisławskiego, nauczę cię poniterować.

— Dziękuję, nie przyjdzie do tego. Ubolewam, że zbyt późno otworzyły mi się oczy.

Mówiłem to oburzony, ale, mamże wyznać? — nie mogłem opędzić się myśli, że głupstwo zrobiłem nie przyjmując pięćdziesięciu rubli; walczyłem z nią, ale przemódz nie mogłem. Skutkiem położenia, do którego własną winą doszedłem, pieniądz zaczynał mieć dla mnie wartość nieocenioną, a nie umiejąc nań zapracować, naturalném następstwem rzeczy, musiałem stać się nie wybrednym w środkach zapewnienia sobie materjalnéj pomocy. To powstrzymało mnie, że nie obszedłem się z Michałem tak jak na to zasługiwał, a żałując niemal mimowolnego zwycięztwa pierwszéj dobréj myśli nad refleksją, chciałem zachować sobie na przyszłość możności czerpania z mętnego źródła. Zapierałem się sam przed sobą téj myśli najusilniéj, ale tak było.

— Wyrzucam sobie — rzekłem pomimo to do Henryka, gdyśmy się znaleźli na ulicy — że cię tu przyprowadziłem. Zgrałeś się.

— Głupstwo, ani słowa; ale przynajmniéj ubiłem

rzecz z Żanetą. Czy wiesz? mam na jutro partyjkę z nią do Mokotowa i Wierzbna.

Przekonałem się, że panna Żaneta robiąc interesa p. Michała jako jego wspólniczka, nie zaniedbała prowadzić ich i na swoją rękę.

— Rób co chcesz, — rzekłem — tylko, proszę cię, nie graj już u nich więcéj. Mam powody przypuszczać, że ograli nas na pewniaka.

— Uważałem że i ty przegrywałeś; dużoś puścił?

— Pięćdziesiąt rubli.

— To więcéj niż ja, boś nic nie zyskał.

Zadowolenie Henryka ulżyło memu sumieniu.

. . . .

Pędziłem życie nędzne z dnia na dzień, bez celu i przyszłości; przed sobą widziałem ciemnię, pod nogami czułem przepaść, ku któréj coś mnie popychało bezwiednie. Tém czemś, był głupi przesąd, fałszywie zrozumiana niby jakaś ambicja, wpojona od najmłodszych lat, zamiast zdrowego pojęcia o twardych obowiązkach społecznych, która była dla mnie tém, czém dla galernika kula, tamująca chód swobodny i przykuwająca do miejsca sromoty.

Pojmowałem mimowoli, że innego wyjścia z mojego położenia niema, tylko praca, zarobek; ale gdzie znaleźć taki, coby mi nie przyniósł ujmy? Z odczytywania ogłoszeń w pismach, przekonałem się, że możliwe widoki ograniczały się na znalezieniu posady subjekta w handlu, buchhaltera w kantorze lub rządcy dóbr; nie zastanawiałem się, czy byłem usposobiony do uczciwego pełnienia którego z tych obowiązków, tak dobrych jak każdy inny, tylko czy są odpowiednie mojemu wychowaniu i stanowisku—i odpowiedziałem sobie, że nie. Jakto! syn obywatelski stać jako kupczyk w sklepie, albo jako buchhalter wyskakiwać na usługi pierwszego lepszego z dawnych

znajomych, przybyłego dla zmiany wekslu! było to dla mnie niepodobieństwem; oficjalistą? sługą? — tém mniéj.

Czego więc chciałem i za czém się oglądałem? — nie wiem; to tylko pewna, że pomieścić mi się w głowie nie mogło, ażebym rzeczywiście zagrożony był nędzą; zdawało mi się zawsze, że towarzystwo, do którego należałem wychowaniem i nałogami, nie pozostawi mnie w tém położeniu, że należy mi się coś odeń — za co? — za moje niedołęztwo? tego nie zgłębiałem, tylko czekałem. Tę nieuzasadnioną nadzieję, podtrzymywała pewna wiara w tradycje, którą wmawiałem tak w siebie, jak w tych, wśród których żyłem; z przeszłości naszéj uwielbiałem w téj chwili najwięcéj obowiązek patronatu, do jakiego możni poczuwali się względem uboższéj szlachty, a skutkiem którego, roje nieużytecznych darmozjadów zalegały przedpokoje pańskie, nie potrzebując innéj do tego kwalifikacji, jak być dobrze urodzonym. Ani myślałem zastanawiać się nad stroną ujemną, jaka mogła była znaleźć się w tém zrzeczeniu się samodzielności, zaprzedawaniu swoich przekonań dla brzucha, lub nadziei mniéj więcéj korzystnéj synekury; to tylko stało mi na myśli, że przed stu laty, człowiek mojego urodzenia i wychowania, znalazłszy się w podobném położeniu, nie potrzebowałby się kłopotać o powszedni kawałek chleba i znosić impertynencje szulerów.

Lubo nie w mojéj mocy było zmienić ducha i zwyczaju wieku na własną korzyść, szukałem czegoś odpowiedniego moim marzeniom, a tymczasem próżnowałem i wydawałem pieniądze. Bieda zaglądała już do mnie oknami i drzwiami. Z mieszkania mojego na Podwalu, wyprzedawszy po trochu meble i kosztowniejsze fraszki, przeniosłem się do jednego z hotelów, zajmując z początku porządny numer na pierwszém piętrze, a skończywszy na izdebce pod strychem w oficynie na trzeciém piętrze. Opisywać sposobu życia mojego przez ten czas, nie będę

się silił; używając niekiedy przez dni kilka jak sybaryta, gdy się zjawił hojny ze wsi fundator, lizałem potém zwykle łapę przez parę tygodni, poprzestając na bardzo tanich obiadach. Nauczyłem się oszczędności, lecz pomimo to nadeszła chwila, że znalazłem się bez grosza.

Dnia tego, właścicielowi hotelu należało się za tydzień (dłużéj nie kredytowano mi); biletów na czterdziestogroszowe obiady miałem już tylko dwa w kieszeni; od podeszew jedynéj pary butów zaczęły odłazić sztyfty, a w bieliźnie okazywać się niepokojące braki; myśli moje były rozpaczliwe. W tym stanie umysłu i kieszeni, poszedłem po obiedzie na *górkę* do Lursa. Wygodne to miejsce dla świetnych nędzarzy jakim ja byłem w téj chwili; nie pytają się po coś przyszedł i co zażądasz, można nawet wypić filiżankę kawy, a nikt się nie spyta czyś ją zapłacił; wszystko tam jest *à discrétion*. Na podobną spekulację nie puściłem się i kawy nie zażądałem; lecz przymówiwszy się jednemu z znajomych o cygaro, udając, że swoich zapomniałem, zapaliłem je i usiadłszy pod ścianą, przypatrywałem się turniejom bilardowym.

Wkrótce wszedł Michał, świetny jak zawsze. Wejście jego przy obecnym stanie mojéj kieszeni, przywiodło mi na myśl zdarzenie z Wielisławskim. Walczyłem długo sam z sobą, wreszcie wziąłem na bok Michała.

— Przypominasz sobie — rzekłem, — żeś mi razu jednego ofiarował pięćdziesiąt rubli?

— Którycheś nie przyjął, więc cóż, czy przyznajesz żeś głupstwo zrobił?

— Nie to myślałem — rzekłem, nie odpowiadając wprost; — tylko przypuszczam, że kiedyś mi je wtenczas dawał, to mógłbym mieć kredyt u ciebie.

P. Michał się skrzywił, a ja porywając go gorączkowo za rękę, zawołałem z cicha lecz nagląco: „Pożycz mi pięćdziesiąt rubli“.

Spojrzał na mnie uważnie i snać łatwo domyślił się mojego położenia:

— Dam ci, ale nie jako pożyczkę, tylko jako dług ci należny.

— Ale kiedy ja nie chcę. Pożycz mi, oddam ci pod słowem.

Broniłem się pokusie, a w samym tym czynie niby szlachetnym, popełniałem nikczemność poręczając słowem to, czego sam nie byłem pewny. Michał odrzekł:

— Nie pożyczę, dać dam.

Zniżyłem się do błagania.

— Zmiłuj się — rzekłem, — gwałtownie mi potrzeba.

— Więc bierz, nie marudź — rzekł, otwierając pugilares — a jak złapiesz Wielisławskiego lub kogo podobnego, to przyjdźcie.

Z rumieńcem wstydu, plwając sam na siebie, wziąłem pieniądze nic wprawdzie nie obiecując, ale samém tém wzięciem pisząc na siebie wyrok hańby.

Niestety! ledwiem wyszedł z cukierni, zapomniałem o mętném źródle moich nowych zasobów i poczułem się silniejszym. Jak potężnym talizmanem są pieniądze, ten tylko pozna, kto ułaknąwszy ich, nagle namaca je w kieszeni. Czułem się zabezpieczonym na jakie kilka tygodni; a przez ten czas, kto wie — myślałem sobie, — co nastąpi? Byłem pod tym względem nie poprawnym.

* * *

Z pięćdziesięciu rubli wydałem już połowę, gdy razu jednego zetknąłem się na ulicy z kolegą moim szkolnym Olesiem, obywatelem z Łęczyckiego. Było to w porze obiadowéj i w blizkości angielskiego hotelu.

— Jak się masz! — rzekł zobaczywszy mnie, i zaraz dodał prędko, patrząc na zegarek — co robisz z sobą, bo ja idę na obiad.

— Miałem tę samą myśl — rzekłem niedbale.

— To pójdźmy razem; gdzie jadasz?

Wskazałem giestem bardzo naturalnym na hotel, i pociągnęliśmy do Szewrego. Była to w obecnym stanie rzeczy restauracja wcale nie na moją kieszeń—ale znałem dobrze Olesia.

Oleś był to najlepszy w świecie chłopiec, poczciwy, jak to mówią z kościami, ale... naturalnie, miał ale, tak samo, jak miał głowę, nogi i ręce... człowieka bez ale, jak świat światem nie było i nie będzie. Tém „ale" Olesiowém była ciasna głowa, i zbyt materjalne, zwierzęce, że tak powiem o wszystkiém pojęcie. Nikogo w życiu swojém nie ukrzywdził i danego słowa dotrzymywał święcie dla tego, że nie rozumiał nawet, aby można źle zrobić dla złego, przez wyrachowanie; wiecznie w zamysłach ożenienia się, ale pomimo to, przyjaciel łatwych rozkoszy, wiódł życie zbyt wolne, na co niezmiernie kręciły nosami i noskami skrupulatniejsze mamy, ciocie i panny na wydaniu; szukając żony, upatrywał przedewszystkiém osoby z dobrego domu, bo był szlachcic i ani mu się śniło, aby mezaljans był możliwy; nie pojmował go nawet; następnie ładnéj, bo brzydkich nie cierpiał; o majątek mniéj dbał, bo sam był majętny, — ale możliwości ożenienia się zupełnie bez posagu nie przypuszczał, bo na takie piękności w jego przekonaniu były inne środki, a tém samém i kłopot starania się i żenienia, stawał się zbytecznym. O duchowém powinowactwie serc, niemiał wyobrażenia i śmiał się w najlepszéj wierze z romansów; książki, rozumie się tylko z literatury lżejszéj, czytywał nawet z zajęciem, ale przyjmował je tak, jak dzieci opowiadane im bajeczki i powieści o duchach i zaklętych księżniczkach, bez dopatrzenia w nich ukrytego morału; wszystko działało nań tylko zewnętrznie, czuł i odbierał wrażenia przez zmysły, bo dusza w nim spała. Nie kochał się nigdy, choć wiecznie był zajęty; uczucie, które-

go doznawał, było czysto zmysłowém, żądzą posiadania, a nie miłością. Oświadczał się kilka razy, a pomimo przyzwoitego stanu majątkowego, w trzydziestym roku życia był kawalerem, gdyż zawsze obraził uczucie delikatności, które pomimo ubiegania się ogółu za materjalizmem, tkwi w sercach, chociażby jako płaszczyk. Raz, trafił na chwilę, gdy serce piękności wybranéj przezeń było zajęte; kochała się w młodzieńcu, za którego rodzice nie chcieli jéj wydać, ale że to była jedynaczka, dziecię pieszczone, więc jéj nie przymuszali za Olesia.

Drugi raz, niefortunnie, w naiwności ducha, nie uważając to nawet za zdrożność, wybrał się w chwilę, gdy miał u siebie faworytę, z którą stosunek zbyt wiele hałasu narobił w okolicy. Matka panny, wdowa, rygorystka pilnująca się praktyk religijnych, dała mu tak wyraźnie do zrozumienia niewłaściwość jego kroku, że nie postał tam już więcéj; tém bardziéj, że w pannie nie miał sprzymierzeńca, bo dodajmy jeszcze — Oleś nie był wcale do pokochania. Ogromnego wzrostu, tęgi, barczysty, zdrów jak koń, czerwony jak ćwik, z karkiem jak u tura, oczyma na wierzchu, ustami o grubych wargach, wyglądał na tamburmażora. Gdyby w tych oczach była myśl jakaś, w ustach rozmowa zajmująca, byłby w stanie podobać się, ale tego wszystkiego brakowało mu. Gdy się znajdował przy kobietach, oczy mu świeciły pożądliwie, usta oblizywały się same, a panny po prostu bały go się, — i jeżeli wzbudził parę razy przywiązanie trwalsze, to nie na tych podstawach, na których buduje się harmonja serc, i rękojmie na całe życie.

Trzeci raz, Oleś byłby się ożenił, bo został przyjęty, i panna z dosyć miernym posagiem winszowała sobie partji, w któréj miała nadzieję być panią położenia; czuła się na siłach; lecz Oleś sam, nim skończyła się wyprawa i wyszły zapowiedzi, odstąpił, zająwszy się innym obje-

ktem, co wzbudziło niedowierzanie, i nakazało ostrożność nawet tym, które liczyły na niego.

Przy swoim materjalizmie, Oleś nie był skąpym; otrzymawszy znaczny po rodzicach majątek, czuł się w obowiązku używać go. O przyszłość mógł być spokojnym, bo stracić byłby go nie potrafił; dla przyjemności, których potrzebował, miał aż nadto. Przyjechawszy do Warszawy, jadał w najlepszych restauracjach, pienię-



dzy nie żałował; gdy widział dno w worku, wracał do domu, gospodarzył bawiąc się po swojemu, a gdy mógł to zrobić bez uszczerbku w dochodach, jechał znowu do Warszawy albo za granicę zabawić się. Długów nie robił, — nie pojmował nawet jak je robić można; pod tym względem rutyna jego była godną naśladowania. W innowacje się nie wdawał, głowy nawet na tém nie łamiąc; jak odebrał dom i gospodarstwo po rodzicach, tak też

zamierzał zostawić je spadkobiercom; wiedział to do siebie, że nic lepszego nie wymyśli. Lubo nie miał pojęcia o obowiązkach względem społeczeństwa, był uczynnym, gdy mógł nim być bez własnego uszczerbku, i wówczas nie skąpił; ale gdyby mu to przyszło zrobić z odmówieniem sobie czegoś, niewzruszony był jak skała; żadne łzy nie poruszyłyby go.

Takim był Oleś; skoro mnie zaprosił z sobą do Szewrego, wiedziałem, że cały wydatek bierze na siebie, byłem więc spokojny. Wszedłem do restauracji z rodzajem rzewnego wzruszenia — nie byłem tu już przeszło od dwóch miesięcy; ale atmosfera miejsca prędko oddziałała na mnie. Ten, kto widział, jak rozparty niedbale przy stoliku, wybierałem z karty potrawy i wina, mógł był wziąść mnie za codziennego w tém miejscu stołownika, kapryśnego pieszczocha fortuny, dla którego sztuka kulinarna mało już posiadała środków zaostrzających apetyt. Wczoraj zajadałem obiad za czterdzieści groszy z wielkim smakiem, wierzajcie mi: samego chleba spożyłem ze ćwierć bochenka, gryząc skórkę z lubieżnością; dziś w każdéj potrawie znalazłem jakieś ale, chleb był niewypieczony, wino smakowało mniéj jak wczorajszy kufelek zwyczajnego piwa, i notabene, grymasiłem w najlepszéj wierze. Rozmowa przy stole toczyła się, jak zwykle między dwiema osobami tego rodzaju jak my: o niczém, o fraszkach, niedorzecznościach, którym głupota nasza naznaczała wartość niezmierną; więc o wczorajszym balecie, o powabach jednéj z jego koryfeuszek, o skarbie prawdziwym odkrytym świeżo na Chmielnéj ulicy, który nabyć można było za psie pieniądze, o zręczności i wyżlim węchu pewnéj wyszukującéj podobne skarby jejmości, któréj adres dla tonu skwapliwie zanotowałem sobie, chociaż w téj chwili był mi najniepotrzebniejszy i t. d. i t. d. Oleś rozgadał się, rozkokosił, wybuchając co chwila rubasznym śmiechem; umiałem mu trafić do myśli, zaczyna-

łem bowiem uczyć się po trochu téj sztuki. Człowiek zależny, potrzebujący łaski innych, im lepszym jest aktorem, tém lepiéj mu na świecie. Przy czarnéj kawie, zapaliwszy dwuzłotowe cygaro, Oleś rzekł:

— Wiesz co, mybyśmy pasowali do siebie.

— Zapewne—odrzekłem najpoważniéj, — pojęcia o rzeczy mamy te same.

— Jedź do mnie, i zabaw w Siekierzyńcach; wszak w Warszawie nie masz żadnego zajęcia.

— Jakież mam mieć zajęcie? chyba rachować się z wydatkami, bo pieniądze lecą jak szalone.

— A widzisz, nawet będziesz miał oszczędność; mnie, wiesz że różnicy nie robisz, dom kawalerski; jak ci się sprzykrzy, to sobie pojedziesz. No, zgoda?

Miałem ochotę trochę powzdragać się, aby zbyt skwapliwém przyjęciem zaproszenia nie wydać się, jak ono mi było na rękę; ale widząc, że Oleś zbytecznie nie nacierał, okazując przez to, że uważał w tém tylko swoją przyjemność przez zyskanie towarzystwa i nie domyślał się jaką mi robi przysługę, — przystałem na propozycję.

Trzeciego dnia, byliśmy obaj w drodze do Siekierzyniec.

* * *

Dom Olesia urządzony był tak, jak jeszcze za życia jego rodziców; nic nie odmienił, wyjąwszy służbę kobiecą. Na czele gospodarstwa domowego, stała niby panna Juljanna, okazała, i majestatycznych wdzięków, dwudziestokilkoletnia brunetka; mówię niby, gdyż to było tylko dla oka. Mieszczka, na gospodarstwie wiejskiém prawie się nie znała; była po prostu rezydentką, i cieszyła się łaskami pana. Rzeczywistą gospodynią réj wodzącą w kuchni

i kurnikach, była stara Bąkowa, wdowa po Bąku, włodarzu jeszcze ojca Olesiowego.

Usługa w domu była żeńska; dziewczęta wiejskie zmieniały się raz po raz, jedne wygryzione przez pannę Juljannę, gdy dostrzegła rosnące względy pańskie dla pokojówki; inne wprost z przeciwnych przyczyn oddalone przez niego samego.

Pobyt w domu Olesia, pomimo braku rozrywek, do jakich nawykłem w Warszawie, był dla mnie bardzo przyjemnym, z tego mianowicie powodu, że nie mając bezpośredniego o chleb powszedni kłopotu, żyłem bez troski o jutro, próżnując, rozwałkoniając się coraz bardziéj, grając w preferansa lub wista, polując i jeżdżąc z wizytami po sąsiedztwach. Co większa, ślepo zaufany w mojéj gwiaździe, zaczynałem znowu budować zamki na lodzie, które w ostatnich czasach pobytu mojego w Warszawie, w moich nawet oczach zbyt kruchym się już okazywał.

Przyjmowani byliśmy wszędzie bardzo uprzejmie, i za pożądanych uważani gości — Oleś dla swojego stanowiska majątkowego, ja dla téj łatwości i gładkości salonowéj, którą częstokroć nabywa się kosztem rzeczywistéj wartości; nikt inny nie prowadził gry towarzyskiéj, nie improwizował figury w mazurze: jako wyjadacz salonów, uważany byłem za najsposobniejszego do bawienia płci pięknéj. Panny i młode mężatki, nazywały mnie głośno, wzorem i ideałem grzecznéj młodzieży, co mnie przenosiło w siódme niebo; zapomniałem, że są one takiemi z tymi właśnie, których nie uznają za niebezpiecznych, z weteranami nie zdolnymi już do szeregów. Ja byłem jeszcze w wieku, w którym nie poczuwamy się do weteraństwa, i to mnie złudziło; nie chciałem zrozumieć, że w mojém położeniu, prawo do wysłużonego munduru, dawała mi utrata majątku, niemożliwość przyjęcia roli starającego się o rękę posażnéj panny; że wszystkie uważały

mnie za istotę jakąś rodzaju nijakiego, gatunek tytularnego wujaszka.

Jedném z najbliższych sąsiedztw naszych, były Jaszczułtowice, własność państwa Stajeńskich. Pan Stajeński liczący się do znamienitszych obywateli w okolicy, byłby człowiekiem wcale do rzeczy, gdyby nie zabobonna niemal wiara w Prysznica i w swoją żonę.

Ta wiara uzdrawiała go i uszczęśliwiała, chociaż cherlał bezustanku i znosić nieraz musiał kaprysy swojéj *szerci* (tak żonę nazywał) nie do zniesienia dla kogo innego. Żaden objaw choroby, niestrawność, kolka, nie nabawiały go strachem, rad był im owszem, bo wierzył najmocniej, że w zimnéj wodzie ma dzielny środek przeciwko wszelkim cierpieniom Jako mąż, nie był pantoflem w właściwém znaczeniu, jakie przywiązujemy do tego określenia, tylko najlepszym, najwyrozumialszym, najdogodniejszym mężem. Pojąwszy swoją *szercię* z miłości, pierwszéj jakiéj doznał w życiu, ślepéj, a widzącéj w swoim przedmiocie więcéj niżeli dojrzeć mógł ktoś najjaśniéj widzący, do srebrnego wesela dochował dziewiczość uczucia; pieścił się z nią jak w pierwszych dniach po ślubie, a lubo, jak powiedziałem, nie był pantoflem, widząc, że czynny i despotyczny umysł *szerci* potrzebuje pola dla zajęcia, przez przywiązanie i dla odżegnania spazmów, których obawiał się jak ognia, pozostawiał jéj tyle woli, ile się tylko dało, mianowicie w sprawach czysto domowych. Gdy chodziło o rzecz główną, za jaką przedewszystkiém uważał egzystencję materjalną, niewzruszony był jak mur wobec zachcianek żony i córki, panny Michaliny, mającéj już kres uznany za pełnoletność; pozwalał na tyle tylko, ile mógł pozwolić bez uszczerbku w budżecie, który troskliwie układał na każdy rok. Sam poczciwy, pojmujący związek bez innego interesu jak przywiązanie, czego dał dowód biorąc żonę z posagiem bardzo skromnym,—nie przypuszczał w nikim brudnego wyrachowania,

i pozostawiał sercu córki wolny wybór przyszłego towarzysza, nie domyślając się wpływu, jaki wywierała na nią pod tym względem matka, inaczéj na tę kwestję zapatrująca się — a zaokrąglając przyzwoicie co rok sumę przeznaczoną na posag Mizi, wierzył mocno, że będzie najszczęśliwszą w życiu.

Panna Michalina była stereotypowém odbiciem większości dzisiejszych panien (niech to będzie bez obrazy wyjątków); serce biło w niéj tylko po walcu lub polce, albo na widok modnego cudackiego stroiku, a przyszłość swoją malowała cyframi. Do tego przekonania przyszedłem późniéj, poznawszy ją; z razu byłem zupełnie innego zdania. Oleś bywał tam częstym gościem, ale bez żadnych pretensji do panny Michaliny, pomimo że była przystojną i chwalił ją nieraz znajdując w swoim guście; myśl ożenienia się, przychodziła mu zazwyczaj niespodzianie, nie z systematycznego naprzód postanowienia, lecz z czczości moralnéj, w czasie, że się tak wyrażę bezkrólewia w sercu, po jakiéj scenie mianowicie, w któréj jedna z łatwych jego zdobyczy dawała mu się we znaki; wówczas wmawiał w siebie, że nie pozostaje mu jak ożenić się i zacząć wieść porządne życie; postanowienie to robił nie obrachowawszy się z własnemi siłami, których nie znał, więc téż i skutku nie było. Obecnie Oleś był pod wpływem panny Juljanny i dla tego bywał w Jaszczułtowicach bezinteresownie; z Stajeńskim lubili się, bo obadwaj mieli upodobanie w kartach—po całych nieraz dniach i nocach grali i dosyć grubo w marjasza albo rubikona, a gdy znalazł się trzeci amator, to w preferansa lub wista. Panie gniewały się o to niezmiernie, bo ułożyły sobie plan na Olesia; ale gniewy nic nie pomagały i p. Stajeński nieraz do fortelu się uciekał, aby Olesia zasadzić do zielonego stolika, do czego ten równąż skwapliwość okazywał, mając wstręt do towarzystwa kobiecego w salonie. Rozmowa sentymentalna albo banalna, nie

była jego właściwością; był to mąż czynu, a nie teorji.

W parę dni po przybyciu mojém do Siekierzyniec, pojechaliśmy do państwa Stajeńskich. Znany już im byłem dawniéj, więc przyjęto mnie dosyć uprzejmie.

Rozmowa zawiązała się natychmiast, bez oklepanéj introdukcji o pogodzie i prowadzoną była z ożywieniem. W pół godziny zaledwie po naszém przybyciu, p. Stajeński zaproponował preferansika, ale zakrzyczany przez żonę i córkę zamilkł jak zmyty. Nie wytrzymał jednak, i widząc niezmiernie interesującą rozmowę o Warszawie, pomiędzy niemi i mną, wysunął się z Olesiem na rubikona. Spostrzegłszy to, obie panie wzruszyły ramionami, ale uśmiechnęły się dobrotliwie, nie okazując gniewu ani zbytecznéj interesowności. Ujęło to mnie niezmiernie; widocznie nie chodziło im tak dalece o Olesia i rade były z mojego towarzystwa; podwoiłem więc usiłowań, używając wszystkich sprężyn salonowéj biegłości i dowcipu, i ze użyję zwykłego wyrażenia, przewyższyłem sam siebie. Czułem wewnętrznie, że byłem *dobrze;* a że to jak mówią, głodnemu chleb na myśli, więc téż zacząłem osnuwać sobie planik, który dniem przedtém wydałby mi się zanadto zuchwałym.

Nastroiwszy się do tego planu, w pannie Michalinie od razu znalazłem wdzięk niewypowiedziany, a spojrzenie jéj, które śmiało topiła w moich źrenicach, wydało mi się nader wiele mówiącém. Biedna dziewczyna, myślałem sobie, łapie się jak na lep, oczy jéj to mówią wyraźnie; byłbym się rozśmiał gdyby mi kto powiedział, że przeciwnie, te oczy, same dobrze opancerzowane, mnie właśnie ranią — a jednak tak było. Wyjechałem z Jaszczułtowic jak najdoskonaléj przysposobiony do zakochania się w pannie Michalinie; uścisk ręki którym mnie pożegnała, był zapowiedzią bliskiéj spłaty honorowego długu, jaki mi się święcie należał od mojéj gwiazdy.

Powracając z Olesiem do domu, unikałem rozmowy o pannie Michalinie; uważałem się związanym już z nią nicią sympatyczną i gotów byłem rumienić się na wzmiankę jéj imienia. Ponieważ na ptaszka, którego chciałem złowić, nie miałem własnéj klateczki, więc należało mi koniecznie zachować ostrożność i tajemnicę do czasu; wbrew bowiem logicznemu prawdopodobieństwu, daleko jest trudniéj złapać ptaszka z klateczką, niż bez niéj; jedno nieostrożne słowko, mogłoby obudzić uwagę i zgromadzić na moją głowę tysiączne przeszkody. Byłem więc do tego stopnia przezorny, że o pannie Michalinie i jéj wdziękach odzywałem się nawet z lekceważeniem, oddalającém wszelkie możliwe przypuszczenia.

Sam za to badając grunt, rozglądałem się i rozpoczynałem pracę pionierską. Nie mając do położenia na szalę nic innego jak moją wartość osobistą, starałem się uwydatnić wszystkie zasoby jakie otrzymałem w udziale od natury i ukazać się w najlepszém świetle; skreśliłem sobie cały plan kampanji, któréj celem pozornym było serce, a rzeczywistym ręka i posag panny Michaliny. Nie taiłem przed sobą, z ilu przeszkodami i przesądami — jak je nazywałem, miałem do walczenia; lecz zdawało mi się, że już tyle znam świat i ludzi, że w przeprowadzeniu tych planów potrafię być konsekwentnym i ostrożnym.

Sama owa konieczność zachowania ostrożności i tajemnicy, niemożność wystąpienia jawnego, powinnaby była dać wiele do myślenia sumieniu drażliwemu; ja z mojém zrobiłem układ w najlepszéj wierze. Fakt był, że manowcami podsuwałem się po zdobycz, uśmiechającą mi się w postaci posażnéj rączki; chcąc ją pozyskać, musiałem omijać czaty, usypiać ich czujność, a sam cel téj wyprawy ukołysać magnetycznie. W zamian, właściwie nic nie ofiarowałem, bo bicie serca, jakiegom doznawał wobec Mizi, wywołane było drażliwością sytuacji, pożądaniem wygranéj, i obawą o pomyślny wypadek. Tak mi szeptało

sumienie; uspokajałem je jednak całym szeregiem naciąganych rozumowań, zaręczając, że jestem w stanie uszczęśliwić pannę Michalinę, i że całém mojém zadaniem jest stworzyć jéj różową przyszłość.

Zbrojny więc w silne postanowienie, rozpocząłem formalną kampanję, śledząc uważnie skutków moich podjazdów. Wpływ uroku, jaki wywierały na pannę moje zewnętrzne zalety, a jeszcze więcéj rola jaką odegrałem w świecie, był widoczny; bądź co bądź, stracić pół miliona nie tak łatwo, jak się zdaje; opowiadający ten fakt, ubarwiali go w tajemnicze dodatki swojego wymysłu, które mi bynajmniéj nie szkodziły. Była tam i nieszczęśliwa miłość, i stosunki niezmiernie wysokie, którym nie mogłem sprostać środkami jakie posiadałem, i jakieś nadużycie zaufania przez zdradliwego przyjaciela, którego postawiłem na nogi, a on zawdzięczając przysługę, zarwał mię; wszystkiego tego nikt nie umiał opowiedzieć szczegółowo, ale właśnie dla tego, że nie widział, każdy improwizował, co mnie oblekało w tajemniczą obsłonę. Czy to mi dodawało uroku? wielkie pytanie; ale ja, uważając się zawsze za istotę uprzywilejowaną, prześladowaną od losu, tak sobie to wyobrażałem naówczas, i na podstawie tego mniemania tłumaczyłem sobie zajęcie, jakie okazywała mi widocznie Mizia.

Przywiązałem się rękami i nogami do myśli, że ona będzie ową deską ocalenia, o której dawno marzyłem; byłem prawie pewny skłonności jéj ku mnie, a jednak nie wiedziałem sam, w jaki sposób przyjść do rozwiązania téj tak żywotnéj dla mnie kwestji. Wprost przystąpić do rzeczy oświadczając się, było to pomimo dobrego o swéj sprawie mniemania, po prostu ryzyko; odmowa pociągała za sobą śmieszność i w takim razie niepodobnaby mi tu było dłużéj bywać; byłbym nawet zniewolony opuścić dom Olesia. Chciałem więc poprzednio zbadać grunt dokładnie.

Razu jednego, był w Jaszczułtowicach rodzaj wieczorku tańcującego; zjechało się przypadkiem trzy czy cztery panny, przyciągnęło za niemi kilku chłopców, więc naturalnie chętka ich wzięła poskakać. Ponieważ przeważająca była liczba mężczyzn, przeto na usilne nalegania pana Stajeńskiego, usiedliśmy z nim, ja, Oleś i jeden z starszych sąsiadów do preferansa; chętnie nawet przystałem na to, postanowiwszy zrobić próbę; byliśmy obaj z Olesiem kwiatem obecnéj młodzieży; żaden z nich nie wyrównywał, jemu majątkiem, mnie zręcznością salonową. Zasiadając do kart, starałem się zająć miejsce w ten sposób, abym obok będący salon miał na oku. Mizia najwidoczniéj przybrała minę kwaśną i niedbale powstawała z krzesła, ilekroć proszono ją do tańca. Parę razy znalazłszy się na chwilę wolnym po rozdaniu kart, podnosiłem się od stolika i stawałem na progu salonu, szukając wzroku Mizi; nie patrzała na mnie, ale czyniła to w ten sposób, że intencja okazania urazy była widoczną. Serce mi rosło: oczywiście, myślałem sobie, gniewa się na mnie o to, że usiadłem do kart, zaniedbując korzystać z tańca, który dozwala zbliżenia się.

Po niejakim czasie, znalazłszy znowu wolną chwilę, wszedłem do salonu; siedziała blizko drzwi, oddychając mocno po polce z szalonemi obrotami, w których celował jéj przed chwilą tancerz, pan Henryk. Ujrzawszy mnie, wskazała giestem poufałym choć z minką surową, miejsce obok siebie. Zająłem je z miną zwycięzcy.

— Kiedyż skończycie tego waszego preferansa?— rzekła.

— Modlimy się, aby to nastąpiło jak najprędzéj,— odpowiedziałem ujęty tą poufną formą zapytania.

— Modlicie się? — rzekła z minką niezmiernie ironiczną; — myślisz pan, że uwierzę! takieście nawykli do banalnych grzeczności, że każde wasze słowo, kłamstwem.

— Przysięgam pani, gramy jak bezprzytomni! — zawołałem gorąco, używając liczby mnogiéj jak zwykle.

Przyzwyczaiłem się do téj formy, bywając w Jaszczułtowicach prawie zawsze z Olesiem, tak, że nazywano nas *inséparables*. Nie śmiałem jeszcze wyjeżdżać z mòją osobistością, więc zawsze mówiłem za dwóch.

— Najlepszy dowód, — mówiłem daléj jowialnym tonem, bo interesowanie się Mizi naszym preferansem, wbiło mię w różowy humor — że popełniamy błędy i wpadamy po kolei jeden za drugim, za co usłyszeliśmy już nie jedną burę od ojca. Oleś, co mu się nigdy nie zdarza, popełnił parę grzechów przeciw elementarnym zasadom preferansa.

Nie wiem sam dla czego, Olesia przypuszczałem zawsze w podobnych razach do solidarności; miała to być niby ostrożność.

— Nie znając nic a nic gry, nie rozumiem doniosłości tych roztargnień — rzekła Mizia wzruszając ramionami, ale ożywiając się i tracąc surowy wyraz.

— Są one najlepszym dowodem nieobecności naszego ducha przy grze.

Chciałem mówić coś jeszcze, ale piskliwy tenor pana Stajeńskiego dał się już słyszeć dwa razy, wołając na mnie, a trzeci raz z akompanjamentem tubalnego basu Olesia.

— Widzi pani, jak mu pilno odbyć już raz pańszczyznę — zawołałem wstając.

— Kończcież prędzéj — rzekła poufale z wdzięcznym uśmiechem.

Na stu koniach wyjechałem z salonu i zasiadłem do stolika jak trjumfator, a odbierając rozdane już karty od Olesia, który je przeglądał, zawołałem nie patrząc w nie: Pik!

— Czyś zwarjował! — zawołał Oleś zdziwiony.

— Ja tak zawsze, na przebój! zgrać mnie możecie; przelicytować nigdy!

— Uważam, że pan Zmudzki od pewnego czasu nie ma szczęścia w preferansa — odezwał się p. Stajeński.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się czwarty nasz towarzysz — przysłowie mówi: że kto nieszczęśliwy w karty...

— Szczęśliwy do kobiet — dokończył gospodarz domu, żartobliwie.

Przez wdzięczność, na poparcie tego przysłowia, zagrałem bez atu i wpadłem bez dwóch.

Po niejakim czasie, znowu pociągnąłem do sali. Grano mazura, i trafiłem na chwilę, gdy panna Michalina stojąc w kole, spoglądała z góry na łańcuch skaczących około niéj tancerzy, czychających na wyrzuconą chustkę. Jednym skokiem znalazłem się pomiędzy nimi; Mizia spojrzała na mnie mile, wymownie, i w chwili, gdy okręciwszy się byłem wprost niéj, śmiejąc się rzuciła mi chustkę prosto w twarz.

Schwyciłem ją w mgnieniu oka i przycisnąłem do ust; organa powonienia oblała woń rezedy, sercowe błogość nieopisana. Rozchodzący się z koła współzawodnicy, jedni zawistném spojrzeli na mnie okiem, inni się śmieli, a któryś zawołał:

— Ależ zręczny! w zęby złapał!

Jakim hołubcem uczciłem ten dowód względów panny Michaliny, opisywać nie będę; ona była zeń zapewne zadowolona, bo sunąc jak łania przez salon, uśmiechała się dobrotliwie.

Powróciwszy do kart, musiałem wysłuchać łajania za ciągłe oddalanie się, a p. Stajeński zagroził, że mię sznurkiem przywiąże.

— Co ci przyjdzie z panien? motylek!—rzekł Oleś z urągliwym śmiechem.

Spojrzałem nań z politowaniem.

Po skończeniu puli, p. Stajeński z sąsiadem zasiedli

do rubikona, my udaliśmy się do salonu. Oleś byłby wolał zostać na trzeciego, bo nie cierpiał tańca, ale panna Michalina znalazłszy się przy nas w czasie rozliczania się z preferansa, tak wyraźnie nas zaprosiła, że byłoby to już niegrzecznością z jego strony. Zamówiła go sama do kontredansa; uczyniła to niezmiernie zręcznie, a przechodząc koło mnie, szepnęła:

— Tańcz pan *vis à vis.*

Podziwiałem jéj takt.

Reszta wieczoru zeszła nam wesoło; nawet Oleś się ożywił, nic sobie nie robiąc z swoich niedźwiedzich ruchów, z których Mizia śmiała się do łez. Rozjechaliśmy się późno; na pożegnanie, Mizia w różowym humorze, uderzywszy w moją dłoń po kawalersku, rzekła: Do widzenia.

Za powrotem do domu, po rozważeniu wszystkich okoliczności, zdało mi się możliwém, a nawet koniecznèm ośmielić się na jakiś krok stanowczy; umyśliłem więc za pierwszą bytnością, poszukać sposobności rozmówienia się z panną sam na sam, a wówczas temperatura téj rozmowy, sama mogła mi wskazać, jak sobie począć.

Nastąpiło to za kilka dni. Pojechaliśmy znowu do Jaszczułtowic; był to ładny dzień letni, godzina po południowa. Przybywszy, zastaliśmy pana Stajeńskiego w swoim pokoju, a panie były gdzieś w ogrodzie. W pięć minut rozłożył stolik, ale stanowczo odmówiłem udziału w grze, pozostawiając im wolność zagrania w rubikona, lub marjasza.

— Ho! ho! on znów do kobiet!—zawołał ze śmiechem p. Stajeński, widząc, że biorę czapkę.

— Przejdę się po ogrodzie — rzekłem skromnie.

— Trzeba sąsiadowi wiedzieć — zauważył Oleś — że to jest Don Żuan! jabym go nie puszczał.

Pan Stajeński zaśmiał się, ale bezmyślnie, bo już rozbierał karty; ja zawtórowałem mu z przymusem i wymknąłem się.

Ogród w Jaszczułtowicach miał pewną pretensję do nazywania się parkiem; było w nim dużo zarośli i klombów. Szedłem mając nadzieję, że spotkam gdzie Mizię samą, serce mi biło, i w chwili téj stanowczéj, zaczynałem tracić odwagę. O! gdyby to było lat kilka temu — myślałem sobie — nim jeszcze sprzedałem Żmudy, nie miałbym kłopotu; ale dziś!...—jednak ważąc w myśli pojedyńcze wyrazy, giesta i spojrzenia Mizi, nabierałem otuchy.

Doszedłszy do téj części ogrodu, w któréj wśród klombu z bzów, jaśminów i innych krzewów, była altanka z dzikiego wina i kapryfolji, usłyszałem głosy niewieście i wstrzymałem się mimowolnie, gdyż doszło mi do uszu wymówione moje nazwisko. Przeszło mi przez myśl, że podsłuchiwać nie koniecznie się godzi; ale wytłumaczyłem sobie, że moje staranie się o rękę panny Michaliny, było kampanją, wojną przeciwko okolicznościom, przesądom i t. p. a w wojnie wszelkie podstępy uchodzą; zresztą mogłem usłyszyć coś takiego, co ułatwiłoby mi ciężkie zadanie. Wstrzymałem więc oddech i wsunąwszy się ostrożnie w gęstwinę, nadstawionemi uszyma słuchałem.

— Uparłaś się widzę — mówiła p. Stajeńska — ja bo już przyznam ci się, dałam za wygranę.

— A ja bynajmniéj — odrzekła Mizia — wzięłam na ambicję, a mama wie, że jak co postanowię...

— To też chyba przez upór, bo inaczéj, to przyznam ci się, nie ma o co głowy łamać.

— Przepraszam mamę, jest o co, choćby też dla rozkoszy wzbudzenia zazdrości w tych wszystkich gąskach, które nie umiały z nim sobie począć. Zresztą, nie zaprzeczy mama, że jest najlepszą partją na kilka mil w około.

— No, to prawda.

— O posag nie będzie wołał, a tego co tymczasem

papa da gotówką, wystarczy mi na urządzenie domu po swojemu i wyjazd za granicę.

— Ale ta jejmościanka, co tam rezyduje?

— To też o to chodzi, żeby ją usunąć.

— Co za główka! — rzekła matka, a jéj głos brzmiał uwielbieniem.

— Wié mama, kogo sobie obrałam za sprzymierzeńca?

— No!



— Zmudzkiego.

— Szalona dziewczyna! szalona!

— Już go mam; jestem pewna, że wszystko zrobi, co mu każę.

— Ha, ha, ha! wiész ty, że ja już ciebie miałam w podejrzeniu; uroiło mi się, że zanadto ci wpadł w oko. Byłaś z nim zbyt poufale, już nawet zaczęło to zwracać uwagę.

— Spodziewam się, że nikomu na myśl przyjść nie mogło, abym miała na niego jakie widoki.

— No, ale zawsze... on sam mógłby czém nabić sobie głowę niepotrzebnie.

— Nie zdaje mi się, aby był do tego stopnia głupi.

— Co chcesz, człowiek przystojny, umiejący się znaleźć; trafia się rozmaicie.

— Ani słowa, ale wszystkie te przymioty neutralizuje jego pozycja. Przyznam się mamie, że na chwilę nawet nie pomyślałam, żeby mógł być niebezpiecznym.

— No, ale w czémże ty liczysz na niego?

— Ma wpływ na pana Aleksandra, który gdy ma się kim wyręczyć, nie lubi myślić sam. Chodzi o zwrócenie jego uwagi na niestosowność postępowania; Żmudzki kilka razy już odzywał się o nim dwuznacznie, dając do zrozumienia, że mną zajęty — trzeba go tylko poprowadzić, bo sam... zna go mama, jaki ciężki do ożenienia. Pamięta mama awanturę z Manią; już byli po deklaracji. Ale ze mną nie tak skończy, niechno raz go dostanę w swoje ręce.

— Daj Boże! daj Boże! — rzekła pani Stajeńska, a po głosie poznałem, że wstała z ławki.

Słuchając téj rozmowy, stałem jak w ziemię wrośnięty; gdy jednak pomiarkowałem, że mogą zbliżyć się w tę stronę i spostrzedz mnie, uskoczyłem w bok w zarośla drugiego klombu, z zręcznością jelenia, który dostrzegł strzelca na stanowisku. Przedzierałem się przez klomby i szpalery jak bezprzytomny; ból, wstyd, poniżenie, szarpały mi serce; miałem wprawdzie myśl wyjść na spotkanie Mizi i zemścić się na niéj obojętnością i sarkazmem, ale poczułem w prędce, że nie miałem do tego siły. Czułem, że gdybym nie był mężczyzną, byłbym płakał i rzeczywiście łzy dusiły mię w piersiach, dławiły.

Na przełaj, jak złodziéj, pośpieszyłem ku domowi, chociaż rzuciwszy w bok oczyma, ujrzałem z przeciwnéj strony obie kobiety, zmierzające w tęż samą stronę, uda-

łem, że ich nie widzę i wszedłem do pokoju. P. Stajeński z Olesiem grali w rubikona: stanąłem przy stoliku i patrzyłem na karty, które zdawały się drwić ze mnie. Każda dama była Mizią, walet mną, którego król Oleś bił bez litości.

— Cóż? nie znalazłeś kobiet? — zapytał p. Stajeński mięszając karty po skończeniu partji.

— Nie byłem w ogrodzie.

— A gdzieżeś chodził? — rzekł Oleś.

— Wyjrzałem tylko, ale, nie widać było.

Nie zadługo wszedł lokaj prosząc nas na drugą stronę na kawę P. Stajeński z Olesiem kończyli partję; dawniéj, byłbym pośpieszył naprzód, korzystając z chwili; obecnie czekałem aż skończą i pociągnąłem za nimi dopiero, jak na ścięcie. Gdyby się to dało, byłbym zaraz wyjechał, ale naturalnie nie dało się.

Podczas kawy, znając już tajemnicę panny Michaliny i pojmując jasno znaczenie każdego jéj wyrazu i giestu, męki przecierpiałem. Prowadziła podjazdową wojnę z Olesiem, starając się wszelkiemi sposobami usidlić go, a mnie używała jako sukurs; przekonałem się teraz, jak głupią rolę grałem. Na złość, chciałem być dowcipnym, swobodnym, a zimnym, ale w żaden sposób nie mogłem; doznawałem takiego uczucia, jakby mi kto jaką zaporę przetknął przez piersi i gardło, każde słowo wykrztuszałem z trudnością, a najkomiczniejsza sytuacja nie byłaby w stanie wydobyć ze mnie uśmiechu; probowałem go parę razy, ale tylko krzywiłem się najobrzydliwiéj, czułem to nie patrząc nawet w zwierciadło. Zwróciło to już nawet uwagę, a Mizia wyrzekła sentencjonalnie:

— Panu Zmudzkiemu coś jest.

— Kocha się — rzekł Oleś z grubym śmiechem, smarując masłem kawał chleba.

Byłbym go ubił.

— W kimże? — zapytała Mizia — czy wolno spytać?

— O! i owszem — rzekł Oleś — to nie tajemnica. Przyznaj się.

Był to żart bezmyślny, w rodzaju zupełnie Olesiowym, bo innych nie znał; ale mnie postawił w głupiém położeniu, bo musiałem się zapierać i tłumaczyć nie wiedzieć z czego, a na dowcipne zagadanie rzeczy, w téj chwili zdobyć się nie mogłem.

Po kawie, panie chciały zatrzymać nas u siebie, ale rubikon nie był skończony, więc p. Stajeński korzystając z pierwszéj sposobności, wyciągnął Olesia; wstałem i udałem się za nimi, nie uważając na wszystkie miny, mrugania i wreszcie dąsy Mizi.

Dla zabezpieczenia się, zasiadłem na trzeciego do preferansa, i odjechaliśmy w kilka godzin, nie widząc wcale kobiet, które przysłały nam herbatę do kart.

W preferansa zgrałem obudwu. Przysłowie tym razem prawdę powiedziało.

*
* *

Nazajutrz rano, po nocy pełnéj snów dziwnych, w których to, czegom doznał w ciągu dnia, dręczyło mię pod rozmaitemi postaciami nakształt zmory, obudziłem się z dotkliwym bólem głowy, to przynajmniéj mającym dobrego, że służył mi za wymówkę znękania, malującego się w całéj mojéj postaci i obliczu. Rozważałem sobie wszystko, niepochlebne tworząc wnioski o sercu kobiecem. Nie tyle miałem za złe pannie Michalinie, że nie zrobiłem na niéj zamierzonego wrażenia; na to byłem wyperswadowany; ale znaleźć szczęśliwego rywala w Olesiu, być świadkiem skierowanych nań spojrzeń pełnych obietnic, którym wiedziałem jaką przyznać wagę! tego było zanadto. Spoglądając na ten cel westchnień panny Michaliny i jéj podobnych, na jego głupowate oczy, uśmiech bezmyślny na grubych ustach,

łapy potężne, gorzko utyskiwałem na losy, które jak teraz przykonywałem się, pozbawiły mię najdzielniejszego wdzięku. Czemże dziś byłem z moim wąsem wymuskanym, bródką napoleońską, głosem dźwięcznym, zręcznością salonową, bez tego złotego werniksu, który dopiero nadaje wartość i czyni pożądaną jednostką w społeczeństwie? Snułem pełne czarnych barw obrazy, złorzeczyłem losom, światu i jéj! o! jéj nadewszystko, którą ukochałem, a która!... Podobne usposobienia najlepiéj sprzyjają rozwinięciu się zdolności poetycznéj, jeżeli ją kto nosi gdzieś w sobie w zarodku — a któż nie posiada jéj choć odrobiny; to téż i ja, chodząc jak głupi po gajach i polach, improwizowałem, deklamowałem, tworzyłem wiersze... a wszystkie z zakrojem niezmiernie bajronowskim. I po niejakim czasie, nowe uczucie zaczęło wypierać dawne; czułem, że w zarodku powstawał nowy poeta — i uspokajałem się. Przywodziłem sobie na myśl, wszystkie czytane kiedykolwiek życiorysy wieszczów; iluż z nich wychodowało cierpienie miłosne, a każdy z nich miał swoją Laurę, Beatryczę, Marylę, dla któréj śpiewał, albo na którą się skarżył; więc ja też rozpocząłem od skarg na Michalinę.

Zapisałem kilka arkuszy papieru; większą połowę zdarłem, ale niektóre wiersze udały mi się jakem mniemał. Jeden z najudatniejszych, zaczynał się tak:

Jak wszyscy i ja, Panie, dzieło twoje,
Odrzutkiem jestem sam jeden!
Los mi roztwarłszy rozkoszy podwoje,
Z śmiechem je potém zamknął szyderczym *przedemną*,
I ukazawszy w cudnych oczach Eden,
Przez jakichś duchów zawistnych złość,
Wnet wtrącił w przepaść *bezdenną*!!

Czemuż ten raj mi poznać dał,
Jak psu w zwierciadle wodném kość,
Którą chcąc schwycić, postradał to co miał!!

Była to widocznie licencia poetica, bo jeżelim postradał to, com miał, to dawniéj i nie z winy panny Michaliny. Dla tego dalszy ustęp, w którym usprawiedliwiałem to założenie, sam w własném przekonaniu uważałem za naciągany, więc słaby; ale jakoś ogładziwszy go, zadowolniłem się wreszcie.

Daléj, niżéj nieco, następowała apostrofa do niéj:

. . . . . O! z dłonią na sercu stań,
I powiedz, czy widząc zarzewie,
Ty nie dmuchałaś nań!
A rozdmuchawszy żar i jad,
Widząc mię w kurczach boleści,
Powiedz! twój kaprys niewieści,
Czy nie przyklasnął rad?
Ciesz się! dopięłaś celu!
Lecz wieszczym duchem ja mówię ci,
Że krwawe jeszcze wylejesz łzy!
Dowiesz się kiedyś, że wśród wielu,
Jam jeden godnym lepszego losu był!
W ostatniéj chwili, ja ci się będę śnił!!!

Napisawszy ten ostatni ustęp jednym tchem, przyklasnąłem sobie w najlepszéj wierze; widziałem jasno, że stworzony byłem na poetę, a to wszystko co mię spotykało, począwszy od straty majątku, było po prostu błądzeniem za czemś nieznaném, acz przeczuwaném; dziś oczy mi się otworzyły, znalazłem wreszcie rozwiązanie zagadki mojego posłannictwa wśród ludzkości; błogosławiłem niemal wypadkom, które mię wyzuły z majątku; czyliż wśród regestrów gospodarskich i prozaicznych zagonów, nie byłbym spleśniał moralnie? błogosławiłem teraz i ją, która zrządzonym mi chwilowym bólem, jak Mojżesz laską, wydobyła z mojego łona świeży zdrój poezji. Powiedziałem: chwilowym bólem, bo już nie cierpiałem, nowe uczucie przygasiło dawne.

Kontent z mojego utworu, postanowiłem posłać go do jednego z pism tygodniowych; podpisałem się na

nim, Jaszczułt. Pseudonim ten, przypominający nazwę majątku rodziców Mizi, miał być mojém, jak mówią francuzi, *nom de guerre*; pod tém imieniem wsławię się, ku zdumieniu panny Michaliny, która żałować będzie niewątpliwie swojego zaślepienia; od niéj zależało tylko nosić nazwisko jednego z świeczników polskiego parnasu, o którego utwory dobijać się będą wydawcy, płacąc je na wagę złota.

Oddałem mój wiersz „Do ***“ na pocztę, za rewersem powrotnym, z prośbą, aby redakcja pisma, dla którego go przeznaczałem, odpowiedziała mi w pierwszym zaraz numerze. Posłaniec, który zawiózł to pismo, z powrotem przywiózł mi dwa listy niezmiernie prozaiczne. Jeden był od kuzyna mojego Leosia, drugi, od stryjenki mieszkającéj w Łowickiem.

Leoś, który po mojéj odmowie, wziął sam w dzierżawę ów folwark na nowinach mnie stręczony, pisał, że mając obecnie dwa gospodarstwa, o parę mil odległe jedno od drugiego, z trudnością daje sobie radę, nie mogąc dobrać pomocnika, któremuby mógł zaufać. Wiedząc, że siedzę bez zajęcia u Olesia, a domyślając się, że musiałem stracić resztę w Warszawie, proponował mi, abym się sprowadził do owego folwarku i objął go na jego ryzyko w administrację. Ofiarował mi, jeżeli się wezmę na pazury (jak się trywjalnie wyraził), dziesiąty grosz czystego dochodu w zysku, co jak twierdził, mogło mię postawić na nogi, dając możność dorobienia się z czasem mająteczku i „dochrapania się“ własnéj choćby dzierżawki. Prosił o zdecydowanie się jeszcze przed św. Janem.

List stryjenki był krótki. Oto jego treść:

Panie Bolesławie!

Wiem od Leosia, że straciłeś wszystko i teraz siedzisz na łasce w Siekierzyńcach. Przepowiadałam ci to dawno, ale nie chciałeś mię słuchać. Jak sobie kto

pościele, tak się wyśpi; ale nie chcę, aby ludzie powiedzieli, że nie mam względu na synowca ś. p. mojego męża, z którym żyłam tyle lat zgodnie. Więc ofiaruję ci u siebie miejsce; rządcę odprawiam na św. Jan, co mię kradł — jeżeli chcesz, możesz go zastąpić; w takim razie będę ci płacić pensję 200 rubli, bez ordynarji, bo stół będziesz miał u mnie. Jeżeli nie, to ci daję przytułek, żeby ludzie nie gadali, że musisz cudze kąty wycierać; możesz przytém mieć oko na gospodarstwo, za co będę chciała ci się wywdzięczyć. Wiesz, że jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg.

Dobrze życząca ci stryjenka

Zmudzka.

Oba listy przyjąłem z ironicznym uśmiechem. Los jest jak ludzie, pomyślałem z goryczą: slabych gnębi, tym którym jakieś widoki zajaśnieją, pochlebia. Dziś, gdy jestem może w przeddniu zostania genjuszem, chlubą literatury, wdzięczy się do mnie, ukazując i inne jeszcze drogi do wyjścia z kłopotu; ale czyż mogę pójść niemi? Przyjąć propozycję Leosia, byłoby to wśród zajęć codziennych i krwawéj a niewdzięcznéj pracy, zabić tę iskrę, która jeszcze nie roztlała. Jechać do stryjenki, toż samo; znam ją; pod pozorem świadczenia dobrodziejstw, chciałaby orać we mnie jak w wołu — sługa uniżony.

Przed odpisaniem na te oba listy, pragnąłem mieć przedewszystkiém odpowiedź redakcji, o któréj, że będzie przychylna, nie wątpiłem. Chciałem ją przytoczyć w listach, ażeby odmowę oprzeć nie na marzeniu, lecz na dowodzie dotykalnym; to też te kilka dni, które dzieliły mię od możliwego nadejścia numeru, spędziłem w poetycznéj gorączce, pisząc, mażąc i drąc całe poemata. Wreszcie, jak wszystko, tak i czas ten nadszedł; z bijącém sercem porwałem pismo i szukałem przedewszystkiém odpowiedzi od redakcji; wśród tych, ude-

rzyły natychmiast mój wzrok wyrazy: „Jaszczułtowi“. Słodko zostałem wzruszony, ujrzawszy w druku słowa skierowane do mnie; ochłonąwszy wreszcie, zacząłem czytać. Odpowiedź brzmiała jak następuje:

„Nie taim sympatji, jaką wzbudziły w nas pańskie *kurcze boleści*; zbyt jednak cenimy nerwy tkliwych naszych czytelniczek, abyśmy mogli drukować nadesłany *wierszyk*, zaliczający się zresztą do kategorji utworów, będących plagą każdéj redakcji pisma belletrystycznego. Może to sarkazm, ale piskliwy świergot wykluwających się młodych wieszczów, zdolnym jest rozstroić najsilniejszy organizm i usposobić go żółciowo.

Liczba odważnych ochotników do szeregu wierszorobów jest tak wielka, że

. . . . . nietylko pan jeden,
Przed którym zamknięty ten parnasu Eden.

Niech to dla pana będzie pociechą.

Zresztą, jeżeli siły po temu, uczyć się, uczyć, pracować! kto wie?“

Treść téj odpowiedzi była dla mnie uderzeniem maczugi; jednym zamachem zwaliła mię ze szczytu, na który wyniosłem się z taką łatwością. Padłem jak długi, a cios był tak silny, że pozbawił mię zdolności rozumowania; wyczytany morał, brzmiał mi w uszach jak najfałszywszy dyssonans rozpasujący się crescendo, a końcowe słowa zachęty nie trafiły bynajmniéj do przekonania. Uczyć się, pracować! łatwo to powiedzieć, ale jakiejż to potrzeba było pracy, gdy pierwsze wystąpienie podobny sąd wywołało! Z tego wszystkiego wyrozumowałem sobie tylko, że u Olesia zostać w żaden sposób nie mogłem; raz dla potrzeby unikania panny Michaliny, powtóre z obawy żartów jego samego, gdyż zwierzyłem mu się naiwnie z widoków literackich. Ucieczką moją i pociechą były obecnie owe dwa listy, które zrazu przyjąłem z takiém lekceważeniem; winszowa-

łem sobie, że nie odpowiedziałem na nie w pierwszym zapędzie. Teraz wypadało się nad niemi zastanowić.

Po krótkim namyśle, dałem pierwszeństwo stryjence. Propozycja Leosia nie trafiała mi zbyt do przekonania; były to tam wprawdzie jakieś widoki, ale wymagały pracy, od któréj oganiałem się jak mogłem. U stryjenki były daleko świetniejsze; nie mając prawa do spadku po stryju, który zrobił z żoną testament na przeżycie, nie rachowałem nań nigdy; dziś, gwiazda moja zdawała mi się uśmiechać, i było pewne prawdopodobieństwo, że mi wynagrodzi dotychczasowe zawody. Wziąwszy się zręcznie do rzeczy, można było skaptować sobie stryjenkę i zostać jéj spadkobiercą, tém bardziéj, że bliskich krewnych nie miała.

Odpisawszy przeto Leosiowi i przytoczywszy w liście powody, które ochrzciłem mianem obowiązków względem stryjenki, w parę dni po otrzymaniu dymisji z zawodu literackiego, pojechałem do niéj.

* * *

Moja stryjenka była to kobieta już blisko siedmdziesięcioletnia; mówiono, że była piękna za młodu, ja tego nie pamiętam; jak tylko sięgnąć mogę pamięcią, widziałem w niéj kobietę wstrętną dla mnie, rysów nieprzyjemnych, z wydętą spodnią wargą nieuśmiechającą się nigdy, i nie lubiącą mnie jako domniemanego spadkobiercę męża, w razie gdyby był ją przeżył. Nie mogłem sobie wyobrazić, zkąd jéj się wzięło wezwać mnie do siebie, i przypisywałem to jedynie opatrzności, czuwającéj nademną by mnie wydźwignąć z toni.

Gdym wszedł do jéj pokoju, siedziała w fotelu przy stoliczku, z okularami na nosie i ciągnęła passjans; usłyszawszy wchodzącego, spojrzała z ponad okularów, przysłaniając oczy dłonią od światła, a poznawszy mnie

zdjęła okulary i położyła talję zatłuszczonych kart przed sobą, oczekując z powagą i bez zmienienia wyrazu twarzy, mojego powitania.

Nieprzyjemnie zostałem dotknięty tém przyjęciem; ale nadrobiłem fantazją, i zbliżywszy się posuwistym krokiem, z najlepszą miną pocałowałem ją w rękę, dodając jakiś oklepany kompliment, mający znaczyć podziwienie z wyrazu zdrowia, malującego się jakoby na obliczu stryjenki.

Nie kiwnęła na to nawet głową, tylko obrzucając mnie spojrzeniem, rzekła:

— Więc przyjechałeś?



Nie znalazłem innéj odpowiedzi, jak potwierdzającą, a i bez téj byłoby się obyło, bo mnie widziała.

— Masz jakie rzeczy? — zapytała potém.

— Kuferek podróżny — rzekłem coraz więcéj obrażony.

— Złóżże się do oficyny, i przyjdź na obiad; my jemy o dwunastéj... nie po pańsku.

Na małym stołeczku w kąciku, blisko okna, siedziała młoda dziewczynka, mogąca mieć ze czternaście lat i cerowała pończochy. Stryjenka rzekła do niéj:

— Kasiu, zaprowadź pana do oficyny i pokaż mu pokój.

Poszedłem za Kasią dziwnie rozczarowany. Liczyłem na to, że moja znajomość świata i otarcie się między ludźmi, wykwintne obejście, przeszłość pełna powodzeń, zrobi wrażenie na stryjence; z kilku jéj słów i obejścia przekonałem się, że nic sobie ze mnie nie robiła i nie uznając mojéj wyższości, uważała wprost za

natręta, któremu z litości czy innych jakich względów ofiarowała przytułek i kawałek chleba.

Oficyna stała o kilkanaście kroków od dworu, tworząc z nim kąt prosty. Wszedłszy za Kasią do sieni, z któréj rozchodziły się drzwi do izby czeladniéj, spiżarni i pokoików gościnnych, stanąłem jakby olśniony: we drzwiach spiżarni zkąd wychodził z rondlem stary kuchta, stało prześliczne dziewczę, w skromnéj ale zgra-



bnie uszytéj sukience, przy fartuszku, z bujnemi ciemnobląd bez pretensji, choć z wdziękiem zaczesanemi włosami. Spostrzegłszy mnie, dygnęła najnaturalniéj w świecie, a zamknąwszy drzwi i zatknąwszy klucze za pas, przystąpiła do mnie i podała mi rękę.

— Witam kuzynka—rzekła srebrzystym głosikiem.

Stałem zdumiony, bo nie byłem przygotowany ujrzeć coś podobnego w domu mojéj stryjenki, i machinalnie uścisnąłem zgrabne paluszki.

Dziewczę zaczęło się śmiać, pokazując perłowe ząbki.

— Kuzynek mnie widzę nie poznaje.

— W istocie — rzekłem, wpatrując się z upodobaniem w wdzięczną twarzyczkę pokrytą brzoskwiniowym puszkiem — że nie przypominam sobie.

— A to ładnie!—rzekła z prześlicznym dąsem,— zapomnieć o żonie!

Powiedziała to trzpiotowato, ale wnet oblała się szkarłatem i wydobyła z mojéj dłoni rączkę, którą jeszcze trzymałem.

— Stasia! — zawołałem, przypomniawszy sobie dopiero,—a czy mi przez myśl mogło przejść! jak kuzyneczka urosła! — dodałem, widząc jéj zakłopotanie.

— Kuzynek nic się nie zmienił. Na długo do nas?

— Nie wiem jeszcze, ale podobno zabawię czas jakiś — rzekłem topiąc spojrzenie w oczach kuzynki.

— No, to do widzenia; proszę się ulokować, zobaczemy się przy obiedzie — i pobiegła ku dworowi.

Stasia była kuzynką mojéj stryjenki, córką jéj cioteczněj siostry; właściwie więc krewną moją nie była, ale przyjemnie mi było nazywać ją mianem kuzyneczki, które upoważniało do pewnéj poufałości. Nie widziałem Stasi może od lat dwunastu; byłem naówczas młodzieńcem już dwudziestoletnim, ona dzieckiem pięcio lub sześcioletniem; bawiłem się z nią, i jak się to często w podobnych razach zdarza, nazywałem żoną. Dawniéj, gdy tak stryj jak i rodzice moi żyli jeszcze, stosunki nasze były bliskie i widywałem Stasię dzieckiem jeszcze, bardzo często. Od lat dwunastu blisko, jak powiedziałem, straciłem ją z oczu; wiedziałem tylko, że ojciec odumarł ją wcześnie, zostawiwszy żonę z córką w kłopotliwém położeniu majątkowém. Położenie to pogorszyło się jeszcze za rządów wdowy, która wreszcie

przed dwoma laty poszła za mężem, zostawiwszy dorosłą już Stasię na opatrzności Boskiéj. Więcéj nic nie wiedziałem; domyśliłem się tylko, że stryjenka przygarnęła do siebie cioteczną siostrzenicę, tak samo jak mnie, a to podobieństwo naszych losów, wzbudziło od razu w mojém sercu sympatję dla pięknéj kuzyneczki. Co większa, niespodziewane spotkanie nasze, podało mi natychmiast temat do marzeń, materjał do budowania zamków na lodzie, co było zwykłą moją chorobą.

Stasia jest prześliczna, myślałem sobie; czuję już, że się w niéj zakocham (o wzajemności, jako człowiek dobrze o sobie uprzedzony, nie wątpiłem); oboje nie mamy wprawdzie majątku, ale położenie nasze w domu stryjenki, pozwoli nam zyskać wpływ na nią, tém łatwiéj, że tak ze strony jéj rodziny, jak ś. p. stryja, nikt bliższy nie stanie nam na przeszkodzie. Zręcznie wziąwszy się do rzeczy, możemy oboje osiągnąć cały spadek po stryjence; żenię się z Stasią i w przyszłości jestem dziedzicem ślicznego majątku. Tak mi się to wydawało prostém i naturalném, że przed czasem dziękowałem Bogu iż mnie uchronił od związku z Mizią, któréj, jak widziałem teraz jasno, wcale nie kochałem. Czyż tę bladą laleczkę, można było porównać z hożą Stasią? Podziwiałem mądre drogi Opatrzności.

Przy stole było nas czworo: stryjenka, Stasia, ja i pan Bulwa rządca, ten właśnie co miał się odprawić od św. Jana, jak pisała w liście stryjenka; był to więc malkontent i patrzał na mnie z podełba, widząc w mojéj osobie swojego następcę i kontrolera czynności. Obiad odbył się w milczeniu; rozmowy prawie nie było. Stasia wstawała parę razy od stołu, to po musztardę, to po konfitury, to po sok do leguminy dla stryjenki; w ogóle zauważyłem, że obejście się z nią jéj ciotki, było jakby z prostą klucznicą siadającą z łaski do stołu pańskiego. Moje zamiary bawienia obu ko-

biet podczas obiadu i komplimentowania Stasi, spełzły na niczém; szczególność położenia, słowa mroziła mi w ustach; obiad przeszedł jak stypa. Po pieczystem, pan Bulwa wstał otarłszy usta, i ukłoniwszy się w milczeniu, wyszedł; zostaliśmy sami ze stryjenką we dwoje, bo i Stasia wybiegła.

Stryjenka, gdy pocałowałem ją w rękę dziękując za obiad, rzekła poważnie i sucho:

— Chciałam się z tobą rozmówić.

— Jestem na rozkazy stryjenki — odrzekłem.

— Wiedząc o twojém położeniu, wezwałam cię do siebie przez wzgląd, że jesteś synowcem nieboszczyka mojego męża; ale nie chciałabym abyś sobie fałszywie ten mój krok tłumaczył.

— Jakto?—przerwałem poruszony.

— Za pozwoleniem, proszę słuchać. Nie mam dzieci własnych, więc i żadnych obowiązków dla nikogo; co tam po mojéj śmierci dostanie się komu, to zależeć będzie od tego, jak mi się kto zasłuży. Chcąc dojść do czegoś, trzeba na to zarobić; pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Więc wracając się do ciebie, chciałabym ci dać sposobność do zarobienia na kawałek chleba; wiem, że straciłeś wszystko co do grosza, a ten kto nie ma co do gęby włożyć, nie może być wybrednym; sądzę więc, że potrafisz ocenić to, co dla ciebie chcę uczynić. Od św. Jana odprawiam rządcę, bo mię kradł; płaciłam mu dwieście rubli rocznie, tobie postępuję jeszcze 25 rubli, chociaż ryzykuję, bo nie wiem jeszcze, jak się będziesz zasługiwał, i czy gospodarstwo nie straci na tém, zwłaszcza, że twoje dotychczasowe postępowanie, nie daje żadnéj rękojmi; ale mniejsza o to, próba frej; uważać to będę za dobry uczynek. Zresztą rachuję, że potrafisz ocenić to co robię, i dobra mego będziesz pilnował uczciwie.

Słuchałem téj perory jak osłupiały: to co mówiła

stryjenka, chociaż nie powinno było niczém być nowém dla mnie, obijało mi się o uszy, jak coś niezrozumiałego; rzeczywiście, pomimo poczucia straty majątku, nie zastanowiłem się nigdy na serjo, że jak powiedziała stryjenka, nie miałem co do gęby włożyć, a przyszłoby do tego niewątpliwie, gdyby nie w samą porę przypadłe zaprosiny Olesia, a następnie stryjenki. Nie mogło mi się atoli pomieścić w głowie, abym ja, ofiara przeciwności, syn obywatelski, więc istota wyższa, przeznaczona do czegoś lepszego na świecie, zmuszony był aż w pracy rąk i w pocie czoła zarabiać na kawałek chleba; marzyło mi się zawsze łatwe opatrznościowe przyjście do majątku, pachniały pieczone gołąbki, wedle wyrażenia stryjenki, i ani myślałem wątpić, żeby one same nie przyszły mi do gąbki. Całe więc przemówienie stryjenki, zamiast wzbudzić wdzięczność i otworzyć mi oczy, uraziło mnie tylko.

Przygotowany byłem na jakieś dobrodziejstwo z jéj strony, i zdecydowany przyjąć je jako ostateczność: pod tym względem kapitulowałem już przed własną ambicją, ale sądziłem się obowiązanym odrzucić, gdy udzielone było w takiéj formie. Ja, który bądź co bądź, mam pewne prawo do jéj pomocy, zostać płatnym sługą, od którego miałaby prawo wymagać każdéj chwili dnia i nocy!—do tego nie czułem sił, położenie moje rozpaczliwe, zamiast dodać mi energji, ubezwładniało mnie.

Snać stryjenka domyśliła się czegóś z mojéj miny, bo przerywając sobie, odezwała się:

— Może ci się to niepodoba, w takim razie nie przymuszam; chciałabym tylko wcześniéj wiedziéć, bo to już św. Jan za pasem, a bez rządcy się nie obędę.

— Bardzom stryjence wdzięczny za dobre dla mnie chęci—rzekłem z powagą, całując ją w rękę—ale przyjąć bezwarunkowo w ten sposób nie mogę. Mam

pewne widoki i niepodobieństwo mi jest krępować się zobowiązaniem.

— Jakież to widoki?—zagadnęła stryjenka z widocznie szyderczym wyrazem.

Zachłysnąłem się, bo jak tu było wyznać, że liczyłem nie wiedząc sam na co? okłamywałem sam siebie, i z głupiém zaufaniem do przeniewierczéj gwiazdy, snułem jakieś obrazy wątpliwych barw, w których Stasia była na pierwszym planie, a widok spadku po stryjence, panującym kolorytem. Rzekłem więc z miną tajemniczą, zamykając się w sobie:

— Powiedzieć w téj chwili nie mogę, gdyż związany jestem słowem.

Na to stryjenka uśmiechnęła się koniuszczkiem ust tak nieznacznie, że ledwiem dojrzał, ale rozgniewało mnie to nie pomału.

— Może sobie stryjenka myślić co chce,—rzekłem z godnością — dziś poprzeć dowodami nie mogę, ale czas pokaże. Tymczasem, ponieważ zapierać się nie mogę, że jestem w kłopotliwém położeniu, nie mając własnego domu, przyjmuję jéj gościnność, a nie żądając żadnego wynagrodzenia, mogę zwierzchni nadzór rozciągnąć nad gospodarstwem.

Wypowiedziawszy to oświadczenie, które uważałem jako wielki dowód ambicji i poczucia godności osobistéj, pocałowałem po raz drugi stryjenkę w rękę.

— Jak chcesz—odrzekła sucho.

Czułem się tak podniesionym w mojém przekonaniu, że nie ustając w pół drogi, dodałem:

— Mogę nawet trudnić się interesami, załatwiać czynności, wymagające znoszenia się z władzami.

Ale zaledwiem wymówił te słowa, rzucona myśl w inny sposób rozwinęła się lotem błyskawicy. Przedstawiło mi się to tak: kobieta rady sobie zwykle dać nie umie w interesach, bez których żadne gospodarstwo

się nie obędzie; stanę się stryjence potrzebnym, będę załatwiał wszystko, co pociągać będzie wyjazdy do Warszawy lub miasta powiatowego: o obrywkach nie ma mowy, bo to rzecz oficjalistów, którzy kradną—ale koszta podróży?—toć stryjenka strawnego, jak jakiemu ekonomowi, wyznaczać mi nie będzie, za złe mi nie weźmie, że zjem porządny obiad albo wypiję z kim butelkę wina dla interesu, lub posiedzę w mieście jaki dzień dłużéj; to mi uprzyjemni moje położenie, a stryjenki nie zrujnuje. Podobało mi się to bardzo; nędzne względy przyjemności, przypominających mi dawne stanowisko, więcéj mi się uśmiechały,—pożądańszém i mniéj ubliżającém wydało mi się pasożytne pędzenie dni bez troski, niż widok zarobienia uczciwą pracą na skromne utrzymanie. Nazywałem to zaprzedaniem się, zależnością—ale myliłem się co do rzeczywistego znaczenia zależności.

Na moją propozycję, stryjenka odpowiedziała sucho:

— Zobaczemy—i nie było więcéj o tém mowy.

Stasia co raz więcéj wpadała mi w oko; milutkie to dziewczę było dla mnie promieniem słońca w téj dusznéj atmosferze, ale widywałem się z nią prawie tylko przy obiedzie i kolacji, na które zbieraliśmy się wszyscy; śniadanie spożywała daleko wcześniéj, bo wstawała na jakie trzy godziny przedemną; słyszałem tylko często jéj srebrzysty głosik nucący jakąś aryjkę, ale gdy kierując się tym głosikiem zszedłem ją kiedy, to zawsze zaprzątniętą gospodarstwem, które zdawało się być jéj żywiołem. Książki czytywała codziennie, ale głośno stryjence przez parę godzin po obiedzie; o tém jednak, dowiedziałem się przypadkiem dopiero w kilka dni po mojém przybyciu, bo zwykle o tym czasie odbywałem sjestę poobiednią w moim pokoiku, leżąc do góry brzuchem i kurząc papierosy, których dymu stryjenka znosić nie mogła.

Zamierzyłem więc pod pozorem interesowania się literaturą, wkradać się na ten czas, choć na jaką godzinkę do stryjenki, znajdując przez to sposobność patrzenia na Stasię.

We trzy czy cztery dni po mojéj rozmowie ze stryjenką, Stasia spotkawszy się ze mną przy drzwiach spiżarni, gdzie umyślnie wałęsałem się, rzekła tajemniczo:

— Mam się kuzynka o coś zapytać.

— Jestem na rozkazy kuzyneczki — odrzekłem spiesznie.

Stasia, wydawszy kucharzowi, zamknęła drzwi od spiżarni na dwa spusty; otrzepała z mąki o fartuszek rączęta, i patrząc mi w oczy spytała:

— Czy to prawda, że kuzynek nie chce trudnić się cioci gospodarstwem?

— Dla czego się kuzyneczka o to pyta?

— Bo zdawało mi się, że kuzynek w tym celu do nas przyjechał.

— Robiła mi stryjenka propozycję w tym rodzaju, lecz nie przyjąłem ofiarowanego mi wynagrodzenia, nie chcąc się zobowiązywać.

— Dla czego?

Nie wiedziałem rzeczywiście dla czego, i odpowiedziałem jak zwykle:

— Mam pewne widoki.

— Więc kuzynek nie zostaniesz z nami? — rzekła Stasia głosikiem, w którym zdawał się przebijać pewien żal.

— Owszem, zostaję—odpowiedziałem spiesznie biorąc jéj rączkę.

— Jakto? — rzekła, spojrzawszy na mnie wielkiemi pytającemi oczyma.

Zdziwienie malujące się w jéj spojrzeniu i ton zapytania były bardzo mówiące, i jasno malowały jéj myśl, która widocznie była: „A cóż tu będziesz robił?“

Zrozumiałem bardzo dobrze, i ukłuło mnie to jak szpilką.

— A kuzynka, cóż tu robisz? — rzekłem urażony.

— O! ja, to wcale co innego. Nie jestem wprawdzie, ściśle biorąc, w obowiązku u cioci, ale trudnię się całém kobiecém gospodarstwem, jestem od świtu do nocy na nogach, i tém płacę jéj za chleb i przytułek; otwarcie mi powiedziała, że nie obyłaby się bezemnie. Jednak, lubo dobra dla mnie, lubo parę razy dała mi do zrozumienia, że nie zapomni o mnie w testamencie, czuję, że nie zdałabym się na prostą rezydentkę, i nie mając zatrudnienia, nie wytrzymałabym tu tygodnia. Pobyt w domu choćby najbliższych krewnych, jeżeli szukamy w nim tylko przytułku, staje się dla nas nieznośniejszym niż w domu obcym, z którym nas wiąże obowiązek jakiś, choć płatny; wtenczas mamy w nim pewne stanowisko, jesteśmy potrzebni — tymczasem na rezydencji, nic nie robiąc, choćby u rodzonego brata, jesteśmy natrętami, i gorzko nieraz da się to nam uczuć. Dla tego, wolałabym iść gdzie za bonę do dzieci, aniżeli siedzieć u ciotki na łasce.

Słuchałem, przygryzając ust, tego traktatu moralnego i zły byłem. Rzekłem więc z przekąsem, jak gdyby zasługiwały na to słowa tego dziecka:

— Kuzynka jest za młodą, aby to wszystko mówiła z doświadczenia; któż ją tego nauczył?

— Matka! — rzekła ze łzami w oczach i odeszła.

Ta odpowiedź i ton, jakim była wymówioną, wzruszyły mię; ale mimowoli doznałem jakiegoś uczucia zazdrości. Temu dziewczęciu, które w téj chwili w podobném memu znajdowało się położeniu, świeciła jak gwiazda przewodnia rada matki, owoc doświadczenia okupionego smutném położeniem, w którém ją odumarła. Nauczyła ją godzić się z losem i iść użytecznie drogą życia; czułem w téj chwili, że to było prawdziwém bogactwem. Ze mną rzecz się miała inaczéj; byłem jedynak, pieszczoch rodziców,

którzy o tém tylko myśleli, żeby mi zapewnić niezależne położenie. W przekonaniu swojém dopięli tego zostawiając mi znaczny majątek, lubo nie mieli rękojmi, czy potrafię go dobrze użyć; wychowali po swojemu starannie, nie zaniedbując rozwijać zasoby, któremi mogłem świetnieć w towarzystwach; lecz zapomnieli o rozwijaniu i hartowaniu duszy; zamiast sposobić do walki z życiem, umiatali przedemną drogę z kolców i cierni, nie przewidując jak te nieumiejącego ich ominąć, ranić mnie będą. Złorzeczyć im nie mogłem, bo działali w najlepszych chęciach; ale musiałem zaboleć, że tylko drogą ciężkich prób człowiek dojść może do doświadczenia.

Skutkiem téj rozmowy i mimowolnego wejścia w siebie, zacząłem inaczéj zapatrywać się na swoje położenie, i odkrywać jakieś nie znane mi dotąd zapasy sił do wydobycia się zeń. Zacząłem pojmować, że jedyną drogą do wyrobienia sobie niezależności jest praca, i coraz więcéj otrząsałem się z przesądów. Gdym pomyślał, że nie dawno jeszcze rumieniłem się na myśl przyjęcia jakiego obowiązku, gniewałem się sam na siebie, i czułem, że przyjąłbym dziś z ochotą chałupkę wśród leśnych karczunków, proponowaną przez Leosia, i twarde rzemiosło osadnika amerykańskiego, z którego się śmiałem niedawnemi czasy i zaczynałem domyślać się, że praca nie upadla, lecz uzacnia.

Tak dumałem aż do wieczora, i położyłem się z myślą zgłoszenia się do Leosia z zapytaniem, czy trwa jeszcze przy swoim projekcie. Powiadają że noc przynosi radę; czy zawsze dobrą, niewiem, bo nazajutrz rano obudziłem się jakiś inny; skutkiem zapewne lenistwa umysłowego, które ogarniało mnie zwykle, gdy szło o jakiś krok stanowczy, wczorajsze myśli wydały mi się jak to mówią romansami; dziwiłem się, że w tak czarnych kolorach widziałem moje położenie. Że nie przyjąłem u stryjenki obowiązków ekonoma, toć już nie szło zatem koniecznie, abym

miał być nieużytecznym i darmo jeść jéj chleb, do którego (wmawiałem to sobie) jako synowiec jéj męża, bądź co bądź pewne miałem prawo; zwierzchni nadzór męzki nad gospodarstwem wiele znaczy, i wkrótce mogę przekonać stryjenkę, że jéj się przydam—ale robić to będę bez zobowiązania się do moknięcia na deszczu, marznięcia na mrozie, i systematycznego wstawania przed świtem: W tych myślach przeleżałem w łóżku do wpół do dziewiątéj, i wypaliłem kilka papierosów.



Nadchodził święty Jan. Na kilka dni przed tém gospodarskiego znaczenia świętem, stryjenka rzekła do mnie:

— Potrzebuję kupić w Łowiczu kilka wołów; możebyś pojechał ze mną? mógłbyś mi się przydać.

— Jak stryjenka może się pytać!—zawołałem ucieszony— naturalnie że jestem gotów; może nawet stryjenka nie fatygować się, i mnie samemu to zlecić, spodziewam się, że mam jaką taką znajomość w podobnych rzeczach.

— O! nie—rzekła stryjenka niedelikatnie,—samegobym cię nie posłała, ale jeżeli chcesz, to pojedziesz ze mną.

— Owszem—rzekłem krzywiąc się na okazaną nieufność—spodziewam się że się przydam. Trzeba stryjence wiedzieć, że na św. Jan w Łowiczu bywa *massa* kamieniarskich wołów... to jest tych, któremi przywożą kamienie młyńskie.

— Wiem o tem; nieboszczyk mąż innych nie kupował.

Myślałem, że zaimponuję stryjence znajomością kamieniarskich wołów, ale się omyliłem.

— Ile stryjeneczka potrzebuje?

— Cztery pary.

— Tak też i myślałem; uważałem że dwie ratajki zdatne już tylko chyba na opasy.

— Ta uwaga moja, dowodząca, że mam oko na wszystko, nie zrobiła na stryjence żadnego wrażenia; owszem zagadała czém inném, jakby nie chcąc mnie upoważniać do zbytecznego wtrącania nosa w rządy gospodarskie. Bądź co bądź, postanowiłem na jarmarku przekonać stryjenkę, że przydać jéj się na coś mogę.

Na trzy dni przed św. Janem, o świcie niemal, wyruszyliśmy do Łowicza, odległego od nas o kilka mil; stryjenka wybierała się w tę podróż już od kilku dni; nie zapomniała o niczém, był pieczony indyk i parę kapłonów, kawa gotowana i śmietanka w butelce, chleba parę bochenków, garnek z masłem, a z tyłu za powozem tłumok z piernatami i poduszkami. Gniewało mnie to, boć przecie w Łowiczu, jeszcze w jarmark, wszystkiego dostanie; ale ze stryjenką nie było co gadać.

Podróż nasza trwałaby nie dłużéj, jak ze cztery lub pięć godzin, gdyby nie dwugodzinny uroczysty popas w pół drogi, podczas którego stryjenka ustawicznie wypychała mnie do stajni, ażebym dojrzał czy konie należycie napojone, czy obrok dobrze wyjadają, czy Mateusz nie dopuszcza się z owsem jakich malwersacji etc. etc. Byłbym tego wszystkiego dopełnił może sam z własnego popędu, ale drażniło mnie, że stryjenka posługuje się mną, jak chłopakiem, a co większa, okazuje nieufność, bo spostrzegłem, jak przechadzając się koło stajni, uważała na mnie.

Przybywszy do Łowicza, stanęliśmy w hotelu da-

wniéj będącym bardzo w modzie i uczęszczanym, a w tenczas już z powodu kolei żelaznéj, nieco opuszczonym; ruch jarmarczny jeszcze się nie zaczął, więc znaleźliśmy stancję z łatwością. Po roztasowaniu się, stryjenka oświadczyła, iż pójdzie do klasztoru panien bernardynek, których była szczególną protektorką i dobrodziejką, na obiad, a mnie poleciła przejść się po mieście i przepatrzyć woły.

— Więc stryjenki na obiad się nie spodziewać?—zapytałem, bo mnie interesowała ta kwestja.

— Nie, będę w klasztorze; toć sobie tu dasz radę.

— Spodziewam się — odrzekłem, nie przypuszczając, że stryjenka miała na myśli wiktuały wzięte z domu.

Po jéj odejściu, swobodny jak ptaszek, zszedłem na dół do sali jadalnéj; zastałem tam trzech czy czterech szlachty, pomiędzy którymi, jeden nieco mi znajomy z warszawskich pohulanek, młody człowiek, świeżo weszły na znaczne gospodarstwo w Płockiem, siedział nad talerzem flaków.

— A! kopę lat niewidzianego!—zawołał spostrzegłszy mnie i wyciągając rękę — cóż? także na jarmarczek?

— A tak.

— Ślicznie, będzie nam weseléj; jeszcze niema nikogo. Ja kupuję konie, a pan co?

— Ja, woły — rzekłem niedbale,—potrzebuję kilka par. Co to?—dodałem z niechcenia, — flaki? dobre?

— Wyborne; rekomenduję.

Kazałem sobie dać porcję, a tymczasem napiłem się kieliszek wódki. Flaki podano mi na ten sam stolik, przy którym siedział mój znajomy, popijający już w téj chwili porter z stojącéj przed nim półbuteleczki.

Zrepetowawszy flaki, które rzeczywiście bardzo mi smakowały, wypadało się czegoś napić, a że mój współ-

biesiadnik pił porter, sądziłem, że nie godziło mi się żądać piwa.

— Panno! — zawołałem, — półbutelki porteru.

— Czy oryginalnego?

— Rozumie się — odrzekłem z uśmiechem politowania, który udzielił się i młodemu obywatelowi.

— Cóż robimy? — rzekł, zapalając cygaro i częstując mnie drugiém — wartoby się przejść po mieście.

— Miałem tę samą myśl; przejrzę woły, może już jest co.

— A ja, konie.

Wyszliśmy na miasto; obadwaj mieliśmy torebki podróżne, przewieszone przez plecy, tylko że mojego towarzysza była zapewne z pieniędzmi, a moja próżna, bo wziąłem ją jedynie dla nadania sobie pewnego charakteru; cały mój majątek wynoszący kilka rubli, znajdował się w portmonetce umieszczonéj w jednéj z kieszeni. Zamiast do wołów, poszedłem z p. Gustawem do koni, w tak zwany „Okólnik“, gdzie ze dwie godziny spędziłem na gawronieniu się i dysputach w materji „sportu“, aż do godziny obiadowéj.

W sąsiedztwie targowiska końskiego, jest zawsze kilka restauracji dla koniarzy, ale miałem ważny powód powrócenia do naszego hotelu, gdzie mogłem jeść na rachunek stryjenki, nie potrzebując płacić gotówką. Już byłem po obiedzie, piwie bawarskiém, kawie, i właśnie zapalałem cygaro w numerze, gdy nadeszła stryjenka, która, jak się pokazało, niepotrzebowała słuchać moich improwizacji, bo wiedziała więcéj o wołach niżeli ja, i zadecydowała, że jutro od rana trzeba się wziąść do kupna. Resztę dnia poświęciła na drobniejsze sprawunki, ja zaś na wałęsanie się po mieście.

Nazajutrz rano udaliśmy się na targ. Wiadomo wszystkim znającym jarmarki łowickie, że wołowe targo-

wisko znajduje się, a przynajmniéj znajdowało, na placu tuż obok klasztoru panien bernardynek, w którego podwórzu opatrzoném w studnię wolarze poją bydło, prowadząc sztuka po sztuce jakby w procesji. Stryjenka genialnie korzystała z téj okoliczności; wyniesiono jéj w podwórze przed sień pomieszkań klasztornych jakiś stary fotel, niegdyś może służący do celebry, na którym zasiadłszy, otoczona ciągle, jakby dworem zmieniającemi się starszemi dygnitarkami zgromadzenia, robiła przegląd prowadzonego do wody bydła, a gdy która sztuka wpadła jéj w oko, wołała do siebie jéj właściciela i pytała o cenę.

Na jéj wymienienie, zwykłą stryjenki odpowiedzią, było wzruszenie ramion i parę słów, jak np. „chyba żartujecie“, albo „w imię ojca i syna, kto wam tyle da?!“ i t. p., czemu wtórowały jednogłośnie zakonnice żegnając się, albo mówiąc: „Jezus Marja!“ bo wierzyły w rozum pani sędziny (jak nazywały stryjenkę), niby w cztery tuzy.

Co do mnie, dowiedziałem się wkrótce po com był stryjence potrzebny; gdy podobał jéj się który wół, delegowała mnie na rynek do przetargowania, polecając ofiarować niby od siebie pół powiedzianéj ceny, przyczém w targu miałem dowiedzieć się zręcznie „od czego ostatniém słowem nie będzie“. Stryjenka miała pod tym względem prawdziwie kobiecą naturę; nie chodziło jéj o to, aby kupić co dobrego; lecz jak można najtaniéj, a targowanie się było jéj żywiołem; gdyby który z wolarzy zacenił jéj przez żart, pół rzeczywistéj wartości wołu, czułaby się w obowiązku zdumieć nad wysokością ceny i podać połowę. Ja do tego byłem tak zdatny, jak wół do karety, bo w życiu mojém nie targowałem się; wkrótce przeto stryjenka przekonała się, żem był bezużyteczny, i pomijając mnie zupełnie, przeniosła swoje zaufanie na sprawniejszego pod tym względem starego Pawła Grala-

ka parobka, przybyłego za nami dla zapędzenia kupionych wołów do domu. Grałem więc odtąd rolę bierną i stałem jak głupi pod spojrzeniami zakonnic, które wskazywały na mnie palcami, szepcąc do siebie: „to synowiec pani sędziny“, i przyglądały mi się widocznie nie jak osobie, lecz rzeczy. Czystości spojrzeń, lubo nie wolnych od ciekawości, nieprzyjacielby im nie odmówił.

Po czterogodzinnym zaciętym targu, kupiła stryjenka ledwie dwa woły, i powróciliśmy przecie do hotelu na obiad, który przyniesiono nam do numeru; byliśmy już po pieczystem, gdy wszedł właściciel zajazdu, a zwracając się ku mnie, którego widać uważał za głowę, rzekł:

— Jeżeli państwo dobrodziejstwo zostają jeszcze na dłużéj, to od dziś muszą zapłacić pięć rubli za dobę.

Uśmiechnąłem się i zrobiłem giest mający znaczyć, że to rzecz prosta, i ten pan niewiedzieć po co fatygował się do nas. Ale stryjenka wstała śpiesznie, i przystąpiła do gospodarza:

— Co pan gadasz? — zapytała — pięć rubli za dobę?

— Tak jest, pani dobr., to moje żniwo; goście zaczynają się zjeżdżać i numera wszystkie pozamawiane po téj cenie.

— Ani grosza więcéj nie dam nad zwykłą cenę...

— Jak się pani podoba, ale w takim razie...

— Rozumiem; wyniosę się bardzo chętnie; *panna matka* wczoraj jeszcze zapraszała mię do klasztoru, odstępując mi własnéj celi; będę miała jeszcze wygodniéj.

— To bardzo dobrze, bo téż gość jeden czeka na ten numer.

— Proszę przysłać rachunek — rzekła stryjenka za odchodzącym.

Podczas téj rozmowy chciałbym się był zapaść pod ziemię; nie śmiałem spojrzeć na oberżystę, wstydząc się

tego targu, jeszcze w przekonaniu na ówczas mojém, obrzydliwego; tém bardziéj, gdy wspomnienie o przeniesieniu się do klasztoru, uważałem za prosty wybieg, aby oberżystę uczynić przystępniejszym. Tymczasem z podziwieniem ujrzałem stryjenkę biorącą się do pakunków.

— Jakto? — rzekłem — czy stryjenka rzeczywiście myśli przenieść się do klasztoru?

— A naturalnie; chybabym rozumu nie miała; może mnie to będzie i więcéj kosztować, bo wypadnie im się czém wywdzięczyć, ale przynajmniéj nie podam ręki derusostwu, a dopomogę tym co potrzebniejsi.

— A ja, gdzież się podzieję?

— Znajdzie się i dla ciebie miejsce.

— W klasztorze panien?

— Kapelan ma osobny domek w ogrodzie; z nim się pomieścisz.

Pomimo oburzenia, nie miałem czasu na dysputę, bo w téj chwili przyniesiono rachunek. Stryjenka spojrzała nań i przeżegnała się.

— Cztery ruble i 15 kopiejek za dobę! — zawołała zdziwiona i zaczęła czytać.

— Śniadanie: wódka, flaki... nie miałeś jendora i kapłonów?... pocóżem je wzięła?... porter 60 kopiejek!!... Jezus Marja, zwarjował!... obiad: wódka... znowu wódka!... zupa, sztuka mięsa, comber barani, mizerja... osobno rachowana!... potrzebna ci mizerja... piwo kop. 15!... Ślicznie bym wyszła, gdybyś tu co dzień zajadał!...

— Jeżeli stryjence tak trudno o te parę rubli — rzekłem urażony do najwyższego stopnia,—to ja zapłacę z mojéj kieszeni...

— Kiedyś taki wielki pan, to trzeba było od razu płacić, a nie podawać do rachunku.

Tego było zanadto; nie powiedziawszy słowa, zgrzytnąwszy tylko zębami, wziąłem z rąk stryjenki rachunek i wyszedłem trzasnąwszy drzwiami. Na dole w bufecie

zapłaciłem rubli 4 kop. 15; miałem wszystkiego siedm rubli, zostało mi więc dwa ruble i 85 kopiejek; tę resztę schowałem do portmonetki i wzburzony wyszedłem na miasto, nie wiedząc sam co z sobą zrobić. Położenie moje było tém przykrzejsze, że czułem iż stryjenka miała słuszność; mogła była wyrazić się delikatniéj, to prawda, ale zaprzeczyć nie mogłem, że nie miałem prawa dogadzać podniebieniu z cudzéj kieszeni.

Przejście to dopełniło miarki, która potrzebną była dla dokonania przewrotu w moich przekonaniach. Czułem, że gotówem był poprzestać na kawałku czarnego chleba i wziąść się do najcięższego rzemiosła, nawet nieprzystojącego synowi obywatelskiemu, byle pozbyć się téj skóry pasożyta, w którą się oblekłem i stanąć jako jednostka niezależna, użyteczna w społeczeństwie.

W tém usposobieniu, błąkałem się przez parę godzin po mieście, spoglądając machinalnie na rosnący z każdą godziną ruch jarmarczny; silne postanowienie odrodzenia się przez pracę umocniło mię, i lubo nie wiedziałem jeszcze co pocznę i jak wybrnę z obecnego położenia, czułem się silniejszym i gotowym na wszystko. Opatrzność, gwiazda świecąca każdemu, ktokolwiek się na nią nie spuszcza, zesłała mi Leosia, którego spotkałem niespodziewanie. Zabiło mi serce na jego widok, bo on był moją w téj chwili ucieczką; spojrzałem nań z obawą, bo nauczyłem się już nie dowierzać. Ale Leoś, zaledwie mnie przywitał, rzekł pytająco:

— A cóż, nasz projekt?

Któżby wątpił, że przygotowany na wszystko, przyjąłem skwapliwie to, co najświetniejszego mogło mi się zdarzyć?

Rzuciłem się Leosiowi na szyję, i opowiedziałem co mię spotkało.

*



Stryjence po dziś dzień wdzięczny jestem za jéj niedelikatność, która stała się wybornémlekarstwem. Dzięki jemu, dziś jestem szczęśliwy, chociaż w ubogim domku i przy twardém rzemiośle karczownika leśnego, które kiedyś wyszydzałem. Przy boku moim pracuje, śmieje się i śpiewa Stasia — ale nie ta Stasia, którą przy pierwszém z nią spotkaniu uczyniłem uczestniczką widoków na spadek po stryjence; widoki te rozwiały się i zawiodły tak samo, jak zawodzi gwiazdka z nieba, szybka z okna, lub wielki los na loterji, których się napierają dzieci małe i duże. Stryjenka żyje i żyć jeszcze będzie wieki, a Stasi w posagu dała tylko skromną wyprawkę. Ale więcéj nie potrzebowałem; żona moja wniosła mi w dom największe wiano, bo serce przywiązane, głowę nie przewróconą i dobry przykład. Kochamy się, pracujemy i tak nam dobrze, jedząc własny chleb, że nie mienialibyśmy się na najświetniejsze w społeczeństwie stanowisko.

Może przecież kto dziwić się tak prędkiemu nawróceniu i zastosowaniu się łatwemu do położenia. Na to odpowiem, że nie tak trudne to zadanie dla każdego pasożyta, jak mu się wydaje; niech tylko wymodli sobie tę łaskę, aby dzień jeden chociaż, mógł poczuć się człowiekiem przydatnym na coś i powiedzieć sobie, że kawałek, chleba, który spożywa, jest własną pracą zdobyty —

w jednéj chwili, tak go to przekonanie podniesie, tak uzacni przed własnym sądem, że nawrócenie jego nie wątpliwe.

Sensem moralnym, zakończyłem opowiadanie—przepraszam, zapomniałem się.

RYCERZE KIELISZKOWI.



ic zapewne dotykalniéj nie przekonywa o téj prawdzie, że z pokolenia w pokolenie upadamy i karłowaciejemy, jak pogląd na dzieje nasze pijackie.

Niegdyś pito dla tego, aby pić... pijactwo było sztuką, którą z zamiłowaniem uprawiano, a w niektórych okolicach lub rodach doprowadzono do możliwéj doskonałości — dziś, my karły pijemy dla konkokcji, dla zaostrzenia apetytu lub ułatwienia trawienia.

Ongi, gdy pan chorąży przytknąwszy do ust garncowy puhar, wychylił go duszkiem, to pan skarbnik idąc z nim o lepszą, położył się pod beczką, odkręcił kurek i lał w gębę jak w wiadro tak długo, aż go zluzował pan miecznik, albo podstoli.

I myślicie, że im to szkodziło?... gdzie tam! szli do studni, leli sobie na czupryny zimną wodę, i kładli się spać pokotem, aby wstawszy pić na nowo.

A dziś, miły Boże! gdzie się podziała tradycja? gdzie nauka zawarta w przysłowiach? pomiatamy nią.

„Ze szkłem nie godzi się bawić, bo to kruche i tłucze się,“ — mawiano; dla tego téż kto dostał w rękę

kielich, wypróżniał go co prędzéj bez wzdragania się i oddawał drugiemu.

„Po rosole wypić kieliszek wina, to to samo, co doktorowi wyjąć dukata z kieszeni“ — więc pito po rosole.

„*Post pisces vinum misces*“ więc pito po rybach.

Pito nawet po bigosie, choć to podobno nie zdrowo—bo jak mówiono, pije się nie po kapuście tylko po języku.



Co do wody, tę lano tylko jak mówiłem, na łby kurzące się—do żołądka jéj nie dopuszczano bo od tego „trzcina wyrasta.“

A dziś! olbrzymie kielichy po przodkach oglądają się po skarbcach, jak dziwowiska, — a trzeba Cicerona, żeby objaśnił, że ten bez podstawki, to *kulawka*, którą trzeba było wychylić do dna, bo w kolejce odbierano tylko próżne, a wylać wino było zbrodnią, na którą niktby się nie odważył; ten drugi znów był tak urządzony, że gdyś przestał łykać by spocząć, krztusiłeś się,

plułeś w wino, i robiło się *fiasco*. Więc trzeba było wypić.

Wszystko to już dziś należy do historji.

Ale nie potrzebujemy sięgać dawniejszych czasów, — jeszcze dwadzieścia lat w tył, było inaczéj, niż dziś.

— Mój Boże! — mówił do mnie nie dawno, podając buteleczkę wody sodowéj, oberżysta w powiatowém mieście, pamiętający tę epokę — gdzie to się owe święte czasy podziały! to byli ludzie panie, dziś tylko egoizm, sobkostwo.

I miał słuszność.

Dawniéj u niego, gdy zjechało się przypadkiem kilku sąsiadów i zasiedli do jedzenia, który bądź, (a była pod tym względem emulacja), odzywał się niebawem: „co się napijemy?“ i kazał podać jednę i drugą butelkę obranego wina. Drugi współbiesiadnik nie zostawał w tyle, i nim wino pierwszego zostało wysączone, już jego butelki stały na stole. Chwalebny przykład naśladował trzeci i czwarty, bo jak tu pokazać się „ba i bardzo“ — i pijatyki bez żadnéj racji improwizowały się niemal co dzień.

Dziś, przy podobnych spotkaniach, każdy z osobna woła do kelnera:

— Daj mi piwa drozdowskiego!

— Jedno? — pyta kelner.

— A naturalnie — odpowiada konsument bez zarumienienia.

Drugi znów, żąda połówkę St. Julien, albo Château Lafitte, i pije solo, nie troszcząc się o resztę towarzystwa.

Nie mniejsza zmiana zaszła i w zebraniach prywatnych. Na imieninach i innych uroczystościach podają kieliszki wprawdzie bardzo zgrabne, jedne do węgrzyna, drugie do reńskiego, inne do win desserowych, ale wszystko małe — a lokaj albo sam gospodarz do-

mu, dolewa tylko w miarę jak kto wypił, bez *prymuki.*

Inaczéj było jeszcze dwadzieścia lat temu.

Po wychyleniu kilku mniejszych kieliszków, gospodarz, albo, jeżeli sam był solenizantem, to ktoś z zaproszonych matadorów, wstawał uroczyście z wielkim kielichem wina w jednéj ręce, drugą przytrzymując serwetę pod brodą, i wnosił zdrowie w ręce szanownego sąsiada. Wychyliwszy duszkiem, wysączył resztę na paznokieć, wytarł krawędzie kielicha serwetą i oddawał drugiemu. Po przejściu kolei, solenizant dziękował, poczém wnoszono tym samym kielichem, albo nie wiele mniejszym, zdrowie wszystkich znakomitszych biesiadników, porządkiem starszeństwa wieku lub godności, zdrowie dam, wszystkich z osobna stanów reprezentowanych przez obecnych, młodzieży, wreszcie „kochajmy się!“

Dziś, jeżeli to wszystko robią, to małemi kieliszkami, aż wstyd.

Prawda, że za to młodzież może bezpiecznie tańczyć i bawić się z płcią piękną aż do białego dnia, i kobiety nie są zmuszone uciekać od stołu przed skończeniem obiadu — ale co to ma do tego!

Tradycja zgubiona!

Dawniéj ojcowie pilnowali synów. „Kostek pokaż się!“ — mawiał do 18-to letniego synalka wzdrygającego się przed olbrzymim kielichem, stary pijus łęczycki — „wszakżeś ty mój syn! nie rób mi wstydu!“

Albo ta znana odpowiedź pana radcy, który dostawał już nudności i byłby chętnie skwitował z podanego mu kielicha, a gdy żona będąca przy nim radziła, aby wylał resztę wina w doniczkę z kwiatami, bo nikt właśnie nie patrzy, rzekł: *„Pan Bóg patrzy!“*—i wychylił resztę pomimo czkawki.

— „Wolę dukata zgubić, niż kroplę wina“ — mawiał pan prezes.

Mogę także przytoczyć pana Kalasantego, który najpierwszy zwykle zrzynał się, chociaż miał niezawodny środek na wytrzeźwienie po spiciu się węgrzynem, spory kieliszek sprytu. Ale cóż, kiedy wychyliwszy go, nie był w stanie ruszyć ani ręką ani nogą; padał więc na kanapę i spał kilka a czasem kilkanaście godzin. Budził się przy końcu pijatyki, gdy już goście się rozjeżdżali. Przecierał oczy, ziewał, wyciągał członki, potem stawał na środku pokoju, i rzucając trjumfujące spoj-



rzenie na bladych niedobitków, nosowym głosem intonował bezczelnie na nutę wiwatowego oberka:

> Miałem się dziś chętkę upić, lecz wina nie stanie,
> Zatem gospodarzu przyjmij pożegnanie!

Na taki publiczny afront, gospodarz który wzdychał już do spoczynku, zamykał drzwi na klucz, wydawał polecenie zdejmowania kół ze stojących przed dworem bryczek i kazał przynieść wina, aby przekonać gości że go nie braknie.

Weźmy wreszcie pana sędziego. Co to u niego bywały za pijatyki! jak animował, jak prosił i molestował całując każdego coraz niżéj, tak, że zaczynał od policzków i ramion, a kończył na brzuchu. I jak tu było nie pić!

Pamiętam, że raz tak się naprzykrzał, tak błagał jednego z sąsiadów, rekonwalescenta, skazanego z powodu jakiejś sercowéj choroby na mleczną djetę z zabronieniem trunków pod karą śmierci, że biedak wy-



całowany w żołądek, wzruszony dowodami staropolskiéj gościnności sędziego, spił się jak bela, i w trzy dni umarł.

I myślicie, że pan sędzia miał z tego powodu wyrzuty sumienia? gdzie tam! jedyną oznaką skruchy były słowa: „djabliż wiedzieli, że mu zaszkodzi!“

Raz na podobną pijatykę, trafili do sędziego pan Ignacy z panem Mateuszem. Pierwszy mieszkający o milę drogi, przyjechał był za jakimś interesem do drugiego, którego wioska leżała bliżéj ale z przeciwnéj

strony majątku sędziego. Zgadało się o tym ostatnim, a że obaj okazali chętkę nawiedzenia go, więc pan Ignacy zabrał na swoją bryczkę pana Mateusza.

Gdy w nocy przyszło rozjeżdżać się w stanie prawie bezprzytomnym, koni pana Mateusza nie było, bo zapomniał kazać przyjechać po siebie, więc bardzo naturalnie pan Ignacy oświadczył, że go odwiezie, tak samo jak go przywiózł.

Na bryce, już za bramą, przypomniało się panu



Mateuszowi, że to nie będzie po drodze dla pana Ignacego; więc gwałtem zsiadł z bryki, oświadczając, że aby nie robić sąsiadowi ambarasu, pójdzie pieszo do domu.

Na te słowa pan Ignacy zeskoczył za panem Mateuszem i zaklął się, że jeżeli nie wsiądzie napowrót, to on także pójdzie z nim razem — pijanego nie przeprze, więc szli tak z wiorstę drogi ściskając się, śliniąc i oświadczając z przyjaźnią — wreszcie utknąwszy gdzieś w rowie, zasnęli w wzajemnych objęciach, jak przy-

stało na dobrych towarzyszów — i co powiecie? obudzili się nad ranem zdrowi i z jak najlepszym apetytem.

Czyby to zrobił kto w dzisiejszych czasach egoizmu i zniewieściałości? Tak to się dawniej bawiono i kochano! Święte, błogie czasy, gdzieżeście się podziały? Jakież wyobrażenie o nas charłakach będą mieli synowie i wnuki?

PIERWSZE KOLCE

w literackim zawodzie.



wspomnienia uroczych lat młodości! nie wszystkie różowemi głoskami wypisujecie się na tle późniejszych reminiscencji. Są z was niektóre, co nasunąwszy się cofniętéj w przeszłość myśli, wywołujecie rumieniec zawstydzenia, albo nie miły obraz bolesnego przejścia.

Jedném z podobnych wspomnień, pragnę się podzielić z wami czytelnicy, i opowiedzieć zdarzenie, zdolne, nie wątpię, wywołać w was współczucie dla bohatera, którym niestety ja sam byłem w własnéj mojéj osobie.

Działo się to przed dwudziestu kilku laty. Byłem naówczas czwartoklasistą w jednéj z szkół warszawskich, nie powiem któréj dla powodów, które łatwo zrozumiecie. Od najmłodszych lat miałem żyłkę autorską: wśród grona rówienników improwizowałem nieraz teatra amatorskie, sam układając komedje i dramata, które jako nie drukowane, nie doszły dzisiejszych czasów, lecz były przez nas grywane i cieszyły się niezmierném powodzeniem, z tego zwłaszcza powodu, że nie miały innych widzów jak samych aktorów; pisałem także wiersze i powieści pretensjonalno-napuszystym stylem, który

wielkie robił wrażenie na wyobraźni współkolegów; przed starszymi jednak, tak z obawy, jak przez skromność wrodzoną, kryłem się z temi pracami, i zdawało mi się, że gotów byłbym w ziemię się zakopać, gdyby to emancypowanie się moje wyszło na jaw. Zrozumiecie więc, jak wiele kosztowało mnie zdarzenie, które opowiem.

Było to na lekcji religji i moralności. Ksiądz N. wykładający ten przedmiot, trzymał nas w ryzie i nie znał się na żartach: było więc cicho, jak makiem zasiał. *Wyrywany* już przez niego w tym tygodniu, więc spokojny, że mię dziś nie zapyta, wziąłem podczas egzaminowania innych kolegów *bruljon* i bazgrałem w nim sobie swoim zwyczajem.

Wiadomo każdemu co' to jest bruljon studencki; rodzaj raptularza, w którym znajdziesz wszystko: jak w wieży Babel pomięszane języki i umiejętności, bajka obok figur geometrycznych, historja powszechna z chemją i algebrą, a wszędzie nosy, usta, ręce i rozmaite członki wśród psów, kotów, ptaków, a często i zagadkowych jakichś postaci, jakby z apokalipsy wyjętych. Każdy student jest artystą w zarodku; bodaj nie znałem ani jednego, coby nie miał pociągu do rysunków z natury. Nie brakowało ich i w moim bruljonie, który jednak przedewszystkiém napełniony był płodami weny piśmienniczéj. Ów tedy bruljon położywszy przed sobą na ławce, ukryty po za barczystym kolegą, który siedział przedemną, pisałem artykuł przeznaczony do wydawanego przez bractwo literackie czwartéj klasy pismo, którego ja głównym byłem redaktorem. Pismo to, prawdziwe pismo, bo nie drukowane, wydawaliśmy w objętości półarkusza dwa razy w tydzień, a wolno je było czytać tylko prenumeratorom. Pisałem artykuł pośpiesznie, bo dziś jeszcze po południu numer wyjść był powinien, a brakowalo ćwiartki; zatopiony w pracy, zapomniałem

o lekcji i o księdzu prefekcie, gdy z tego stanu wyrwało mię] głośne, nosowym tonem wymówione zapytanie:

— Co on tam pisze? — po którém nastąpiły dwa potężne kułaki przez moich sąsiadów w znaczeniu ostrzeżenia pod żebra wymierzone.

Struchlałem; a gdy złożywszy szybko bruljon bez względu na mokre jeszcze pismo, podniosłem oczy, ujrzałem tuż przed sobą ks. prefekta, który nie widziałem kiedy zszedł był z katedry. Surowe i ironiczne jego spojrzenie, wydało mi 'się w tę chwilę wzrokiem Meduzy.

— Pokażno kochanku, nad czem-eś się tak zapracował, ·hę? zamiast uważać co się mówi na lekcji — rzekł biorąc z moich rąk bruljon, którego schować nie miałem ani czasu, ani siły. — Na środek! — dodał, idąc z zeszytem do katedry.

Stać na środku, była to najniższa z kar poprawczych kodeksu szkolnego; machinalnie, nie zdając sobie sprawy z następstw fatalnego wypadku, wyszedłem z ławki i stanąłem przy piecu.

Ksiądz prefekt zasiadłszy w katedrze, zaczął przeglądać bruljon, robiąc głośne uwagi.

— Błazeństwa jakieś zamiast nauki, hę! Co to jest? „Rozkład nauk. Niedziela: ubranie, kościół, tańce, spacer lub coś podobnego. Po południu przechadzka, agitacja, ecetera tym podobne“. Jakie to ecetera tym podobne? hę!... czyli raczéj psie figle!... hebes!

Trzeba wiedzieć, że ks. prefekt miał zwyczaj nazywać nas hebesami. Przerzucił kilka kartek.

— „*Ha, ha, ha!* Improwizacja“.

Pod tym pretensjonalnym tytułem znajdował się opis jakiegoś balu, podpatrzonego okiem piętnastoletniego spostrzegacza.

— Co to? romanse pisze, czyli raczéj błazeństwa, a lekcji nigdy nie umie, hę? poczekaj! — i przerzucał da-

léj kartki. — Aha! znowu romans;... a jakie pismo! co chciałem mówić, bazgrze jak kura. — Poprawił się w fotelu, i czytał wolno, syllabizując prawie, bo rzeczywiście pisałem bardzo nie wyraźnie, a przytém nie brakowało przekreśleń i poprawek: — „W tych dniach stało się wielkiéj wagi zdarzenie, które nie tylko łączy rozwiązłą chciwość z nikczemną podłością, ale nawet chciwą rozwiązłość z podłą nikczemnością". Nie wiedzieć co! kto uczył takiego wiązania pojęć? hę!



Ks. prefekt zaczął przeglądać opis pewnéj skandalicznéj, brukowéj historji, z rodzaju tych, o jakich studentom wiedzieć się nie godzi. Ale po kilku wierszach krzyknął:

— Hebes! takie rzeczy będzie opisywał!... a pacierz umié? hę!

Zdawało mi się, że stoję na szpilkach, nie wiedziałem bowiem, gdzie oczy podziać: ze wszystkich punktów sali, prześladowały mnie spojrzenia kolegów, szydercze,

bezlitosne; naśmiewały się wystawione języki i *marchewki* na palcach.

Ksiądz prefekt czytał wciąż:

— „*Kometa*. Pismo romantyczno-klasyczne, wychodzić będzie perjodycznie dwa razy w tydzień; artykuły będą zajmujące. Prenumerata z góry, na każdy miesiąc złoty 1. Redaktor główny...“ — przeczytał moje nazwisko.

— A! witam pana redaktora głównego! do twarzy mu pod piecem, czyli raczéj na kolanach... proszę klęczeć!... Hebes! .. artykuly zajmujące; poczekaj! skorryguje prospekt p. inspektor.

I znowu przewrócił kilka kartek.

— Co to, wiersze?... „*Do sztambucha kolegi*;...“ najprzód powinieneś wiedzieć, nie mówi się sztambuch, tylko imionnik... chciałem mówić... imionnik, rozumiesz — i czytał syllabizując:

„Ileż to wspomnień! miłych pamiątek!
„A wyciągając zawikłany wątek,
„Znajduję przyjaźń i braterską miłość,
„Trwałą wzajemność i lubą tkliwość...“

— Miłość i tkliwość, śliczne rymy; a i sens, chciałem mówić nie lada. A to co? „pamiętnik!“

Strętwiałem, gdy zaczął czytać powoli, wyraz za wyrazem:

— „Po powrocie ze świąt, pierwszego dnia spóźniłem się. Pierwszą godzinę od 8 do 9 miał P. (nazwisko było wypisane) profesor arytmetyki, człowiek godny ze wszech miar, powolny, wierzący wszystkim figlom i wymysłom studenckim...“ Hebes! profesorów będzie opisywał!... czyli raczéj redaktor... — i zwracając się do ławek: — Prymus! — zawołał — idź poszukaj pana inspektora.

Prymus wyszedł, a ks. prefekt czytał sobie po cichu pamiętnik mocno mię kompromitujący, odmalowałem

w nim bowiem dość jaskrawemi farbami dwóch czy trzech profesorów. W czasie czytania spojrzał na mnie parę razy groźnie z pod oka, mruknąwszy coś pod nosem. Skończywszy, przerzucił parę kartek, i znalazł nowy przedmiot do krytyki:

— Znowu „wiersze do sztambucha“... wierszokleta!... pewno takie mądre, jak tamte:

„Miesiące za miesiącami płyną,
„I te co nadejdą, znów miną—
„Ja zaś jak biedny ubogi,
„Przeszedłem wszystkie drogi,
„Nie na to, aby nosić na głowie korony,

— Ośle korony, hebesie.

„Ani téż zarobić na bogate zagony;
„Oto szukam przyjaciela miłego,
„Wielkiemi cnotami napełnionego.

— Nie wiedzieć co!... redaktor... chciałem mówić, hebes! będziesz wiersze składał po dwunastéj z p. inspektorem.

Pochyliłem głowę z rozpaczą; a nie spowodowała jéj zapowiedziana koza, lecz wiersze, które czytane przez ks. prefekta, istotnie barbarzyńsko brzmiały w uszach.

— A toż co? — zawołał po chwili — dalszy ciąg pamiętnika... „Dzień dzisiejszy jest tak wielki, tak...“ co to?... „pamiętny, że nie podobna wstrzymać się od... od... nakreślenia przynajmniéj głównego...“ czego?... „zarysu. Stoczona była bitwa, któréj powód był następujący...“ — Bitwy staczają!... hebesy... tego... nieuki!... Poczekaj; chciałem mówić, przeczyta to pan inspektor... „B...baum, zaczął zanadto nadużywać prawa koleżeństwa, chciał grać jakąś rolę, na drugich nie uważał, zaczął lekceważyć kolegów i naostatek...“ co to jest... „kré... dą...“ aha!... „krédą pewnego dnia zaczął sypać po głowach!...“ B...baum, na środek!

— Nieobecny! — zawołano z ławek.

— Dla czego?... innego wyznania? hę!

— Tak jest! — odezwał się jeden.

— Żyd! — krzyknął któryś z kąta.

— Milczeć! tego... — rzekł poważnie ks. prefekt i zapisawszy fakt w dzienniku, wziął się znowu do mojego bruljonu.

Następował tam daléj opis bitwy homerycznéj, któréj główni bohaterowie, z nazwisk wymienieni byli przezemnie. Czytając tę świetną epopeję, ks. prefekt wywoływał po kolei winowajców na środek klasy, nie szczędząc epitetów i obiecując każdemu surowe *monitum* po dwunastéj. Zdradzeni w ten niewinny sposób przezemnie, pokazywali mi pięści, które raczéj przeczuwałem niż widziałem, bo w oczach mi się ćmiło.

Ale nie na tém koniec. Przeglądając daléj bruljon, trafił ks. prefekt na stronicę, któréj treść krwią swoją byłbym zamazał w téj chwili. Była to parodja kazania, w rodzaju tych, jakie ks. prefekt, bardzo lichy kaznodzieja i z tego powodu nawet wkrótce usunięty, miewał dla nas co niedziela.

— W imię ojca i syna!... „kazanie postępowe z XIX wieku, dla młodzieży w wieku rozwoju żyjącéj". Kazania pisze!... Bóg widzi! bezczelność!

Zawołał na środek jednego z uczniów, uchodzącego za biegłego lektora.

— Czytaj głośno — rzekł oddając mu bruljon — ciekawiśmy tego... chciałem mówić... arcydzieła pana kaznodziei...

Kazanie to, w którém rzeczywiście dosyć zręcznie sparodjowany był sposób wyrażania się ks. prefekta, brzmiało jak następuje:

„Najmilsze dziateczki!"

„Na dzisiejszéj nauce mam wam, czyli raczéj chciałem wam przedstawić trzy ważne rzeczy, trzy ważne py-

tania, które człowiek co rano, chciałem mówić co dzień, ma się siebie pytać.

„Coś ty jest za jeden? hę? kto ty jesteś?

„Jestem wózek z ciężarem bydlęcym, ciągniony pod górę i opierający się, czyli raczéj chciałem powiedzieć, z największém tém... usilnością opierający się dobremu.

„Jestem wózek popychany z góry na dół i lecący jak najszybciéj, czyli raczéj chciałem mówić wpychany z swojemi namiętnościami w bezdenną otchłani przepaść.

„A pokora, nie wiecie co to jest, hę? chciałem mówić czyli raczéj do czego potrzebna, hę? bez pokory mądrym uczniem nie będziesz, tylko głupim uczniem. Ona to przymusza i skłania, czyli raczéj chciałem powiedzieć przyczynia się do wstrzymania różczki wiszącéj. Na pokorze, w waszém młodém doświadczeniu, wiecie, czyli raczéj przekonaliście się, hę! stracił który kiedy, gdy był pokorny? Pokora, jest-to wołający na puszczy, czyli raczéj chciałem powiedzieć, przez nią najłatwiéj wszystko ci przebaczą.

„Kłamstwo prowadzi do... najmilsze dziateczki, czyli raczéj chciałem powiedzieć, nie kłamajcie, bo kto kłama, ten prawdy nie powie, czyli raczéj nie wierzą mu. Ono, to jest niby przez ono, przyprowadzicie się do występków i wiecznych cierpień, czyli chciałem mówić, że wiecznie będziecie skazani na kary i ukarania.

„A wiecie co to wieczność?

„Wieczność jest morze bez początku i końca, z którego co 10,000 lat kropla wody ubywa; — ale to nie jest jeszcze wieczność.

„Wieczność chciałem mówić, jest-to pustynia nieskończenie wielka, z któréj co 10,000 lat ziarnko piasku ubywa; — ale to nie jest wieczność.

„Wieczność jest-to, czyli raczéj skała, w któréj wró-

bel co 10,000 lat raz dziobkiem dziobnie, ale to nie wieczność.

„Starajcie się więc i dobrze postępujcie, a będziecie pociechą dla rodziców i przełożonych. Całujcie w ręce nauczycieli, ażebyście ich słuchali, hardemi nie byli, czego wam i sobie życzę. Amen“.

Wezwany do czytania uczeń, doskonale wywiązał się z polecenia; cała klasa pokładała się ze śmiechu, ks. prefekt zaś dopiéro po niewczasie zmiarkował co się święciło. W smutném mojém położeniu, znalazłem przynajmniéj pociechę w przekonaniu, iż malowidło mi się udało i portret był trafiony. Było to z mojéj strony maleńką zemstą, która wszakże drogo mię kosztowała.

Wśród wesołości obudzonéj czytaniem, drzwi się otworzyły i przy nastąpionéj z tego powodu raptownéj ciszy, doszedł do uszu moich szept z ust do ust przechodzący: „Ćwik! ćwik!“

Ćwik, była to we wszystkich szkołach używana, popularna i tradycją uświęcona nazwa inspektora, mająca za źródłosłów, widocznie ćwiczenie w skórę.

Krew we mnie zastygła.

Rozpoczęlo się objaśnienie sprawy przez ks. prefekta, wraz z złożeniem *corporis delicti*, nieszczęsnego owego bruljonu. Inspektor poważnie wysłuchał wszystkiego i kazał nam się zatrzymać w klasie po dwunastéj.

Gdy po rozejściu się uczniów zostaliśmy sami, nastąpiła indagacja, ale tylko co do sprawy skompromitowanych przezemnie kolegów. Co do mnie, przestępstwo było widoczne, dowody jasno mówiące: nie potrzebowałem ani prokuratora, ani obrońcy.

Pan inspektor okazał się recenzentem surowym nad wszelki wyraz. Krytyka, którą mię dotknął, była kwintesencją zoilowskiéj żółci; każdy jéj wyraz palił mię piekielnie, a ogólne wrażenie bylo tego rodzaju, że na

długo powinno było wytrącić mi pióro z ręki. Ale Bogiem a prawdą, był-to groch rzucony na ścianę, a żem się nie poprawił, macie najlepszy dowód w wyjściu na świat tego opowiadania.

DYLETANT.

Pan Bonifacy jest dziś zwyczajnym sobie obywatelem na wsi —gospodaruje zawzięcie, ulepsza płodozmian, zaprowadza dreny i irrygacje, oraz poprawia inwentarze, czego wymownćm świadectwem był otrzymany przezeń na wystawie rolniczéj list pochwalny za buhajka holenderskiego i jałówkę rasy mieszanéj.

Pod względem powierzchowności, pan Bonifacy jest prototypem wiejskiego szlachcica — nosi wąsy sumiaste, brodę i czuprynę krótko strzyżoną, a gdy przybędzie do Warszawy, ogorzałą barwą lic i ruchami, odznacza się wydatnie na tle ruchu miejskiego.

Ale nie zawsze tak było. Nie dawniéj jak kilka lat temu, pan Bonifacy był młodzieńcem pełnym nadziei, i mieszkał w Warszawie, gdzie nazywano go pięknym Bonusiem.

Bogiem a prawdą, nie miał on tu co robić, jako przeznaczony na gospodarza; ale znalazł dwóch czy trzech wujaszków i kilka ciotek, nie licząc dalszych krewnych, w których kółku bawił się bardzo przyjemnie i wesoło. Ciocie i kuzynki pieściły go i uwielbiały, raz jako przyszłego dziedzica nie złéj fortunki, a powtóre, jako chłopca przystojnego i niezmiernie dowcipnego.

To ostatnie wmówiły w niego gwałtem.

Wiadomo, jak wielki wpływ świadomość, żeśmy się

podobali wywiera na środki podobania się. Człowiek wtedy czuje się swobodnym, wymownym, pewnym siebie.

Takim też był Bonuś w towarzystwie ciotek i kuzynek; wszystko co powiedział, wywoływało wybuchy śmiechu, a kilka pań obcych, uczęszczająaych do tego towarzystwa, ani mniéj, ani więcéj, tylko obawiały go się, jako człowieka złośliwego i literata.

Tak jest: Bonuś uchodził nawet za literata, i raz pani Głuptasińska, zapytywana w jego obecności o zdanie w kwestji, o któréj w kole kuzynek toczyły się żwawe spory, odrzekła:

— Ja nie powiem, bo pan Bonifacy jeszczeby mnie wsadził do jakiego pisma.

Bonuś nie wypierał się nadanego mu stanowiska, owszem, sam puścił w świat to o sobie przekonanie, że jest literatem.

Liczył on się do tych dyletantów, których pewny zastęp roi się zawsze przy głównym korpusie literatów i artystów z rzemiosła. Wciskał się wszędzie, gdzie inteligencja lub pseudo inteligencja obierała sobie czasowe obozowisko; więc do pewnych cukierni na kawę poobiednią, więc do niektórych restauracji w zimie, a ogródków w lecie. W miejscach tych, sadowił się jak mógł najbliżéj kółek złożonych z ludzi znanych, starał się być przedstawionym niektórym z nich przystępniejszym, i chciwie przysłuchiwał się prowadzonym rozmowom.

Napakowawszy mózgownicę, bez wyboru, wszystkiém tém, co zasłyszał, dołożywszy do tego zwykle coś swojego, zwłaszcza gdy czego dobrze nie zrozumiał, śpieszył do ciotek i kuzynek, gdzie udawał wtajemniczonego we wszystkie sprawy obchodzące inteligencję.

W tém dopiéro gronie był powagą, jego sądy o teatrze, literaturze, sztukach pięknych, były przyjmowane, jako ostatnie słowo, od którego nie było apelacji. Bo któżby się spierał z człowiekiem, który wszędzie bywa,

zna każdą artystkę, który z artystami rozprawia o sztuce, dzięki stosunkom bywa na próbie każdéj nowéj komedji i jest świadom wszystkich tajemnic zakulisowych.

I dziwić się tu, że w towarzystwach, gdzie podobni do Bonusia dyletanci są wyrocznią, napotyka się nieraz najfalszywsze wyobrażenia o sztuce i jéj przedstawicielach.

Raz ktoś w tém kółku rzucił projekt teatru amatorskiego.

Ciotki i kuzynki pochwyciły tę myśl oburącz, i Bonuś naturalnie obrany został dyrektorem, reżyserem i pierwszym artystą tego teatru.

Jakoż, nie zawiódł położonego w nim zaufania: urządził wszystko, wybrał sztukę i wziął w niéj pierwszą rolę.

Dzień przedstawienia był wielką uroczystością, tém bardziéj, że wybrany na ten cel salon jednéj z ciotek, oglądał między swemi ścianami jakiegoś tuzinkowego reportera, którego Bonuś skaptował umyślnie, zafundowawszy mu sute śniadanie.

Reporter usadowiony w pierwszych krzesłach pomiędzy najstarszemi ciotkami, był świadkiem widowiska, a ufetowany i wykomplimentowany, umieścił nazajutrz w swojém piśmie artykuł, opisujący odbytą z świetném powodzeniem w znanym z gościnności salonie państwa X. zabawę, wymieniając wszystkich mających w niéj udział amatorów i amatorki początkowemi głoskami nazwisk, a na ich czele z pewném odznaczeniem, Bonusia.

To opromieniło go jeszcze większą sławą; ciotki i kuzynki miały niewyczerpany przedmiot do rozmowy na cały kwartał, i każdą kończyły temi sakramentalnemi słowy: „ach! jak ten Bonuś grał! to czysty Żołkowski!“

Tegoż samego roku, jak zwykle, w adwencie, Towarzystwo Dobroczynności miało urządzić w swoim teatrzyku parę widowisk na ubogich. Drogą poczty ko-

biecéj doszła do któregoś z członków, sława Bonusia jako artysty amatora, skutkiem czego ten luminarz rodziny otrzymał zaproszenie do uczestniczenia w zamierzonéj zabawie.

Bonuś widząc w tém zaproszeniu uznanie słusznie mu należne, przyjął skwapliwie, chociaż serce mu zabiło na myśl zaprezentowania się przed prawdziwą publicznością. Ale wierzył w swoje zdolności.

Próba czytana odbyła się pod najpomyślniejszemi auspicjami. Bonuś przeczytał swoją rolę poprawnie.

Naznaczono pierwszą próbę pamięciową.

Bonuś, który jako zdolny amator wziął dosyć dużą rolę, uczył się jéj zawzięcie, studjując w zwierciadle miny i pozy, mające, jak był pewny, wydać się nader efektownie.

Na noc, obyczajem studentów uczących się lekcji, kładł rolę pod poduszkę; przed zaśnięciem i po przebudzeniu się, recytował ją nieustannie, tak, że na pierwszą próbę przybył najpewniejszy siebie.

Bonuś miał wystąpić dopiero w trzeciéj scenie; gdy przyszła nań koléj, wyszedł z najlepszą miną i wyrazem twarzy nastrojonym ad hoc.

Zaczął mówić. Po wypowiedzeniu pierwszych kilku wierszy, dyrygujący próbami, mistrz na polu rutyny aktorskiéj, rzekł grzecznie:

— Za pozwoleniem pana.

I zaczął go ustawiać, ucząc giestu stosownego do sytuacji.

— Proszę jeszcze raz powtórzyć.

Bonuś powtórzył, ale już bez téj pewności, którą miał z początku.

— Źle!... niech pan będzie łaskaw uważać.

I mistrz przybrawszy pozę pełną swobody, zrobił kilka kroków i prosił Bonusia, aby go naśladował.

Gyd przyszło do tego, nasz dyletant zmieszany

przekonał się ze wstydem, że chociaż był już reżyserem, nie ma wyobrażenia o akcji.

Po kilku niefortunnych próbach, dyrektor rzekł:

— No, mniejsza... zostawmy to na późniéj... Niech pan mówi daléj.

Ale nie tak to było łatwo, jak się zdawało. W ławkach widać było kilku ciekawskich widzów, będących plagą wszystkich początkujących dyletantów. Bonusiowi, który spostrzegł pomiędzy nimi parę ironicznych uśmiechów, zaschło w gębie, ale wezwawszy odwagę na pomoc, przełknął ślinę i chciał mówić.

Nie sposób. Wszystkiego zapomniał.

— Czy pan nie umié roli? — zapytał dyrektor.

— Prawdę powiedziawszy, nie umiem; przeczytałem tylko parę razy — odrzekł Bonuś, wstydząc się przyznać, że z wzruszenia zapomniał.

— No, to nic; przysposobi się pan na drugą próbę. Tymczasem niech pan czyta z manuskryptu.

Bonuś poniżony w własném przekonaniu, odczytał rolę, jak student recytujący lekcję z kartki położonéj na plecach kolegi.

Nareszcie skończyła się scena, a z nią męczarnia.

Bonuś miał odejść za kulisy; ale tam czekało go nowe fiasco. W ciasném przejściu spotkał się z wchodzącą właśnie do następnéj sceny jedną z amatorek.

Zdarza się nieraz, że idąc prędko ulicą, spotykasz nadchodzącą z przeciwnéj strony osobę. Chcąc ją minąć, usuwasz się na prawo właśnie w chwili, gdy ona zrobiła to samo — odskakujesz na lewo, ona toż samo, i tak powtarza się do kilku razy.

To samo trafiło się teraz Bonusiowi; można było mniemać, że uwziął się nie wpuścić panny S. na scenę; dopiéro, gdy wśród widzów dał się słyszeć powstrzywany chichot, Bonuś zdobył się na: mille pardons — i przebojem dostał się za kulisy.

Schował się w najodleglejszy kąt, gdzie powziął rozpaczne postanowienie rehabilitowania się; więc zabrał się do odczytywania rekopismu, dając sobie słowo, że przy następném wejściu wyrecytuje rolę z pamięci.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Scena była dosyć dramatyczną; grał rolę męża, który podejrzywając niesłusznie żonę o występne stosunki z przyjacielem, zdybuje ją czytającą list, i rzuca jéj w twarz śmiech pełen ironji.

Wiadomo, jak trudnym jest dla aktora śmiech na scenie — zaledwie wytrawni dają sobie z nim radę. Bonuś sumiennie wypowiedział trzy razy swoje: ha, ha, ha! ale sam czuł, że się śmieje śmiechem skazanego na tortury.

Notujemy w tém miejscu część djalogu.

Mąż. Ha, ha, ha! więc do tego już przyszło? korrespondencja! listy miłosne!!!

Żona. Mój mężu, wstrzymaj się z sądem, pomnij, że...

Mąż Bonuś. Wstrzymać się!... oddawna się już wstrzymywałem, chociaż miałem podejrzenia... byłem cierpliwy... ale co nie uciecze, to się odwlecze... tego... co się... tego... przepraszam...

I zdekoncertowany, ku wielkiéj uciesze publiki, uciekł się do rękopismu.

Żona (wstrzymując się od śmiechu). Zabawny jesteś...

Mąż Bonuś (gwałtownie tupnąwszy nogą). Milcz pani!!

Na tupnięcie nogą Bonusia, odpowiedział krzyk żony tém naturalniejszy, że go nie było w roli. Amatorka miała odciski!

Dalszy ciąg sceny był już improwizacją...

Amatorka. Aj! moja noga! (do Bonusia z gniewem). Jak można być tak nieuważnym!

Bonuś (zmieszany). To nie naumyślnie, daję pani słowo honoru...

Amatorka (z pogardą). Spodziewam się! tegoby jeszcze brakowało! (n. s.) cóż to za głupiec.

Dyrektor (biorąc Bonusia na stronę). Pan będzie łaskaw na drugą próbę wyuczyć się roli... widzi pan, dopiéro gdy się umie dobrze na pamięć, można całą uwagę poświęcić akcji...

Bonuś (czerwony jak burak). Postaram się... (n. s.). Będziecie mnie tu widzieli!

. . . .

Fiasco było kompletne. Na domiar nieszczęścia, pomiędzy widzami znajdowała się jedna z ciotek z młodą kuzynką, do któréj był jak to mówią w pretensjach... były świadkami wszystkiego;

— Bonusiu, bój się Boga, co się tobie stało?—zapytała ciotka z politowaniem, gdy przyszedł po nie do ławki.

— Bierz ich djabli, umyślnie urządziłem im farsę.

— Dla czego?

— Chciałem się zręcznie wycofać.

— Jakto, nie będziesz grał?... co za szkoda... gdybyś chciał, tobyś ich wszystkich zakasował.

— Wiem o tém dobrze, ale nie chcę...

— Dla czego? — zapytały ciekawie obie kuzynki.

Za całą odpowiedź otrzymały wymowne milczenie i giest pełen tajemniczego znaczenia.

. . . .

Na drugi dzień, Bonuś odesłał rolę komitetowi teatralnemu, przepraszając, iż z powodu nagłéj słabości grać nie może, co przyjęto nadspodziewanie dobrze.

Bonuś pod pewnym względem dopiął tego, o co się ubiegał: szybko stał się znanym i głośnym.

Pomimo to, gdy na zwykłych zebraniach spostrzegł,

że spoglądano nań dziwnie i wśród szeptów pokazywano sobie palcami, znienawidził wszystkie kawy literackie, i dał za wygranę, zrzekając się sławy.

To zdarzenie wpłynęło na jego przyszłość. Zniechęcony porzucił Warszawę, i rzemiosło pracowitego próżniaka.

Został hreczkosiejem, i jest dziś daleko mądrzejszym wyrzekłszy się pretensji do mądrości, niż gdy gwałtownie starał się o przywiléj na nią.

UPRZEDZENIA SĄSIEDZKIE.

Miałem lat dwadzieścia cztery wieku, a trzy, praktyki gospodarskiéj na własnym zagonie, gdy skutkiem spadku po wuju zmarłym bezdzietnie, musiałem przenieść się w okolicę obcą mi niemal zupełnie. Mój wuj, stary kawaler, dziwak i tetryk, nie wiele z kim żył, a do tego więcéj przesiedział u wód za granicą i w Warszawie, gdzie miał wynajętą rocznie stancyjkę w hotelu Drezdeńskim, — aniżeli na wsi; dla tego też nie miałem sposobności bywając u niego zawrzeć stosunków i poznać tych stron pod względem towarzyskim. W ostatnich nawet latach bywałem rzadko, bo wziąwszy dzierżawę, na któréj było wiele do roboty, nie miałem czasu wydalać się zbyt często, co zresztą podobało się mojemu wujowi jako dowód, że pilnuję gospodarstwa.

Po objęciu więc majątku, obejrzawszy się po moim nowym dobytku i urządziwszy go, nie wiem czy lepiéj, ale po swojemu, więc inaczéj, — sam jak kołek, o mil kilkanaście od reszty rodziny, zatęskniłem za towarzystwem i zacząłem się przyglądać sąsiedztwu, upatrując najdogodniejszych punktów do wzajemnego się zetknięcia.

Miałem już trochę doświadczenia, i wiedziałem, że od pierwszych kroków jakie zrobię w tym względzie, zależyć będzie wyrobienie sobie stanowiska; byłem więc

ostrożny i zasięgałem wpierw rozmaitemi drogami potrzebnych mi do tego wiadomości.

Do najbliższych moich sąsiedztw, należały między innemi dwa domy: państwa Taborskich w Taborzynie i Pręckich w Łęgu. Dom pierwszych jak mi mówiono, trzymał prym w okolicy tonem w jakim był prowadzony; wszystko tam było po pańsku, i pałac z ogrodem angielskim, i paradne cugi, i zadzieranie nosa, jak mi dodawano. Więc niby od nich wypadało mi zacząć; ale że mi chodziło więcéj o grunt jak o pozlotę, więc czekałem jeszcze.

Pan Pręcki, utrzymywał także dom na dużą skalę, ale w innym rodzaju. Był to agronom postępowy, i sadził się na prowadzenie gospodarstwa na sposób zagraniczny: mówię słowy, jakie mię o nim doszły. Co do mnie, przejeżdżając parę razy przez Łęg, zauważyłem wysoko posuniętą kulturę, inwentarze poprawne, gorzelnię i cukrownię, budynki gospodarskie jak szklanki, słowem wszystko w stanie do pozazdroszczenia. Dwór tylko nie odpowiadał moim wygórowanym może pojęciom estetycznym: nowy, murowany, miał więcéj minę kantoru kupieckiego niż domu wiejskiego, ale pomimo to wyglądał dobrze, nawet pokaźnie, a ogród owocowy przylegający doń z jednéj strony, wzorowo był utrzymywany; ja tylko, byłbym wolał w nim trochę więcéj angielszczyzny, i mniéj linji prostych.

Jakkolwiekbądź, ciekawy byłem p. Pręckiego, i wahałem się pomiędzy Łęgiem i Taborzynem, gdy w parafji mojéj przypadł na Matkę Boską siewną odpust. Proboszcza znałem dawniéj, bywając jeszcze u wuja; zaprosił on mnie od dwóch tygodni na ten odpust, to jest na obiad u siebie, na którym miało być kilkunastu obywateli. Było mi to bardzo na rękę, bo nastręczało sposobność poznania się z nimi na neutralnym gruncie i pozyskania wskazówki co do dalszego zawiązywania stosunków.

Dnia ósmego tedy Września, w pogodę prześliczną bez upału, powozikiem pozostałym po moim wuju nie koniecznie najświeższéj mody ale jeszcze nader pokaźnym, w cztery siwki w szorach świeżo wyczernionych, pojechałem do kościoła. Zastałem już tłumy ludu i kilkanaście ekwipaży, nie licząc może setki bryczek i wózków chłopskich, stojących tu i owdzie na uboczu, z powyprzaganemi szkapami, które pasły się w wasągach zamienionych prowizoryjnie na żłoby. Odpust to był bardzo licznie uczęszczany.

Kościołek nie wielki drewniany z ogromną obok lipą, rozciągającą szeroko swoje ramiona, jakby dla udzielenia mu opieki, stał na wzgórzu panującem nad okolicą. Z dwóch stron biegły rzędem chałupy, z trzeciéj stała plebanja z budynkami swemi, z czwartéj usadowiły się zabudowania dworskie. Całe wzgórze z daleka wydawało się jakby przykryte różnobarwnym kobiercem, a podjechawszy bliżéj trafiliśmy na ścisk ludu taki, że ledwo przy ciągłem wołaniu „hou! hou! z drogi! na bok!“ zdołaliśmy utorować sobie przejazd do kościoła, i zatrzymaliśmy się nareszcie pomiędzy boczném wejściem, a plebanją, gdzie stało już kilka innych ekwipaży; między niemi zwróciły moją uwagę ładna kareta i amerykański jakiś wolant.

W kościele, który mógł pomieścić zaledwie paręset ludzi, znajdowali się tylko ci, co się *ofiarowali* na ten odpust, to jest mieli intencję spowiadania się i wysłuchania całkowitego nabożeństwa. Lecz kto nie był przejęty tym duchem, unikał ścisku i nieznośnego gorąca wewnątrz świątyni; cała masa pobożnych modliła się lub asystowała tylko odpustowi zewnątrz. Kilka grup pań okolicznych, po dwie, trzy i więcéj, klęczały pod ścianami kościoła, ochraniając się od słońca parasolkami: na ścieszce prowadzącéj z plebanji do kościoła, przewinął się raz po raz, to który z zaproszonych księży idący na

kawę i gawędę po odprawieniu mszy świętéj, to dziad kościelny śpieszący po krzesło dla jakiéj osoby nie mogącéj klęczeć, to chłopiec mszalny po węgle do trybularza. W okół kościoła porozsiadało się w większych i mniejszych gromadkach chłopstwo, w przeważnéj liczbie kobiety i dzieci, rozprawiając pomiędzy sobą, gapiąc się na państwo, drzémiąc, rzadko modląc się. U stóp wzgórza usadowiły się tak zwane *tasze*, to jest budy, w których sprzedawano paciorki, szkaplerze, *mentaliki*, luster-



ka, piszczałki i różne cacka, przyciągające kupujących, a więcéj jeszcze ciekawych, tak jak w cywilizowańszych społeczeństwach wystawy arcydzieł kunsztu. Parę przesmyków wśród tego tłumu, w głównych kierunkach ku kościołowi, obsiadło dziadostwo, śpiewając przez nos trywjalne pieśni, wrzeszcząc w niebogłosy, wyjąc niemal za każdym przechodniem i obsypując go krociami błogosławieństw za każdy grosz dany, a energiczniejszemi jeszcze choć cichemi klątwy od *chorób* i *morówek*, jeżeli przeszedł obojętnie.

Wymowa dziadowska kwitła u nas niegdyś bujnie, ale podobno już przekwitła, uczepiwszy się zanadto rutyny; jak wszystko co zbyt przesiąknie szkolarstwem, przeszła w manierę. Maniera ta sprawiła, że najkrasomówniejszy włóczęga, nie wywołuje już dziś wrażenia na jakie rachował, owszem zazwyczaj sprawia skutek wprost przeciwny; większa część dopomaga sobie nader plastycznem uobrazowaniem swojéj niedoli, uwidoczniając z niewypowiedzianym cynizmem kalectwa i choroby, służące im za znaki szyldowe; ale tém obudzają wstręt miasto politowania. Ci zwolennicy staréj szkoły nie mają wyobrażenia co to postęp, dziwią się więc, że wyzyskiwanie miłosierdzia coraz mniéj przynosi i przypisują to wygaśnięciu najświętszych uczuć; tymczasem miłosierdzie, gdzie było, tam jest i do dziś dnia, tylko widząc się nieraz haniebnie oszukaném, stało się podejrzliwém i ostrożném. I rzeczywiście, kto się jeszcze dziś lituje nad dziadem z profesji, uciekającym przed domami przytułku lub służbą kościelną, ten nie widział nigdy téj przebrzydłéj komedji za kulisami.

Stanąwszy w pobliżu plebanji i drzwi kościelnych, wysiadłem z powozu. Przybycie moje, jako figury nowéj, przedstawiającéj się od razu w charakterze młodzieńca, posiadającego kilkadziesiąt włók dobréj ziemi, sprawiło pewną sensację mianowicie pomiędzy płcią piękną. Gdy Marcin mój, stangret z dziada i pradziada, dojeżdżając trzasnął z bicza, wszystkie panie klęczące pod kościołem odwróciły się mniéj więcéj skwapliwie; wyskakując z powozu, bez patrzenia czułem na sobie ich spojrzenia. Marcin odjechał na bok, chcąc zrobić sobie jakie takie miejsce w cieniu, ja zaś zdjąwszy czapkę i poprawiwszy włosów, postąpiłem kilka kroków w kierunku tych pań, a znalazłszy dobre miejsce pod lipą, oparłem się plecami o jéj pień i przeżegnawszy się zacząłem mówić pacierz. Wszystkie panie zwróciły oczy na książki do nabożeństwa; ale

rzecz szczególna, tak zmieniły pozycje, że każdą mogłem widzićć doskonale z profilu. Nie wiem sam, czy to było dla mnie, bo od téj chwili żadna nie spojrzała w moją stronę ani razu, a z fizjognomji sądząc każdyby przysiągł, że już zapomniały o méj obecności; ale nie bardzo znów temu wierzyłem, bo słyszałem był kiedyś od jednego z kolegów, którego brat znał się z okulistą, że kobieta ma o jeden nerw w oku więcéj niż mężczyzna, a z pomocą tego szesnastego czy któregoś nerwu, strzela wzrokiem w bok nie zwracając na pozór spojrzenia, zkąd poszło przysłowie, że kobieta najlepiéj widzi wtenczas, kiedy nie patrzy.

Z przeciwnéj strony, od plebanji, ale także nie daleko miejsca, które sobie obrałem, stało kilka powozów i bryczek. Koło jednéj z tych ostatnich odprawiał się rodzaj sejmiku; siedziało na niéj w rozmaitych pozycjach lub stało opartych o wasąg kilku mężczyzn. I to także grono zwróciło na mnie uwagę; gdy Marcin odjeżdżał szukając sobie miejsca, spoglądali za nim i z giestów wyraźnie widać było, że rozmawiali o mnie i moich koniach. Znajdował się pomiędzy nimi, jeden z moich bliższych sasiadów, młody człowiek najwięcéj trzydziestoletni, p. Walenty, z którym poznałem się osobiście w Włocławku, płacąc podatki; może w dziesięć minut ujrzałem go zbliżającego się do mnie, widocznie w charakterze forpoczty dla dostania języka.

— Sąsiadowi moje uszanowanie — rzekł podając mi rękę — przyjechaliście na odpust?

— Jak sąsiad widzisz...

— No i cóż... jakże tam?... gospodarstwo, hę?

— Jako tako.

— Siewy zaczęliście?

— Od trzech dni.

— Ja wczoraj dopiéro...

— Ładny czas — rzekłem po chwili, bo rozmowa się jakoś urwała.

— Bardzo ładny; na siéwy dobrze.

— Czyja to kareta? — zagadnąłem postanowiwszy korzystać z sposobności, i wskazując na zaprząg, który zwrócił moją uwagę.

— Państwa Taborskich.

— Aha! ładny ekwipaż.

— Ba! ba!... parada... jaśnie państwo — rzekł z pewnym przekąsem.

— A ta amerykanka?

— Thaera.

— Thaera? — zapytałem zdziwiony.

— Ah! bo sąsiad nie wiesz... Pręckiego, tego co tam peroruje na bryce; my go tu nazywamy Thaerem...

— Podobno dobry gospodarz...

— O! zajadły... agronom postępowy... — rzekł znowu podobnym tonem — ztąd to nazwisko...

— A kto są ci inni panowie?

— Wszystko sąsiedzi; pójdźmy, zapoznam was.

Poszedłem z p. Walentym, który zaczął prezentacje.

— Nowy nasz sąsiad, pan Korczak z Brzozówki... Pan ten, pan ów... bardzo mi miło... wuja miałem przyjemność znać... i t. d., czemu towarzyszyły szastania, ukłony i uściśnienia rąk.

W gronie tém rej wodził p. Pręcki; siedział niedbale na bryce, podwinąwszy jedną nogę pod siebie, i rozprawiał o nawozach płynnych; mówił tonem prędkim i urywanym, lubił aforyzmy i wyrażał się jasno i zwięźle. Rozmowa przerwana z powodu mojego przybycia, ciągnęła się daléj.

— Chodzi więc o to — mówił p. Pręcki zwracając się mianowicie do jednego z słuchaczów, pana Brunona — aby nie dopuścić wyższego stopnia fermentacji nad tak zwaną *katalizę*, w któréj wywiązywanie się gazów jest prawie żadne...

— Katalizę? — bąknął pod nosem szyderczo młodzieniaszek jakby wycięty z żurnalu, znajdujący się tu widocznie dla tego tylko, aby go widziano w poważniejszém towarzystwie, bo poprawiał ustawicznie z pretensją kołnierzyków, i spoglądał z pod oka na płeć piękną modlącą się pod kościołem. — Katalizę? — powtórzył, i studenckim giestem porozumiał się z panem Kocioburskim z Zacofanego, wskazując mu spojrzeniem Pręckiego. Pan Kocióburski, szlachcic z okrąglym brzuchem, odpowiedział mu podobnym giestem; widocznie mieli Pręckiego za fiksata.

Ale inaczéj widać myślał pan Bruno, który pomimo że kursa marymontskie odbywał w kawiarni u Józi na Długiéj ulicy, chciał koniecznie uchodzić za agronoma; ten słuchał z wytężeniem dowodzeń p. Pręckiego, udając że rozumie każdy wyraz i czasami nawet ostrożnie puszczał się na dyskusje. Na słowa więc p. Pręckiego, rzekl tonem, jakby niekoniecznie podzielał jego zdanie:

— Dla czego?

— Dla tego — rzekł p. Pręcki biorąc go za guzik — że w wyższym stopniu fermentacji, a tém samém gwałtowném gniciu... rozumiesz mnie... rozkład wywiązuje natychmiast kwas węglany i ammoniak... o!... i tworzy jednocześnie sól lotną... uważasz... węglan ammonji, który uchodzi bezpowrotnie; a czyż-to nie strata? powiedz sam.

— No, tak, jest w tém słuszność — rzekł p. Bruno tonem, jak gdyby po glębszéj dopiéro rozwadze.

— Ależ moi panowie — zawołał p. Kocioburski z Zacofanego — gadacie jak aptekarze; co nam tam gospodarzom djabli do jakichś amonjów, cynamonjów; orać i siać, jak Pan Bóg przykazał i kwita...

— Mój panie — rzekł Pręcki, odpowiadając na jego słowa, ale zwracając się ku nam, jak gdyby wie-

dząc, że tam nie będzie zrozumiany — gdyby dosyć było staréj rutyny, to my z tłustego czarnoziemu kujawskiego, powinnibyśmy sprzątać więcéj, niż Anglik z swojéj chudéj gliny; tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. A dla czego? dla tego, że tam nie przeznaczają, jak w pewnym kraju, którego nie wymienię, najgłupszego syna na gospodarza.

— Tak jest — rzekł Bruno — święta prawda.

— Pi! pi! pi! — rzekł śpiewając p. Kocioburski z Zacofanego — gospodarstwo z książki...

— Ale to szczęście przynajmniéj — mówił daléj p. Pręcki, spojrzawszy z politowaniem na swego interlokutora i zapalając się mimowoli — że ani jedna światła myśl odkryta przez naukę, nie ginie. Jak tylko Liebig wykazał, co potrzeba roślinie do życia, zaraz w jakie lat dziesięć potém w Anglji i Niemczech pojawiły się fabryki, które stami tysięcy centnarów wyrabiają sztuczne nawozy.

— To, to, to... gadajcie mi o sztucznych nawozach... guano, kości, stare grzebienie... tfy! psu na budę!... robiłem i ja próby, przyznaję się do tego głupstwa—rzekł p. Kocioburski z Zacofanego.

— Bo wasze doświadczenia, są jak pacierz za panią matką; robicie je, nie wiedząc dla czego i po co. Zresztą, gadajcie sobie co chcecie, nie zabijecie postępu; zawsze prędzéj lub późniéj prawda staje się własnością ogółu i przynosi dobroczynne owoce. Pan sam używasz dziś machin, z których może śmiałeś się trzydzieści albo dwadzieścia lat temu...

— Racja fizyka!

— Racja i wielka, bo to jest dowodem, że prawda zdobyta na drodze nauki, zawsze jest mocniejszą od tysiąca empirycznych recept, napisanych na podstawie samego doświadczenia, które maca na oślep...

Mówił długo jeszcze w tym sensie p. Pręcki, i słów

jego słuchałem z prawdziwą przyjemnością; ale chcąc je tu powtórzyć, musiałbym z powiastki zrobić rozprawę agronomiczną. Dosyć tylko gdy powiem, że rozumowania i wywody jego, wolne od pedanterji, bardzo mi trafiały do przekonania; był-to widocznie człowiek, poważnie traktujący naukę, pojmujący zdrowo obowiązki obywatela, bolejący nad odosobnieniem w jakiém go stawiało grube u nas jeszcze nad wyraz zacofanie.

A tak jest niestety! Przez brak odpowiedniego wykształcenia, w kraju wyłącznie rolniczym, gospodarz niczego się tak nie wystrzega, jak posuwania się w ślad za postępem; a taki pan Kocioburski z Zacofanego, na usprawiedliwienie swoje, ma nieszczęściem co odpowiedzieć, bo pan X. albo pan Z. sprowadził to, próbował owego, i upadł. Ale nie chce wiedzieć pan Kocioburski z Zacofanego, że pan X. albo pan Z. upadł dla tego, że się rzucił do nakładów po omacku, nie przysposobiony ani intellektualnie, ani pieniężnie; więc téż gospodarze *rozsądni*, robiący majątki, — a robią u nas majątki, tylko oszczędnością i odejmowaniem sobie od ust, — gdy mowa o zastosowaniu jakiéj nowości, powiadają: „dobre to czasem te romanse, ale nam trzeba myśleć o chlebie“.

W podobnym stanie rzeczy, a istnieje on u nas po większéj części (Boże broń bym mówił o wszystkich), taki pan Pręcki był dziwolągiem, rarogiem; znęcała się nad nim opinja, mając za półgłówka, monomana, a że nie ciułał listów zastawnych, za nic miano jego uczciwe usiłowania, jego zdobycze naukowe, jego wewnętrzne zadowolenie, że godnie odpowiada stanowisku, na jakiém się znajduje. Najpobłażliwsi dlań, mówili z dobrotliwym uśmiechem: „Ha! tracą inni na karty lub szampana, wolno panu Pręckiemu chorować na wymysły gospodarskie“.

Co do mnie, wiedziałem już co warta opinja, jaką o nim miano. i stanowczo stanąłem po jego stronie.

Ze wszystkich słuchaczów zostało nas tylko dwóch, ja i Brunon; reszta po trochu się powymykała. Ale i *wolno słuchający* agronom, widocznie dawał poznać z swojéj fizjognomji, że jest złapany; jak wszyscy co cóś traktują nie gruntownie lecz dla oka, nudził się zbyt długą rozmową na tle poważném, — rad więc był bardzo, gdy zgiełk podniesionych niedaleko od nas głosów, przerwał nasze posiedzenie.

Obejrzeliśmy się razem i ujrzeliśmy w pobliskiéj nas grupie dziadowskiéj, pewne poruszenie, objawiające się głośną kłótnią, a niedaleko tego miejsca p. Kocioburskiego stojącego z młodzieniaszkiem z żurnalu, przypatrujących się z zadowoleniem téj scenie. Ciekawi, co to znaczy, przybliżyliśmy się także.

Na widok trzech nowych figur, zgiełk ustał nieco, przynajmniéj na skrzydłach, i bliższy nas dziad z ogromną brodą jeszcze czarną, któréj tylko kurz i piérze nadawały pozór siwéj,—obwieszony sakwami, przysunął się ku nam zalewając potokiem kwiecistych wyrażeń, wśród których przeważnie dawały się słyszeć: „szanowne, *litości godne* osoby... nieszczęśliwy kaleka... podupadły na kawałku chleba...“; a widząc że go mijamy, posztykutał za nami na kuli służącéj mu widać więcéj dla formy, w towarzystwie trojga czy czworga współkompanów, którzy tak natrętnie się dopominali daniny, że musieliśmy się wykupić kilkunastu groszami; otrzymawszy je, dopiéro wrócili do gromady, gdzie zgiełk podniósł się na nowo.

Dowiedzieliśmy się nareszcie o przyczynie. P. Kocioburski z Zacofanego otrzymał był przed kilku laty spadek po kimś z rodziny, z tym warunkiem, aby corocznie pewną wskazaną kwotę rozdzielił pomiędzy ubogich, na modły za duszę testatora. Mógł był p. Kocioburski bardzo chwalebnie użyć tego legatu, rozdzie-

lając to pomiędzy prawdziwie biednych i potrzebujących, jakich u nas nie brak; ale wolał zrobić sobie z tego zabawkę. Na każdym więc odpuście, gdzie jak wiadomo nie brak żebractwa, upatrzywszy sobie jednego dziada, dawał mu parę rubli papierkami, z obowiązkiem rozdzielenia równo pomiędzy wszystkich. Spowodowywało to naturalnie burzliwą scenę, któréj z upodobaniem się przyglądał. W obec naglącego interesu chwili, obłudna pobożność dawała nura, wypływając na wierzch w kształcie brudnéj chciwości; w miejsce błogosławieństw i pacierzy, słychać było tylko wymyślania i klątwy nie obwijane w bawełnę, a dusza dobroczynnego testora nie mając spodziewanéj pociechy, złorzeczyła zapewne głupstwu swojego spadkobiercy.

Tymczasem nabożeństwo kończyło się, i obywatelstwo zaczęło się rozjeżdżać. Najpierwszy pożegnał nas p. Pręcki. Po nim ruszyła się kareta państwa Taborskich; lokaj w szafirowym angielskim surducie za zbliżeniem się państwa otworzył drzwiczki, a całe nasze towarzystwo, przed wszystkiemi zaś młodzieniaszek z żurnalu, przysunęło się ku nim skwapliwie.

Rodzina państwa Taborskich składała się z obojga państwa i córki, bardzo ładnéj panienki trzynasto lub czternastoletniéj; téj ostatniéj towarzyszyła guwernantka, osoba już w pewnym wieku. Podobali mi się dosyć z pierwszego wejrzenia, a w ich obejściu ze wszystkimi, nie dostrzegałem owéj *fanaberji*, o któréj byłem niejako uprzedzony; prosiłem więc p. Walentego, aby mię zaprezentował. Przyjęto mię uprzejmie, a na pożegnanie p. Taborski w kilku słowach dał poznać, że rad będzie widzieć mię w swoim domu, co powtórzyła i jego żona siadając do karety; panienka ukłoniła mi się z wdzięcznym i swobodnym uśmiechem, który wskazywał, że towarzystwo ludzi chociażby obcych nie ambarasuje jéj bynajmniéj; uważałem nawet, że w rozmowie

którą prowadził z nią młodzieniaszek z żurnalu, więcéj zdawała się pokazywać logiki niż ten ostatni.

Gdy kareta ruszała, wszyscy, nie wyłączając p. Kociobürskiego, jeszcze raz ukłonili się państwu Taborskim uniżenie; ale gdy znikła na zakręcie, większa część obecnych spojrzała po sobie z uśmiechem zdającym się mówić: odegraliśmy komedję; dostrzegłem nadto nie jedno skrzywienie ust lub ruszenie ramion, mogące mieć nie zbyt pochlebne znaczenie dla tych, do których się stosowały.

P. Kocioburski posunął się jeszcze daléj, bo odezwał się patrząc za karetą:

— Fumy! fumy!... jaśnie państwo... uważaliście? lokaj i furman w białych rękawiczkach... tfy! — i splunął ruszając ramionami.

Nie pojmowałem, co w tém jest złego, że ktoś mając na to, każe służbie nosić rękawiczki, — ale że nie znałem jeszcze państwa Taborskich, a wiedziałem, że często w przesadzonych nawet sądach o kimś, znajduje się jakieś ziarnko prawdy, nie odzywałem się ani potakując, ani kontrując.

Po odjeździe państwa Taborskich, przybliżyło się ku nam grono z kilku osób płci pięknéj złożone. Była to rodzina p. Kocioburskiego, który przedstawił mię zaraz żonie; pani ta, niezmiernie otyła i majestatyczna, odpowiadając na mój ukłon, kiwnęła mi głową nader protekcjonalnie, co nie powiem żeby mi się podobało. Spojrzałem na jéj otoczenie: składało się z dwóch córek, panny może ośmnastoletniéj dosyć przystojnéj, ale bez najmniejszego ożywienia w fizjognomji, drugiéj znacznie młodszéj, dziecka jeszcze, oraz guwernantki osoby młodéj, ale brzydkiéj i nadzwyczaj chudéj, co stanowiło rażący kontrast z otyłością pani Kocioburskiéj. Grono to milczało poważnie; mężczyzni zaczęli mówić, ten z panią, ów z starszą córką i z guwernantką, na co pani odpowia-

dała majestatycznie, z ondulacyjnemi jakiemiś poruszeniami głowy, co w jéj przekonaniu zapewne miało znamionować dobry ton, a panna milczała zawzięcie, odpowiadając zaledwie monosyllabami. Dowiedziałem się późniéj, że guwernantka, któréj zawdzięczała ukształcenie, zwracała wielką uwagę na trzymanie się i elegancję ruchów, zalecając najmocniéj sznurowanie ust. Miała na to nawet oryginalny sposób, to jest wymówienie po cichu przed pokazaniem się gościom, wyrazu francuzkiego: *pomme* i pozostawienie już ust tak złożonych, co nadawało im wyraz pełen dystynkcji; że zaś wykształcenie i rozwijanie umysłu uważała za rzecz mniejszéj wagi, więc pannie pozostały te maniery połączone ze wstrętem do odzywania się, może dla tego, że szkoda było otwierać ust, ułożywszy je raz przyzwoicie.

Guwernantka obecnie służąca za przewodniczkę młodszéj pannie Kocioburskiéj, musiała mieć inne przekonania o pięknie i o dystynkcji, bo miała usta ciągle otwarte; mogło to zresztą być skutkiem kataru, co pozwalał przypuszczać nosowy dźwięk głosu, — dawała się jednak słyszeć rzadko, i to tylko po za obrębem toczącéj się ogólnie rozmowy, odzywając się do swéj pupilki na to widocznie, aby dać nam nam poznać swoją biegłość w języku francuzkim, jak np.

— Ma chère, ne faites pas des *grimas!* albo:

— Comme j'aime maman tu verras, seulement nous viendrons à la maison.

Akcent czysto polski, nadawał szczególną oryginalność téj francuzczyznie.

Podczas rozmowy p. Kocioburski szepnął coś żonie do ucha, a ta po chwili zwróciwszy się do mnie, wynurzyła w wyszukanych wyrazach nadzieję, że będą miewać ze mnie gościa, i siadając do powozu majestatycznie znowu kiwnęła mi głową. Za jéj przykładem ukłoniła mi się córka ściskając i sznurując usta jeszcze

bardziéj, a za nią guwernantka otwierając gębę, a wciągając nos jak do kichania, i powiedziawszy:

— Adieu, môssieu!

Wyprawiwszy kobiety, sam p. Kociourski pozostał z nami, poleciwszy tylko przysłać po siebie konie wieczorem, bo u proboszcza miał być uroczysty obiad na który i ja, jak wspomniałem, byłem zaproszony.

Uczty téj opisywać nie będę, bo musiałbym chyba swój własny pisać panegiryk; rzeczywiście zdawaćby się mogło, że ja byłem jéj bohaterem, a to dzięki p. Kocioburskiemu z Zacofanego. Prezydował on u stołu siedząc na pierwszém miejscu i wnosił toasty, a zaledwie wychylono jeden na cześć księdza jubilata celebrującego na odpuście, a drugi, duchowieństwa dekanatu, pan Kocioburski wniósł zdrowie: „nowo przybyłego w okolicę, szanownego i zacnego obywatela“, słowem moje. Przyznaję, żem się zarumienił jak panienka, bo dotąd nie miałem czasu dać się poznać pod żadnym względem, a szanowność moja i zacność, polegała jedynie na posiadaniu przeszło sześćdziesięciu włók dobrego czarnoziemu; wszyscy skwapliwie poszli za przykładem p. Kocioburskiego, spełniając ochoczo „tak szanowne zdrowie“ i polecając się łaskawéj przyjaźni. Pomimo rozczulenia, jakiegą doznałem widząc okazywane mi względy, nie powiem, aby towarzystwo wśród którego się znajdowałem podobało mi się bezwarunkowo; wydawało mi się okropnie mięszaném, a wszyscy ci panowie mieli w moich oczach miny, jakby przybyli tylko najeść się i napić.

Rozmowy jakie prowadzono przy stole, były kwintessencją płaskich konceptów i dzikiego jakiegoś pojmowania towarzyskiego życia. Przedewszystkiém mieli za swoje, nieobecni, *gardzący* towarzystwem braci szlachty; co naprzypinano łatek temu i owemu, na wołowéj skórze by nie spisał — błysnęło tam czasem cóś dowci-

pnego, ale w ogóle zanadto tchnęło namiętnością, aby dosięgało celu i znaczyło coś w oczach patrzących bez uprzedzenia. Rej wodził pod tym względem p. Kocioburski; z wyrafinowaną złośliwością przypiął się mianowicie do Taborskich i poczciwéj nitki na nich nie zostawił: za złe miał, że ludzie tytułowali ich jaśnie państwem, że karetą jeżdżą, że postawili pałac i założyli ogród angielski, że mają kamerdynera, który gościom wino nalewa, co jest obowiązkiem samego pana, że nie przymuszają do picia, że trzymają zagraniczne pisma i mają w domu bilard, co wszystko jest zadzieraniem nosa, finfą dla sąsiadów, którzy na podobne błazeństwa by nie wystarczyli.

Za to mnie, p. Kocioburski okazywał niezwykłe względy; literalnie przypiął się do mnie, zapraszając gwałtem do przyjaźni, zaczął nawet tykać, co mi się nie podobało, bo nie lubię prędkiéj z kimś a nieuzasadnionéj poufałości. Dziś wiem dla czego to robił: miał córkę na wydaniu, a kawaler kilkukroćstotysięczny, młody, zatem miękki jak wosk i łatwo mogący się *zadurzyć*, jest drogocennym materjałem w podobnym razie. Przy téj kwalifikacji, wszystkie inne naturalnie idą na bok: nikt się nie pyta o charakter i skłonności, są to rzeczy aż nadto podrzędne — można stracić późniéj majątek, można żonę zaniedbać, unieszczęśliwić, wolno nawet konkurentowi posiadać bezkarnie pewne cechy dopuszczające podobnych wniosków; jeżeli tylko ma majątek, nikt na to nie zwróci uwagi. A że ja go miałem, więc byłem perłą dla p. Kocioburskiego. Tego jednak natenczas nie domyślałem się, i postępowanie jego ze mną, brałem naiwnie za dowód rzeczywistéj sympatji, za którą wdzięczny mu byłem pomimowolnie.

Na odjezdnem musiałem mu przyrzec solennie, że przyjadę niebawem do Zacofanego, co téż uczyniłem

w dni kilka. Chociaż p. Kocioburski miał rzeczywiście względem mnie plany, o jakich wspomniałem, nie postępował bynajmniéj taktycznie; z zasady wyganiał z swego domu wszelką etykietę: kobiety były na drugim planie, a każdy gość bez ceremonji — głośno się odzywał gospodarz domu, że pozwalał przyjeżdżać do siebie w szlafroku, a mnie zapraszając u księdza, wymówił wyraźnie, żebym przypadkiem nie przyjechał we fraku, boby się obraził. Przepędzano czas w Zacofanem na rubasznéj rozmowie męzkiéj w pokoju pana, na preferansie do którego stał stolik wiecznie otwarty, i na polowaniu; kobiety widziano tylko przy obiedzie lub herbacie, a i ztąd musiały nieraz uciekać, gdy pan domu z starszyzną gości rozigrał się w nieprzyzwoitych i dwuznacznych żartach, o co się nieraz na serjo gniewała majestatyczna gospodyni domu.

Mnie się to towarzystwo podobało — byłem tam jak u siebie; rozpierałem się na kanapach, przyjeżdżałem w długich butach, z psem nieraz; z panną dwóch słów nie wymówiłem, z guwernantki drwiłem często, zbyt nawet niedelikatnie, ale to tam uchodziło. Książek nie czytano w Zacofanem wcale, bo p. Kocioburski głośno powstawał przeciwko literaturze, a ile razy w rozmowie wypadało mu użyć tego wyrazu, wymawiał go pogardliwym tonem, nie dopuszczającym nawet dysputy. Ja lubiłem czytanie i poświęcałem mu wiele chwil, ale w tém towarzystwie wstydziłem się niemal tego, że prenumeruje parę pism i kupuję książki.

O Taborskich, tak od p. Kocioburskiego, jak od gości tam bywających nasłuchałem się takich dziwów, dom ten wyobrażałem sobie tak głupio arystokratycznym, że zrubaszniawszy i przesiąknąwszy sferą, w któréj żyłem przez rok blisko, nie pomyślałem o wizycie, bojąc się poprostu Taborzyna. Nareszcie namówiony

przez jednego z młodych sąsiadów, który tam bywał, pojechałem dnia jednego, aby zbyć ten obowiązek.

Dom w Taborzynie nie dawno postawiony, bez zbytecznéj pretensji do nazwy pałacu, zasługiwał na nią pozorem swoim i smakiem z jakim wszystko było urządzone. Miejsce przed domem obszerne, zajazd wyżwirowany, trawniki przepyszne, nie zacieśnione zbytecznie klombami, które umiejętnie były rozrzucone, ogród naokoło wzorowo utrzymany, wszystko to podobało mi się na pierwszy rzut oka, a że z natury jestem miłosnikiem piękna, dobrze uprzedziło o gospodarzach domu; co większa, nie znać było żadnego silenia się na okazałość, żadnéj pretensjonalności, lecz wszystko było miluchne, a tak naturalne, iż się zdawało, że inaczéj tu być nie mogło.

Gdyśmy zajechali, wyszedł do nas natychmiast z szklannego ganku o kilku schodach, lokaj, odbierając okrycia i oświadczając, że państwo są w bawialnym pokoju od ogrodu. Wchodząc tam, zastaliśmy towarzystwo bawiące się wesołą rozmową, o czém świadczyły dochodzące nas zawczasu śmiechy. Wejście nasze nie przerwało rozmowy, jak to miewało miejsce w Zacofanem, gdzie każde przybycie rzadszego gościa, sprowadzało zamieszanie nie do opisania, chowanie się po kątach i wzajemne wypychanie się na jego przyjęcie. Po przywitaniu milém i ujmującém, w kilku słowach objaśniono nas o przedmiocie rozmowy i zręcznie w nią wprowadzono, tak, że w pięć minut byliśmy tak swobodni, jakbyśmy tu siedzieli od rana.

Oprócz domowych, był ksiądz proboszcz i dzierżawca pana Taborskiego p. Pszeniczkiewicz, którego widywałem u państwa Kocioburskich — ale o dziwo! jakże inny zupełnie. Szlachcic ten rubaszny, pochodził z rodziny z dawna przywiązanéj do domu Taborskich; poprzednio był rządcą w Taborzynie, następnie zaś w na-

grodę zasług, miał puszczony sobie jeden folwark z tychże dóbr dzierżawą. W Zacofanem p. Pszeniczkiewicz bywał często; ale przyjeżdżał nieraz bez chustki na szyi, nie ogolony, z fajką w zębach, którą ćmił od rana do wieczora, — odznaczał się tam zwykle grubością dowcipów i głośnym co chwila śmiechem. Tu inaczéj zupełnie wyglądał, jak od święta, a co mnie najmocniéj zdziwiło, że nie zdawał się być zbytecznie żenowanym; państwo Taborscy, jak się późniéj przekonałem dowodnie, posiadali w wysokim stopniu takt w obejściu się z gościem i sztukę przyswojenia go swojemu towarzystwu. W obecności p. Pszeniczkiewicza nie zapuszczano się w traktaty filozoficzne lub rozprawy o belletrystyce, a jeżeli czasem dotknięto wyższych kwestji, to na tle zwyczajnéj rozmowy o pszenicy i życie, cenach zboża, wypadkach i mniéj ważnych ploteczkach w okolicy, skutkiem czego nie czuł się zakłopotanym, i co za tém idzie nieśmiałym.

Wyrwało się czasem panu Pszeniczkiewiczowi cóś rubasznego, śmiech zwłaszcza, który trudno mu było umiarkować, ale przyjmowano to z pobłażaniem, i niekiedy tylko pani Taborska rozśmiała się szczerze i strofowała go tak zręcznie i względnie, że nie mogło mu to odebrać swobody w obejściu.

Na stole przed kanapą, leżało sporo książek, albumów i t. p. każdy wziął to i owo, przeglądał—ztąd pohop i materja do rozmowy, która tak była żywą, że kilka godzin zeszło jak nic. P. Pszeniczkiewicz nawet, ignorant wierutny, nie jedno zobaczywszy, zaciekawił się i spytał bez ceremonji: co to jest proszę państwa? — a objaśnień słuchał z zajęciem. Był obok pokój z kilku szafami książek, mapami i globusem; drugi obok jadalnego z bilardem, do którego wyciągnął mnie na parę partyjek ks. proboszcz, bo wielkim był amatorem téj gry; z panną zagrałem na cztery ręce potpourri z Halki, o co nie dała się prosić, chociaż nie była artystką: różniła się w tém od

panny Kocioburskiéj, która ile razy zastałem ją przy fortepianie, uciekała jak oparzona i nie grała nigdy przy mnie — słowem tak miła atmosfera panowała w tém towarzystwie, że podczas téj pierwszéj wizyty byłem jakby po dwudziestéj, i kilka godzin zeszło mi najprzyjemniéj.

Nie potrzebuję mówić, że opóźnienie w poznaniu państwa Taborskich, starałem się wynagrodzić, i bywałem tam potém często, — ale czego w żaden sposób zrozumieć nie mogłem, to powodu niechęci ku sąsiadom państwa Kocioburskich. Wiedziałem, że tam bywali, bo pomimo wszelkich szykan i obgadywań, z naciskiem nieraz dawali poznać w rozmowie, że im ten dom nie jest obcy. Pani Kocioburska np. gdy kto wspomniał o pałacu w Taborzynie, odzywała się: ten pokój na prawo — albo: ten niebieski od ogrodu; pozwalało to wnioskować, że byli tam chociażby raz jeden. Więc dziwiło mnie to bardzo, boć towarzystwo prawdziwie wyższe, gdy jest wolne od wymuszonéj pretensji do wyższości, ma to w swojéj atmosferze, że przyciąga mimowoli, absorbuje i nastraja na swój djapazon. Poznawszy państwa Taborskich, nie mogłem przypuszczać aby przyjęli sąsiadów niegrzecznie, chybaby mieli do tego bardzo uzasadnione przyczyny; było to więc dla mnie zagadką, a zaciekawiony badałem, śledziłem, wypytywałem się, domyślałem z półsłówek, dopóty, aż po trochu wszystko mi się wyjaśniło.

Otóż, jak się rzecz miała.

Na lat pięć przed mojém osiedleniem się w tych stronach, p. Kocioburski kupił Zacofane, co dawniéj chodził dzierżawami. Był-to szlachcic z dobrego gniazda; ojciec jego posiadał znaczne dobra i miał zachowanie w obywatelstwie, bo nawet posłował na k[illegible]m za królestwa kongresowego. Ale, że starał się zawsze o popularność u braci szlachty, dla tego prowadził dom otwarty przyjmując u siebie całe województwo; było

tam jak to mówią léj rozléj — nadszarpnął więc porządnie majątku, tém bardziéj, że gospodarz był z niego żaden. Nadto, owdowiawszy, ożenił się powtórnie z swoją gospodynią, kobietą ordynaryjną, która zostawszy panią posłową, wzięła krótko męża; skutkiem tych związków było zaniedbanie syna z pierwszéj żony, który chował się na folwarku, niemal pomiędzy czeladzią. Złym rządem i niedołężném prowadzeniem interesów reszta fortuny pękła, i młody posłowicz po śmierci ojca pozostał bez najmniejszego wykształcenia, z kilkunastu tysiącami złotych całego majątku. Dorabiać się więc musiał na nowo, a że ożenił się z dosyć majętną wdową, naddzierżawczynią ekonomji rządowéj, więc po kilkunastu latach wspólnej pracy i odejmowania sobie od ust, mogli kupić na dziedzictwo Zacofane.

Pani posłowiczowa, bo lubiła się tak nazywać, pochodziła z mieszczan; lecz oddawszy rękę p. Kocioburskiemu, przejęła się niezmiernie godnością rodową drugiego męża, i ztąd-to owa majestatyczność, którą sobie przyswoiła nie wiedząc co z nią robić. Osiedliwszy się w Zacofanem, państwo Kocioburscy postanowili porobić wizyty w sąsiedztwie, a pierwszeństwo pod tym względem otrzymał naturalnie Taborzyn, gdzie jak wszyscy wiedzieli, zbierało się co tylko było najporządniejszego w okolicy. Państwo Kocioburscy przyszedłszy do dziedzictwa, kupili zaraz powóz, bez którego się dawniéj obywali, i mieli w nim oddawać wizyty. Była ogromna dysputa, czy jadąc do Taborzyna przyczepić walizy i hamulec; państwo nie mogli się zgodzić na jedno, wreszcie przeważyło zdanie pana, utrzymującego, że to nie miałoby sensu; ale za to, zaimprowizowany z stadziarka lokaj Kuba, otrzymał dyspozycję, aby nie siadał na kozioł, tylko stał przez całą drogę z tyłu powozu na desce.

Wielkie było poruszenie w domu podczas przygotowań do téj wizyty. Pani stroiła się pięć godzin, pan wyciągał rękawy u ślubnego fraka, i dopinał kamizelki aksamitnéj w ogromne bukiety. Nareszcie, gdy już wszystko było gotowe i państwo mieli siadać do powozu, licho przyniosło przed dom pachciarza Szlamę.

— A gdzie to wielmożne państwo jadą? — zapytał poufale — podobno do Taborżyne?



— Tak — rzekla pani majestatycznie.

— Nie ma po co — rzekł żyd ruszając łopatką.

— Jakto?

— Ja tam bułem dzisiaj rano, i mówiuł mie kucharż, co jaśnie państwo mieli zaraz wijechać za Wisłe...

— Wiesz na pewno? — zapytał pan.

— Przecie jestem żyjące...

— Co to za glupi lud z tém jaśnie państwem —

mruknęła pani, niekontenta z tego odróżnienia — jak gdyby to było co lepszego od nas.

Trzeba wiedzieć, że jeżeli wszyscy ludzie tytułowali dziedziców Taborzyna jaśnie państwem, działo się to zupełnie bez ich bezpośredniego wpływu, jak to niekiedy miewa miejsce. Taborzyn od kilku pokoleń pozostawał w ręku rodziny, któréj członkowie piastowali dygnitarskie urzędy za rzeczpospolitéj; dla tego zwyczaj tego tytułowania, pozostał tradycyjnie z dawnych czasów, i tak był wkorzeniony, że nie podobnaby było nawet oduczyć od niego. Lud, w wyjątkowych tylko razach, nazwie jaśnie panem nowego z innych stron przybysza; ale znając rodzinę od kilku pokoleń w jednym majątku, a przynajmniéj okolicy osiadłą, mówi że to są panowie z panów, i mimowoli ma dla niéj uszanowanie. Nie przemawiało to bynajmniéj do przekonania pani Kocioburskiéj, dla tego ją gniewało.

— Jakże będzie? — zapytała męża.

— Albo ja wiem — odrzekł tenże.

Ale po chwilowéj naradzie, oboje zgodzili się, że jakby nie wiedząc o niczém, pojadą i zbędą wizytę, co nawet było im na rękę, bo jakoś mimowolnie doznawali pewnego zakłopotania. Że zaś szkoda było brać nowe suknie na próżno, więc pani rozebrawszy się na prędce, wzięła codzienny szlafroczek, pan zaś surdut zamiast fraka, a nadto zabrali z sobą syna, chłopaka ośmioletniego, który od dwóch godzin już beczał w niebogłosy, napierając się jechać.

Przez drogę byli w najlepszych humorach, bo pewność, że nie zastaną państwa Taborskich, dodawała im rezonu; pan tylko żałował, że w pośpiechu nie zmienił obuwia, które go niezmiernie uciskało, — ale zaradził temu, zdjąwszy buty i pozostawszy w skarpetkach.

Gdy zajeżdżali w dziedziniec domu państwa Tabor-

skich, powychylali się z okien powozu, przyglądając się zabudowaniom i ogrodowi.

— Bardzo ładnie! fiu! fiu! parada — mówił pan.

Pani majestatycznie milczała, jakby przywykła do podobnych widoków.

Bartek palnął z bicza dwa razy i powóz zatoczył się przed pałac. Natychmiast wyszedł lokaj.

— Są państwo? — zapytał dla formy p. Kocioburski, przyglądając się fasadzie domu.

— Są, panie — rzekł lokaj otwierając drzwiczki.

P. Kocioburski otworzył gębę i spojrzał na panią, która aż zbladła.

— Cóż zrobiemy? — rzekł do żony półgłosem, bo nie przygotowany był na tę ewentualność.

— Tatko, osioł! osioł! — zaczął wrzeszczyć Edzio, zobaczywszy osiołka przeznaczonego do robót w ogrodzie, który pasł się na trawniku.

Ale tatka nic nie słyszał, tak był zmieszany; zresztą na rozkaz żony zaczął wkładać buty, co z powodu nabrzmienia nóg przychodziło mu z wielką trudnością, — tak, że zeszło na tém z kilka minut; a przez ten czas lokaj miejscowy stał w otwartych drzwiczkach, z wielką trudnością pokonywając chętkę do śmiechu. Wybiło się to mimowoli na jego fizjognomji, i p. Kocioburski spojrzawszy nań, miał szczerą ochotę zwalić go w kark, ale się przecie powściągnął.

Wysiadając z powozu, spotkali państwo Kocioburscy w ganku p. Taborskiego, który wyszedł, zdziwiony tą niezwykłą stójką przed domem; powitał ich grzecznie jakimś ogólnikowym komplimentem, i wziąwszy pod rękę panią Kocioburską, wprowadził do pokojów; ale o mało nie zemdlała, gdy obejrzawszy się na odjeżdżający ekwipaż, którym pysznić się miała, zobaczyła Kubę sto-

jącego ciągle za powozem, bo nie zsiadał wcale, a w zamieszaniu zapomniano o nim.

Oboje państwo Kocioburscy nie znali wcale pani Taborskiéj; w salonie znajdowały się trzy panie, z których jedna, osoba w średnim wieku skromnie ubrana, siedząca w fotelu, wstała gdy weszli i postąpiła parę kroków. Była to guwernantka, bo saméj pani nie było w téj chwili w salonie; ale państwo Kocioburscy wzięli ją za gospodynię domu, więc pani posłowiczowa nic nie mówiąc cmoknęła ją dwa razy w powietrzu z obu stron policzków, a pan wypalił na ręku sążnisty pocałunek. Pan Taborski wprawdzie mówił cóś, prezentował, wymawiał jakieś nazwiska, ale państwo Kocioburscy nic nie słyszeli; byli tak zmieszani, że w uszach im szumiało, a krew bijąc do twarzy, widzieć przed sobą nie dozwalała.

Zaledwie pani Kocioburska usiadła w fotelu,—bo kanapa zajęta była przez dwie panie niezmiernie dystyngowane, z których jedna bez ceremonji patrzała przez lornetkę,—a pan posłowicz zatarłszy rąk dla nadania sobie tonu, okręcił się po salonie i na zaproszenie gospodarza usiadł także na krześle, — weszła sama pani Taborska; ztąd nowe rekomendacje i objaśnienia, a tortury dla państwa Kocioburskich. O biedny Szlamo! gdyby połowa tych życzeń, jakiemi w duszy obsypywali cię twoi państwo spełniła się, byłbyś najnieszczęśliwszem stworzeniem pod słońcem. Ale bo téż było za co! toaleta przygotowywana od kwartału chybiona, pierwsza wizyta w codziennych sukniach, Edzio nie umyty, i to wszystko przez ciebie! a do tego śmieszność za śmiesznością: wkładanie butów przed domem, gapiostwo Kuby, który nie zeskoczył otworzyć państwu drzwiczek, tylko stał jak glupi za powozem, — cóż dziwnego, że wszystkie te wypadki wprawiły państwa Kocioburskich w usposobie żółciowe. A co ich dobijało, to że nie mogli w żaden sposób wyja-

wić powodów tych mimowolnych uchybień przeciwko etykiecie, bo byłoby to nową śmiesznością! Słowem, pani Kocioburska siedziała jak na rozpalonych węglach, tém bardziéj, że dwie panie, których niespodziane przybycie wstrzymało wyjazd państwa Taborskich — o czém Szlama nie mógł wiedzieć — osoby z wielkiego świata, odzywające się co drugie słowo po francuzku, imponowały jéj niezmiernie.

Gospodyni domu, osoba najlepsza w świecie, z zadziwiającą sztuką i zręcznością starała się zaradzić temu wszystkiemu i skojarzyć jako tako różnorodne żywioły, ale najlepsze jéj chęci rozbijały się o czyste niepodobieństwo. Jakby fatalność jaka sprzysięgła się przeciwko państwu Kocioburskim, co chwila któreś z nich popełniało jakąś niestosowność; na domiar zaś ich udręczenia, Edzio nic sobie nie robiący z towarzystwa, łaził po wszystkich kątach, wszystko ruszał, oglądał, a żadne z rodziców nie śmiało zawołać nań, chociaż truchleli żeby czego nie stłukł.

Pomimo najszczerszych usiłowań pani domu, rozmowa szła jak z kamienia; pani Kocioburska odpowiadała na wszystko jak bezprzytomna, a z swojéj strony, zaledwo zdobyła się na wynurzenie podziwienia, że w pokojach nie widzi wcale much, co rzeczywiście było dla niéj dziwowiskiem, bo w Zacofanem muchy roiły się przez całe lato jak w oborze, nietykane i szanowane jakby co najpotrzebniejszego. Wracała trzy razy do tego tematu. Jak na złość do tego, dwie panie przybyłe, nie pomagały wcale pani Taborskiéj; jakby nikogo nie było w salonie, prowadziły z sobą rozmowę nader wesołą i przerywaną śmiechami, z któréj pani Kocioburska nic a nic nie rozumiała, bo co chwila wyraz jakiś albo zdanie całe wynurzały w języku francuzkim albo nawet w angielskim; przypuszczała więc że sobie z niéj żartują. Do gospody-

ni domu odzywały się tylko po francuzku, dając wyraźnie poznać, że nic sobie nie robią z pani Kocioburskiéj, co ją niezmiernie bolało.

Łatwiéj szło gospodarzowi z panem Kocioburskim, bo miał jeden punkt, na którym mogli się jako tako zrozumieć, to jest gospodarstwo; ale p. Taborski odwołany przez służącego w jakimś interesie do rządcy, musiał wyjść na chwilę i pan Kocioburski pozostał sam jeden z kobietami. Przemówiła doń pani Taborska raz i drugi, ale gdy na zapytanie jak stoją ceny zboża, usłyszała, że z rzepakiem kiepsko, bo pies się o niego nie spyta, nie zaczepiała go już więcéj.

Widząc więc, że gra bierną rolę, wstał z krzesła i zaczął chodzić po salonie, a dla dodania sobie rezonu zacierał ręce i chrząkał, a nawet chrząknąwszy mocniéj, splunął przez otwarty lufcik na dwór. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy się przekonał, że przezroczystość szkła złudziła jego wzrok i plunął na szybę; nie oglądając się więc, otarł ją chustką, ale jak na złość w téj chwili właśnie, dwie panie arystokratki opowiadając sobie zapewne cóś zabawnego, wybuchły głośnym śmiechem, który on przyjął na swój rachunek.

Cała ta wizyta wreszcie stała się męką tak dla gospodarstwa, jak dla niefortunnych gości, i gdy p. Taborski wrócił do salonu, małżeństwo zaczęło dawać sobie rozpaczliwe znaki oczyma, poczém pani wstała biorąc się do żegnania. Na zapytanie pani Taborskiéj o powód takiego pośpiechu, uczynione dla formy, zaczęła bąkać coś ni to, ni owo; ale nagły brzęk i wrzask w drugim pokoju, przerwał jéj mowę.

Edzio opatrując wszystkie kąty, zaszedł do pokoju jadalnego i przybliżył się do małego stoliczka, na którym stał talerz z melonem i cukier od podwieczorku, a spiąwszy się na palce, gdy chciał sięgnąć po ka-

wałek owocu, zwalił wszystko wraz z stolikiem na siebie.

Matka skoczyła jak pantera i wyciągnąwszy wrzeszczącego chłopaka z pod talerzy, wzięła go za ucho; to zdwoiło jeszcze krzyki, które tak obezprzytomniły panią Kocioburską, że zaledwie miała siłę zapytać męża: czy zajechał powóz?

Pan Kocioburski niemniéj zmieszany tém wszystkiem



co ich spotykało, tak skwapliwie rzucił się do okna, że o włos nie wybił szyby uderzywszy w nią czołem; byłoby to dopełnienie miarki — ale przecież los ustrzegł od tego nieszczęścia i tak już znękane stadło. Wchodząc w ich położenie, pan Taborski wyprowadził oboje aż przed sień, wsadził do powozu wraz z wrzeszczącym ciągle Edziem, względem którego musiał użyć aż gwałtu, i sam zamknął drzwiczki za niemi.

Co mówili do siebie wracając państwo Kocioburscy,

dowiedzieć się naturalnie nie mogłem, ale w Taborzynie po ich wyjeździe trwały śmiechy i żarty do późnéj nocy. Jedna nawet z dwóch pań arystokratek dostała takich spazmów i bicia serca, że zaledwie jéj pomogły sole i laurowe krople. Czyż to była prosta złośliwość? nie podobna twierdzić bezwarunkowo, bo człowiek z najlepszém sercem byłby się śmiał patrząc na te sceny.

Co do mnie, gdy się dowiedziałem o tém wszystkiem, wytłumaczyłem sobie jasno to, czego dotąd nie zrozumiałem. Jak panem Pręckim poniewierali ci, od których był mędrszy, tak samo znajdowali się tacy, co państwu Taborskim nie chcieli darować ich wyższości pod nie jednym względem. U Pręckiego bywałem późniéj często i przekonałem się, że pierwsze moje o nim zdanie nie było mylne. Człowiek to był rzeczywiście wyższy w całém znaczeniu tego wyrazu, a to co nazywano w nim głupstwem, to jest, że majątku nie robił, było poprostu ofiarą dla nauki i wyższych celów.

Państwo Kocioburscy naraziwszy się z własnéj winy na śmieszność, składali odpowiedzialność za to, na państwa Taborskich. Nic tak człowieka nie kosztuje, jak poczuwać się do tego rodzaju upośledzenia; łatwiéj komuś przyznać wyższą od siebie naukę, doświadczenie, zręczność, ale wprost niepodobieństwem jest dać się przekonać, żeśmy śmieszni, czyli prosto głupsi od kogoś i że ten ktoś stoi wyżéj od nas godnością osobistą. Więc państwo Kocioburscy przypisywali złéj woli sąsiadów to, co było następstwem ich własnego głupstwa, i mścili się na nich po swojemu.

Tak to zwykle u nas, mianowicie na prowincji, tworzą się koterje towarzyskie, i wyrabiają sądy o ludziach. I będzież to kiedy lepiéj? Oto wtenczas chy-

ba, gdy pomiędzy ogromną większością przestanie panować przesąd, że chęć ogłady, kształcenia się, pragnienie wiedzy, jest zbytkiem godnym politowania nie mogącym iść w parze z potrzebą uczciwéj pracy na chleb powszedni.

POLOWANIE NA WRÓBLE.



W Gogolicach, majątku położonym w jednym z powiatów graniczących z Prusami, a będącym własnością Hipcia Lasoty, młodzieńca wysoko skoligaconego i bardzo majętnego, bawił od pewnego czasu w charakterze gościa, niejaki pan Herkulan Gnatołomski, o którym najrozmaitsze chodziły wersje.

To, co wiedziano od niego samego, było spowinięte w tak misterne obsłonki, okraszone tak wiele mówiącemi dwuznacznikami, że dawało się domyślać Bóg wié czego. Na pewno, można było wnosić o nim tyle, że był premier-lejtnantem armji pruskiéj, a obecnie spoczywającym na wawrzynach landwerzystą, że odbył świetnie całą kampanję francuzką, i że jako zapalony podróżnik, przejechał wzdłuż i wszerz całą Europę.

Jako dowód tego ostatniego, występował na scenę niewielki podróżny kufereczek, na którym zakonserwowano znaki rozmaitych dróg żelaznych i pierwszorzędnych hotelów. Pomiędzy takowemi najświetniéj figurowała spora i dobrze zachowana karta z napisem: Hôtel garni de la poste Gustave Heller Geneve"; inne były ponaddzierane, ale z téj i owéj wyglądał i Paryż i Rzym i Wiedeń, a nawet Londyn — brakowało tylko Madrytu. Co do kuferka więc, nie było żadnéj wątpliwości; czy jednak pan Herkulan rzeczywiście podróżo-

wał razem z nim, na to nie było żadnego dotykalnego dowodu.

Hipcio znowu, który ni ztąd, ni zowąd, wracając z wycieczki w księztwo poznańskie, przywiózł był z sobą pana Herkulana, opowiadał pod sekretem, że jego gość miał tamże wielki proces z pretensjami do krociów, który zaniedbał dla przyjaźni, aby tylko mieć przyjemność zabawić jakiś czas u niego — dalej, że jego waleczność nie ograniczała się tylko do pola bitwy; jako duelista, miał on być postrachem wszystkiéj młodzieży księztwa, tak pochopnéj, jak wiadomo, do rozpraw honorowych. Dosyć było jednego niewinnego żarciku zakrawającego na dwuznacznik, aby wzburzyć krew pana Herkulana — uważał on to zaraz za „szkandał“, i żądał zadosyć uczynienia — a ile ofiar miał już na sumieniu, trudno zliczyć. Tak mówił Hipcio — ale nie wszyscy wierzyli i uważali na jego gadanie, ci jednak, na których podobne opowiadania robiły wrażenie, bardzo mile spoglądali na p. Herkulana i ostrożnie zaglądali mu w oczy, patrząc czy się nie rozgniewa.

Ale nie tylko pod temi względami odznaczała się osobistość pana Herkulana; był on — zawsze podług relacji Hipcia, — kandydatem na posła z któregoś powiatu, na sejm berliński, i tylko kabała niemiecka przegłosowawszy go, pozbawiła tego zaszczytu. Co większa, i czém się nadewszystko chlubił, był pan Herkulan przyjacielem od serca znanego z wymowy, rzeczywistego posła, zmarłego już hrabiego R.

Widomym dowodem tego stosunku, była skwapliwie przy każdéj sposobności pokazywana fotografja nieboszczyka, na któréj odwrotnéj stronie był napis własną ręką... premier-lejtnanta: „Herkulan Gnatołomski, kandydat na posła z powiatu P., dozgonny przyjaciel zmarłego“.

Jeżeli ten dowód nie wystarczał komuś, wówczas

Hipcio Lasota, jako protektor swojego gościa, opowiadał takie szczegóły o stosunkach tegoż ze zmarłym posłem, że trudno było nie pozbyć się wszelkich wątpliwości, tém bardziéj, gdy protektor nie wspominał wcale, że te szczegóły miał od samego Herkulana.

Nie wspominał także, jak się z nim poznał, i czém dał się dlań tak ująć.

Ażeby objaśnić tę ostatnią okoliczność, musim przedewszystkiém powiedzieć, dla czego dziedzica Gogolic nazywamy Hipciem, a nie panem Hipolitem, jakby się może godziło. Oto dla tego, że był maleńki i delikatny jak panienka, i że cała okolica tak go nazywała, z dodatkiem „mały", co go bolało niezmiernie; to téż niczém nie można go było więcéj obrazić, jak czyniąc alluzję do jego wzrostu.

Zetknięcie się jego z Herkulanem miało miejsce w Poznaniu, w czasie karnawału na jakimś baliku przyjacielskim. Tańczono właśnie kadryla z wielką werwą wobec tłumu widzów, i tak się trafiło, że wśród ścisku, Hipcio znalazł się tuż przed Herkulanem, któremu sięgał zaledwie do piersi. Pan lejtnant zauważywszy tę małą figurkę, chciał zażartować z niéj, i rzekł najpoważniéj w świecie:

— Czyby pan nie był łaskaw zamienić się ze mną na miejsce, bo nic przez pana nie widzę.

Hipcio ucieszony, że zawadza komuś swoim wzrostem, przyjął to za najlepszą monetę, i z wdzięcznym uśmiechem przepuścił przed siebie żartownisia, udając, że widzi wszystko jak najlepiéj, chociaż rzeczywiście widział tylko jego plecy.

Pomimo to, tak był zachwycony jego postępkiem, że starał się koniecznie poznać bliżéj tak przyjemną osobistość, co przyszło mu tém łatwiéj, że i pan lejtnant poczuł nagle do niego wielką sympatję, przekonawszy się, że to fryc, i do tego jeszcze majętny.

Od téj chwili, dwaj ci panowie byli z sobą jak Orest z Piladesem, albo Damon z Pitjasem, i Hipcio bez trudności namówił pana Herkulana, że ten odbył z nim wycieczkę do królestwa, i osiadł na jakiś czas w jego domu, pomimo mnóstwa ważnych interesów, jakie go niby zatrzymywały w Poznańskiém.

Zabrawszy z sobą do Gogolic pana Herkulana, Hipcio czuł się w obowiązku uprzyjemnienia mu poby-



tu. Więc zaczął go obwozić po całéj okolicy, gdzie sam pomimo małego wzrostu, był jak najlepiéj widziany, jako bogaty kandydat do stanu małżeńskiego. Wprawdzie, każde zjawienie się téj pary było witane ironicznym uśmiechem, gdyż Hipcio dziwnie się wydawał przy barczystym i rozrosłym lejtnancie — ale nie zwracał na to uwagi, mając się od czasu owego pamiętnego baliku za człowieka dobrego wzrostu.

Pan Herkulan znalazł wszędzie jaknajlepsze przyjęcie, raz, jako protegowany przez Hipcia, który nie przywoziłby przecie pierwszego lepszego przybłędy, a powtóre, dla swojéj miny, stanowiska i przyjaźni z nieboszczykiem posłem, nadewszystko zaś dla reputacji duelisty, którą udało mu się parę razy poprzeć skutecznie.

Raz naprzykład, zmusił pana Gamajdowskiego, obywatela możnego, i dla tego pomimo reputacji szachraja, wielce poważanego, że przeprosił go publicznie wśród bardzo licznego zebrania.

A rzecz się tak miała:

Po dobrym obiedzie, towarzystwo męzkie z dobrze zapruszonemi głowami, zebrało się na cygara w oddzielnym pokoju, gdzie podzieliło się na kilka gromadek. Otóż w jednéj z nich, w téj właśnie, do któréj przyłączył się pan Gamajdowski, ktoś zaczął opowiadać anegdotkę o jakiémś zręczném oszustwie, którego sprawca dzięk swojéj czelności, wyszedł cało z nienaruszoną sławą.

Pan Gamajdowski, który z całą uwagą i sympatją dla bohatera słuchał téj całéj historyjki, gdy opowiadający skończył, zaśmiał się na całe gardło, i nieszczęśliwie użył ulubionego swego wyrażenia, z którém bez żadnéj myśli często się odzywał:

— Lubię takich oficerów!

Usłyszał to na nieszczęście znajdujący się wśród drugiéj gromadki, lecz słuchający także z uwagą pan Herkulan, i uderzywszy pięścią w stół, aż się cicho zrobiło, krzyknął:

— Szkandał!

Następnie, zbliżył się z powagą do pana Gamajdowskiego, i surowo zażądał wytłumaczenia się z tego wyrażenia, tak niewłaściwie użytego wobec oficera pruskiéj landwery.

Pan Gamajdowski o mało nie zemdlał, gdyż pierwszy

raz w życiu mu się trafiło, że ktoś, a do tego człowiek wojskowy, żądał od niego zadosyć uczynienia. Ale wdali się natychmiast w to obecni, i zagodzili spór bardzo łatwo, gdyż pan Gamajdowski z płaczem zapewnił Herkulana, że zawsze i bez żadnéj myśli używa tego wyrażenia, chociaż nie zna osobiście żadnego wojskowego, co udowodnił świadkami. Poczém, pocałował go już z własnego popędu w ramię, i chociaż wina nie lubił, wypił jego zdrowie dużym kielichem.

Drugi raz znowu, sprawa była z panem Arturem, młodzieniaszkiem pełnym szyku, wychowańcem warszawskich knajp, przywykłym do popisywania się bez żadnych nieprzyjemnych następstw, z cynicznemi drwinkami ze wszystkiego i przyjmowania takowych najobojętniéj, gdy sam był ich celem, z rozumem sceptyka, językiem jak pytel, a sercem, jak w obecném zdarzeniu pokazało się, zajęczém.

Przybywszy świeżo z Warszawy, zobaczył po raz pierwszy p. lejtnanta, gdy ten dobrawszy sobie grono powolnych słuchaczy, opowiadał im swoje *exploits* w ostatniéj kampanji. Usłyszawszy napuszony styl i prowincjonalizmy poznańskie, któreby w Warszawie zrobiły furorę, p. Artur osądził fałszywie p. Herkulana, i był pewny, że znalazł łatwe pole do popisania się z warszawskim dowcipem. Więc przybliżył się i zaczął słuchać, uzbrojony w cały zasób sarkazmu, na jaki go stać było.

Pan Herkulan mówił:

— Więc, uważacie mnie, gdy i major i kapitan padli, ja stanąwszy momentalnie na czele szwadrony, zrobiłem rekognoskacją. Przed nami były krzaki, las, i to wszystko...

— Jakto, i to wszystko?... — zapytał p. Artur podstawiając się pod same oczy p. Herkulanowi.

Ten jednak nie domyślił się jeszcze, że młodzienia-

szek chce go brać na fundusz, owszem mniemał, że te słowa podyktowało przejęcie się opowiadaniem; więc zwróciwszy się głównie do p. Artura, mówił daléj:

— Las, rozumiesz mnie pan, gęsty las. Kto inny możeby się nie awanturyzował, ale ja, który permanent służąc w wojsku, biłem się od samego początku kampanji, nie namyślałem się ani na chwilę. Las miał z milę albo więcéj, przeszliśmy cały, ale w przeciągu téj przestrzeni, nie trafiliśmy żywéj duszy. Dopiéro za lasem pokazał się nieprzyjacielski oddział ze sztandartą. Momentalnie uformowałem szwadronę do attaku... to wszystko... i nim się spostrzegli, uderzyłem rapide. Raz, dwa, trzy, rozumiesz mnie pan, tak, że we dwie minuty z całego nieprzyjacielskiego oddziału zrobiła się jedna massa compacta, i sztandarta była w naszem ręku.

— A toś im pan wyrżnął sarabandę! — rzekł pan Artur.

Pan Herkulan jeszcze się nie domyślił, wziąwszy to wyrażenie za właściwość warszawskiego żargonu, i mówił daléj:

— Ci powiadam panie, jedna para nóg nie uszła. Co nie było zabite, dezarmowaliśmy i wzięli w niewolę. Zwycięztwo było *en forme*. Za ten *éclat*, *état-major* przysłał mi krzyż czarnego orła, ale refiuzowałem.

— *Ce n'est pas* żarty! — zawołał p. Artur.

Pana Herkulana uderzył nareszcie ton młodzieniaszka; spojrzał mu uważnie w oczy, poczém z godnością i bez uniesienia, gdyż prawdziwy duelista nigdy się nie unosi, rzekł tonem suchym i ostrym:

— Z kim mam przyjemność mówić?

Pan Artur zmieszał się nieco, ale nie przewidując aby niewinny żarcik mógl spowodować nieprzyjemne następstwa, rzekł do jednego z obok stojących:

— Proszę cię Ludwiku, zaprezentuj mnie tęmu panu.

— Pan Artur Włosek — rzekł skwapliwie usłużny Ludwik.

P. Artur pochodził z dobrych Włosków, prawdziwych, herbowych, pomimo to p. Herkulanowi, który ich nie znał, nazwisko to dziwnie zabrzmiało. Więc zapytał namarszczywszy się:

— Czy to psajdonim?

— Jakto psaj... pseudonim? — wybełkotał naprawdę już zmieszany p. Artur.

— Więc tak się pan nazywasz? to co innego. Mogę wyznać *en forme*, że nazwisko zrobiło na mnie równie ograniczone wrażenie, jak i ten, który je nosi.

— Jak to pan rozumiesz? — zapytał p. Artur, łudząc się jeszcze nadzieją, że to niejasne wyrażenie, nie znaczy znów nic tak dalece ubliżającego.

— Głupie... i to wszystko... — rzekł na ten raz wyraźnie pan Herkulan — mówię to momentalnie pod pańską adresą, skoro pan zdajesz się nie pojmować.

P. Artur w swoich knajpowych towarzystwach częstowany był nieraz i nawzajem częstował daleko grubszemi komplimentami, bez innych następstw, jak śmiech homeryczny słuchaczów; tu jednak pomiarkował, że sianem się nie wykręci, więc zbladłszy pomimowoli, zawołał desperacko:

— Pan mi dasz zadosyć uczynienie za zniewagę.

— Wszelkiekolwiek, jakie pan zażąda — odpowiedział z wyszukaną grzecznością p. Herkulan.

Zrobiło się zamieszanie w towarzystwie; rozłączono gwałtem zapaśników, jakby w obawie, żeby się nie potuzowali, i wiadomość o pojedynku, w jednéj chwili, jak po drucie elektrycznym przebiegła z ust do ust.

Artura wzięły czemprędzéj pomiędzy siebie mama i cztery ciocie — w ich gronie odzyskał zimną krew i kolory na twarzy; to téż zaledwie po wielkich wysileniach udało im się zrobić go skłonnym do układów; zaprzysię-

gał się wprawdzie z początku, że w krwi tego awanturnika zmyje swój afront, — lecz do jakiéjż ofiary nie doprowadzi miłość synowska? Uproszony przez mamę, mającą w asekuracji cztery ciocie, Artur musiał dać słowo honoru, że przystanie na wszystko co one zrobią.

Więc wysłano parlamentarzy, użyto wszystkich sprężyn strategji kobiecéj, obmotano p. Herkulana, zagdakano Artiurka, i doprowadzono do tego, że przeciwnicy podali sobie dłonie, przyczém młodzieniaszek musiał wysłuchać, już tym razem w grzecznéj formie wystosowanéj perory, któréj sens moralny był taki: że teraz młody człowiek zaledwie wyszedłszy z tercji albo sekundy, a bardzo rzadko z prymy, renomuje z tém, że wklepiwszy lornetkę w oczy, chodzi patent ubrany w eleganckiéj tużurce, wałęzga się po podejrzanych *établissements, etecera*, a nie nabierze intuicji, jak się zachować względem ludzi dobrze zasłużonych; którą to perorę wypowiedzianą ojcowskim tonem, Artiurek mógł przyjąć (jak zadecydowano) bez ubliżenia sobie, jako od człowieka znacznie od siebie starszego.

Kilka podobnych zajść, w których znalazł się *ferme*, postawiły p. lejtnanta bardzo wysoko w opinji całéj okolicy, — ale ponieważ, jak wiadomo, każda wyższość wzbudza w ludziach zawiść, więc téż tak się stało i z nim. Kilka osobistości urażonych na p. Herkulana o to, że wystawił na światło ich brak odwagi, nie mogąc się zemścić inaczéj, zaczęli działać pokątnie, i szukać sposobów, jakby go zgubić w opinji.

Więc najprzód zauważano z niemałem zdziwieniem, że p. lejtnant nie jest znowu takim rycerzem bez trwogi i zarzutu, jak się zrazu wydawało.

Powodem do tego przekonania, było jego znalezienie się wobec majora Rąbalskiego, wielkiego bywalca i zawadjaki, znanego powszechnie z odwagi i szczęścia w pojedynkach, których odbył z kilkanaście. P. major,

najlepszy zresztą w świecie człowiek i sam nie wchodzący bez racji nikomu w drogę, do pana Herkulana upatrzył sobie coś, i nie pominął sposobności, żeby mu nie przypiąć jakiéjś łatki.

Raz, pan lejtnant grając z jednym ze swoich zwykłych partnerów w pikietę, zrzucił zanadto ryzykownie czwartego asa, przez co niespodziewanie, pomimo że był na ręku, dostał od przeciwnika mającego cztery króle, dziewięćdziesiątkę i *carte-blanche.* Spostrzegłszy swój błąd, p. Herkulan w żalu odezwał się, nie szczędząc sam siebie:

— Ah! jakiż ze mnie głupiec!

— Bardzo być może! — rzekł ironicznie przyglądający się grze major — prawdę powiadają, że każdy siebie zna najlepiéj.

Na te słowa, wszyscy obecni spojrzeli na p. lejtnanta, ciekawi jak je przyjmie; ale p. lejtnant nawet się nie odwrócił, tak był zajęty grą.

Zdarzenie to, zostało skwapliwie pochwycone przez jego nieprzyjaciół i komentowane na wszystkie sposoby. Przechodząc z ust do ust, zmieniło nawet swoją pierwotną barwę; krańcowi nie wahali się twierdzić (chociaż jeszcze po cichu), że p. Herkulan dostał od majora w papę... i schował to do kieszeni.

Niebezpiecznego także wroga miał ex-lejtnant w pannie Domicelli, przekwitłéj piękności, polującéj na męża od lat piętnastu, i przez niejaki czas łudzącéj się nadzieją, że p. Herkulan dla niéj tu siedzi. Gdy się przekonała, że tak nie jest, z największéj przyjaciółki stała się jego prześladowczynią, i zaraz wszystkim w sekrecie zaczęła opowiadać, że to jest awanturnik i szuler, który przyjechał tu po prostu dla zrobienia karjery, mydląc ludziom oczy. Wykryła bowiem przez genjalne kombinacje, przynoszące zaszczyt jéj zmysłowi obserwacyjnemu, że najwidoczniéj zagiął parol na panią Inocen-

towę, któréj małżonek pan Inocenty, cierpiący na astmę i wadę sercową, wkrótce, jak było powszechne mniemanie, miał pozostawić ją wdową i panią bardzo znacznego majątku.

Daléj, dowiedziała się nader ważnego szczegółu od Wicka, służącego Hipcia, u którego bezustanku prawie zielony stolik był rozłożony i karty w robocie. Otóż chłopak ten wygadał się po pijanemu, że nieraz gdy podano kolację i gracze przeszli od preferansa do sali jadalnéj, p. Herkulan polecał mu w sekrecie, aby, podczas gdy będą przy stole, niby z własnéj gorliwości, starł stolik szczoteczką, za co dostawał regularnie dwa złote. Było to zazwyczaj wtedy, gdy źle stał w grze; o co po kolacji bywały sceny, krupiące się na czuprynie Wicka, który przyjmował to z rezygnacją dla dwuzłotówki.

Innemi przeciwnie razy, to jest gdy był wygrany, p. Herkulan pilnował stolika jak oka w głowie, zabraniając Wickowi dotykać się go.

Podobne szczegóły opowiadane zjadliwym języczkiem panny Domicelli, podkopywały coraz bardziéj reputację p. Herkulana; pomimo to, przez długi czas jeszcze, kampanja przeciwko temu mężowi ograniczała się na podjazdach i pokątnych praktykach.

Aż wreszcie bomba pękła i nastały dni wesela w nieprzyjacielskim obozie.

Razu jednego pan Herkulan, który rzeczywiście coraz częściéj odwiedzał dom państwa Inocentostwa, powrócił z tamtąd w najgorszym humorze. Zostawiwszy za ostatnią swoją bytnością pana Inocentego w łóżku, dogorywającego niemal i żegnającego się już ze wszystkimi, teraz najniespodziewaniéj zastał go z wesołą i uśmiechniętą twarzą, siedzącego nad lampką miodu z doktorem. Ten ostatni miał minę trjumfatora, i wyznał w sekrecie gościowi, że to co przez długi czas zdawało się

być następstwem wady serca, było poprostu jedną z przypadłości choroby znanéj u nas powszechnie, na którą szczególniéj uskarżają się ludzie sedenteryjni, jakim był właśnie pan Inocenty.

Pan Herkulan usłyszawszy to, poważył się okazać powątpiewanie; wówczas doktór zaklął się na żonę i dzieci, że pan Inocenty przeżyje jeszcze ich obu.

Ta wiadomość tak oddziałała na pana Herkulana, że zabawił bardzo krótko, i kwaśny powrócił do Gogolic.

Ta mała okoliczność dowodziła, że panna Domicella była wielką znawczynią ludzi, i nie dała się brać na plewy.

U Hipcia zastał pan Herkulan niespodziewanie kilku mężczyzn zabawiających się przy zielonym stoliku niewinnym *baczkiem*. Na widok pieniędzy, których było sporo przed graczami, rozjaśniło się jego oblicze i pomyślał sobie, że należy mu się od fortuny pewna kompesata, gdyż jak mówi przysłowie, kto nieszczęśliwy w miłości, szczęśliwy w karty. Więc wkupił się do gry, wydobywszy na stół wszystkie pieniądze, jakie miał w pugilaresie.

Ale wbrew nadziejom, fortuna zaczęła mu i tu nie dopisywać; za każdym razem gdy wziął karty do ręki, nie pociągnąwszy jak raz, dwa, a trzy najwyżéj, musiał je oddawać, a ilekroć posunął się do bicia jakiéj grubszéj kwoty, przegrywał na pewno. Można więc sobie wyobrazić, w jakim był humorze. Na domiar udręczenia, na ręku przed nim siedział jakiś nieznośny jegomość, który bił mu do dwóch i trzech razy własną swoją stawkę i za każdym razem zabierał, a potém litował się impertynencko nad jego nieszczęściem.

Jegomość ten nieznany mu dotychczas, średniego wieku i bardzo niepozorny, drażnił niepomału p. Herkulana swoim humorem, szczęściem z jakiém ciągle pra-

wie wygrywał, a najwięcéj owém litowaniem się. Więc zniecierpliwiony, gdy niepozorny jegomość zabierając mu pieniądze, może po raz dwudziesty, odezwał się: „Jaki pan dobrodziéj nieszczęśliwy w grze! żal mi pana dobrodzieja“, p. Herkulan zawołał:

— Mój panie, nie potrzebuję żadnych kondolencji. Nie takie sumy przegrywałem i nic mi się nie stało.

— A to wielka szkoda, że mnie tam nie było, panie dobrodzieju!

— Nie byłeś pan, to znaleźli się inni.

— A, to się bardzo ładnie znaleźli, panie dobrodzieju! -- rzekł niepozorny jegomość ciągnąc szczęśliwie już szósty raz z rzędu.

Pan Herkulan srożył się na to jego szczęście; chciał coś postawić, ale w banku było już dość grubo, a on oprócz jednego podartego rubla, nie znalazł ani grosza więcéj w żadnéj kieszeni, — tymczasem téż kto inny zabił wszystko, i znowu przegrał.

Niepozorny jegomość przeciągnął sześć razy i stawka od pięciu rubli doszła do dwustu.

Nastało do koła milczenie; zaczęto się wahać czy bić jeszcze, ten i ów wysuwał się z kilkunastu rublami.

Pan Herkulan pomyślał sobie, że po sześciokrotném szczęśliwém przeciągnięciu, niepodobna, żeby za siódmym nie odwróciła się karta. Więc powstawszy, zakrył ręką pieniądze będące w banku, i zawołał stentorowym głosem:

— Dla mnie! ja biję!

Niepozorny jegomość spojrzał nań, a widząc, że nie stawia pieniędzy, rzekł pukając palcem w stół:

— Nóżki na stół, panie dobrodzieju.

— Szkandał! — zawołał marszcząc brwi groźny p. lejtnant.

— Więc pan dobrodziéj fedbonuje? godna wiara — rzekł słodko niepozorny jegomość i rozdał karty.

Pan Herkulan obejrzał swoje i w trjumfie wyrzucił ośm punktów.

— Dziewięć, panie dobrodzieju! — rzekł niepozorny jegomość, odkrywając czwórkę i piątkę — przegrałeś pan dobrodziéj.

— Masz pan u mnie, a szkandal — szkandałem — rzekł pan Herkulan odchodząc od stołu.

— Jesteś pan dudek! — odrzekł z zimną krwią niepozorny jegomość.

— Co? — zawrzasnął p. Herkulan Gnatołomski.

— Dudek! mówię wyraźnie, rozumiesz pan? — powtórzył tamten dobitnie, patrząc mu w oczy.

Niepodobna było wymawiać się niezrozumieniem, więc pan Herkulan rzekł tylko:

— Biorę panów na świadków, że ten pan ubliżył mi *en forme*, rozmówimy się na męziurze.

Powiedziawszy to, wyszedł z powagą.

. . . .

Nazajutrz rano pan Herkulan rzekł do Hipcia:

— Pojmujesz, że momentalnie nie mogę strzelać do człowieka, któremu endettowałem się na dwieście rubli: wyglądałoby to tak, jak gdybym chciał go zabić, i tym sposobem zrobić *quitte*.

Hipcio się skrzywił, gdyż był przekonany, że się to skrupi na jego kieszeni. Ale pan lejtnant rzekł tylko:

— Proszę cię o dwadzieścia rubli na drogę, i o konie natychmiast do kolei. Jadę momentalnie po pieniądze, i wracam punkt od dziś za tydzień, ażeby ten pan nie renomował z tém, że przyszedł mi grubo, a ja go się obawiam.

Hipcio dał mu czemprędzéj dwadzieścia rubli i odesłał na koléj, a za tydzień punktualnie, jak był obligowany, posłał po niego furmankę.

Ale furmanka powróciła próżno. Upłynął drugi ty-

dzień, za tygodniem miesiąc, za miesiącem rok i o panu Herkulanie Gnatołomskim wieść zaginęła.

Hipcio przez długi czas myślał, że jego gość umarł. Ale nie dawno będąc w Poznaniu, spotkał na ulicy osobę, pomimo faworytów i brody, których p. lejtnant nie nosił, mocno przypominającą tego ostatniego.

Podobieństwo było tak wielkie, że Hipcio ukłonił się téj osobie w przekonaniu, że to pan Herkulan i stanął chcąc go zaczepić. Ale przechodzień ukłonił mu się tak, jak się kłaniamy przez grzeczność osobie nieznajoméj, która nas wzięła za kogo innego i poszedł daléj.

To stanowczo przekonało Hipcia, że się grubo omylił, — boć przecie gdyby to był pan lejtnant, byłby się z nim nieochybnie przywitał i oddał 20 rubli.

Co dowodzi, że są jeszcze wróble, które się dają łapać na plewy.

PAN KALASANTY.

Przed laty dwudziestu kilku mieszkał w mojem sąsiedztwie, p. Kalasanty Chaliński, szlachcic z miny pokaźny, z zawiesistym wąsem, łysiną jasną i wypukłą, a nosem takim, że niech się schowa przed nim ów konterfekt



umieszczony przy pierwszem wydaniu ramotek ś. p. Wilkońskiego. Miał wioskę dziedziczną, którą, nie chcąc przytaczać prawdziwego jéj miana, nazwę Wólką; a leżała w Kujawach i to w samem sercu Kujaw, bo w blizkości Bachorzy.

Nazwałem p. Kalasantego szlachcicem, bo być się nim mienił i pieczętował się Pomianem; ale jako żywo nie miał do tego żadnego prawa. Była wprawdzie przed laty w Kujawach rodzina Chalińskich Pomianów; volumina legum wspominają w roku 1567 Skarbnika Brzeskiego tego nazwiska, który był szafarzem, to jest płatnikiem wojska w Kujawach; w lat sto prawie potém, jest w tychże voluminach wzmianka o Stefanie Chalińskim, burgrabim Radziejowskim, o którym wie i Niesiecki, chociaż go nazywa Stanisławem; wreszcie w 1697 roku, jeden Chaliński podpisał z Kujaw elekcję pierwszego Sasa; późniéj wszakże rodzina ta wyniosła się za Wisłę w ziemię Dobrzyńską, zkąd zapewne i pochodziła, bo jest nie daleko od Dobrzynia wieś Chalin. Czy zupełnie wygasła, nie wiem; ale to rzecz pewna, że w ostatnich czasach Rzeczpospolitéj, w Kujawach żadnego już Chalińskiego nie było. Ojciec jednak p. Kalasantego mienił się potomkiem téj rodziny, chociaż rzeczywiście był synem jakiegoś mieszczanina z Izbicy, rymarza czy szewca, arendującego propinację w pobliskiéj wsi Chalnie, a że tam się urodził, nazwał się więc od téj wsi Chalińskim, pewny, że żaden z interesowanych imienników oka mu nie wykłuje.

Ojciec ten, do którego p. Kalasanty był podobny, jak dwie krople wody, służył przed laty za ekonoma u nieboszczyka pana Dąbskiego ostatniego wojewody kujawskiego. Pan wojewoda był to pan całą gębą; późniéj wprawdzie majątek strwonił, ale wtenczas jeszcze miał dóbr tyle, że mógł jechać niemi od Torunia do saméj Warszawy i żywił roje oficjalistów, którym w téj służbie było wygodnie, jak u pana Boga za piecem. Pan Maciéj, bo tak było na imię ojcu p. Kalasantego, umiał ciągnąć wodę na swoje koło; łasił się panu, prochy przed nim zmiatał, ale kradł co się zmieściło, a że szczególny miał talent skarbienia sobie łaski pańskiéj, więc nadto

często gęsto oberwał coś ciepłą ręką. Ile razy miał wieźć remanent z powierzonego sobie klucza do rezydencji pana wojewody, kazał bywało ściąć w lesie dorodną sosnę, jakich brakowało w dobrach, gdzie sam pan mieszkał, i wydłubawszy w niéj korytko, włożyć na wóz. Nasypawszy w to korytko kupę talarów i zabiwszy mocno deszczułką, siadał jak na konia i jechał do jw. wojewody; a było mil kilka i błota grząskiego i grobel i kopnych piasków, na których nie mógł pośpieszać z ciężkim klocem. Brał więc w torbę parę kop jaj gotowanych na twardo i temi się posilał przez drogę, odłubując jaje po jaju i znacząc ślady swoje skorupami; a tak mu to już weszło w nałóg, bo był skąpy z natury, że jeżeli czasem wyjechał z domu, nie opowiedziawszy się dokąd, po tych skorupach znajdowano go zawsze w razie potrzeby.

W podobnéj podróży zafrasowane miał zwykle oblicze, które posępniało tém więcéj, im bliższym był jéj kresu, zwłaszcza jeżeli wiózł większą sumę. Żal mu było nieborakowi, że nie mógł z niéj przyswoić sobie więcéj, niż się dało bez wzbudzenia podejrzeń. Przybywszy na miejsce, wchodził po zameldowaniu się do pokoju jw. wojewody, a uścisnąwszy pańskie kolana i podawszy rachunek, stawał w kącie; tam wzdychał ciężko i mrugał oczami, jak gdyby mu się na płacz zbierało. Bywało, że wojewoda lubo nie przeglądał nigdy rachunków, krzywił się czasem na ostatnią cyfrę, spodziewając się daleko większéj; na zarzut zrobiony w tym duchu, pan Maciéj zwykł był odpowiadać wskazując na usta i brzuch swój okrągły:

— Tu percepta, a tu expensa jw. panie; gospodarstwo to żołądek; co dasz gębie, to on strawi jw. panie.

To tłumaczenie zadawalniało zazwyczaj wojewodę, a gdy p. Maciéj spostrzegł, że oblicze pańskie rozpo-

godziło się, przybierał znowu tak żałośną minę, że kamiennego trzeba było serca, aby go się nie spytać, co mu dolega. Na tém się też zwykle kończyło.

— Cóż tam znowu wasanu? — pytał wojewoda.

— Źle jw. panie — odpowiadał jak z nut — biéda jak zawsze, jw. panie.

— Cóż ci się stało?

— Co tam gadać jw. panie, ot! biéda człowiekowi, i *po wszystkiemu*.

— Ale cóż przecie?

— Dzieciska chore, dobytek się nie wiedzie, jw. panie; obie jałówki, którém dostał z łaski jw. pana łońskiego roku, zdechły w przeszłym tygodniu, szkapa mi okulała, muszę *piechty* łazić po polu.

A trzeba wiedzieć, że p. Maciejowi na tém ekonomstwie ptasiego mleka chyba brakowało; koni i bydła trzymał ile chciał na pańskich obrokach, a nawet wypasał je na handel bez żadnéj kontroli; dzieci, dwa rozpustne chłopaki, zdrowe jak rydze, zbijały bąki, wodząc się z sobą za łby, jak dwa koguty. Ale p. Maciéj wiedział, że p. wojewoda póki żyw będzie, nie zajrzy do swoich folwarków, a plenipotenta się nie bał; łgał więc śmiało i tak zawsze umiał poruszyć hojnego pana, że koniec każdéj rozmowy, najprzód można było przewidzieć.

— Weź wasan sobie sto talarów z remanentu, a nie becz jak baba, sześć djabłów zjadłeś — mówił wojewoda.

— Pokornie dziękuję jw. panu — odpowiadał p. Maciéj, ściskając znowu kolana pańskie, i wynosił się co prędzéj, bo pilno mu było kraść *de noviter repertis*.

Tym sposobem, jak łatwo się domyślić, trzos p. Macieja zaokrąglał się przyzwoicie; przyszło nareszcie do tego, że folwarki, któremi zarządzał, wziął w aktu-

alną dzierżawę od p. wojewody i to za bezcen, bo umiał poprzednio wykazywać dochody stosownie do swoich widoków; nie długo zaś potém, kupił na dziedzictwo wieś niezgorszą w sąsiedztwie.

Ale wkrótce na głowę p. Macieja zaczęły się walić kłopoty, o których mu się dotąd ani śniło. Jeszcze za ekonomstwa jego, umarła mu była żona, dawna garderobiana na dworze wojewody, zostawiwszy mu dwóch chłopaków po kilka lat mających. Z początku, zajęty interesami nie przykrzył sobie stanu wdowiego; ale nieszczęście zrządziło, że w dobrach, które dzierżawił, był leśniczy mający pięć córek, jedna w drugą jak łanie. Najstarsza miała lat dwadzieścia pięć, najmłodsza Marychna szesnaście; p. Maciejowi, który je często widywał, wszystkie pięć wpadły niezmiernie w oko, ale najbardziéj Marychna.

Z początku mniéj zważał na to, i jeżeli czasem spotkał którą z nich, albo odwiedził domek leśniczego, ograniczał się na ogólnikowych grzecznostkach; ale wreszcie ni ztąd, ni zowąd, zaczęło mu coś niby kamień zalegać na sercu. Gapił się nie wiedzieć czego po całych godzinach, zamyślony drapał się po nosie częściéj niż kiedykolwiek, bo zapomniałem powiedzieć, że miał ten zwyczaj, i nawet jeżeli oszukał kogo na koniu, albo nie domierzył zboża, wydając chłopu ordynarję, to już tylko czysto z nałogu.

Wreszcie jednego razu, kazał sobie zaprządz do wózka i pojechał do jw. wojewody, którego, lubo już dzierżawca, głosił się zawsze najwierniejszym sługą, dla tego, żeby mógł w razie zdarzonéj sposobności kraść go jak dawniéj.

— Cóż mi wasan powiesz? — zapytał wojewoda kłaniającego mu się do nóg p. Macieja.

— Źle, bieda, jw. panie — odrzekł jak zwykle p. Maciéj.

— Sześć djabłów zjadłeś, z twoją biedą, mosanie; wieś już, słyszę, kupujesz.

— Wiosczynę, jw. panie; człowiek za krwawy pot swój, chciałby mieć choć mizerną chudobę na starość. Ale... co chciałem mówić... — i zachłysnął się.

— Cóż chciałeś mówić?

— Sumienie mię gryzie, jw. panie.

— Sześć djabłów zjadłeś, tegom się nie spodziewał.

— Gryzie mię, jw. panie, bo nie usłuchałem woli Boskiéj, która mi się już od trzech tygodni objawia, i w téj perpleksji udaję się do jw. pana, jako do dobrodzieja mojego i opiekuna, po radę.

— Gadajże — rzekł wojewoda ciekawy.

— Już po trzykroć objawiła mi się we śnie, panie świeć nad jéj duszą, nieboszczka moja żona, a wierna niegdyś sługa domu jw. pana, i za każdym razem karci mię ostremi słowy za niedopełnienie obowiązków. Zostawiłam cię wdowcem, powiada, z dwojgiem sierot, jakże o nich pamiętasz? dałżesz im drugą matkę, coby ich ogarnęła i nauczyła pacierza, którego już zapomniały?

— Cóżeś wasan na to odpowiedział? — zapytał śmiejąc się wojewoda.

— Za pierwszym razem język mi kołkiem stanął; za drugim zapytałem, co mam zrobić? Ożenić się, odpowiedziała, i przepadła mi z oczu.

— A to się wasan żeń.

— Nie powiedziałem jeszcze jw. panu wszystkiego. Przeszłéj nocy znowu mi się pokazała i powtórzyła to wszystko, przykazując jak poprzednio, abym się żenił. A z kimże? zapytałem. Leśniczy Mateusz, rzekła, ma pięć córek dorodnych, weź jednę z nich. — A którąż? Najmłodszą Marychnę, odrzekła, i znowu przepadła — to mówiąc p. Maciéj wzdychał ciężko.

— A! sześć djabłów zjadłeś, czegoż się namyślasz

— rzekł wojewoda śmiejąc się do rozpuku — żeń się z Marychną, i kwita.

— Tak mi jw. pan radzi?

— No, jużci na sumienie tego nie biorę, ale skoro miałeś objawienie...

— Miałem jw. panie. Snać już taka wola Boska.

I ożenił się tedy 50 letni p. Maciéj z 16 letnią Marychną, która zrazu taką pokazała się macochą, jak gdyby była w zmowie z cieniem, który się jéj mężowi objawiał; szczególniéj zajęła się synami puszczonymi samopas — i nie chcąc nawet spuszczać chłopaków z oczu, nie pozwoliła oddać do szkół, lecz namówiła męża, ażeby przyjął do nich dyrektora. A działo się to już za pruskich czasów.

P. Maciéj, który już był dziedzicem na swojéj wiosce, przyznał w duchu, że to będzie daleko przyzwoiciéj i usłuchał żony; wkrótce jednak spostrzegł, że chodziło jéj nie o chłopców, lecz o dyrektora, który był chłop jak dąb i daleko młodszy od niego. To odkrycie spowodowało scenę bardzo gorszącą, zakończoną porwaniem się obu antagonistów za bary, i kto wié, jakby był wyszedł na tém p. Maciéj, bo trafił na gracza; lecz szczęściem chłopcy, którym przez pół roku p. dyrektor potrafił dobrze zalać sadła za skórę, widząc tę scenę, rzucili się na pomoc ojcu, a uczepiwszy się sukien i nóg pedagoga i ubezwładniwszy tym sposobem jego ruchy, tą dywersją zdecydowali wygranę, skutkiem któréj było sromotne wyrzucenie za drzwi p. dyrektora.

Ale to znów spowodowało scenę z Marychną, jednę, drugą i dziesiatą. Wśród piekła domowego zapomniano o chłopcach: jakoż jeden z nich kark skręcił spadłszy z topoli, na którą wlazł był po wróble gniazdo, drugi zaś p. Kalasanty, wyrosł tęgi jak sosna, ale głupi jak bót, i gdy nareszcie sceny pomiędzy ojcem a macochą doszły do tego stopnia, że stary zaczął zapijać z rozpaczy i my-

ślał już wynosić się z dworku, ustępując miejsca żoninéj familji złożonéj z czterech panien sekutnic już dobrze letnich, —p. Kalasanty, już naówczas wyrostek, nie wiele myśląc, poszedł w służbę za pisarka do dóbr niegdyś p. wojewody, dziś w innych rękach już znajdujących się.

P. Kalasanty edukacji jak widzieliśmy nie odebrał, ale wraz z krwią odziedziczył zdolności, wysoko mogące go posunąć w karjerze, w któréj przedsięwziął dobijać się losu. Łasił się więc dziedzicowi i kradł nie gorzéj jak ojciec, i podobnież jak tamten, przyszedł po latach kilkunastu do dzierżawki, a wreszcie, ożeniwszy się z młynarczanką, jedynaczką u ojca umiejącego brać dobre miarki od mléwa, kupił niezgorszą wioskę, w mojém, jak już mówiłem sąsiedztwie. Co do p. Macieja, ten już od lat wielu, zapił się był na śmierć; Marychna zaś, wyszedłszy za mąż, zaraz po skończeniu żałoby, za jakiegoś wiercipiętę z sądu Radziejowskiego, przeszastała z nim majątek w niespełna trzy lata, i nie wiadomo nawet, co się z niemi stało.

Pierwszą znajomość z p. Kalasantym zabrałem w własnym moim domu. Poczuwając się zapewne do obowiązków sąsiedzkich, raczył mię odwiedzić, w chwili, gdy właśnie miałem u siebie towarzystwo złożone z kilku młodych ludzi, po większéj części także sąsiadów. Ale pierwsze zaprezentowanie się jego było niefortunne, chociaż sprawiła to drobna na pozór okoliczność.

Trzeba wiedzieć, że dom mój stał na wzgórku, i z tego powodu, miał zajazd znacznie wyniesiony, opatrzony rampą. Jak powiedziałem — miałem gości; rozmowa toczyła się gwarna przy winie i cygarach, gdy w tém, spostrzegliśmy zajeżdżającą w bramę bryczkę w cztery konie, których żaden z nas nie znał. Ktoś dopiéro, przypatrzywszy się lepiéj, zawołał, że to p. Chaliński, nowy dziedzic Wólki. Na te słowa, wszyscy

rzuciliśmy się do okien, bo każdy go był ciekawy, i ujrzeliśmy dziwną, jak to z niemiecka nazywają: *fensterparade*; gdy bryka zajeżdżała przed dwór, woźnica, gapiowaty jakiś chłopak, chciał trzasnąć z bicza, lecz niezręcznie wziąwszy się do tego, nie zdążył w właściwéj chwili powstrzymać koni przed sienią, i bryka rozpędzona pod górę, własnym ciężarem stoczyła się na drugą stronę zajazdu, tak, że p. Kalasanty zmuszony był rad nie rad objechać po raz drugi trjumfalnie podwórze, za co, widzieliśmy jak milczkiem dał chłopakowi potężnego kułaka pomiędzy łopatki.

Tak jednak był tym wypadkiem skonfundowany, zwłaszcza gdy spostrzegł kilka twarzy w oknach, że wszedł z miną wcale nie tęgą; patrzał z podełba i oczy tylko świeciły mu jakimś chytrym wyrazem. Ale wkrótce rozochocił się, wypiwszy parę kieliszków wina, bo goście moi, ludzie młodzi, lubiący każdą zabawkę, wzięli go w obroty pomiędzy siebie. Wtedy fizjognomja jego przybrała inny wyraz: śmiał się wciąż z miną, jak to mówią, z głupia franta, a był taki uniżony, że nas niemal po łokciach całował, powtarzając co kilka słów zaklęcie: bodaj panom karmelki smakowały! Uważaliśmy także, że kieliszki spełniał ochoczo i nie dał się wcale prosić.

Jeden z moich sąsiadów, który powrócił świeżo z zagranicy, rozpowiadał właśnie o gospodarstwach zwiedzanych przez siebie w Belgji, i zachwalał między innemi nowy gatunek kartofli, których kilka przywiózł z tamtąd na próbkę, a ochrzczonych nazwiskiem Rijofrijo.

— Cóż pan na to mówisz, mości sąsiedzie — zapytał ktoś nagle p. Kalasantego.

— U mnie także ryją, panie dobr., ale świnie — odrzekł rozumiejąc tylko tyle, że mówiono o kartoflach — nie mogę dać sobie z niemi rady.

— Brawo! brawissimo! wiwat nasz sąsiad p. Chaliński! — zawołali wszyscy chórem — wypijemy jego zdrowie.

— Bodaj panom karmelki smakowały — mówił pan Kalasanty, kłaniając się na wszystkie strony, lecz nie pojmując za co jego zdrowie piją — Ukochać tych paniczków, jakie to wesołe!

Ale okoliczność ta, wprawiła go w różowy humor; język mu się rozwiązał i zaczął się wywnętrzać przed nami, jak przed najzaufańszymi przyjaciołmi. Czegożeśmy się nie podowiadywali!

A najprzód, wszystkich szczegółów o jego ojcu, które, przydawszy to com się dowiedział z innych źródeł, już opowiedziałem. Następnie, jako sam p. Kalasanty kupił swoją wioskę przez subhastację; zgubił przez to wdowę z siedmiorgiem dzieci, ale prawo miał za sobą.

Zajęty obowiązkami gospodarza domu, nie miałem czasu być ciągle przy nim, lecz podsłuchałem jego rozmowę z moim sąsiadem Adolfem, który lubiąc namiętnie zbierać wzorki, przyczepił się doń, i właśnie nadszedłem, gdy p. Kalasanty opowiadał mu, jak podczas licytacji na ową wieś w Warszawie, opiekun wdowy nazwał go głośno łajdakiem.

— Proszę! — mówił Adolf — i cóż pan na to?

— Łajdak, czy nie łajdak, mniejsza o to; każdemu wolno być czem się podoba; ale co jemu do tego, proszę pana?

— Naturalnie.

Uszom nie wierzyłem, i przykro mi się zrobiło, boć trudno było nie zaboléć w duszy, na widok nabytku, jaki zyskała okolica. Obywatelskiemu naszemu gronu przybywała jednostka, którą opinja może postawić w pewnéj względem nas solidarności, a jedna wrzodowata narośl, źle nieraz uprzedza o najzdrowszém ciele. Spojrzałem więc na mojego gościa ze wstrętem, a tymcza-

sem Adolf z rozpromienioną twarzą, jakby na minę złota natrafił, wyciągał go na co raz nowe konfessaty.

— Nie tak to łatwo przyjść do grosza, panie dobr. — ciągnął p. Kalasanty — żeby na wszystko uważać. Kto o sobie pamięta, o tym i ludzie pamiętają; jak się opuści, zostanie jak kołek; czy nie prawda?

— Nie mogę zaprzeczyć.

— Byli tacy, co mi odradzali *subkastracją* Wólki; tak się to mówi, cudzym kosztem łatwo być dobrodziejem.

— Jakżeś pan zrobił? — pytał Adolf dolewając mu kieliszka.

— Wypędziłem babę; niech sobie nie kpi z ludzi. Beczała, o mało u nóg mi się nie włóczyła; i jeszcze co panu dobr. powiem, udała się do Warszawy do sądów i tyle tam potrafiła zrobić, że miałem porządny klin do wybicia.

— Więc były trudności?

— O! były panie dobr. — rzekł p. Kalasanty — ale — dodał z filuternym uśmiechem — człowiek też nie w ciemię bity. Kosztowało to, kosztowało, niech im tam karmelki smakują, ale się przecież zrobiło.

— Nadrobiło pewno, panie kochany, nie prawdaż?

— To już tam nie moja rzecz — rzekł z miną świętoszka — wiém tylko, że krwawy grosz zapłaciłem.

Adolf się skrzywił i przestał dolewać mu kieliszka; pomimo to, nie przerwał swoich studjów.

— Jakże pan gospodarstwo w Wólce zastałeś?

— Sodoma gomora, panie dobr.; ani ładu, ani *supernacji* (miało to znaczyć subordynację). O! już to wszyscy panowie, niech wam tam karmelki smakują, psujecie ludzi; zacząłem ja z niemi z innego kopyta.

— Co? my psujemy! bójże się pan Boga; a toć i tak z za zielonych stolików krzyczą na nas co się zmieści.

— O co, paniczku?

— O ciemiężenie.

— O! już co w tém, to nie mają racji, jak mi Bóg miły. No! jeszcze tacy jak ja, co dorobiwszy się krwawą pracą grosza, znamy jego wartość, to wiemy jak sobie począć; ale panowie, coście lekko przyszli do majątku, to nie dbacie o nic i dogadzacie chłopom.

— Jak to pan rozumiesz, lekkośmy przyszli?

— Jużcić jakeś pan dobr. dostał po ojcu i dziadku toś się nie spracował.

— Że to lżéj jak kraść, przyznaję chętnie — rzekł Adolf śmiejąc się — bo co na to, tobyśmy się nigdy nie zdobyli.

— A pfe! któż mówi o kradzieży.

— Ale dajmy na to, że nam lekko przyszło — ciągnął Adolf zapomniawszy do kogo mówi — czyż pan myślisz, że wraz z tym spadkiem nie odziedziczyliśmy innego? że nie obowiązani jesteśmy do zachowania dawnych zwyczajów i tradycji, do utrzymania tego stosunku patrjarchalnego, jaki zachodził pomiędzy wsią a dworem?

— Wszystko to dobre, byle nie do zbytku. Ja u siebie panie dobr. zaprowadziłem jak najskrupulatniejszy porządek; regestra są na wszystko: choroba, dnie zmudzone, pijaństwo... wszystko się wytrąca.

— Co do tego, jesteś pan w swojém prawie; każda umowa winna być obustronnie dotrzymaną, a wytrącenie z zasług za niedbalstwo, jest słuszne.

— Bodaj panom karmelki smakowały, z waszém wytrącaniem; zapisze się w rejestrze na postrach, a jak się chłop pokłoni, wszystko mażecie. Ja, bo ani grosza swojego nie daruję.

— Ale, jeżeli się nie mylę, sprowadzając się do Wólki, podwyższyłeś pan zasługi wszystkim służącym, przez co mnie samego pozbawiłeś trzech, którzy dla kilkunastu złotych przeszli do pana.

— To dla tego tylko paniczku, żeby przyciągnąć — rzekł p. Kalasanty dobrodusznie — wszak bez tego nie będzie, żeby jeden i drugi czegoś nie przeskrobał, parę dni nie zmudził; jak mu wytrącę podług mojéj taksy, to się i tak obstanie.

— Gienjalnie, nie ma co mówić. Ale czy pan masz na to swoją taksę oddzielną?

— Naturalnie; cóżbym zyskał potrącając podług tego, co mnie chłop dziennie kosztuje? U mnie jest tak, paniczku: zmudzi dzień dla choroby, pół rubla; zdrów, a nie wyjdzie do roboty, rubla; upije się, dziesięć złotych za dzień. Jak widzą, że to nie żarty, to im się i pijaństwa i choroby odechce.

— No, tożeś się pan zabezpieczył od strat, jak murem.

— Gdzie tam, panie dobr.; nie dawno mieszkam, a już mię jeden złapał, niech mu tam karmelki smakują; i to za moje dobre, bo dałem mu naprzód nie tylko kwartalną ordynarję, ale i parę talarów na zasługi.

— Cóż zrobił?

— Nie dość że cały miesiąc chorował, ale w końcu umarł; a że baba ordynarję zmełła i zjadła, nie miałem z czego wytrącić.

— A niechże pana wszyscy djabli wezmą z taką ekonomją! — wykrzyknął drugi sąsiad podsłuchujący rozmowę Adolfa z p. Kalasantym.

Dosyć już miałem teorji mojego sąsiada; z tego co wyrzekł, poznałem go dostatecznie. Jakże mi się obrzydliwym wydał ten rzezimieszek, sięgający po stanowisko, któremu nie umiał sprostać, plugawiący łono, do którego tulił się bezczelnie! kontent więc byłem, gdy już odjechał, i z całego serca dałem mu krzyżyk na drogę.

Przyznać się jednak muszę, że w parę miesięcy potém, pojechałem sam do jego domu. Miałem po części

interes o jakieś szkody w pastwiskach, wyrządzone przez jego inwentarz, a nie ręczyłbym, czy nie z upoważnienia samego pana, ale przytém wzięła mię ochota, poznać go jeszcze u siebie. Los mnie jednak omylił, bom go nie zastał.

Przyjęła mnie sama jejmość, w czépku na bakier, z zamglonemi oczyma i rozpłomienionemi policzki, co świadczyło, że dawna młynarczanka, praktyczna jak jéj małżonek, spirytualizm pojmowała z materjalnéj jego strony.

Chcąc mnie zabawić, wtajemniczyła w najdrobniejsze sekreta swojego gospodarstwa; wyliczyła wszystkie jaja, które podsadziła pod kury i gęsi, przyznała mi się, że żadna kaczka nie chce jéj siedzieć, a skończyła narzekając na *szelmy* dziewki, z któremiby sobie rady dać nie mogła, gdyby ich nie *prała* codziennie własną ręką. Na zapytanie o męża, odpowiedziała, że musiał jechać do Warszawy, bo *osioł* adwokat nie dopilnował sprawy, i pokazało się, że w kupnie Wólki były jakieś nieformalności, grożące im procesem.

Gdy skierowałem rozmowę na szkody, jakie mi wyrządzał ich inwentarz, tak to przyjęła, iż nie widziałem nic stosowniejszego, jak zakończyć odwiedziny, nie pewny, czy dyskussja zdoła się utrzymać w tonie parlamentarnym. Pożegnałem przeto co prędzéj sąsiadkę, przyrzekając sobie, że nie przestąpię już więcéj tych progów.

Na tém się skończyły stosunki moje z p. Kalasantym. Nie oglądały go już więcéj moje oczy; dowiedziałem się tylko, że po rozpatrzeniu sprawy o Wólkę, pokazały się nie tylko nieformalności, ale po prostu nadużycie dobréj wiary, w skutek czego, p. Kalasanty musiał się wynosić jak nie pyszny z nabytego *krwawym potem* majątku; za sumkę zaś, którą konten-

tować mu się kazano, wziął gdzieś w Gostyńskiem czy Łęczyckiem niewielką dzierżawkę.

Mówiono mi później, że oboje z żoną rozpili się na dobre, że nie wiodło im się na dzierżawie, a nareście gdy wyszły jéj lata, osiedli w któremś miasteczku na bruku.

I nie słyszałem o nich więcéj; aż teraz nie dawno, nię więcéj jak trzy lata temu, odebrałem przez umyślnego posłańca list, który jako arcydzieło w swoim rodzaju, przytaczam dosłownie, z zachowaniem nawet pisowni i interpunkcji, uprzedzając, że nie jest bynajmniéj moim wymysłem. Nie jedna z osób czytających tę gawędę, zna go może w oryginale, wyglądał bowiem na cyrkularz. List ten, napisany zapewne na żądanie pana Kalasantego, przez jakiego dyletanta filozofii, następującéj był osnowy:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Bywaią czasy — gdzie sami sobie oddani iesteśmy — Ale, kiedy nas łada bądź iaka zmiana uderza—wyobraźnia nasza zuspienia otrzeźwiona — sprawdza tyle razy, powtarzane poięcie, Że: stan człowieka na świecie, iest Stanem Społeczności.—

Bo Czyż — niepraktykuiemy tego rzeczywiście? — Iedni albowiem dorabiaią się; i dochodzą maiątków, drudzy one melioracyą — polepszaią — Innych Bog — w konserwacyi takiey zachowuie, Że: to — Co im Rodzice przekazali — iest dla nich Ich błogosławieństwem, a tak wszystkie działania — iednocząc się odrożnieniem: Tworzą — węzeł — którego wątek, siłą żywotną zowiemy.—

W Rżędźie wielu — odcieni, położenie moie uposledzone iest wtym — Że: na teraz widze się bydź wyzutym — z całego mienia — jakie kiedyś nasi Oycowie

posiadali. — Iestem wsmutnym położeniu. Bo, nietylko odarty — z maiątku — ale nawet, z Imienia, przez pozornych: a zdradliwych Przyjacioł — Często, przebywam wprogach maiętnych Osób, o! Ofiarę dobroczynności — o! udział daru — kawałka chleba. — Bo utrzymanie przynaymi dzienne moiey exystencyi, ieszcze nie iest zbytecznym, każdemu Stych Godnych — osób, których maiątek nie iest krzywdą wspoł Braci— nabyty. —

Iest to myśl — Radykalna; i niekażdemu miła; ale miła tym wszystkim, którzy są Synami — Godnego Imienia — własnych swoich Oycow — Racz Iaśnie Wielmożny Panie! Wspomoc mie, na ten raz dla mnie przykry — dobroczynnym swoim darem — Co, dobra wola Iaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieia i miłe uczucie.— Będzie, ono Iaśniejącym chwałą — i naywyższą Godnością dla Osoby Iaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieia — promieniem a zawstydzi — nie poieden raz, kamienne Serca — gdzie podobnie ubogi — iakim sam na nieszczęście moie iestem — rzadko kiedy przyzwoity zasiłek odbiera.

Iestem dla Iaśnie Wielmożnego Pana Dobrodzieia — z Naywyższym Uszanowaniem; przy oczekiwaniu na udźielenie Łaskawey Rezolucyi:

Nayobowiązańszy Sługa!

Iózef Kalasanty Chaliński mp.
dawny były dziedzic wsi Wólki w powiecie Włocławskim—na teraz w mieście powiatowym Kutnie zamieszkały — prawnuk rodzony starożytney familii herbu Pomian de Chalno Chalińskich.

Przeczytawszy z dziesięć razy to pismo, za które

dałem posłańcowi rubla, boć tyle warte było bezwątpienia, z zawartych w niem aforyzmów filozoficznych, zrozumiałem tylko tyle, że mój dawny sąsiad został na czysto żebrakiem, co stwierdziło dobitnie prawdę dawnego naszego przysłowia, które mówi: że maleparta idą do czarta.

KLUCZ DO SERCA PANNY JULJI.

W sypialnym pokoju państwa Bajbarskich dziedziców Kutych Bab z przyległościami, toczyła się przy zamkniętych drzwiach walna narada, pomiędzy panią Angelą z Mądralskich Bajbarską a jéj małżonkiem panem Apolinarym Bajbarskim. Kwestja, którą rozstrząsano była tak palącą, że zacna para nie mogła usiedzieć na miejscu, i rozmawiała chodzący.

Pan Apolinary paląc, a raczéj ssąc jakieś niezbyt aromatyczne cygaro ustawicznie gasnące, które co parę minut w roztargnieniu zapalał u świecy przeciwnym końcem, kładąc popiołem do ust, przecinał pokój po linji łączącéj jego dwa naprzemianległe kąty; pani Angela z Mądralskich obrała sobie kierunek przeciwny, tak, że linje ich chodu formowały literę X. Skutkiem tego potrącali się często na środkowym punkcie sypialni, co jednak nie psuło bynajmniéj harmonji, i rozmowa toczyła się w przykłaném *unisono*.

W téjże saméj chwili, w przyległym pokoju bawialnym, panna Julja dziewica dwudziesto-letnia, najstarsza córa państwa Bajbarskich, przechadzała się z młodym i przystojnym panem Gustawem, sąsiadem Kutych Bab.

Kroki ich były mierzone, tak jak się chodzi po salonie, gdy pomiędzy kawalerem i panną toczy się salonowa rozmowa; skrzyp nowych kamaszków pana Gu-

stawa odzywał się w regularnych odstępach, przy towarzyszeniu również regularnego matowego puku obcasików panny Julji.

I pan Gustaw i panna Julja palili papierosy, zaciągając się ich wonnym dymkiem. Cieniuchne non plus ultra gasły raz po raz to Guciowi to Julci, co dawało pohop do wzajemnego udzielania sobie ognia; w tych słodko poufałych chwilach, namiętne spojrzenia pana Gustawa topiły się w pełnych ognia źrenicach panny Julji, i nawzajem — co dowodziło, iż pomiędzy tą nadobną parą, panowało najlepsze w świecie porozumienie.

Tak w sypialni, jak w salonie, rozmowa toczyła się o jedném i tém samém indywiduum, a mianowicie o panu Agapicie Ciapugroskim, świeżo przybyłym w te strony synowcu niedalekiego sąsiada Kutych Bab, pana Chryzostoma Ciapugroskiego, właściciela Ciapugrochów i Ciapugroszków, i sukcesorze jego znakomitéj fortuny.

Pani Angela z Mądralskich mówiła do swojego męża pana Apolinarego:

— Ciapugrochy warte są miljon.

— Brat bratu — odpowiadał pan Apolinary — w przeszłym roku ten Prusak co się tu chciał osiedlić, za same Ciapugroszki kładł Chryzostomowi na jednym stole pięćkroć.

— A on nie chciał — rzekła pani Angela.

— A on nie chciał — powtórzył pan Apolinary.

— Agapit będzie miljonerem.

— Spodziewam się!

— Stryj mu zapisze cały majątek.

— Przecie wyraźnie powiedział.

— Uważałeś, jak ostentacyjnie nazywał go swoim Gapciem?

— Naturalnie, że uważałem.

— A jak zręcznie dał do zrozumienia, że im się Juleczka podobała.

— Bardzo zręcznie.

— Widząc, że Julcia nie słodzi swojéj herbaty, spojrzał na nią i na synowca, i rzekł: z panny Julji i z mojego Gapcia byłaby dobrana para, bo i on pije bez cukru.

— Nie można było jaśniéj.

— To już tak jakby oświadczyny; a że się obiecali na jutro...

— Jak dwa a dwa cztery, dokończą reszty.

— To opatrzność Boska nad naszą Juleczką — zakonkludowała pani Angela z Mądralskich, i spotkawszy się właśnie na środkowym punkcie pokoju z małżonkiem, rzuciła mu się rozczulona na szyję.

Pan Apolinary zaskoczony z nienacka, nie mógł odpowiedzieć na ten uścisk, gdyż właśnie po raz dziesiąty już tego wieczoru, włożył cygaro do ust żarzącym się końcem; więc musiał przedewszystkiém odpluć popiół, co gdy uskutecznił, rozmowa zaczęła się *da capo* w tym samym tonie.

W pokoju bawialnym, pogawędka była również ożywiona. Panna Julja mówiła:

— Żałuj pan, że nie byłeś wczoraj, straciłeś wiele.

— Powetuję sobie, skoro, jak pani mówiłaś, mają być jutro.

— Wystaw pan sobie, siedział jak na cenzurowanem, i przez cały czas wizyty, nie powiedział trzech słów.

— Bo to już familijne. Raz przyjechawszy do pana Chryzostoma, zastałem u niego kilka osób z rodziny. Zgromadzeni byli w salonie; zdejmując okrycie w przedpokoju, myślałem, że zabłądziłem do kuchni.

— A to dla czego?

— Wchodzę, i cóż widzę? wszyscy siedli w kółko

nic nie mówiąc do siebie, tylko wybijając takt nogami. Robiło to taki efekt, jakby z pół tuzina kucharzy siekało kotlety.

Panna Julja zaśmiała się szczerze, i to tak szczerze, że zgasł jéj cieniuchny papierosik, więc rzekła do pana Gustawa:

— Proszę o ogień.

Pan Gustaw podał ogień, a przy zapalaniu spojrzenia ich skrzyżowały się i zatrzymały na sobie długo, bardzo długo.

Panna Julja, patrząc na wymuskane wąsiki pana Gustawa, na jego bródkę spiczastą, lubując się dowcipnym uśmiechem będącym okrasą jego ładnie zakrojonych ust, myślała sobie:

— Co to za różnica od tamtego! O czemuż zamiast trzymać dzierżawą Lichotki, nie jest on raczéj spadkobiercą tego starego.

Pan Gustaw patrząc w oczy panny Julji i czytając w nich bardzo wiele, myślał sobie:

— O, jakiż ze mnie głupiec, że się zaniepokoiłem wizytą tego niedojdy! Julcia jest moją, niezaprzeczenie moją!

I znów jego cieniuchny papierosik zgasł, co spostrzegłszy panna Julja, podała mu poufale swój z ogniem.

W tém miejscu nieméj rozmowy, otworzyły się drzwi od pokoju sypialnego; na ich progu ukazał się papa, pan Apolinary, wraz z mamą panią Angelą z Mądralskich, i oboje jednocześnie rzekli:

— Julciu, prosiemy cię do siebie.

Panna Julja poskoczyła jak sarenka, przy drzwiach wykręciła się zręcznie na obcasiku, i zrobiwszy rączką prześliczny gieścik, który można było wziąść prawie za buziaka od ust, rzekła:

— Do widzenia!

Panu Gustawowi śliczny ten gieścik podobał się

niezmiernie; więc pomimo, że drzwi do sypialni zamknęły się niegrzecznie za Julcią, nie uważał wcale na to, został w salonie w najlepszym humorze, pochodził, ponucił, i wreszcie zasiadłszy do fortepianu, uderzył „w lasku Ida“, co, jak wiadomo, stanowi pierwszą figurę kontredansów z pięknéj Heleny.

P. Gustaw tak był w téj chwili szczęśliwy, że powtarzał z upodobaniem po kilka razy każdą część; tajemna konferencja trwała ciągle; wreszcie gdy już po raz dziesiąty kończył szóstą figurę, drzwi się otworzyły, i weszli do salonu papa, mama i panna Julja.

Wszystko troje byli nadzwyczaj weseli, szczególniéj panna Julja: usiadła przy panu Gustawie, kazała mu grać *da capo* całe kontredanse, chichotała się jak dziecko, i przez cały wieczór była w niezmiernie różowym humorze; gdy zaś odjeżdżał, na pożegnanie ścisnęła mu rękę bardzo mocno, mówiąc prawie do ucha:

— Przyjeżdżajże pan jutro, bardzo proszę. Będą na pewno.

— Pani! stawię się niezawodnie, — odrzekł zachwycony Gucio; poczém wyszedł, wsiadł rozmarzony na bryczkę i pojechał do domu.

Konie jego, były to sobie najzwyczajniejsze w świecie szkapy, bo Gucio chociaż ładny, dowcipny, edukowany i szyk chłopiec, nie miał pieniędzy na drogie rumaki; jeden z nich odznaczał się truchtem, mającym pretensję do kłusa; drugi, za każdym batem zaaplikowanym przez powożącego Bartka, zarywał maleńkiego galopa; że zaś Bartek na to nigdy nie pozwalał i wstrzymywał go, więc jazda szła nie koniecznie, jak z wiatrem w zawody. Pomimo to, Guciowi zdawało się, że jedzie w sto koni, i przez całą drogę śpiewał na całe gardło „w lasku Ida“.

. . . .

Nazajutrz o godzinie piątéj wieczorem, w suto oświetlonym salonie, siedziała na kanapie panna Julja, a obok niéj Gustaw, sadzący się na komplimenta, bardzo dobrze snać widziane, bo srebrny jéj głosik wybuchał często wesołym śmieszkiem.

Pan Apolinary usadowił się w kącie, i przy lampie czytał świeżo przywiezione z poczty gazety.

Pani Angela z Mądralskich przechodziła się majestatycznie po salonie, i dumała. Tak papa, jak i mama, zdawali się najzupełniéj nie uważać na młodą parę, co cieszyło niezmiernie, i ośmielało Gucia.

Na raz, trzasło siarczyście z bicza, i na bruku przed domem zaturkotało gładko, elegancko, daleko ładniéj, niż gdy oddawał wizytę pan Gustaw, bo to był powóz na resorach, a pan Gustaw przyjeżdżał bryczką. Pan Apolinary zerwał się na równe nogi i wyszedł do sieni; pani Angela z Mądralskich poprawiła sukni i przejrzała się w zwierciadle; panna Julja nagle zamilkła i zapomniała odpowiedzieć na jakiś koncept Gucia.

Po chwili, do salonu wkroczył drypcząc pan Chryzostom Ciapugroski, drobniutki staruszek z niezmiernie cienkim głosem, którego może dla tego nie często używał, i z bardzo krótkim wzrokiem, przeciw któremu nie śmiał się zbroić w binokle w obawie, aby nie uważano tego ze impertynencję. Tuż za nim, ale to tak tuż, że zdawał się trzymać połypd fraka, wszedł jego synowiec, pan Agapit, *vulgo* Gapcio, młodzieniec tych samych co stryjaszek rozmiarów, sztywny jakby kij połknął, bez brwi, zarostu i poszycia głowy, to ostatnie bowiem, tak było jasne i krótko przystrzyżone, że wydawał się łysym.

Poczęło się zwykłe szastanie nogami i powitanie, po którém cała kompanja zasiadła, i nastąpiło uroczyste milczenie.

Pan Apolinary chrząkał uśmiechnięty bawiąc się dla

kontenansu gazetą; pani Angela z Mądralskich najprzytomniejsza z całego grona, rozpoczynała na kilka warjantów rozmowę o pogodzie, na co pan Chryzostom odpowiadał monosyllabami, zajęty szukaniem oczyma panny Julji, co mu przychodziło trudno, z powodu braku binokli.

Skuteczniéj dopełniał téj perkwizycji Gapcio, chociaż ulokowany był daléj, bo przy stoliczku z gazetami p. Apolinarego. Widział on bardzo dobrze pannę Julję, ale nie miłem mu było to, że przy niéj bardzo blizko siedział p. Gustaw i szeptał coś do ucha, na co ona zdawała się uśmiechać.

Dla uniknienia tego widoku i zajęcia się czemkolwiek, sięgnął po jednę z gazet; ale ponieważ wszystkie przyciskał ręką p. Apolinary, więc przez delikatność wziął osobno leżącą tabelkę wygranych z ostatniego ciągnienia piatéj klasy loterji klasycznéj, i zaczął ją z wielką uwagą przeglądać.

Spostrzegł to p. Apolinary, i wziął ztąd assumpt do rozmowy; rzekł więc z najwdzięczniejszym uśmiechem do Gapcia:

— Pan Agapit trzyma na loterji?

— Nie, panie dobrodzieju — odrzekł Gapcio.

— A cóż pan tam czytasz?

— Tak sobie przeglądam.

— To dam panu gazetę.

I podał mu najświeższy numer. Ale Gapcio tak uparcie ceremonjował się, nie chcąc przyjąć gazety i poprzestając na tabelce, że pan Apolinary jakkolwiek zdziwiony tém amatorstwem, zostawił mu ją do przeglądania.

Położenie zaczynające być kłopotliwém, przerwane zostało przybyciem nowego a niespodziewanego gościa, pana Damazego, człowieka wielce gadatliwego.

Posiedzenie się ożywiło, bo p. Damazy zaczął zaraz gadać. Więc najprzód opowiedział wszystkim w ogóle swoją podróż (mieszkał bowiem o parę mil i wstąpił tylko w przejeździe), oraz topografję wszystkich dziur i wybojów, o które na naszych drogach nie trudno. Następnie usiadłszy przy pani Angeli z Mądralskich, złożył jéj ukłon od swéj magnifiki i rozgadał się wielce o róży, którą dostała na samym czubku nosa i na którą nie mogła znaleść lekarstwa. Od pani Angeli przesiadł się do jéj małżonka pana Apolinarego, i uściskawszy go jeszcze raz, jako dawno nie widzianego, zagaił rzecz o ubezpieczeniach, co do których różnili się w zdaniu, pan Apolinary bowiem asekurował się w Towarzystwie Warszawskiém, gdy p. Damazy był stronnikiem Jakora. Wyczerpawszy kwestję asekuracji, przysiadł się do panny Julji i powiedział jéj parę komplimentów; wreszcie wziął pod rękę Gustawa i zaprowadził go do kąta:

— Co to za jeden ten młody, co siedzi tam na boku i przegląda gazety? bo nie dosłyszałem jak mi go prezentowano.

— To synowiec Ciapugroskiego.

— Dla czegoż on nic nie mówi?

— Głuchoniemy — rzekł śmiejąc się Gucio.

Pan Damazy miał kuzyna głuchoniemego, z którym wyuczył się doskonale rozmawiać na migi; więc jako człowiek z dobrém sercem, poszedł natychmiast do Gapcia.

Usiadłszy obok, spojrzał na niego z współczuciem, poklepał po kolanie i podniosłszy prawą rękę pod same oczy pacjenta, zaczął z wielką biegłością wyłamywać palce w rozmaite sposoby.

Gapcio nie wiedząc co to ma znaczyć, był przekonany, że ma do czynienia z warjatem; więc zbladł od strachu i wstał z krzesła, starając się oddalić, jak mógł najostrożniéj.

Ale pan Damazy przytrzymywał go gwałtem, myśląc, że jego znaki telegraficzne nie były dosyć wyraźne, i zaczął na nowo.

Przyciśnięty w ten sposób Gapcio zebrał całą odwagę i głosem drżącym z wzruszenia wybełkotał:

— Czego pan chcesz odemnie?

Pan Damazy zgłupiał; pan Apolinary patrzał z otwartą gębą, nie pojmując, co to znaczy; pani Angela z Mądralskich i pan Chryzostom szczęściem nic nie widzieli,



ostatni z powodu krótkiego wzroku, pierwsza dla tego, że zajęta była sąsiadem, opowiadając mu coś bardzo ciekawego.

Jedna panna Julja zrozumiała wszystko, bo Gucio wytłómaczył jéj znaczenie swojego figla, w przekonaniu, że ją tém ubawi; ale wbrew spodziewaniu otrzymał w odpowiedzi tak cierpką wymówkę, że zamilkł jak trusia i spuścił nos na kwintę.

Pan Damazy spostrzegłszy się, że zrobił głupstwo, starał się je wynagrodzić; więc przysiadł się do Gapcia i łatwo w niego wmówił, że nie miał bynajmniéj na celu żartów z tak godnego młodzieńca, na dowód czego wyuczył go na prędce całego alfabetu. Tém udobruchał go stanowczo, a nawet wprawił w tak dobry humor, że Gapcio rozgadał się jak nigdy.

. . . .

Gdy podano kolację, pan Gustaw usiadł przy pannie Julji, ale nie na wiele mu się to zdało. Panna była kwaśna, i na wszystkie wysiłki bawienia jéj rozmową, odpowiadała zimno i jak najlakoniczniéj; za to siedzącego naprzeciwko niéj Gapcia zaczepiała ustawicznie, manifestując przy tém jak najlepszy humor, i rozruszała go tak, jak to umieją kobiety kiedy chcą.

Gustaw, któremu i pan Damazy okazał, że się uczuł obrażonym mistyfikacją, pomimo całego swojego szyku i dowcipu, został na resztę wieczoru prawdziwym Gapciem.

Role obu konkurentów zmieniły się.

. . . .

Po kolacji, Gucio milczał jak struty, a Gapcio raz przemówiwszy, był już śmiały; więc usiadł przy pannie i gadał, ale to tak gadał, że gdy ulubiona suczka Julci, Żolka, skoczyła jéj na kolana i całowała po szyi i bródce, Gapcio wzruszony rzekł:

— Żebym to ja tak zrobił jak Żolka, toby się pani może gniewała.

Było to powiedziane tak naiwnie, i z takiém sercem, że Julcia się nie gniewała.

Gapcio promieniał, i przez resztę wieczoru nie opu-

szczał na chwilę panny Julji, a chociaż plótł trzy po trzy, dziwił się w duchu sam sobie, nie pojmując, zkąd mu się wziął taki rezon. Wszystkie manewra Gucia na nic się nie zdały; zajętego miejsca jego rywal pilnował zawzięcie. Gapcie bywają w pewnych razach uparci.

Nareszcie po paru godzinach podjazdowéj taktyki, Gapcio puścił się stanowczo na bystrą wodę. Po jednéj z małych przerw, które trafiają się perjodycznie



wśród rozmowy prowadzonéj we dwoje, topiąc ognisty wzrok w swojéj interlokutorce, rzekł drżącym głosem:

— Coby pani robiła w tym przypadku?

Panna Julja spojrzała mu w oczy, jakby chcąc wyczytać znaczenie tego pytania, wreszcie mdlejącym głosem odpowiedziała:

— Cieszyłabym się...

— Gdybym się pani oświadczył — rzekł Gapcio już pewny siebie.

Panna Julja spuściła oczy, zarumieniła się i... nie odpowiedziała nic, owszem, wstała z krzesła, ale wstając ścisnęła rękę Gapciowi i rzuciła nań spojrzenie, które go wysadziło z krzesła, jak miną.

Gustaw patrzał na to wszystko z kąta i wściekał się, pomiarkowawszy nieco za późno, jaką tu rolę odgrywał.

Panna Julja szepnęła matce do ucha i obie wyniosły się z salonu.

Gapcio szepnął kilka słów do ucha stryjowi, który znalazłszy szczęściem zaraz p. Apolinarego, wyniósł się z nim także do drugiego pokoju.

Zostali w salonie tylko Gustaw i Gapcio, bo p. Damazy odjechał już od godziny, pożegnawszy się bardzo zimno z Gustawem. Ale i ci także wynieśli się... przed sień: Gapcio dla ochłodzenia się po doznanych wzruszeniach, Gustaw dla poszukania Bartka, któremu kazał zaraz zaprzęgać i odjechał, pożegnawszy się tylko z samym panem Apolinarym, panie bowiem były już niewidzialne dla niego.

Przez całą drogę bił się z myślami, i szukając środka rewanżu i zgniecenia rywala. Jak pozyskać łaski i trafić do serca panny Julji? na to przedstawiał mu się jeden tylko sposób praktyczny... wygrać wielki los na loterji; ale ponieważ już było po ciągnieniu, w którém jego numer nie wyszedł nawet na stawkę, a przyszły wielki los mógł wyjść dopiero za pół roku, panna Julja zaś tak długo oczywiście czekaćby nie mogła, więc dał za wygranę.

. . . .

W parę miesięcy potém, ślub Gapcia z Julją odbył

się z wielką paradą w Warszawie. Po ślubie było wspaniałe przyjęcie na czterdzieści osób w hotelu angielskim, na którém znajdował się i Gustaw, a jako dusza zabawy, tak się ogólnie podobał, że wszyscy, nie wyłączając panny młodéj przyznali jednomyślnie, że jest jednym z najprzystojniejszych i najprzyjemniejszych młodych ludzi.

SPRAWA HONOROWA.

Po głównéj alei powiatowego miasta K., o zachodzie słońca, w czas słotny, przechadzał się wolnym krokiem tam i napowrót młody, przystojny i dobrze ubrany mężczyzna. W przechadzce téj, na pozór bezcelowéj, a nader dziwnéj ze względu na uprzykrzony deszczyk, od którego wcale nie ochraniał młodzieńca niedbale trzymany parasol, starał się on manewrować w ten sposób, aby na chwilę nie stracić z oczu jednéj z kamienic pomalowanéj na różowo i mającéj szyld z napisem: „Magazyn strojów damskich;“ ztąd wnieść można było, że w kamienicy téj tkwił magnes, pociągający ku sobie młodzieńca.

Zabawne były środki, jakich używał dla odwrócecenia uwagi ciekawych przechodniów. Gdy spostrzegł zbliżającego się ku sobie kogoś ze znajomych — a miał ich wielu w powiatowém miasteczku — to albo przyśpieszał nagle kroku, udając nader zafrasowanego i dobywając zegarka, spoglądał po domach, jak gdyby czegoś szukał; albo zwracał się szybko, a witających zbywał krótko, z miną człowieka mającego Bóg wié co na głowie; albo wreszcie po prostu wkraczał do najbliższéj sieni, z któréj głębin obserwował namagnetyzo-

waną kamienicę tak długo, dopóki ktoś zbiegający ze schodów nie wypędził go znowu na ulicę.

Przechadzka, a raczéj manewry te trwały już przeszło pół godziny i zaczynały coraz mocniéj niecierpliwić p. Jana, bo tak było na imię naszemu młodzieńcowi. To téż bez względu na deszcz, coraz więcéj na bakier przekrzywiał parasol, a ile razy nagromadzona na daszku u czapki woda w postaci kropel spłynęła mu



na nos, a z nosa na wąsy, ocierając twarz dobytą z kieszeni chustką, klął bez ceremonji.

Ale wreszcie wszystko to się skończyło.

Gdy, zmierzając po raz setny może ku różowéj kamienicy, był już od niéj zaledwie na piętnaście kroków, z sieni opatrzonéj w dwa schodki, pokazała się najprzód maleńka nóżka w świecącym gumowym kaloszyku, a za nią podpięta nieco, czarna wełniana spódniczka, na któ-

réj widok gorąco się zrobiło w piersiach p. Jana. Za spódniczką ukazał się i zgrabniutki biuścik w paltociku kortowym, i twarzyczka młodziutka, prześliczna, okolona jasnemi kędziorkami, wymykającemi się z pod skromnego słomianego kapelusika. Śliczne to stworzonko stanęło na pierwszym schodku, spojrzało w niebo, wystawiło rączkę na deszcz, poczém unosząc nieco spódniczki, chciało zejść ze schodków; ale rzuciwszy okiem w stronę, w którą iść właśnie miała i zobaczywszy dążącego ku sobie p. Jana, dziewczyna zrobiła giest, jakby się chciała cofnąć. Wstrzymała się jednak, gdyż w téj saméj chwili, z domu naprzeciwko, wyszedł spiesznym krokiem młody, wysoki mężczyzna w skromnym paltocie i rozwijając ogromny płócienny parasol, zbliżył się wprost do niéj i podał jéj ramię.

Dziewczyna przyjęła skwapliwie udzieloną sobie pomoc, i młoda para o kilka kroków od kamienicy spotkała się z p. Janem.

Ale spotkanie to było dziwne. Dziewczyna miała oczy spuszczone i wyraz twarzy jakby zalękniony; nowo przybyły jéj towarzysz mierzył p. Jana surowym i wyzywającym wzrokiem; ten zaś nie patrzył wcale nie tylko na niego, ale nawet na młodą dziewczynę. Odwrócił się tyłem do nich i zdawało się, że pilnie spoglądał w okno, czy też na szyldy domów.

I tak się rozeszli w przeciwne strony.

A przecież pan Jan oczywiście przechadzkę w deszcz odbywał na intencję ładnéj dziewczynki; na jéj widok poczuł coś nakształt bicia serca; dla niéj przeznaczył wyłącznie swój parasol, którym sam, jak widzieliśmy, tak źle się osłaniał. Więc dla czegoż tak się zakończyło to spotkanie? Czy p. Jan zląkł się zaimprowizowanego opiekuna dziewczynki? Bynajmniéj; możemy zaręczyć, że nie był tchórzem. Oto poprostu p. Jan doznał rodzaju wstydu i czuł się upokorzonym moral-

nie. Na groźbę bezpośrednią miałby co odpowiedzieć; sam poczuwszy wyrzut sumienia, wolał udać niewiniątko i wyprzeć się swojéj roli.

Toby dowodziło, że p. Jan miał nieczyste zamiary, ale zarazem, że się ich wstydził.

Młoda para i on rozeszli się, jak powiedzieliśmy, w przeciwne strony. Oni skręcili w pierwszą ulicę na prawo, on poszedł w lewo do poblizkiego zajazdu, gdzie stały jego konie. Gromkim głosem wydał rozkaz zaprzęgania swojemu woźnicy, a tymczasem kazał sobie podać porcję bifsztyku. Zjadł go z apetytem, popił kuflem bawara, pogłaskał pod brodę usługującą dosyć gładką dziewczynę, wreszcie siadł na stojącą przed bramą bryczkę i pojechał do domu.

*

* *

Pan Jan był najbliższym sąsiadem powiatowego miasteczka, od którego mieszkał o miedzę, trzymając dzierżawą mały folwarczek, niegdyś własność miasta, Wojtówką zwany. Nieświetnie stał w interesach, bo ojciec, niegdyś właściciel krociowego majątku, stracił wszystko, maleńki tylko fundusik zostawując synowi, który z tego fundusiku wziął skromną dzierżawę. Miał z niéj dochód bardzo szczupły, ale niedostatku nie doznawał. Umiał przestawać na małém i stosować się do położenia, lubo od najmłodszych lat przywykł żyć wcale inaczéj. Pod tym względem był to człowiek bardzo praktyczny. Ojciec jego, posiadacz znacznych dóbr i spokrewniony z najznakomitszemi rodzinami swojéj okolicy, prowadził dom na wielką skalę, żył ze wszystkimi i w tym duchu wychował syna, nie troszcząc się czy pozostawi mu środki do podtrzymania téj świetności. Póki żył, trzymało się to jakoś; lecz gdy umarł, zostawiając syna już pełnoletnim, ten znalazł się w położeniu niemal smutném.

Ale nieszczęście trafiło na duszę hartowną i umysł męzki. Jan, przyjąwszy dobrze nauki, skończył jeden z uniwersytetów zagranicznych, zkąd wrócił doktorem filozofji. Ponieważ nie myślał nigdy, że będzie kiedyś w potrzebie zarabiania na utrzymanie, chwycił się tego, do czego miał pociąg wrodzony, i zapisał się na wydział filologiczno-historyczny. Obecnie przyznawał, że lepiéjby był wyszedł, kształcąc się na inżeniera, albo téż doktora medycyny, co dałoby mu chleb gotowy: ale nie żałował po niewczasie, tylko schowawszy swoje studja do szuflady, wziął się do pracy. Więc najprzód popłacił długi ojcowskie, a z resztek zebrawszy kilkanaście tysięcyi, wziął wspomnioną Wojtówkę w dzierżawę.

Upadek to był, w porównaniu z dawniejszém położeniem, ale Jaś prawie tego nie poczuł, zręcznie i z wielkim taktem potrafiwszy się zastosować do położenia. Stosunków z nikim nie zerwał i żył z całém sąsiedztwem, tak samo jak nieboszczyk ojciec. Bardzo często przed szczupłym jego dworkiem, z prostemi sprzętami, błyszczącym tylko kilku pozostałościami z świetniejszych czasów, pamiątkami i portretami familijnemi, a głównie dobrze dobraną bibljoteką — zatrzymywała się elegancka amerykanka, lub powóz z końmi w angielskich szorach. Pan Jan nie robił sobie żadnego z podobnymi gośćmi zachodu: przyjmował ich bigosem, chlebem domowego wypieku i herbatą. Wina na pokaz u niego nie znalazłeś, ani cygar, od których palenia odzwyczaił się przez oszczędność, przekonawszy się, że zbyt znaczną rubrykę stanowiły w rozchodzie. Pomimo to, jak powiedziałem, częstych miewał gości, którym nie rumienił się podać zapałkę do własnych hawanosów, z kieszeni wydobytych. Silny poczuciem wartości swojéj osobistéj, a więcéj jeszcze może obawiający się śmieszności, na którą łatwoby się naraził, usiłując szczupłemi środkami

materjalnemi sprostać towarzystwu, do którego z koligacji należał, robił niemal wystawę z tego swojego zachowania się.

Dodajmy, że Jaś był przystojnym co się nazywa mężczyzną i obejścia pełnego salonowéj wykwintności, co go czyniło ozdobą wszystkich towarzystw. Kobiety przepadały za nim i poprostu psuły go, a to tém łatwiéj przychodziło, że wrodzony pociąg ku płci nadobnéj, obok wszystkich dobrych stron charakteru, stanowił jego piętę achillesową. To może sprawiło, że i płeć brzydka rachować się z nim musiała i w oczy przynajmniéj tolerować go, lubo za oczy krzywiono nań nosami, nie mogąc mu darować ubóstwa i usilnéj pracy na lichéj dzierżawce, co, zdaniem wielu, ubliżało imieniowi.

* *

*

W parę dni po bytności pana Jana w miasteczku i niefortunnéj wyprawie na intencję Maryni (tak było na imię ładnéj blondynce), w domu hrabiego Leona, sąsiadującego z Wójtówką, bawiło się towarzystwo złożone z sześciu mężczyzn, nie licząc gospodarza.

Hrabia, gospodarz domu, był demokratą, o ile może być demokratą hrabia, używający swego tytułu, wraz z koroną o dziewięciu gałeczkach na biletach wizytowych. Ale było to postępowanie racjonalne. Hrabia Leon miał fortunę dostatnią, lecz szlachecką; z ultra-hrabiami równać się nie mógł, — wolał więc, zebrawszy około siebie towarzystwo, któremu imponował tytułem, być w niém pierwszym, aniżeli gdzieś tam po za wysokiemi progami zniknąć w tłumie. Zresztą, zamknąwszy oczy na pewne słabostki, którym, jako człowiek ułomny, ulegał, przyznać musiemy, że był to najlepszy w świecie człowiek. Czytał — co na hrabiego jest bardzo wiele—a co

większa, pisywał niekiedy korrespondencje do Gazety rolniczéj — co już jest dziwowiskiem! Protegował, może głównie dla rozgłosu, ale zawsze protegował sztuki piękne i literaturę, a lubił wesołe kawalerskie kompanijki i płeć nadobną.

W chwili gdy go poznajemy, pan hrabia siedział ze skurczonemi pod siebie nogami w jednym rogu kanapy, paląc cygaro, a pan Jan w takiéj saméj pozycji w drugim rogu. Rozmawiali z sobą półgłosem, a w oczach hrabiego wybijała się ciekawość i zainteresowanie się przedmiotem, do którego ekspozycji opowiadający pan Jan widocznie dobierał farb jaskrawych. Poznać to było można po wyrazie twarzy mówiącego.



Przy zielonym stoliku, na środku pokoju rozłożonym, czterech ichmościów grało w wista.

Pierwszym, najstarszym wiekiem, był *pan prezes*, z wypukłemi oczyma i wydętemi wargi. Piastował on niegdyś urząd prezesa jakiejś resursy, czy czegoś podobnego, i ztąd mu został ten szumny tytuł, tém chętniéj

i jednomyśniéj przyznany, że była to gwiazda pierwszéj wielkości na firmamencie powiatowym, człowiek najzamożniejszy na okolicę. Z tego względu doznawał wielkiego poszanowania, czci niemal; nie było kółka, zebrania zaimprowizowanego, sądu polubownego, żeby jednomyślnie, w najlepszéj w świecie wierze, nie obrano go na nim prezydującym — pomimo, że pod względem umysłowym był najdoskonalszym zerem, pod względem odwagi cywilnéj tchórzem jakich mało, pod względem inicja-



tywy w rzeczach podniośléjszych ignorantem. Lecz imponował wszystkim majątek miljonowy, dom urządzony na stopę pańską, ekwipaż wytworny i stół wykwintny. Pan prezes miał lat siedmdziesiąt, żonę z wielkiego domu, która nie wiedzieć dla czego poszła za niego, bo była znacznie od niego wykształceńsza, pomimo porządnéj dozy fumów,—i dwie córki, z których jedna zamężna od lat kilku, druga, panna, ale już narzeczona młodego człowieka, obecnego także w opisywaném przez nas towarzystwie.

Pan prezes grał poważnie i z zimną krwią, jak przystało na dożywotniego przewodnika wszystkich zebrań.

Drugim graczem był sześćdziesięcio-letni przeszło pan radca, wdowiec bezdzietny, umizgus wielki i kobieciarz,—wysoki, chudy, z gęstą, siwą czupryną, oczyma zaczerwienionemi i usty wykrojonemi jak u satyra. Grał nieuważnie, bawiąc się więcéj facecyjkami i dwuznacznikami, z któremi wyjeżdżał często, ku wielkiemu nieukontentowaniu swojego partnera, pana Kalasantego.

Ten ostatni, mężczyzna pięćdziesięciokilko-letni, krótki i pękaty, ojciec kilkorga dzieci, majętny i rządny gospodarz, ale zamiłowany w partyjkach, duszą i ciałem oddawał się każdéj grze i drażniło go niezmiernie, gdy grający z nim lekceważył ją i nie zważał na jego *inwit* lub *markowanie*. A miał na to swoje gesty i spojrzenia, które, jak sądził, każdy powinien był rozumieć. Od słabego koloru zrzucał kartę posuwisto, patrząc zarazem surowo i ze znaczeniem w oczy partnera — od mocnego kład kartę ostro, przy silném uderzeniu palcami w stół. Każde oddanie lub zrzucenie karty miało u niego swoje znaczenie, i unosił się pasją, gdy subtelności tych nie zrozumiano.

Czwartym wreszcie graczem był bankier z Warszawy, przybyły w tę okolicę dla jakiejś operacji finansowéj. W okularach złotych, uśmiechnięty, pulchniutki jak pączek, pan bankier grał niezmiernie elegancko i bezinteresownie; zamiast szarpać się, jak pan Kalasanty, uśmiechał się na wszystkie niełaski fortuny lub błędy partnera, nie przyjmując nawet tłumaczeń. Widocznie chciał uchodzić za wykwintnego gracza.

Oprócz hrabiego, gospodarza domu i pana Jana, któregośmy już widzieli, dopełniał towarzystwa Lolo, młody człowiek, mocno uderzający swoim szykiem warszawskim i binoklami, przyszły zięć pana prezesa. Ten Lolo był doskonałym okazem złotéj, a raczéj pozłacanéj

młodzieży dzisiejszéj. Cynik w wyrażeniach i obejściu, tym cynizmem nieodłącznym od szyku, tak przesiąkł, że nie było dlań nareszcie nic świętego. Przystojny, wysmukły, zręczny, lecz papinkowaty, pomimo młodzieńczego puchu na twarzy, z wykrzywionemi sarkazmem i przesytem usty, z oczyma popsutemi epidemiczném używaniem szkieł, lubiony był przez kobiety, może dla tego, że sobie nic z nich nie robił, a reprezentował w swojéj osobie wyborną partję. Ztąd wszystkie ma-



my i ciocie panienek na wydaniu, kokietowały go jawnie, lub wzdychały doń skrycie, pomimo, że wiadomy już był wszystkim projekt względem prezesówny.

Projekt ten, dzieło matki Lola i prezesowéj, był tak naturalny, że nikt mu się dziwić nie mógł. Były to dwie najlepsze partje na całe dwa lub trzy powiaty, i obydwie strony przystępowały do tego interesu przy zachowaniu wszelkich form wielkiego świata. Nie pytano się młodych o wzajemne przywiązanie, i oni téż o tém nie myśleli. Oboje dosyć przystojni, aby nie mieć do siebie

wstrętu, widzieli w swojém połączeniu spółkę prowadzącą do przyjemnego przepędzenia reszty żywota i nie dostrzegali nic takiego, przed czémby się cofnąć potrzebowali.

Lolo, nie licząc przygód swoich warszawskich i zagranicznych, miał parę awanturek w domu matki, która prawdziwie po macierzyńsku czuwała nad nim. Przed kilkoma laty Lolo, jeszcze wówczas młokos siedmnasto czy ośmnastoletni, zawiązał romans z córką jednego z oficjalistów, nieco starszą od siebie, dziewczyną bardzo ładną i ulubioną matki garderobianą. Matka patrzyła na to przez szpary, widząc, że Lolo nie znajduje oporu i przeczuwając, że stosunek ten przesytem dojdzie do rozprzężenia. Pobłażliwą łaskawość swoją posunęła do tego stopnia, że pod okiem niemal swojém dozwoliła tym związkom dojść do możliwego kresu.

Ale wkrótce Lolo, jak przewidziała matka, przesycony, zwrócił się do innego objektu z tejże saméj sfery, gdzie nadspodziewanie znalazł opór. Dziewczyna uczciwa i oczko w głowie ojca, który był ekonomem na oddzielnym folwarku, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, odrzuciwszy z oburzeniem najświetniejsze obietnice, utuliła się pod skrzydła ojca, który jéj to pochwalił i wziął na siebie odprawę panicza. Ale ten rozgorzał tak do pięknéj Anusi, że—lubo to było przypuszczenie nie prawdopodobne—matka sądziła się w prawie obawiać, aby jéj Lolo nie posunął się broń Boże (co za ohyda!) do matrymonjalnych zabiegów względem uczciwéj córki zubożałego szlachcica. Chcąc więc zaradzić temu najskuteczniéj, uciekła się do bezecnéj intrygi i za pomocą przekupionego sługusa odkrywszy jakoby schadzkę z nim Anusi, ta pani, tolerująca w swoim domu jawną kochankę syna, tak się okazała troskliwą o moralność sług swoich, że niewinną dziewczynę publicznie zawstydziwszy, wygnała wraz z ojcem z dóbr swoich.

Z tych kilku rysów łatwo sobie wyobrazić, jakim wpływom ulegało rozwijanie się przyrodzonych wad Lola i w jakim kierunku się wykształcił.

* *

*

Jak widzieliśmy, hrabia Leon, nie należący do gry, rozmawiał na kanapie z Jasiem; Lolo siedział w fotelu, z nogami przerzuconemi przez poręcze, i paląc papieros, przeglądał jakieś album.

Hrabia widocznie zainteresowany był opowiadaniem p. Jana, i w chwili gdy, jak można było wnosić, sytuacja naprężała się, wstrzymał go giestem, mówiąc:

— Czekaj-no — a zwracając się do graczów, zajętych wistem, rzekł:

— Panowie, posłuchajcie-no historyjki Jasia, musi ją wam opowiedzieć. Cóż u Boga! moglibyście raz rzucić te karty; gracie od samego rana.

— Przegrałem wszystkie robry, muszę się odgrywać — odezwał się torturowany w tym dniu przez los pan radca.

— Nie odegrasz się już, ręczę ci.., a tu, wiesz, o czém mowa? może ani się domyślasz... *un joli minois*...

— Dziewczyna? gdzie? co? — zapytał radca, zwracając się do hrabiego i rzucając machinalnie kartę.

— Ho! ho! jak zastrzygł uszyma... a tymczasem bankier zagląda mu w karty.

Bankier uśmiechnął się wdzięcznie w stronę hrabiego, jakby aprobując koncept, gdy prezes, w obawie już aby nie przyszło do awantury, rozjemczym głosem zawołał:

— Panowie! panowie!.....

Pan Kalasanty zaś w rozpaczy, z nieuwagi radcy,

swojego partnera, z żółciowém wykrzywieniem twarzy wykrzyknął:

— Po co pan zrzucasz trefle? to są forty.

— Kiedy już nikt ich nie ma, a ja nie przyjdę do ręki — rzekł radca.

— Jakto! ja mam jednę — zawołał zapalony pan Kalasanty, pokazując kartę — chowam ją umyślnie na podegranie... Jak pan rachujesz!?

— Ale bo zdawało mi się...

— Panu się zawsze zdaje.

— Ależ panie! — wtrącił niby żartem uśmiechnięty zawsze bankier, przytrzymując delikatnie rękę Kalasantego w któréj trzymał kartę — nie pokazuje się karty... gra się odkrywa...

— Panowie! panowie! — zawołał znowu prezes rozjemczo.

— Ale bo powiadam wam — rzekł hrabia — dajcie pokój tym kartom; radca się już nie odegra, ręczę za niego, zwłaszcza od chwili gdy usłyszał o dziewczynie.

Na wniosek większości, przerwano na chwilę grę, ku wielkiemu niezadowoleniu pana Kalasantego, który tymczasem tasował karty i zbierał je na kabałkę, chcąc się dowiedzieć, którą talję wybrać do następnego robra.

— Otóż, wystawcie sobie — zagaił hrabia — Jaś urwis przed trzema tygodniami poznał w miasteczku dziewczynę, cud piękności i zarazem cnotę pierwszéj wody, i jeżeli nie zaślepia go namiętność i wszystko co o niéj powiada rzeczywiście jest prawdą, to znalazł perłę prawdziwą.

— Gdzie? co? jak? — zapytał zaintrygowany radca.

— Jaś ma głos — rzekł hrabia — opowiadaj sam, słuchamy.

— Ale ja tylko poufnie opowiadałem hrabiemu...

i przyznam się, że nie pragnąłem bynajmniéj takiéj jawności — rzekł śmiejąc się p. Jan — tém bardziéj, że rola którą w tém zdarzeniu odegrałem, nie powiem żeby dla mnie była zbyt pochlebną.

— Ale pedant jesteś — zaoponował hrabia — czasami nie poznaję cię. Zresztą nie zostałeś jeszcze pobity, a jawne przyznanie się do poniesionéj klęski w pierwszych podjazdach, będzie ci bodźcem do postawienia na swojem.

— Czy mi hrabia rzeczywiście tego życzysz?—rzekł z dziwnym wyrazem p. Jan.

— Nieznośny jesteś; no, słuchamy.

— W istocie — rzekł Jan — zaczynam być podobny do amatora artysty, lubiącego się popisywać w towarzystwie, który każe się długo prosić, a gdy nareszcie odezwie się, wszyscy żałują, że go prosili. Aby tedy wyjść z fałszywego położenia i rozczarować was od razu, moi panowie, muszę powiedzieć, że cała moja awantura ogranicza się na tém, iż kilkanaście dni temu poznałem, a raczéj zobaczyłem przypadkiem w miasteczku młodą panienkę, która mi się rzeczywiście nadzwyczaj podobała.

— Cóż to takiego? *quel genre?* — zapytał zainteresowany radca.

— Bardzo ładna.

— Bruneta? blondynka?

— Blondynka z czarnemi oczyma.

Radca aż drgnął.

— Przepadam — rzekł z zapałem — za blondynkami o czarnych oczach.

— Radca wszystkie barwy włosów i oczu chwali na zawołanie — wtrącił, śmiejąc się, Lolo — nie dawno szalał za mocną brunetką.

— Wzrost? — ciągnął daléj nie zmięszany uwagą radca.

— Wzrost dobry, figura prześliczna.

— Ale dajcież pokój rysopisowi — przerwał hrabia — dosyć, że ładna. Cóż daléj?

— Umieramy z ciekawości — dodał z sarkastycznym uśmiechem Lolo.

— Daj pokój, Lolu — zawołał hrabia — wobec przyszłego teścia przynajmniéj powściągaj się.

— Panowie! panowie! — odezwał się, mrugając i ruszając ramionami prezes.

Wybuch śmiechu był odpowiedzią na tę rozjemczą dywersję prezesa.

— Otóż — mówił daléj p. Jan, naciskany przez radcę — spotkawszy to dziewczątko, uwiedziony zostałem jéj powłóczystém i nader wymownėm spojrzeniem, które rzuciła na mnie, jak się zaczynam przekonywać, bez żadnéj myśli... Widać sama nie wié o tém, jaka siła jest w wyrazie jéj oczu... Koniec końcem, zwątpiłem czy moje zabiegi — bo muszę się przyznać, że parę razy umyślnie dla niéj przyjechałem do miasta — zdadzą się na co.

— I cóż daléj — zapytał radca.

— Nic; na tém się skończyło.

— To nie wiele — rzekł drwiąco Lolo — ale idę w zakład, że co najlepszego, Jan chowa w tajemnicy dla siebie.

Rozpoczął się gwar, śmiechy; jedni drwili z pana Jana, drudzy go się wypytywali, podczas gdy hrabia uśmiechał się ukradkiem, jak gdyby coś więcéj wiedział, a pan Kalasanty zwoływał swoich kompanów do wista.

Wśród tego gwaru wszedł służący, oświadczając, że jakiś jegomość nie młody, niepokaźnie ubrany, żąda się widzieć z panem; ale hrabia nie miał czasu ani zapytać się kto to być mógł, ani wydać stosownych rozkazów, bo tuż prawie za służącym wszedł ów jegomość.

* * *

Był to starowina krzepki jeszcze, dobrego wzrostu, z sumiastym, siwym wąsem i takiemiż strzępiastemi brwiami, ubrany w odświętną kapotę granatową z potrzebami i buty juchtowe, dobrze tłustością wysmarowane.

Wszedłszy, skłonił się poważnie — poczém postąpił parę kroków ku środkowi pokoju, a zarzuciwszy czapkę barankową pod pachę i zacierając powolnym ruchem ręce, rzekł zwracając się do gospodarza domu:



— Jestem Grzegórz Tumalczyk, do usług pana hrabiego; niegdyś wojskowy, późniéj oficjalista prywatny, wreszcie od lat dwudziestu kilku, woźny przy tutejszym sądzie pokoju.

— Znam acana — odrzekł hrabia — przypominam sobie, że używałem go parę razy do wręczenia pozwów jednemu z moich dzierżawców. Cóż acan masz za interes?

— Za pozwoleniem pana hrabiego, mam kilka słów

do pomówienia z tym panem — rzekł woźny, zwracając się do pana Jana i mierząc go surowym wzrokiem.

Gdyby kto był uważał na p. Jana, byłby spostrzegł, że w chwili wejścia nieproszonego gościa zbladł trochę, a późniéj się zaczerwienił — jednakże w téj chwili nie pozostało już z tego wszystkiego ani śladu.

— Cóż to za pilny interes — rzekł hrabia — że mogąc udać się wprost do domu pana ***, aż tu go acan szukasz?

— Jestem gotów wysłuchać, co mi masz powiedzieć, panie Tumalczyk — przerwał p. Jan, powstając z kanapy — proszę z sobą.

— Przepraszam — odparł woźny — pragnę rozmówić się przy świadkach. Ten pan, — dodał, zwracając się do całego towarzystwa — wyrządził mi ciężką krzywdę, któréj oby mu Pan Bóg nie pamiętał!

Po tych słowach otarł nieznacznie kułakiem łzę, cisnącą mu się do oczu; ale to wzruszenie, oddziaływając niekorzystnie na wymowę i rezon woźnego, spowodowało w nim pewną reakcję. Rzeczywiście, wszedł tu silny słusznością swéj sprawy, z postanowieniem poszukiwania krzywdy jaką mu wyrządzono. Lecz rozejrzawszy się po fizjognomjach słuchaczy, ludzi z innego niż on świata, których zrobił sędziami pomiędzy sobą a jednym z ich grona, czuł, że jest dla nich nieproszonym intruzem i że zaciekawia ich tylko awanturką, którą gotowi byli uważać ze swojego punktu widzenia. Był naprzód niemal pewny przegrania sprawy, a co większa, czuł że się może ośmieszyć w ich oczach. To go naturalnie onieśmieliło; postępek swój zaczął uważać niemal za zuchwalstwo i łzy siłą powstrzymywane, dławiły go.

Pomimo to, drżącym i przerywanym głosem mówił daléj:

— Przyszedłem pożalić się na tego pana i rozmówić się z nim... nie w cztery oczy, lecz przy wszystkich panach.

— Cóż ty na to? — rzekł hrabia do pana Jana po francuzku.

— Słucham — odrzekł Jan, zaciskając nieznacznie zęby i rzucając się napowrót na kanapę — proszę mówić.

Zrobiło się cicho w tém gwarném towarzystwie; wszyscy zaciekawieni nadstawili uszu, nawet p. Kalasanty tasujący karty. Prezes zaś przybrał minę surowo uroczystą, wystudjowaną w ten sposób, aby, broń Boże, ktoś na niéj czego nie wyczytał i tém samém nie miał się o co przyczepić.

— Panowie — zaczął woźny, zdobywając się na odwagę i widocznie gwałtem przezwyciężając nieśmiałość — jestem wdowcem od lat blizko ośmnastu; żona moja pożegnała mię z przyjściem na świat córki, która jest jedyną moją pociechą i osłodą życia na stare lata.

— Domyślam się — szepnął Lolo na ucho panu Janowi — i winszuję ci, hultaju...

— Ten pan oto — mówił daléj woźny urywanym głosem, wskazując na Jana — spotkał moją Marynię parę razy na ulicy... i... tak mu się widać... podobała... że... zaczął ją natrętnie prześladować...

— Ależ, kochany panie Tumalczyk — rzekł pan Jan, nadrabiając humorem — gdybyś chciał rościć pretensje o to, że się komuś twoja córka podobała, musiałbyś toczyć wojnę z całym światem, gdyż niewątpliwie każdy człowiek z gustem przyzna, że panna Marjanna jest prześliczna; jeżeli zgoda, biorę na sędziów tych tu wszystkich panów.

— My do gotowego — zawołał Lolo — Wiesz co, tatku, przyprowadź tu córeczkę i zdaj się na nasz sąd, spodziewam się, że jesteśmy znawcami pod tym względem.

Woźnemu zadrgała twarz na te słowa i piorunującym wzrokiem rzucił na Lola, ale powstrzymał się jeszcze przemocą i nie odpowiadając wprost, zwrócony do reszty towarzystwa, rzekł:

— Córka moja ma narzeczonego, uczciwego rzemieślnika, z którym za miesiąc ma stanąć przed ołtarzem... kochają się oddawna i ja w tym związku widzę całe szczęście jedynego dziecka... Tymczasem ten pan, zauważywszy moją córkę, nie poprzestał na ściganiu jéj spojrzeniami i śledzeniu jéj kroków... zniżył się do nieprzyzwoitych zaczepek, które biedna dziewczyna musiała przyjąć z rumieńcem wstydu i przyszedłszy do domu, zalała się rzewnemi łzami. Nie chciała powiedzieć co było przyczyną tego płaczu... aż dopiero z pomocą narzeczonego, który także zauważył zaczepki tego pana i już chciał posądzać Marynię, doszedłem wszystkiego... Biedne dziecko nie śmie teraz wyjść na ulicę, bo plotka obiegła już całe miasto i naraziła ją na nie małe przycinki... Mój przyszły zięć, zmartwiony tém i oburzony, chciał już, nie bacząc na następstwa, dopuścić się względem tego pana jakiego gwałtownego kroku — lecz zdołałem uspokoić go i wziąłem wszystko na siebie...

— Koniec końcem, czego pan żądasz? — przerwał Jan, któremu ta szczególna scena dokuczała — proszę wyłuszczyć jasno pretensję, któréj się nie domyślam... bo wątpię...

— Bo wątpię — dodał drwiąco Lolo — abyś jegomość, pod pozorem, że twoja córka wpadła w oko temu panu, pragnął aby się z nią ożenił.

— Panowie! — zawołał gwałtownie stary — nie macie Boga w sercu... niech On was za to sądzi!...

I nie mogąc już zapanować nad sobą, wybuchnął tak gwałtownie łkaniem, że wszystkich wyjąwszy Lola, płacz ten poruszył.

Pan Jan znieść go nie mógł; poczciwa jego natura wyrzucała mu chwilową pustotę, w któréj przystępie, bez zastanowienia, rzucił na igraszkę dobre imię uczciwéj, jak się dziś przekonywał, dziewczyny. Łzy starego spadały gorącemi kroplami na jego serce.

Nagłym ruchem wstał z kanapy i zbliżył się do woźnego.

— Panie Tumalczyk — rzekł doń—proszę o rękę.

Lolo z sarkatycznym swoim uśmiechem, z rękami w kieszeniach, zbliżył się również, uważając to przemówienie Jasia za jakąś dobrą farsę.

— Proszę o rękę—powtórzył pan Jan, a gdy woźny się wahał, wziął ją gwałtem w obie dłonie.

— Przyznaję — rzekł — że postąpiłem sobie niegodziwie, ale przyznanie się do winy i żal prawdziwy, są w stanie wszystko odkupić... Przysięgam wam, że żałuję i wstydzę się mojego postępku, a żeby dać tego dowód, proszę was publicznie o przebaczenie...

— Tak jest — dokończył Lolo, patrząc drwiąco na pana Jana — a nadewszystko o ułagodzenie tego pana narzeczonego... bo to z tymi panami zadzierać czasami niebezpiecznie...

Jan zbladł i szybko zbliżył się do stołu, z którego wziął leżącą tam swoją czapkę i rękawiczki.

Zwrócił się znowu do woźnego.

— Robię dla pana — rzekł doń — ustępstwo od zwyczajów naszego ucywilizowanego społeczeństwa, i jeszcze raz przepraszam za moją niegodziwość. Ponieważ zaś, podług praw honoru, mógłbym być uważany za tchórza i posądzony, że działam pod wpływem pańskich pogróżek, zatém biorę pana za świadka, że się rehabilituję...

To powiedziawszy, rękawiczką, którą od kilku chwil miął w ręku, uderzył w twarz Lola.

Scena byłaby nader dramatyczną, gdyby wszyscy jéj świadkowie, z wyjątkiem hrabiego, nie byli zgłupieli na tak niespodziewane rozwiązanie. Ten ostatni uśmiechnął się pod wąsem, i widocznie miał ochotę uderzyć brawo Jasiowi — wstrzymał go tylko wzgląd na przyzwoitość.

Prezes zbladł jak ściana, wyobrażając sobie przez jasnowidzenie, krew mogącą się przelać po tém zajściu, następnie zaczerwienił się mocno, niby wstydząc się za przyszłego zięcia, lecz pozostał nieruchomy na miejscu poprzednio zajmowaném.

Radca postąpił parę kroków, z zamiarami rozjemczemi, ale ograniczył się tylko na wyrzeczeniu patetycznym głosem:

— Panowie! co to jest?

Pan Kalasanty zaprzestał kabałki w rozpaczy, że po podobnéj awanturze nie podobna już myśleć o skończeniu partyjki.

Bankier nie wiedział sam jaką minę zrobić, ale pomimo woli zbladł leciuchno.

Biedny Tumalczyk, sprawca tego zamieszania, przytulił się do kącika i oniemiał:

A Lolo?

Lolo, poczuwszy rękawiczkę na twarzy, zbladł jeszcze mocniéj niż jego teść *in spe*, pan prezes; pociemniało mu w oczach. Po chwili jednak, zdobył się w uniesieniu na szlachetny wykrzyknik, wyjęty ze słownika układanego bynajmniéj nie dla towarzystwa do jakiego sam się zaliczał:

— Gałganie!

Na to odezwanie się, grożące brudném rozmazaniem nastąpionego zajścia, hrabia gospodarz domu wstał szybko z kanapy.

— Za pozwoleniem — rzekł do Lola — ani słowa więcéj! Nie sądziłem aby mogła zajść potrzeba przypominania, w jaki sposób załatwia się podobna sprawa.

— Powierzam ją hrabiemu — rzekł pan Jan i wyszedł z pokoju wraz ze struchlałym woźnym, który po szlachetném znalezieniu się Jana, był w rozpaczy, że sprowadził tę scenę.

* * *

W kilka dni potém, w głównéj oberży powiatowego miasteczka, zebrali się obywatele, wezwani przez partję prezesa, na sąd honorowy.

— Po co?—spytacie.—Co tu sądzić? Z winy Lola, który nie był zdolny pojąć szlachetnego postępku Jana, stała się brudna awantura. Podług praw honorowych, zajście to mogło się zmyć tylko krwią.

Lecz ani mamie Lola, ani prezesowi, przyszłemu jego teściowi, nie było to po myśli. Im chodziło o to, aby załatwić sprawę pokojowo, a z ich korzyścią. Miałżeby świetny Lolo, gagatek matki, nadzieja dwóch domów, narażać drogie życie dla tego, że podobało się panu Janowi zaczepić go w brudny sposób wbrew wszelkiéj przyzwoitości? Nie, to byłoby barbarzyństwem.

Więc najprzód, pan prezes wydał suty obiad, na który sprosił wybrane towarzystwo, śmietankę miejscowéj arystokracji, ludzi po większéj części brzydzących się ideami postępowemi i nie uznających żadnéj solidarności z motłochem, do którego zaliczali ludzi tak gorzéj urodzonych, jak uboższych. I na tém zgromadzeniu, po każdym kielichu wina, rozczulano się coraz więcéj nad nieszczęśliwym wypadkiem Lola, który przyrównywano do spotkania się z psem wściekłym. Byłożby logiczném, aby pokutował za nieprzyzwoity w ostatnim stopniu i grubjański postępek durnia? (tak bez ceremonji nazywano pana Jana). Czyż człowiek najlepiéj wychowany, byłby w stanie uniknąć awantury, znalazłszy się w podobnych warunkach? Czyż Lolo dał jakikolwiek powód do niéj? Nie,—raz trzeba przytrzeć rogów temu paniczowi, dla którego nie ma nic świętego.

Tego, co w najpiękniejszém świetle wystawiało jego charakter, szlachetnego przyznania się do winy i chęci nagrodzenia błędu, nie uznano mu za zasługę, owszem zdecydowano jednogłośnie, że czynem tym zbrudził się. Korząc się przed jakimś woźnym, pospolitował się i wy-

rzekał solidarności z towarzystwem, które i tak tylko tolerowało chudego dzierżawcę. Lolo, szykanując jego postępek, stał na straży przywilejów swojéj kasty.

Przy takiém widzeniu rzeczy i takich rozumowaniach, nic dziwnego, że uradzono, aby wybrana liczba obywateli złożyła sąd honorowy, na którym miała zapaść następująca uchwała: „Postępek pana Jana względem Lola uważać za prosty napad i nie puścić go płazem — skutkiem czego, pan Jan ma być wykluczony z towarzystw i nigdzie nie przyjmowany, a nikt mu ręki nie ma podać, chyba, że publicznie i uroczyście przeprosi Lola“.

Te mądre wnioski przyjęto jednozgodnie, a ostatni wydał im się najdowcipniejszym i zdolnym zagodzić to całe zajście. Nie wątpili, że pod naciskiem opinji (ci panowie mieli się za przedstawicieli opinji) pan Jan skruszy się, uderzy w piersi i rad będzie, że przeproszeniem Lola zostanie oczyszczony i wróci do ich łask.

Jan dowiedział się od hrabiego, który zupełnie inaczéj zapatrywał się na tę sprawę, o usposobieniu względem siebie owego kółka — dla tego, z planem naprzód powziętym, przybył do miasteczka w dniu na sąd honorowy przeznaczonym.

* *
*

Miasteczko K. miało dnia tego nader ożywioną fizjognomję. Oprócz osobistości zaproszonych do grona sądu honorowego, przybyło wielu braci szlachty, przez prostą ciekawość. Jednemu przypomniało się, że żona dawno suszy mu głowę o cukier i korzenie, drugi w tych dniach właśnie odebrał palet o zaległy podatek, i chciał go wnieść do kasy, trzeci miał obrachunki z kupcem; i tak pod rozmaitemi pozorami zebrało się kilkudziesięciu

obywateli, zaintrygowanych niezwykłą sprawą i ciekawych końca awantury.

W dwóch oberżach i tyluż cukierniach potworzyły się kółka, w których o niczém inném nie radzono, tylko o możliwych następstwach sądu honorowego. Większość trzymała stronę Jana, bo miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i żył na dobréj stopie ze wszystkiemi sferami. Lolo powszechnie był nie lubiony pomiędzy bracią szlachtą, któréj imponował przy każdéj sposobności i nieraz dokuczał swoim zjadliwym językiem. Przeto, chociaż w oczy świecono mu bakę, ze względu na położenie towarzyskie, w poufalszych kółkach psy na nim, jak to mówią, wieszano.

Z tych względów, większość braci szlachty cieszyła się z katastrofy i widoczną okazywała sympatję Janowi.

W najparadniejszym i najobszerniejszym pokoju głównéj oberży, zebrało się siedmiu koryfeuszów arystokracji okolicznéj, przyznających sobie prawo wyrokowania w zajściu Jana z Lolem. Wyrok ten, jak widzieliśmy, był już naprzód ferowany; chodziło tylko o uformalizowanie go.

Prezydował w tém zgromadzeniu pan marszałek, daleki krewny prezesa, człowiek dobry w gruncie, ale taki sam mazgaj jak on, zbywający tylko ogólnikami, nie chcący się nikomu narazić, i potakujący wszystkim. Misję swoją uważał za nader łatwą, gdyż stawiając się na miejscu stron powaśnionych, był przekonany, że nic prostszego, jak podanie sobie rąk i przeproszenie. On sam nie inaczéjby sobie postąpił, i według jego widzenia rzeczy, warjatemby trzeba być, żeby przekładać pojedynek.

Inni rozmaicie byli usposobieni, lecz w ogóle jak najgorzéj względem Jana, który, w osobie Lola, jak utrzymywali, obraził ich wszystkich.

Byli już tedy wszyscy zgromadzeni, i prezydujący marszałek zajął urzędowe miejsce; inni zaś częścią zaczęli obsiadać stół, częścią przechadzali się po pokoju, argumentując z ferworem. Pomiędzy tymi ostatnimi był i hrabia Leon, jako strona Jana i broniący jego interesów.

W tém, niespodziewanie drzwi się otworzyły, i wszedł pan Jan.

Wejście to było nader dramatyczne i zrobiłoby wrażenie na scenie, nie ze względu na pozę bohatera, która była bardzo naturalna, lecz z powodu min, jakie porobili członkowie prześwietnego sądu.

Rozprawy urwały się w najdraźliwszych dla Jana miejscach, a usta pozostały otwartemi, tak jak gdyby by nie dopowiedziane zdania przeszkodziły im się zamknąć.

Pan Jan skłonił się z lekka wszystkim, na co odpowiedział prezydujący mimowolném skinieniem głowy i hrabia Leon uśmiechem. Następnie podał rękę temu ostatniemu, który uścisnął ją przyjaźnie.

Nastąpiła chwila milczenia, nader ambarasująca dla członków sądu, nie wiedzących jak się zachować.

Nareszcie Jan zaczął mówić:

— Panowie — rzekł — widzę na waszych obliczach wyraz zdziwienia... że nie powiem zakłopotania, z powodu mojéj w tém miejscu obecności; lecz wytłumaczę ją natychmiast, starając się, ile możności, być jasnym zwięzłym.

Na te słowa dało się słyszeć tylko parę chrząknięć.

Pan Jan mówił daléj:

— O ile mi wiadomo, żaden sąd nie odmawia obwinionemu prawa ustnego przymówienia się, i ja chcę korzystać z tego prawa, jakkolwiek nie uznaję kompetentności samego sądu...

— Za pozwoleniem... — przerwał jeden z sędziów.

— Za pozwoleniem — przerywając mu znowu, mówił daléj Jan — nie będę dotykał drażliwéj kwestji powodów wiadomego zajścia; powiem tylko, że gdy nie podobało mi się wystąpienie pana Aleksandra, którém, jak było widoczném, miał intencję ubliżenia mi, z rozmysłem obraziłem go w ten sposób, aby stosownie do wyobrażeń przyjętych i obowiązujących każdego, spotkanie z bronią w ręku było pomiędzy nami nieuniknione. Z téj więc zasady wychodząc, nie uznaję kompetentności jakiegokolwiek sądu, gdy nie ma co rozsądzać, bo obraza była jawna...

— To już zanadto! — obruszył się któryś z gorętszych sędziów.

— Szanując jednak wolę każdego — mówił daléj, nie zważając na przerwę, pan Jan — stawam przed tymże sądem i kładę warunki, pod jakiemi będę mógł uzna prawomocność wyroku.

— Słuchamy — rzekł grzecznie prezydujący, ucieszony dobrym, jak mniemał, obrotem sprawy, i skinieniem ukazując panu Janowi krzesło przy stole.

Pan Jan, jak gdyby tego nie widział, oparł dłoń prawéj ręki na stole, ku któremu się przybliżył, i wyprostowany mówił daléj:

— Com zrobił, to w celu zmuszenia pana Aleksandra do dania mi zadosyć uczynienia, ponieważ czułem się obrażonym. Do tego zadosyć uczynienia zmuszę go innemi środkami, jeżeli tego było za mało. Jedyne dwa wyjątki dopuszczam, to jest: jeżeli mnie publicznie przeprosi...

— Co? co? — zawołał ze zgrozą ten sam co poprzednio.

— Jeżeli mnie publicznie przeprosi — ciągnął daléj z flegmą p. Jan — oświadczając, że to co wyrzekł nie było powiedziane w celu ubliżenia mi, albo też — tu zwrócił się do tego co mu przerywał — jeżeli ktoś z pa-

nów, uznając niewinność pana Aleksandra i przyjmując solidarną odpowiedzialność za jego postępek, pozwoli na sobie poszukiwać obrazy przez pana Aleksandra dokonanéj.

Zatrzymał się w tém miejscu p. Jan, a po jego słowach głębokie nastało milczenie. Fizjognomje członków sądu honorowego były w téj chwili nader komiczne: powaga kłóciła się na nich z pewnym rodzajem nerwowego strachu. W największym kłopocie był prezes, jako siedzący na główném i widoczném miejscu; zaradził temu wedle możności, dobywszy chustki i otarłszy, jak się dało najgłośniéj, po parę kroć swój nos marszałkowski.

Widząc że nikt nie odpowiada, pan Jan rzekł po chwili:

— Oto jest wszystko co miałem powiedzieć; a teraz podaję panom rękę, uważając oddany mi uścisk dłoni (te wyrazy wymówił dobitnie) za milczące zgodzenie się z mojém przekonaniem, usunięcie zaś jéj, za nieprzyjazne względem mnie usposobienie i tém samém związanie się solidarnością z panem Aleksandrem, z czego skorzystać nie omieszkam w danym razie, a o co już nie ze mną, lecz z obecnym tu przedstawicielem mojéj sprawy, panem hrabią Leonem, traktować pozostanie.

Wypowiedziawszy to wszystko wolno i nader dobitnie, zbliżył się pan Jan z powagą do prezydującego marszałka i wyciągnął doń rękę... którą ten, o dziwo, uścisnął, zlekka wprawdzie, ale zawsze uścisnął w swojéj, wykrzywiając twarz do sztucznego uśmiechu i wymawiając jakieś wyrazy, których nikt nie rozumiał.

Toż samo zrobili jeden po drugim wszyscy członkowie sądu, pomimo, że niektórych obruszyło z razu ultimatum pana Jana. I nic dziwnego.

Każdy wié, jaką jest obelgą nie przyjąć podanéj sobie ręki i czém to pachnie. Nikt nie przygotowany do

zbrojnego poparcia tego honorowego protestu, nie odważy się na krok tak śmiały, a cóż dopiero ludzie zebrani w celu przeprowadzenia misji pokojowéj i powstrzymania rozlewu krwi, i to nie z miłości ewangielicznéj, lecz wprost z obawy.

To téż gdy pan Jan, odniósłszy zwycięztwo, wyszedł wraz z hrabią Leonem, który oświadczył, że już tu niepotrzebny — sędziowie byli w wielkim kłopocie, jak zagaić rzecz i co postanowić. Sami dopuściwszy się tego, co postanowili zabronić dekretem, musieli, radzi nieradzi, wyrzec się nadziei potępienia pana Jana i wykluczenia go z towarzystw.

Podawszy mu ręce, ujrzeli się w konieczności przyznania, że był tego godnym, a tém samém, że zasługuje na to, aby czcigodny Lolo strzelał się z nim.

Pojedynek stał się nieuchronnym — sąd honorowy tak zawyrokował.

* *

*

I cóż się stało?

Lolo byłby się może zdecydował na ten krok odwagi, gdyż trzeba już tchórza wyzutego ze wstydu, aby otwarcie usuwać się w podobnym razie od zadosyć uczynienia. Zresztą tyle jest środków zmniejszenia niebezpieczeństwa — od czegóż sekundanci?

Ale na straży stała mama, silnie poparta przez prezesa. Ta dostojna para postanowiła, aby dla uniknięcia hałasu, wyjechać na jakiś czas za granicę.

Lolo nie opierał się bardzo temu wyrokowi, bez wstrętu wybrał się niezwłocznie w drogę i... w sześć miesięcy potém wrócił szczęśliwym małżonkiem prezesównéj.

Ślub brali w Paryżu, u świętéj Magdaleny.

Co do opowiadanego przez nas zdarzenia, wywie-

trzało ono z pamięci przedstawicieli opinji. Dziś wszyscy przy powitaniu podają ręce tak samo Lolowi, już szanownemu obywatelowi, bo mającemu dom własny i żyjącemu z komfortem — jak Janowi, i bardzo wielu nie może się wydziwić temu ostatniemu, że z Lolem nie chce gadać i spotkawszy go gdzie, omija.

Ale bo téż Lolo, bądź co bądź, nie czując się skutkiem nie przyjęcia pojedynku czystym na sumieniu, spo-



korniał jakoś. Zaczął być ze wszystkiemi serdecznym i strzeże się używania, jak dawniéj, za broń sarkazmu.

To go uczyniło nader popularnym, i całe to zajście nareszcie stało się rodzajem mytu, o którego rzeczywistości wielu poważa się nawet wątpić.

REKREACJE ZEFIRKA.

W roku 1859, jak zwykle co rok, znajdowałem się dla interesów świętojańskich w Warszawie. Załatwienie ich tym razem, dużo mi czasu zabrało, tak, że dopiero w końcu Lipca, gdy już żniwa, jak mi mój ekonom doniósł, rozpoczęły się w najlepsze, mogłem pomyślić o powrocie do domu.

Było to, pomnę, w sam dzień św. Jakóba, to jest 25 Lipca; porobiwszy potrzebne do domu sprawunki i poodsyławszy je do mojéj stancji w polskim hotelu, szedłem od placu teatralnego koło mennicy, dążąc do mieszkania, w zamiarze przysposobienia się do drogi na dzień następny. Byłem zadumany, bo rachowałem w myśli opłacone procenta, śniadania dla urzędników i inne wydatki: w tém spojrzawszy machinalnie wprost siebie, ujrzałem kroczącą przedemną niewielką figurkę, w któréj po pretensjonalnym stroju i ruchach, po kapeluszu włożonym z wdziękiem na czubek głowy i zaczesaniu włosów, a mianowicie, po niezmiernie kraciastych pantalonach, poznałem kolegę mojego szkolnego, urzędnika z rządu gubernjalnego pana Zefiryna (nazywaliśmy go Zefirkiem) Drypcińskiego. Lubiłem go, dla wesołego zawsze humoru i zapasu nowinek miejskich; lecz w téj chwili, myśląc tylko o jaknajprędszém wydostaniu się

z Warszawy, nie zaczepiałem go, uważając tylko z daleka.

Z Bielańskiéj ulicy skręcił w Długą, zmierzając wprost w stronę znajdujących się tam trzech zajazdów obywatelskich, gdzie i ja dążyłem. Przez drogę przywitał się kilkanaście razy. Przed damami i starszymi urzędnikami, uchylał z uszanowaniem i wdziękiem kapelusza; z poufałymi witał się całusem od ust, z których jeden dostał się jakiejś zgrabnéj dziewczynie niosącéj sprawunki, z powierzchowności i stroju wyglądającéj na pannę służącą; wreszcie nie przepuścił żydkowi kłaniającemu się z miną porozumienia, którego wziął poufale za bródkę.

Wszedł nareszcie do niemieckiego hotelu. Przechodząc koło bramy, spostrzegłem, jak zatrzymawszy się przed kartą, czytał nazwiska stojących tam podróżnych. Poszedłem daléj, mając jeszcze interes do poblizkiego handlu korzennego; załatwiwszy się tam nareszcie i idąc już do siebie, zetknąłem się z nim właśnie w chwili, gdy w bramie hotelu polskiego pytał się szwajcara o moje mieszkanie.

— A, witaj szlachcicu! — zawołał ujrzawszy mnie — o wilku mowa.

— Zefirek! cóż tu porabiasz?

— Szukam ciebie; dowiedziałem się od Stasia, że jesteś w Warszawie.

— Od trzech tygodni.

— Że téż nigdzieśmy się nie spotkali...

— Prawda. Ale tymczasem, kiedyś szedł do mnie, to proszę; w bramie nie mamy co robić...

— Z gustem.

Poszliśmy na górę; Zefirek rzucił mi się na szyję, ściskając z czułością. Poczęstowałem go cygarem. Rozkoszny był, paplał jak nakręcona maszynka; ale pomimo to uważałem, że nie był w swoim zwykłym humorze.

Było mniéj więcéj południe.

— Cóż to znaczy — zagadnąłem — że Zefirek o téj godzinie na mieście... Czy nie ze śniadanka?

— Ej, gdzie tam!... prawda, że jestem wolny, jak ptak wypuszczony z klatki... mam rekreacje; ale... istotnie, powiedz sam, czy to nie *los pomarańczowy*... Wystaw sobie, ze trzy tygodnie temu, był tu nasz kolega szkolny... pamiętasz, z czwartéj klasy... Alfons Mroczek... mieszka teraz w Krakowskiem. Otóż, zaprosił mię do siebie na wieś, zapewniając, że przyjedzie po mnie w końcu Lipca. Wystarałem się o urlop na 28 dni, ktory ledwo po wielkich staraniach mi udzielono... lecz, cóż powiesz; właśnie gdym go miał już w kieszeni, odbieram list z poczty z czarną pieczątką od Alfonsa. Pisze, że mu umarł w Lubelskiem, stryj, na którego pogrzeb musiał jechać, a że potrzebuje załatwiać interesa spadkowe, przeprasza mię, inwitując do siebie na Wrzesień. Niby ja mogę czekać!... ledwo dostałem urlop, i już drugi raz mi nie dadzą. To się nazywa *puścić kogo w trąbę*... co! (przepraszam czytelniczki za niektóre wyrażenia Zefirka). Jak gdyby mię z nóg ściął. Wystaw sobie, ja co nigdy w życiu nie byłem na wsi, obiecywałem sobie tysiące przyjemności — a tu, siedź w tym kurzu miejskim, wśród wyziewów z rynsztoków, z urlopem w kieszeni.

Te słowa o kurzu miejskim i wyziewach rynsztokowych wymówił tonem, z którego niktby nie wnosił, że od lat blizko trzydziestu napawał się niemi, nie marząc o czém inném.

Żal mi się go jednak zrobiło. Przyszło mi na myśl, że bez wielkiéj z mojéj strony ofiary, mogę go uszczęśliwić. Rzekłem więc:

— Jeżeliś gotów i masz już urlop, to możesz te rekreacje przepędzić gdzie indziéj; jedź do mnie.

— Co ty mówisz! kiedy? — zakrzyknął, wlepiając we mnie iskrzące się oczy.

— Jutro. Wybierz się dzisiaj, i przybądź rano na siódmą, to pojedziemy.

Aż podskoczył.

— Brawo! wybornie! kochany Józieczek... a w których stronach mieszkasz?

— W Kujawach.

— Gdzież to jest?

— Nie wiesz gdzie Kujawy?

— Przyznam ci się... wiedziałem, ale... za któremiż to rogatkami...

— Pojedziemy koleją.

— Aha! to w Częstochowskiém?

— Zefirku, zapomniałeś geografji... czyż nie wiesz, gdzie Włocławek?

— Więc to powiat Włocławski! czemużeś mi nie powiedział. My w biórowości znamy tylko powiaty. Wiem, wiem, nad Wisłą. Ale... za pozwoleniem... koléj w tamtą stronę nie idzie.

Przypominam, że to działo się w r. 1859, gdy nie było jeszcze kolei Bydgoskiéj. Objaśniłem więc Zefirka, że dojedziemy koleją do Łowicza, a ztamtąd ruszymy daléj końmi.

— A dalekoż to za Łowiczem? — zapytał.

— Kilkanaście mil, aż nad granicą pruską.

— Co mówisz! nad granicą!... więc będę widział granicę...

Zefirkowi zdawało się, że ztamtąd zobaczy resztę Europy.

Po wielu jeszcze naiwnych zapytaniach, na które odpowiadałem jak mogłem, stanęło na tém, że Zefirek wypakowany kompletnie, stawi się w mojéj stancji nazajutrz rano na godzinę przed odejściem pociągu, którym mieliśmy odbyć podróż.

Wyobrażam sobie, że myśl o téj podróży spać mu nie dała, gdyż o wiele uprzedził umówiony termin — i to

całe szczęście; bo przysposobił się do drogi tak niepraktycznie, iż musiałem porobić niektóre modyfikacje w jego upakowaniu. Przybył, gdym leżał jeszcze w łóżku, ubrany jak na wody, w kapeluszu cylindrze na głowie. Dwóch tragarzy wniosło za nim ogromny kufer, wysoki drewniany, dobrze okuty, w rodzaju tych jakich babki nasze używały do chowania robronów albo firanek. Na okazane zdziwienie z mojéj strony, sądząc, że chodzi o ciężar, zaręczył mi, że rzeczy jego zaledwie połowę



kufra zajmują, reszta zaś jest próżna; gdy zaś wytłumaczyłem mu, że ani na bryczkę pocztową, ani do powozu się nie zmieści, zafrasował się nie na żarty, myśląc, że z podróży nic już nie będzie. Wybawiłem go z kłopotu, pchnąwszy numerowego po żydka, od którego kupiłem za kilka rubli tłómoczek i w takowy kazałem jego rzeczy przepakować.

Pojechaliśmy przecie na koléj. Za przybyciem, obstąpili nas zaraz posługacze, łapiąc za rzeczy. Zefirek nie mógł się zdecydować powierzyć swoich; zdawa-

ło mu się, że przepadną. Sam poszedł do wagi, skrupulatnie sprawdził numera na bilecie i przylepionéj na tłómoczku kartce, — nie podobało mu się, że w razie zagubienia, wracają tylko po rublu za funt, i w myśli obrachowywał straty, jakie w tym przypadku może ponieść — myślał już nawet, czyby nie wziąść rzeczy z sobą do wagonu, ale już było za późno; jego tłómoczek wpadł jak w otchłań pomiędzy masy różnorodnych bagaży: odebrać go nie mógł, bo mu nawet dostąpić doń nie pozwolono, do czego wmieszała się czynnie służba policyjna. Dla naprawienia mu humoru, zaręczyłem, że wypadki zatracenia pakunku są nadzwyczaj rzadkie, a nawet wziąłem na siebie wynagrodzenie mu z własnéj kieszeni przypuszczalnéj straty.

Usadowiliśmy się nareszcie w wagonie. Zefirek wlazł zaraz cały w okno, wychylając się na zewnątrz; pragnął żeby wszyscy widzieli, że wyjeżdża z Warszawy. Nie byłbym w stanie opisać wyrazu politowania i wyższości, z jakim spoglądał na wszystkich tych, co pozostawali w mieście. Przez całą drogę do Łowicza, nudził mię najnaiwniejszemi w świecie zapytaniami; robił spostrzeżenia prawdziwie dziecinne: dziwiła go każda trzoda bydła lub owiec pasąca się na polu, bawił każdy pies goniący lokomotywę.

— Czy będziemy jeździć konno na wsi?

— A jakże! będziemy. Czy jeździsz?

— Na żywym nie jeździłem, ale parę razy na saskiéj kępie karuzelem...

— No, to się wprawisz. A lubisz polowanie?

— Passjami; czy masz strzelbę?

— Mam parę dubeltówek...

— Wieśniaczki ładne w twoich stronach?

— Niczego...

— A sąsiedztwa są?

— Nie brakuje; jest kilkanaście ładnych panien.

— Są panny? a! to ślicznie. Jak zobaczą warszawiaka... hm!... hm!... Bo trzeba ci wiedzieć, że dla parafjanek, warszawiak jest ideałem *szyku*... wyrocznią w rzeczach smaku...

Uśmiechnąłem się w duszy, ale nie chciałem wywodzić Zefirka z błędu.

— Kto wié? — rzekł poufnie, przysuwając się do mnie—mogę zrobić karjerę... Więc mówisz, że są panny.

— Kilkanaście.

— Quelque chose *de porzą*?

— Naturalnie, a do tego posażne.

— Posażne!... i ładne? — zapytał oblizując się.

— Przystojne, a kilka wcale ładnych.

— Wiesz co, to może być rzecz; a będziemy bywać wszędzie?

— Rozumie się.

— Lansjera znają już u was?

— A jakże...

— To dobrze, będziemy tańczyć; ja celuję w lansjerze...

Zefirek pogrążył się w złotych marzeniach; widział się już mężem bogatéj dziedziczki, miał powóz, konie, liberję, a co najważniejsza, nie chodził już do rządu gubernjalnego; z kilku pytań i przemówień jego do mnie w ciągu dalszéj drogi, odgadłem całe pasmo wdzięcznych obrazów snujących się w jego wyobraźni.

Przybyliśmy do Łowicza, zkąd ruszyliśmy dal éj ekstrapocztą. Zefirkowi podobała się z początku jazda, bo pocztyljonowie nasi lubią nie oszczędzać koni, i trąbią bezustanku; ale niezadługo zaczął się poprawiać na bryce i odzywać się z protestacjami przeciwko jéj konstrukcji. Wiadomo, że bryki ekstrapocztowe na wszystkich stacjach w królestwie, sławnie trzęsą. Zaprowadzone na jeden kształt w całym kraju, bryki te musiały przejść zapewne przez jakiś rodzaj konkursu, którego

zadaniem było wystawienie modelu sprzeciwiającego się wszystkim warunkom wygodnéj jazdy. Biada podróżnemu o delikatnych kościach, który nie wziąwszy własnego powozu, puszcza się w drogę *ekstrą*, jak technicznie mówią na poczcie.

Przejechawszy ośm mil do Krośniewic, Zefirek kości nie czuł i chciał się koniecznie smarować; ledwiem mu wyperswadował zaręczając, że będzie teraz jechał wygodniéj. W Krośniewicach czekały na nas moje konie z wolantem na resorach: odpocząwszy więc nieco i przejadłszy coś, ruszyliśmy w dalszą drogę traktem już nie żwirowym. Cały ten dzień było bardzo parno. Ku wieczorowi, na zachodzie zaczęła pokazywać się chmura, obiecująca niezwykłą burzę. Niebo przybrało brudno ołowianą barwę, i zrobiło się tak ciemno, jak po zachodzie słońca; przed nami na czarném tle widnokręgu, błyskały zdala piorunowe wężyki, a głuchy grom, który, jadąc po miękkiéj drodze słyszeliśmy doskonale, towarzyszył nam nieprzerwanie.

Zefirkowi podobał się bardzo ten wspaniały obraz, póki mógł napawać się nim zdaleka. Ale niebawem groźne chmury przybliżyły się, i zerwał się gwałtowny wiatr zapowiadający nawałnicę. Ten objaw rozdąsanéj przyrody, zaczął oddziaływać na nerwy Zefirka, który jak żył, takiéj chmury nie widział. Nad Warszawą przeciągają także burze, ale tam nikt ich nie spotrzega; każdy, kogo zastanie na ulicy, jeżeli nie zdąży do domu, ucieka do pierwszéj lepszéj bramy, z któréj widzi tylko deszcz i słyszy grzmoty, ale nie jest świadkiem całéj walki żywiołów; Zefirka więc to nowe dlań widowisko zaczęło widocznie niepokoić. Mieliśmy parasol, który już rozwinął nad sobą, starając się przedewszystkiem ochronić cylinder; ale wnet przypomniał sobie z fizyki, że żelazne okucie ściąga pioruny — gdy więc trzasło nie daleko raz i drugi, zwinął go pomimo rzęsistego już deszczu, i scho-

wawszy cylinder pod fartuch, otulił się płaszczykiem przykrywszy głowę peleryną. Wówczas zagrała co się zowie piekielna muzyka: pioruny biły jak armaty w czasie szturmu, kilka razy nawet tak blizko, że aż konie się strachnęły: a deszcz łomotał w same oczy. Zefirek prosił na miłość boską, aby zajechać gdzie do oberży; byłbym sam chętnie na to przystał, bo pomimo doskonałéj burki, któréj kaptur nasunąłem na oczy, zmokłem już do nitki; ale jak na złość, burza napadła nas



w miejscu, gdzie trakt nie przechodził przez żadną wieś większą i do najbliższéj karczmy było jeszcze kilka wiorst. Zdesperowany więc wlazł cały pod fartuch, tłukąc mnie po nogach, i jęcząc za każdém stuknięciem kół o kamień.

Dobiliśmy przecie do oberży; gdy wjechawszy pod dach, wyciągnęliśmy z pod fartucha Zefirka, wyglądał jak nie boskie stworzenie, a jeszcze smutniéj jego kapelusz, na którym siedział w tém schronieniu przez cały czas burzy. W domu stanęliśmy w nocy, a raczéj na-

dedniem. Zefirek przeklinał tę pierwszą próbkę przyjemności wiejskich, a wypiwszy parę szklanek herbaty, położył się w łóżko i spał do godziny pierwszéj w południe.

Używszy wczasu do woli, gdy wstał z łóżka, zapomniał o przykrościach dnia poprzedzającego, pomimo bólu pozostałego w kościach. Po deszczu i nawałnicy, nastała prześliczna pogoda, powietrze pachniało; Zefirek zaledwie otarłszy usta po śniadaniu, wybiegł na świat, pomiędzy gumna gdzie zwożono żyto, do ogrodu, w pole. Cieszył się wszystkiem i dziwił najmniejszéj rzeczy jak dziecko; ludzie spoglądali nań jak na raroga, tak naiwne robił im zapytania.

Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać przygody, jakie go spotykały skutkiem zupełnéj nieznajomości wiejskiego trybu życia. Przedewszystkiem pragnął spróbować wierzchowéj jazdy; zdawało mu się, że dosyć jest dostać się na konia, aby jechać na nim: kazał sobie okulbaczyć mojego wierzchowca, ale gdy nie dosiadłszy nawet jeszcze siodła, zleciał na drugą stronę niepokojącego się siwka przez nie zachowanie równowagi, zaczął ostrożniéj tę rzecz traktować. Odtąd każdy koń zdawał mu się nadto bystrym, z niedowierzaniem badał jego ruchy i za lada parsknięciem odskakiwał na kilka kroków. Wybrał sobie nareszcie najspokojniejszą jaką mógł upatrzyć szkapę fornalską i wgramoliwszy się na nią przy tysiącznych ostrożnościach z pomocą dwóch ludzi, uroczystym krokiem objeżdżał podwórze, dozwalając kobyle skubać trawę po drodze, bo nie miał dosyć odwagi cywilnéj do poskromienia téj swawoli.

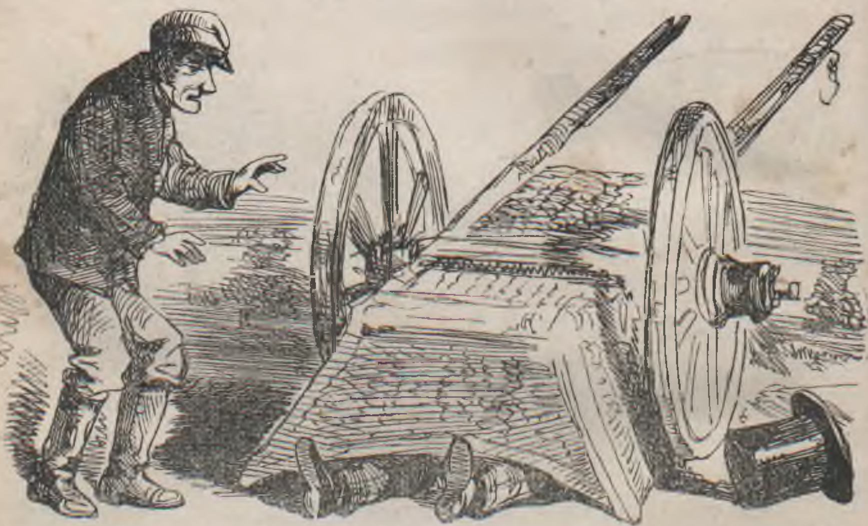
I tu jednak niewinna rozrywka nie obyła się bez tragi-komicznego wypadku: raz bowiem zachciało się zaimprowizowanéj wierzchówce wleźć w sadzawkę. Napiwszy się do syta w czém jéj Zefirek nie przeszkadzał,

zaczęła uderzać nogą w wodę, co jak wiadomo jest objawem ochoty do użycia kąpieli. Opryskiwany błotem Zefirek niecierpliwił się i zabierał do odwrotu, ale z takim brakiem energji, że kasztanka za nic sobie ważąc jego usiłowania, położyła się bez ceremonji, przyciskając sobą niefortunnego jeźdźca, który wsparty na łokciu nos tylko pokazywał nad zdradliwym żywiołem i byłby się opił niewątpliwie brudnéj wody, gdyby nie prędka pomoc fornala, znajdującego się szczęściem w pobliżu. Zmoczony i zestraszony wyprzysiągł się jazdy



wierzchowéj i przejażdżki odtąd odbywał biédką na dwóch kołach, służącą do posyłek. Nauczył się nawet sam konia zaprzągać, ale gdy raz nie dobrze przymocował dyszle, te odczepiwszy się od konia poszły nagle w górę, a korpus biédki na dół; gdy zaś Zefirek zmięszany tym nie spodziewanym wypadkiem podał się w tył, cały wehikuł przewrócił koziołka, przykrywszy go sobą jak klatką. Ekonom mój wyjechawszy w pole, spotkał go w téj niewygodnéj pozycji, jęczącego z bólu, bo się potłukł nie na żarty.

Wypadek ten zraził go zupełnie do koni i wszelkich przejażdżek, a natomiast przeobraził w myśliwego. Skaptował sobie parą złotemi starego Tomasza, pełniącego u mnie obowiązki lokaja i strzelca, i zaczął brać od niego lekcje nabijania i obchodzenia się z bronią; strzelał od rana do wieczora i wypsuł mi prochu niemało, a raz o mały włos całych gumien nie spalił, strzeliwszy do wróbla na dach stodoły. Od tego czasu, ostrożniejszy, strzelał na polu za ogrodem, ale nie mo-



gąc nic zabić, najczęściéj obywał się samym prochem, bo go bawiło pukanie.

Tak pędził dni Zefirek w domu; po za domem, jeździł ze mną do kościoła i w sąsiedztwa. Pierwszéj zaraz niedzieli po przybyciu, pojechaliśmy na nabożeństwo do parafjalnego kościoła. Oprócz mnie, dwóch sąsiadów bezżennych, dwóch małżeństw, z których jedno bezdzietne, adrugie cieszące się kilkorgiem konsolacji jeszcze nie dorosłéj, należały do parafji dwa domy, mające panny na wydaniu: państwo radzcostwo (sam

był radcą dyrekcji ubezpieczeń) Góronoscy z Kozłowéj Woli i państwo Wydzierkowscy z Piliszkowa.

Zefirek zobaczył naraz całe sąsiedztwo. Był olśniony, nie widział bowiem nigdy razem tyle ekwipażów czterokonnych; przypomniał mu się ślub jakiś u Kapucynów w Warszawie przed kilku laty, którego parada uderzyła bardzo jego wyobraźnię. Państwo Góronoscy z panną Olimpją przyjechali nową karetą w cztery konie szpakowate nie osobliwe, ale rosłe i w szory angielskie przybrane, zatem dla Zefirka bardzo pokaźne. Na koźle siedział stangret w długim angielskim surducie granatowym z złotemi herbowemi guzikami, w czapce z złotym galonem i białych rękawiczkach. Karetę zastaliśmy już przed kościołem. Obok niéj stało lando oszklone państwa Wydzierkowskich, widocznie odnawiane, bo kształtem zdradzało dawniejsze pochodzenie; istotnie téż kupione było na licytacji, czy wzięte w długu od kogoś. Woźnica miał na sobie płaszcz szaraczkowy z białemi guzikami z cyfrą W. Przechylony na koźle rozprawiał o czémś z stangretem państwa Góronoskich, który siedział wyprostowany i z góry spoglądał na kolegę. Daléj stał staroświecki powozik państwa Starzyckich, stadła w podeszłym już wieku, bezdzietnego, oraz jeszcze jeden powóz i parę bryczek nie odznaczających się niczém szczególnem. W chwili gdyśmy zajeżdżali przed kościół, z przeciwnéj strony nadleciał pędem wolant świeży warszawski, zaprzężony w cztery konie dobre wilczate, w pocztowych chomontach; obie czwórki stanęły jednocześnie przed bramą cmentarza, a furmani nasi jak na komendę palnęli z biczów; Zefirek był zachwycony, chociaż mój Marcin w zbytecznym ferworze, zwijając bicz zrzucił mu czapkę z głowy. Z wolantu wyskoczył sąsiad mój pan Anastazy, majętny kawaler na wydaniu, cel westchnień kilku panien i machjawelskich zabiegów tyluż matek i ciotek.

Po zapoznaniu z nim Zefirka, weszliśmy do kościoła, trafiwszy na chwilę, gdy ksiądz proboszcz po kazaniu schodził z ambony. Przecisnąwszy się przez tłum ludzi, umieściliśmy się w prezbiterjum w ten sposób, że mieliśmy na oku pryncypalne ławki, zajęte przez kobiety.

Państwo Góronoscy z córką Olimpją, panną już dwudziestokilkoletnią, wdzięków nie osobliwych i nieco już przewiędłych, ale bardzo dystyngowaną, siedzieli w ławce ozdobionéj wypłowiałym baldachimem i umieszczonéj po prawéj stronie ołtarza. Obie panie modliły się przykładnie z książek, których kilka leżało przed niemi, i parę razy tylko rzuciły na nas spojrzeniem, w któróm jeżeli była ciekawość, to tak zobojętniona przyzwoitością formy, że jéj widać nie było. W ławce stojącéj po drugiéj stronie prezbiterjum pod amboną, rozpierała się pani Wydzierkowska Tuzinkiewiczówna z domu i jéj dwie córeczki. Prawo do siadania w téj ławce nabył p. Wydzierkowski wraz z Piliszkowem kupionem przez licytację; przedtém zajmował ją kto chciał, od lat kilku bowiem Piliszkowo nie miało dziedzica; ale nowy nabywca, jako były wójt gminy biegły w wynajdowaniu środków uprawomocnienia wszelkiego nabytku, a nie ufający zbytecznie własnéj powadze, kazał dorobić kluczyk do zamykania ławki, przez co jego *panie*, były już pewne dystyngowanego miejsca w kościele. Fisia i Nasia, to jest Feliksa i Natalja, były to sobie dziewczęta młode, lat siedmnastu i ośmnastu, zdrowe, przystojne, a nawet ładne, ale tą ładnością przedpokojową, która zachwyca tylko w pannach służących; mogłyby się pomimo to podobać, gdyby nie nieszczęśliwe wzięcie i grube czerwone rączki. Wad tych jednakże w téj chwili nie było widać, a nawet rączki w paljowych rękawiczkach wyglądały bardzo schludnie. Młodych tedy reprezentantek płci nadobnéj obywatelskiéj znajdowało

się trzy w kościele. Dla Zefirka były one wielką dystrakcją w nabożeństwie: nawzajem Fisia i Nasia, a nawet i mama, widząc obcą w parafji figurę, z natrętną ciekawością zwracały ku nam spojrzenia, pomimo wielkiego namaszczenia do modlitwy, jakie affektowały. Zauważyłem przecież, że świeże wdzięki panien Wydzierkowskich, nie tyle robiły wrażenia na Zefirku, co dystynkcja panny Olimpji.

Po skończoném nabożeństwie, Zefirek wytłoczył się najpierwszy z kościoła, ażeby przyjrzeć się pannom zblizka, i zabrać znajomość. Niefortunnym wszakże trafem, nie miał go kto zaprezentować: mając bowiem wraz z Anastazym interes do proboszcza, poszliśmy obaj do zakrystji, chcąc się z nim rozmówić, gdy się rozbierze po mszy. Wyszedłszy z kościoła, zastaliśmy Zefirka melancholicznie spoglądającego za odjeżdżającemi powozami.

— Cóż dzisiaj robisz z sobą? — rzekł do mnie Anastazy.

— Sam nie wiem jeszcze—odpowiedziałem spoglądając z pod oka na Zefirka — zapewne będę w domu...

— Jedź do Góronoskich na herbatę, ja tam będę także...

Zefirek się przysunął słysząc tę rozmowę.

— Nie zawadziłoby — rzekłem — nie byłem tam od czterech tygodni. Ale nie mogę sam decydować, mam gościa. Zefirku, nie pojechałbyś ze mną do Kozłowéj Woli?

— Do państwa Góronoskich?... z gustem! — rzekł z pośpiechem — ja do gotowego. Zabawiemy się... co? — dodał zwracając się do Aanastazego.

— Nie wątpię — odrzekł tenże, przypatrując się z komiczną powagą pretensjonalnym ruchom Zefirka.

Stanęło więc na tém, że się wieczorem zobaczymy, i rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.

Przez całą drogę do domu, Zefirek nudził mię zapytaniami o dom państwa radcostwa.

— To porządni jacyś ludzie, ci Góronoscy, słowo daję... co?

— Jak widziałeś.

— Mają *szyk*, prawda?

— Prawda.

— Jaka parada!... kareta nowa, konie, liberja... fiu! fiu!... nie idzie daléj.

Potwierdziłem mruknięciem.

— Panna... wcale tego... no!... to jest... do krzyczącéj piękności nie może mieć pretensji... ale *szyk* bije w oczy... słowo daję... — i pogrążył się w dumaniach, które przerwało stuknięcie koła o kamień. To go zwróciło na ziemię.—Muszą żyć porządnie; *szampetra* dają?

— Jak kiedy i dla kogo.

— No! mając w domu warszawiaka... rom to, rom to rrrom... *szampipi* wyjedzie, jakbym widział... tra ti te di...

Zefirek przyśpiewywał sobie przez całą drogę. Widocznie snuły mu się wdzięczne obrazy, układające się w podwalinę różowéj przyszłości. Wyobrażał sobie zapewne, jak zostawszy mężem p. Olimpji będzie *zadawał szyku*.

— Tamci starzy, co tą *dryndą* przyjechali, to widać *sałata*...

— Co to jest sałata? — zapytałem naiwnie, przyznając się do niezupełnéj znajomości idjotyzmów Zefirka.

— *Sałaciarze* — rzekł w sposobie objaśnienia — za grosz *szyku!*... on sam, widać, *szlaga* ordynaryjny...

— Nic nie mówisz — odezwałem się po chwili nakręcając rozmowę — o pannach Wydzierkowskich, które jakoś dosyć na ciebie spoglądały...

— A! te dwie rumiane — odrzekł obojętnie — e! to wcale co innego, zaraz znać... parafjanki...

— Nie podobały ci się? szkoda, dosyć majętne.

— Majętne?... nie gadaj... no! ale tamta przecie... panna... jakże na imię pannie Góronoskiéj?

— Olimpja.

— *Szyk* imię... słowo daję... aż miło! Spodziewam się tedy, że panna Olimpja jeszcze majętniejsza.

— Naturalnie, jedynaczka.

— A widzisz; nie ma porównania.

Po przybyciu do domu, przez cały czas aż do wyjazdu na ową wizytę, Zefirek zajęty był sobą. W największy kłopot wprawiły go wąsy, które zapuścił od chwili wyjazdu z Warszawy, a które wyglądały obecnie pod nosem, jak plama nieokreślonego dobrze charakteru. Zgolić czy nie zgolić? Rozwiązanie tego problematu, było w téj chwili dla Zefirka kwestją pierwszorzędną. Po głębokich tedy studjach we wszystkich zwierciadłach i lusterkach, zdecydował się nie golić, rezultatem bowiem studjów, było dopatrzenie w fizjognomji pewnego wyrazu niewypowiedzianie obywatelskiego.

Ale niestety! wiadomo, że twórcy największych nawet pomysłów miewają zawsze swoje chwile zwątpienia: taką miał i Zefirek wsiadając do powozu. Bez względu, że postanowienie jego było owocem głębokiéj rozwagi i wszechstronnego a sumiennego rozpatrzenia się, nie był pewny w téj chwili, czy jego wąsy dobrze się wydadzą! Ta myśl popsuła mu humor na cały wieczór i sparaliżowała siłę moralną, tak niezbędną do zaprezentowania się z *szykiem* w salonie.

Pan radca Góronoski, do którego domu jechaliśmy w odwiedziny, był ultra-arystokratą, jeżeli nie z prawa przyrodzonego, to z przekonania. Wierzył mocno w wyższość swoją i posłannictwo, a mając się za arcykapłana idei, stał się téj wiary swojéj fanatykiem. Fanatyzm ten najniewinniéj w świecie zrobił zeń śmiesznego oryginała: bo pomnąc zawsze na to, że powinien godnie nosić

nazwisko Góronoskich po przodkach odziedziczone, zadzierał nosa tak, jak i nie śniło się zapewne żadnemu z poczciwych jego protoplastów, szlachty zwyczajnéj, jakiéj u nas było tysiące.

Ale zkądże to wynoszenie się, to poczuwanie do misji, to zadzieranie nosa, nie mówię już względem ple-



bejuszów, ale wobec ludzi, równych mu pod każdym względem? — oto ztąd, że stryj pana radcy, zmarły bezdzietnie, brat rodzony jego ojca, będący przed r. 1794 starostą, został późniéj hrabią, do którego to tytułu młodsza linja nie miała żadnego prawa. Otóż gdyby p. radca był także hrabią, ludzieby o tém wiedzieli, i on sam byłby może zupełnie innym; ale ponieważ nie

każdy znał heraldykę, a dzieje nieszczęściem tę okoliczność przemilczały, okazywała się potrzeba przypominać co chwila wszystkim, że jedna linja Góronoskich miała tytuł hrabiowski i że niewiele brakowało, aby i druga dostąpiła tego zaszczytu. Pan radca był pół-hrabia, a skutkiem tego postępował tak, jak postępują wszystkie istoty, połowiczne, pół-ludzie. Wszakże człowiek cały nie wynosi się z tego, że jest człowiekiem.

Pretensje p. radcy w stosunkach z towarzystwem, były po za możliwém kołem wymagań, co pomimo jego prawości i uczciwości, robiło mu wielu nieprzyjaciół. Jakoś ludzie są już tak stworzeni, że każdy przy najskromniejszéj nawet dozie zarozumienia, ma dobre o sobie wyobrażenie, i nie rad widzi się niższym od kogoś, zwłaszcza jeżeli ten ktoś wyższością swoją pluje mu w oczy. Jakiejż to znakomitości, a obok tego jakiego daru jednania sobie serc potrzeba, aby być postawionym na piedestale, i uznanym głośno za wyższość; a p. radca ni ztąd ni zowąd miał tę pretensję. Ponieważ zaś tak być w żaden sposób nie mogło, więc dla zadowolenia miłości własnéj, wmawiał w siebie, że tak jest i tę wiarę swoją we wszystkich radby był przelać. Jednego tylko nie przypuszczał nawet w formie najodleglejszéj hipotezy, to jest, że był śmiesznym, i że to o sobie rozumienie uczyniło go rodzajem pedanta nieznośnego w obcowaniu; bo chociaż wszyscy znajdowali go zabawnym, to przecież nie wypadało się śmiać z człowieka, co... mógł był zostać hrabią.

Drugim punktem, na który nie chciał się zapatrywać tak jak należało, była kwestja przyczyn sprowadzających nieład i upadek w jego gospodarstwie. Pan radca był rzeczywiście dosyć wysoko wykształcony, chociaż nie tyle znowu, jak sam sobie przyznawał. W młodości odbył podróż w celu naukowym i zwiedził najsławniejsze gospodarstwa zagraniczne, zkąd wywiózł wiele

wiadomości i mnóstwo notat. Ale jakże z nich skorzystał? Pisał artykuły do pism rolniczych, a nie byłby w stanie powiedzieć, co się dzieje w jego własném gospodarstwie; znał zasady agronomiczne, a nie umiał ich zastosować w praktyce; wiedział ile ziarn nieomal każdego zboża wysiewa się na mórg, a ślepym był na to, że przy każdym siewie kradną go niemiłosiernie urągając najbezczelniéj nauce; gdy zaś rozbierał w Rocznikach gospodarstwa krajowego, kwestję żywienia inwentarza, woły jego własne drągami podnosić musiano. Gospodarstwo tedy pana radcy, pomimo wysokiego jego wykształcenia szło jak najgorzéj, a w czém tego przyczyna? otóż w téj właśnie chorobliwéj przesadzie wyobrażeń, która często u nas pojęcia najczystsze zaraża i mąci. Jest w naszym języku nie wiedzieć dla czego zaąklimatyzowane przysłowie: „Stań się k... na lat kilka, a zrobisz majątek“. Przysłowie to w ustach wielu stało się bronią obosieczną, wyrazem dwulicowéj jakiejś filozofji, która jeżeli z jednéj strony potępia to, co istotnie godne potępienia, to częściéj za to jest wymówką lenistwa, zbytków i zaniedbania obowiązków, prześladowaniem ducha pracy i oszczędności. Jak tu szlachcicowi z dziada i pradziada stać się... czterma literami... nie sposób! wszakże przysłowia są mądrością narodów, a to które przytoczyłem, tém łatwiéj trafia do przekonania, że ma machjawelskie znaczenie. Ztąd wielu tak w nie wierzy, że wolą stracić majątek, aniżeli go się dorobić, a to wszystko dla tego, aby ich nie posądzono, że zostali... tém, czém mogą zostać kiedyś z powodów zupełnie innych. Nie przesadzę wiele, utrzymując, że to nieszczęsne przysłowie, stało się przyczyną upadku większéj części fortun szlacheckich. Wierzył w nie także i p. radca, a wierzył po swojemu, to jest do fanatyzmu; bez względu zatém, że w interesach stał źle, robił wszelkie możliwe wysiłki, na utrzymanie reprezen-

tacji odpowiedniéj nie majątkowi, lecz stanowisku... na nieszczęście urojonemu.

Takim był pan radca Góronoski, do którego domu jechał Zefirek, kołyszący się w najlepszéj wierze marzeniami... czy podobnemi do ziszczenia? wątpię aby wierzył w to czytelnik, urobiwszy sobie postać ojca panny Olimpji, podług tych kilku słów jakie o nim powiedziałem.

Nie będę opisywał przyjęcia i zabawy tego wieczoru; opis ten byłby tak nudny, jak dom i towarzystwo państwa Góronoskich, które, jak usilnie starał się o to p. radca, miały swoją indywidualną barwę, odpowiednią jego przekonaniom. Następstwem téj indywidualności były nieznośne nudy dla gościa, przymuszonego słuchać nieskończonych warjacji, śpiewanych wiecznie na jeden temat, którym było własne *ja* gospodarza domu. To *ja* stawało się osią rozmowy, w ciągu któréj trzeba było dowiedzieć się koniecznie, a jeżeli się wiedziało, to usłyszeć powtórzone dla pamięci, jako rodzina p. radcy już w XVI wieku znaczyła wiele w swoim powiecie, jako każdy z jéj członków byl człowiekiem wyższym, bo słabości nie znano w tym domu... prerogatywa, którą we krwi odziedziczył p. radca, mąż bardzo uczony, znający na palcach historję i wszystkie systematy filozoficzne, na gospodarstwo rolne zapatrujący się z nader wysokiego stanowiska, wreszcie człowiek, który o włos nie został hrabią. Wszystko to, na podziw zręcznie, nawiasowo, wtrącał w rozmowę, skutkiem czego gość przestawał się dziwić ślepemu fanatyzmowi jego dla tradycji i wstrętowi do wszelkich idei nowatorskich, dowiadywał się niechcący szczegółów, którychby nie wyczytał w żadnéj kronice ani rozprawie historycznéj, wreszcie przekonywał się dowodnie, że przyczyna lichego gospodarstwa, jakie biło w oczy dziurawemi dachami i chudemi inwentarzami, pochodziła nie z nieznajomości rze-

czy, lecz z materjalnéj niemożności p. radcy, a głównie z nieszczęśliwych okoliczności.

Na wzór gospodarza domu, siłą despotycznéj jego woli — bo tacy ludzie są zawsze despotami — urobiona była jego żona i córka; można się więc domyślić, że ta barwa domowa oddziałała bardzo niefortunnie na Zefirka; czuł się przygniecionym, zmagnetyzowanym tém przyjęciem pełném pretekcjonalnéj godności. Wobec tego *szyku* prawdziwie majestatycznego, czuł się nader maleńkim ze swoim *szykiem* warszawskim. Ale cóż z tego wynikło? — oto, że p. radca zyskał jeden głos więcéj przeciwko sobie; co, jak na człowieka wyższego, za jakiego chciał uchodzić, przyznajmy było bardzo niezręcznie. Ale bo też wyższość prawdziwa, byłaby się starała przygarnąć i podnieść do siebie człowieka nawet tak maluczkiego jak Zefirek, a zetknięcie to, wywyższając go w własném przekonaniu, musiałoby wpłynąć nań moralnie. Pan radca zaś, bolejąc ustawicznie nad rozdziałem opinji i brakiem uznania prerogatyw jego kasty, własną ręką powiększał przepaść dzielącą ludzkość na obozy; prawy katolik, bo przepisów swéj wiary trzymał się gorliwie, działał wbrew najpiękniejszéj zasadzie chrystjanizmu — miłujcie jedni drugich.

Jak o tém wszystkiem myślał Zefirek, nie wiem; ale w rezultacie wypadło, że gdy po herbatce okraszonéj jakąś lekką kolacyjką, w której było więcéj zastawy niż przyprawy, wyjechaliśmy z Kozłowéj Woli, Zefirek dał mi w kilku słowach do zrozumienia, że mu się ten dom nie podobał i najmniejszéj nie ma ochoty do ponowienia odwiedzin i znajdowania się w towarzystwie, z którego mógł był wiele skorzystać, gdyby chciano tego.

Drugą wynikłością naszéj wizyty, była chęć Zefirka poznania bliżéj panien Wydzierkowskich, które spodziewał się znaleźć daleko przystępniejszemi, niż panna Olimpja. Męczył mię ustawicznie przez kilka dni, aże-

by z nim jechać do Piliszkowa; nie bywałem tam officjalnie dla powodów, które czytelnik zrozumie, gdy go zapoznam bliżéj z tym domem; ale tak mię znudził swojém naprzykrzaniem się, że postanowiłem wreszcie zawieźć go raz, aby potém mógł sobie, gdyby mu się podobało, bywać bezemnie.

O rodzinie Wydzierkowskich nie wiele mam do powiedzenia. Jéj głowa pan Fabjan, był onego czasu nauczycielem wiejskim vulgo bakałarzem i zastępcą wójta gminy w majątku jednego z moich krewnych. Następnie poženiwszy się z panną Tuzinkiewiczówną osobą wątpliwych kolligacji i wychowaną gdzieś za piecem, lecz mającą kilka tysięcy złotych posagu, został aktualnym wójtem. Jakiemi sposobami, korzystając z téj posady i kapitaliku żony, robił pieniądze, kronikiby trzeba pisać; tyle tylko powiem, że w mętnéj wodzie łowiąc, dorobił się nadspodziewanie. Nie rzucając wójtowstwa wziął dzierżawkę nie wielką, późniéj większą, wreszcie krótko przed r. 1859 dochrapał się już dziedzictwa Piliszkowa. Dewizą jego było przysłowie: „co na placu to nieprzyjaciel", a zasadą w postępowaniu: drzyć łyka gdzie się da, i ze wszystkiego ciągnąć korzyści bez względu na środki; żeby zaś dać czytelnikowi wyobrażenie, jak biegłym był w ich wyszukiwaniu, przytoczę jeden dosyć charakterystyczny, o którym rozpowiadała w swoim czasie cała okolica. Trzymając dzierżawę, sąsiadował z wsią ludną zamieszkałą przez samych gospodarzy włościan; ludzie ci, jak to u nich we zwyczaju, lubili robić szkody w pastwiskach, łąkach i zagajnikach. Otóż p. Wydzierkowski w pobliskości ich granicy zostawiał zawsze jaki kawałek pola odłogiem niby na pastwisko, a rzeczywiście na łapkę. Sposobność była zbyt ponętną, aby raz po raz nie znalazły się tam konie, bydło lub owce panów gospodarzy; ale, niestety, w danéj chwili najniespodziewaniéj z pobliskich krzaków lub rowu

ukazywał się p. Fabjan lub ktoś z jego ramienia tam zasadzony, i zajmował bydło ze szkody, a pan wójt sam sobie wymierzając sprawiedliwość, darł szkodników niemiłosiernie, ściągając z nich bajeczne kary. Najchętniéj zaś zajmował owce, bo z nich zabierał sobie za szkodę podług własnéj taksy jednę lub parę sztuk, i tym sposobem tanim kosztem doszedł wkrótce do niezłéj gromadki.

W papierach pozostałych po moim krewnym, w którego majątku jako nauczyciel i wójt gminy rozpoczął p. Wydzierkowski swoją karjerę, znalazłem list jego własnoręczny, dający doskonałą miarę kwalifikacji p. Fabjana na te oba urzędy. Był to rodzaj prośby, pisanéj wkrótce po ożenieniu się pana zastępcy jeszcze naówczas wójta, w któréj prosił o protekcję mojego krewnego. Mówił w tém piśmie między innemi, że „lubo *dopełnił stan małżeński z dnia* tego a tego, w obawie jest atoli, aby swéj żony i siebie *przez brak potrzeb* w nędzę nie wprowadził“. Albowiem nie miał nic przeciwko posadzie nauczyciela, która „widziała mu się nie najgorszą“, tylko „jéj pensję uważał na niedostateczną“. Pragnąc więc zapewnić sobie „większy sposób na utrzymanie“, upraszał dziedzica, aby ten raczył „*pełniące mu*“ natenczas obowiązki wójta gminy łaskawie powierzyć. „Nie mając nic więcéj w duchu“, dodawał, „jak tylko stać się dogodnym i posłusznym osobie j. w. pana, oraz zasłużyć na wiarę i dobrą opinję“. Ponieważ zaś chodziło mu o to, aby mieszkał w drugiéj wsi także do krewnego mego należącéj, ludniejszéj, gdzieby nie był tak na oku, w ten sposób zakończył: „Nadmienić i to ośmielam się, że z Topoli do Topólki do załatwienia interesów trudno byłoby co moment uczęszczać, gdyż jest dużo do pracy... Jeżeli więc łaska j. w. pana dozwoli mi *działanie* pomienionego obowiązku, naówczas i propinacja w Topoli lepszy skutek odebrać będzie mogła, bo każdy człowiek,

któryby mógł mieć interes do mnie, niezawodnie do karczmy wstąpiłby. Racz więc j. w. pan mieć litość nademną i opiekę, bo nie *na tém celu* dopraszam się, abym czynił jakie szacherki, jedynie tylko za sprawiedliwością, na stosowne utrzymanie“...

Pomijając już błędy gramatyczne nie do darowania nauczycielowi, logika listu a przytém drażliwość w przewidywaniu ewentualnych posądzeń, nie przemawiała zbytecznie za moralnością przyszłego wójta. Bez komentarzy zatém dokument ten może być uważany za materjał do jego historjografji.

Oboje państwo Wydzierkowscy dobrali się pod względem zgodności pojęć, a tak byli znani z chciwości swéj i skąpstwa, że gdy raz byłego wójta, a natenczas już dziedzica, spotkała ze strony kogoś oszukanego przezeń haniebnie, obelga, jaka tylko krwią zmyć się daje, żyd jeden z pobliskiego miasteczka, znany dowcipniś, odezwał się, gdy robiono wnioski o następstwach tego wypadku: „Ny, oni takie skąpe, że i to schowają“.

Jednego dnia tedy pojechaliśmy do Piliszkowa. Rezydencję pp. Wydzierkowskich stanowił domek a raczéj chałupa stara, zapadła, z oknami po nad samą ziemią, przerobiona na dwór ze staréj kuchni, bo mieszkanie dawnych dziedziców zniszczył był ogień przed dwoma laty. Stanęliśmy tam przed wieczorem. Dojeżdżając spostrzegliśmy z daleka, jak pan domu na pół ubrany, w słomianym kapeluszu i kitlu płóciennym, uciekał na nasz widok od gumien, i jednocześnie gdyśmy zajechali, wpadł od tyłu przez kuchnię do domu.

Nikt nie wystąpił na nasze spotkanie; weszliśmy przeto sami do niskiéj brudnéj sieni, a z tamtąd do pokoju reprezentującego salon. Wszedłszy usłyszeliśmy w drugiéj izbie zgiełk, na który składały się głosy pana, pani i panienek. O ile z kilku słów mogliśmy wnosić, kobiety żądały, aby gospodarz domu przebrał się

czémprędzéj i wyszedł do nas. Pan domu odmrukiwał coś, a pomiędzy innemi doszły naszych uszu wyrazy, niezbyt dla nas pochlebne:

— Dla tych paru głupich osób tyle ambarasu! — mówił Wydzierkowski niekontent widać, że musiał odstąpić stodół, do których zwożono pszenicę.

Zefirek skrzywił się, a ja parsknąłem śmiechem, bez względu, żem mógł być słyszany.

Czekając cierpliwie nim ktoś nadejdzie, rozglądaliśmy się po *salonie*. Pomijając niesmaczne piększydła w postaci patarafek, profitek z angielskiéj bibuły, pawich piór po komodach, dwóch daguerotypów na ścianie zakrawających na blaszane lusterka, bo nic na nich widać nie było, wreszcie zwierciadła w pozłacanych zapstrzonych przez muchy ramach, potwornie karykaturującego odbijające się w niem rysy, dwa dzieła sztuki uderzały każdego i wzbudzały podziw uwielbienia. Jedném była ogromna donica stojąca na podłodze, napełniona ziemią, w któréj utkwiony był wielki jakiś kwiat czy drzewo fantastyczne z kolorowego papieru. Na gałęziach téj zagadkowéj rośliny siedziało kilkanaście ptaków rozmaitéj wielkości ulepionych z gliny czy z ciasta przystrojonych w pióra najrozmaiciéj pofarbowane. Tworzyło to zbiór ornitologiczny jedyny w swoim rodzaju, a było dziełem nadobnych rączek i świętéj cierpliwości Fisi i Nasi.

Drugą osobliwością był na honorowém miejscu wiszący obraz, pędzla jakiegoś widać wędrownego malarza szyldów, wyobrażający czupiradło płci żeńskiéj z tak pociesznym wyrazem, że niepodobna było spojrzawszy nań nie śmiać się. Obraz ten uderzał zwykle każdego kto wchodził do tego pokoju, a na zapytanie co to jest, p. Wydzierkowski odpowiadał z pewną dumą:

— To jest *lanszaft* mojéj ciotki.

Rzeczywiście był to portret dalekiéj jakiejś jego

kuzynki, która po rozmaitych kolejach burzliwego żywota, poszła za mąż za jakiegoś wojskowego, i tytułowano ją panią kapitanową.

Po dosyć długiém oczekiwaniu, podczas którego zmęczyłem się oganianiem od much, znajdujących się w wielkiéj mnogości i nader natarczywych, wyszedł nareszcie do nas pan domu, widocznie wypchnięty przez ko-



biety, bo dopinał jeszcze kamizelki, a drzwi zatrzasnęła za nim jakaś niewidzialna ręka.

Po zapoznaniu go z Zefirkiem i półgodzinném zamienianiu jednosyllabowych uwag o pogodzie, żniwach, wreszcie protestacji mojéj przeciwko muchom, które mnie już do wściekłości doprowadzały, drzwi się otworzyły i weszły panie.

Gospodyni domu wystrojona była tak pretensjonalnie, że obejrzałem się mimowoli na ścianę w wątpliwości, czy nie zstąpiła z *lanszaftu* ciotka p. Fabjana; toalety panien nie grzeszyły także zbytkiem smaku. Po przywitaniach, prezentacjach, ukłonach i dygach wzajemnych, zaczęła się rozmowa. Żałuję bardzo, że nie mogłem jéj stenografować; zapamiętałem wszakże urywek, który jako miarę całości przytoczę.



— Pan przyjechał z Warszawy? — spytała pan zwracając się do Zefirka.

— Tak jest, pani dobrodziejko.

— Niezawodnie *kolejom*.

— Koleją, do Łowicza.

— My także raz jechałyśmy koleją — odezwała się Fisia.

— Śliczna jazda!—dodała Nasia z rodzajem ekstazy.

— Nic się *panu* nie bojały — rzekła matka.—Ja, bo się bojałam, o mało nie dostałam *apoklepsji*. Do tego, zła byłam okropnie na męża; jak wziął panu marudzić na popasach i *nocligach*, tak bez to spóźnilim się do Łowicza. Jakiem weszli na *weksel*, akurat *lewatywa* odeszła. Mąż woła: panie *kolektor!* panie *kolektor!* ale gdzie tam! nie chcieli *panu* stanąć.

Użyłem całéj siły, żeby zachować się serjo, Zefirek zaś osłupiał. Nie zbyt obeznany z kolejami, nie mógł odrazu wpaść na myśl, że była mowa o foksalu, lokomotywie i konduktorze.

W téj chwili drzwi otworzyły się, i brudna bosa dziéwka wniosła na tacy butelkę wina, trzy kieliszki i dwa talerzyki, z których na jednym cóś nakształt gruszek osmażanych w miodzie, na drugim miałki cukier. Dziéwka postawiwszy ostrożnie tacę na stole przed kanapą, pocałowała a raczéj pośliniła każdego z nas po ręku, a potém uciekła jakby ją kto gonił, dudniąc piętami po podłodze aż się meble trzęsły.

Gospodarz nalał kieliszki i wziąwszy jeden trącił w nasze, mówiąc:

— Zdrowie panów dobrodziejów.

Idąc za jego przykładem, przytknęliśmy kieliszki do ust, ale jednocześnie zmuszeni byliśmy skrzywić się i postawić je napowrót na stole; i wtenczas domyśliłem się jasno przeznaczenia cukru, którego przyznam się odgadnąć z razu nie mogłem.

Spostrzegła to czujna gospodyni:

— A może panowie cukru. Mężu podaj.

Ale o dziwo, cukier znikł,—tak się przynajmniéj na pierwszy rzut oka zdawało; atoli za bliższem zbadaniem rzeczy okazało się, że zgłodniałe muchy tak obsiadły talerzyk, że na czarnéj tacy nic widać nie było. Go-

spodarz machnięciem dłoni złapał całą garść naprzykrzonego owadu; drugą zaś ręką podał nam oswobodzony tym sposobem cukier, mówiąc:

— Niechże panowie będą łaskawi.

Podziękowaliśmy skwapliwie, i aby dowieść, że wino nie jest tak złe, wysączyliśmy po parę kropel obmierzłego kwasu.

Wówczas sama gospodyni domu wzięła talerzyk z gruszkami, na których pomimo odegnania pozostało parę much przylepionych łapkami i poczęstowała nas tym specjałem wyrobu Fisi i Nasi.

Broniłem się z uporem rozpaczy i ledwie mi się udało. Zefirek nie miał tyle odwagi cywilnéj; przyjął najpiękniejszy egzemplarz, który mu pani własnemi rączkami wybrała i z rezygnacją zanurzył w nim zęby. Ale ukarany za to został, bo nagryzłszy do połowy, nie wiedział co daléj zrobić. Zęby mu uwięzły — nie mógł ich wydobyć, a daléj zatopić nie śmiał, bo czuł już w nich łupanie. Szczęściem w téj chwili zagadnęła go pani domu, zapytując jak mu smakuje, i to dopiero zniewoliło go do energiczniejszego użycia szczęki.

Wlokła się jeszcze jakiś czas rozmowa przy akompanjamencie brzęczenia i gonienia się much, z któréj dowiedzieliśmy się między innemi, że wszystkie trzy panie były nie dawno w Prusach za kartkami, (mieszkali bowiem o milę tylko od granicy) i przewiozły przy sobie szczególniejszym sposobem, nie kwalifikującym się do powtórzenia, cały serwis *porcyneli*, któréj próbki mieliśmy na tacy, w postaci talerzyków, oraz że od pewnego czasu zaczęli po trochu zarzucać świece łojowe, używając natomiast *suterynowych*, nie potrzebujących *ucierania*. Dowiedziawszy się tych ważnych szczegółów, uznałem za stosowne zabrać się do odwrotu. Dałem przeto znak Zefirkowi i powstałem, aby się pożegnać; ale nie chciano słyszeć o tém, zatrzymując nas na *arbatę*.

Widząc że się gwałtem wydzieram, jedna z panien otrzymawszy do ucha jakieś polecenie od matki, wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła prowadząc tę samę dziéwkę niosącą dwa lichtarze z zapalonemi świecami. Ponieważ nie było jeszcze tak ciemno ażeby pokój oświecać, wniosłem ztąd, że pani domu chodziło przedewszystkim o to, aby nas przekonać, że rzeczywiście palą *suterynowe* świece.

Jakoż, gdy powtórnie natarczywiéj już objawiłem chęć odjazdu, zatrzymywano nas już tylko czysto dla ceremonji, i wydostaliśmy się przecie szczęśliwie.

Pomimo niefortunnego zaprezentowania się rodziny Wydzierkowskich, Zefirek widocznie ukartował sobie plany na którąś z panien, bo unikając przez drogę wszelkich uwag nad przyjęciem jakie nas spotkało, zapytał tylko z niechcenia:

— Po ile téż będą miały te panny posagu?

— Po kilkadziesiąt tysięcy.

— Ileż naprzykład... dwadzieścia? trzydzieści?

— Nie wiem, ale zdaje mi się, że więcéj jak po pięćdziesiąt.

— *En gotiu?* – zapytał probując ręką zarostu na wąsach.

— Niewątpliwie.

Zadumał się głęboko, a o pomyślnym wypadku tego wniknięcia w siebie ztąd mogłem wnosić, że nim dojechaliśmy do domu usłyszałem parę razy:

— Rrrrom tom tom, rom tom tom...

Przez dwa dni po téj wizycie Zefirek chodził zamyślony, a trzeciego prosił mnie o konie do Piliszkowa. Pojechał sam i wrócił późno w nocy wesoły, roztrzpiotany. We dwa dni pojechał drugi raz, a potém znowu wkrótce na urodziny Fisi uroczyście obchodzone, po których wrócił pijany i jakiś nie swój. Był jeszcze raz czy dwa, słowem wszystkiego pięć czy sześć razy;

nareszcie po tém wszystkiem, *raptem*, że się wyrażę jego językiem, *dał nura*, czyli mówiąc po ludzku przestał bywać. Na zapytanie moje w żartobliwym tonie uczynione, jak stoją jego interesa w Piliszkowie, skrzywił się i odpowiedział ni to ni owo. Nie wiedziałem co o tém myśléć. Nareszcie częścią od niego samego, wybadawszy go zręcznie, częścią z boku, dowiedziałem się o powodach zerwania, z których główne wymienię.

W czasie uroczystości urodzin, Zefirek podchmielił sobie przy obiedzie, w miłém, chociaż nie koniecznie dobraném towarzystwie, winem podobno lepszém trochę od tego, jakiém nas utraktowano podczas pierwszéj wizyty. Podochocona młodzież wyprowadziła dla zabawki jakąś narowistą szkapę obdarzoną uporem osła i dosiadała ją po kolei wyprawiając harce, do których i Zefirek po pijanemu chcący się popisać przed płcią piękną, uwziął się należéć. Gdy przeto koléj przyszła na pana asesora, bo tak go tam nazywano, dosiadł konia, który w uporze miał tę właściwość, że nie chciał iść naprzód lecz w tył. Jak łatwo było przewidzieć, nie umiał sobie dać z nim rady, i przejechał już, ku wielkiemu ukontentowaniu widzów, dwa razy podwórze w tym wstecznym kierunku, gdy nareszcie naciskany przez otaczającą go i krzyczącą młodzież, koń zaczął się cofać w kierunku domu, a mianowicie okna, w którém zebrana była żeńska część widzów. Jak już wspomniałem, okna były bardzo nizkie, prawie w ziemię zalazłe; koń cofając się rozpaczliwie, napotkał jedno z nich, a nie znajdując zbytecznego oporu, bo ramy były spruchniałe, wytłoczył je i tylną połową swoją znalazł się w pokoju, z wielkim strachem i zgorszeniem kobiet, które uwzięły się utrzymywać, że pan asesor uczynił to umyślnie. Oprócz tego poprzednio jeszcze, Zefirek już podchmielony, w opowiadaniu jakiejś facecji będąc zmuszony użyć wyrazu *baba*, w roztargnieniu przeprosił zań

gospodynię domu, co ona wzięła za umyślnie uczyniony jéj afront. Ale to jeszcze nie wszystko; pragnąc przysłużyć się Fisi, do któréj szczególny poczuł afekt, obiecał postarać się o przepis robienia dobrych wafli, mających być ozdobą przyjęcia w jéj urodziny. Kucharz mój, do którego udał się Zefirek dał mu przepis fałszywy, polegający mianowicie na tém, że można było pół kopy wafli zrobić na jedném jaju i dwóch łyżkach masła. Pani Wydzierkowska jako gospodyni oszczędna



uchwycila się gorąco tego przepisu, ale wafle na nic się nie zdały i skompromitowały całe przyjęcie.

Te trzy okoliczności zrządziły, że na Zefirka zaczęto spoglądać kwaśno i przymawiano mu delikatnie za następną jego bytnością. Gdy jeszcze przyjechawszy znowu za parę dni, spostrzegł u panien pieska, którego dawniéj nie zauważył, nazywającego się tak samo jak on, i gdy Fisia wołała nań po imieniu, tak że pan asesor mimowoli parę razy się obejrzał, myśląc że woła na niego, wziął to za osobistość, i zerwał stanowczo stosunki z domem państwa Wydzierkowskich.

Po tém zerwaniu przepędzał czas Zefirek w domu, nie wyjeżdżając nigdzie. Spostrzegłem że wpadła mu w oko siostrzenica żony mojego ekonoma, panna Justyna; zachodził z niechcenia około niéj, wybierał się na przechadzkę w tę stronę, gdzie ją mógł spotkać i pożyczał jéj książek do czytania z mojéj biblioteki, czego udawałem, że nie widzę. Wreszcie, raz wyjechawszy konno w pole spotkałem Zefirka, który Justysię powracającą od żniwa, gdzie nosiła wujowi podwieczorek, kon-



wojował do domu osłaniajac od promieni słonecznych parasolem, z którym zawsze chodził. Spostrzegłszy mię, Justysia odskoczyła od Zefirka, który z miną nader głupią stanął, nie wiedząc czy się śmiać czy płakać. Nie uważając niby na to wszystko, pojechałem w swoją stronę, a obejrzawszy się parę razy, widziałem najprzód jak Zefirek stał z pięć minut w miejscu pod swoim parasolem, nie pewny co zrobić, następnie zaś jak pokroczył ku wsi za Justysia, która go już wyprzedziła z paręset kroków.

Ale i ten romans przerwały okoliczności w samym

zawiązku. W kilka dni Zefirek zasłabł. Gospodyni moja, kobiécina już w wieku, i znająca lekarstwa na wszystkie choroby, poradziła czerwone wino grzane z korzeniami; ale gdy kucharz stanął przed nim z szklanką tego napoju na tacy, Zefirek konwulsyjnym ruchem odepchnął go ze zgrozą i nie chciał słyszeć o żadném lekarstwie; gdy zaś sama natura bez innéj pomocy przyniosła mu ulgę, tego samego dnia jeszcze zaczął domagać się natarczywie, abym go odesłał do najbliższéj sta-



cji pocztowéj, zkąd codziennie odchodziła kurjerka do Łowicza. Wiedząc, że termin urlopu dozwala mu zabawić jeszcze kilka dni, zdziwiony byłem tém żądaniem i prosiłem, ażeby się nie śpieszył; nie chciał przecież ani słuchać o tém i ponowił swoje nalegania. Widząc, że na upor niema lekarstwa, zrobiłem jak życzył i na drugi dzień rano opuścił mój dom, zostawiając mnie zaintrygowanego nie mało tym wyskokiem.

Zagadkę całą wyjaśnił mi dopiero list przywieziony przez powracającego z poczty fornala. Zefirek pisał między innemi:

„Nie chcąc abyś fałszywie tłumaczył sobie powody mojego postępowania, odkryję ci całą intrygę, któréj o mało co nie padłem ofiarą. Czyniąc to, mam na celu nie tylko własne usprawiedliwienie się, ale nadto zrobienie ci może ważnéj przysługi. Dowiedz się, że masz pod swoim dachem indywiduum, które, sądząc po tém co się mnie przytrafiło, zdolne jest odważyć się na wszystko. Wiadomo ci może, że kucharz twój Wincenty, ma myśl żenienia się z panną Justyną, siostrzenicą twojéj ekonomowéj. Co do mnie, nie wiedziałem o tém bynajmniéj; ale jegomości temu uroiło się, że włażę mu w drogę. I czy wiesz co zamierzył?... dowiedziałem się wszystkiego z boku, przez pewną osobę przychylną mi... oto, otruć mię! Uwierzyłem temu bardzo snadno, bo komuż łatwiéj dokonać podobnéj zemsty bezkarnie, jak kucharzowi; a nadto przypomniałem sobie, że parę razy, gdy Tomasz był na polowaniu, a Wincenty obnosił potrawy, zwracał półmisek ku mnie w szczególny sposób, zachwalając mi pewne kąski. Przypisywałem to naówczas dobréj dla mnie chęci tego potwora... Ale opatrzność czuwała nademną. Bądź jak bądź, pojmujesz, że narażać się dobrowolnie na podobne niebezpieczeństwo, którego już raz zaledwie uniknąłem, byłoby z mojéj strony szaleństwem..."

Nie mogłem doczytać tego listu bez śmiechu, tak serdecznie mię rozweselił. Domyśliłem się, że służba moja wzięła Zefirka na fundusz, czyli, jakby on się sam wyraził na *kawał* i *użyła* go najbezczelniéj; jakkolwiekbądź jednak, byłem zniewolony przyznać mojemu gościowi niezaprzeczone prawo postąpienia sobie tak jak postąpił i skwitować go z wszelkich pretensji.

Dla osób, które zainteresowała ta postać, dodać muszę, że w lat parę potém, niefortunny konkurent Fisi i amant panny Justyny, ożenił się w Warszawie z córką zamożnego fabrykanta świec i mydła, osobą bardzo

wykształconą, która przyniosła mu w posagu dom na Podwalu, że stosując się do jéj woli nie porzucił posady w rządzie gubernjalnym, gdzie dziś pobiera 4,000 zł. rocznie, że ma obecnie troje dzieci i nie jeździ nigdy na wieś powtarzając, że każdemu najzdrowiéj jest oddychać tém powietrzem, do którego nawykł od dzieciństwa.

PAN MACIÉJ.

Skutkiem testamentu ś. p. Jana Kapistrana Dzieńdzierzyńskiego, zastawnego posessora Gapimuch wielkich, pan Maciéj Dzieńdzierzyński stryjeczny synowiec nieboszczyka, ujrzał się nagle spadkobiercą summy rubli srebrem dwa tysiące pięćset, w monecie kurs w kraju mającéj.

Pan Maciej jakkolwiek chłop już trzydziesto-kilko letni, nadto zbudowany jak na urząd i obdarzony zdrowiem, oraz parą silnych rąk, nie był dotychczas nigdy posiadaczem nietylko tak dużéj, ale nawet najmniejszéj kwoty.

Po śmierci rodziców, którzy przez rozmaite koleje losu stracili z kretesem szczupłe fundusze chodząc po dzierżawach, i którzy Maciusiowi nie mogli dać przyzwotéj edukacji, tenże nie chcąc przez ambicję szlachecką iść ani w służbę, ani do rzemiosła, tułał się przez czas jakiś w charakterze rezydenta po bliższych i dalszych *familjantach*, jak nazywał swoich powinowatych, z których każdy sprzykrzył go sobie prędko i ile możności najrychlej starał się pozbyć. Od kilku lat wreszcie ugrzązł w domu stryjecznego stryja, ś. p. Jana Kapistrana, który okazał się lepszym i uczynniejszym od innych krewnych

i przetrzymał Maciusia aż do swojéj śmierci, a nawet jak wspomniałem, pomieścił go pomiędzy wielu innymi spadkobiercami, w swoim testamencie.

U ś. p. Jana Kapistrana było p. Maciejowi jak u Pana Boga za piecem. Zupełnie tak on sobie raj wyobrażał; mógł jeść, spać i nic nie robić; bo powiedzmy otwarcie, że p. Maciej nie był stworzony do pracy—a cechą jego charakterystyczną było, że przez cały dzień czuł się na przemiany, albo głodnym, albo śpiącym. Może, gdyby go znagliła potrzeba, byłby się zdobył na jakieś zajęcie, ale ponieważ nie było tak znów gwałtownej konieczności, więc wolał próżnować.

Wprawdzie ś. p. Jan Kapistran proponował parę razy p. Maciejowi, aby objął u niego obowiązki ekonoma, czyli delikatniéj rządcy, za co ofiarował się mu płacić odpowiednią pensję—ale jako gospodarz sprężysty stawiał takie wymagania, zresztą bardzo słuszne, że Maciuś ceniąc swój spokój i zadosyć czyniąc upodobaniu do życia więcéj kontemplacyjnego niż czynnego, wolał udać bezinteresowność; więc oświadczył stryjecznemu stryjowi całując go w ramię, że tyle już doznając od niego dobrodziejstw, pensji by nie przyjął, ale w zawdzięczeniu świadczonych łask, będzie się starał bez żadnéj pretensji do wynagrodzenia, pomagać w gospodarstwie, o ile tylko zdolności jego pozwolą.

Czuł, że tym sposobem nie obowiązuje się do wielkich rzeczy, i snu sobie nie zamąci; zdolności jego bowiem ograniczały się na dosyć ładnem rzeczywiście piśmie i pewnym talencie do rysunku. Była to rzecz, z którą zawsze rad wyjeżdżał i popisywał się, przyznając się nie bez dumy, że za tę zdolność wypędzono go ze szkół w Łęczycy z drugiéj klasy — a to z powodu, że zamiast zajmować się nauką, wypisywał po ławkach i bruljonach rozmaite cyfry, nazwiska i epitety, lub rysował karykatury profesorów, których bardzo łatwo było po-

znać jeżeli nie z podobieństwa rysów, to z objaśniających rzecz podpisów.

Załatwiwszy się w ten sposób ze stryjem, objął pan Maciéj w Gapimuchach dział rejestrów gospodarskich, w których za dyktandem ekonoma, zapisywał co dzień wieczorem, przychód i rozchód zboża, oraz inne prowenta gospodarskie; a że przy zdolnościach kaligraficznych nie miał najmniejszego wyobrażenia o ortografji, więc ozdobnem pismem, starając się o jak największą liczbę ogonków, w których miał upodobanie, wypisywał starannie, ile wydano „ofsa konią, pośladu kurą i gęsią“ itp. Obowiązkiem jego nadto, było pisać listy dyktowane przez stryja; funkcję tę jednak nie długo pełnił, gdyż skoro pan Jan Kapistran przekonał się, że każdy jego list zaczynał się od „Wielmożny panie dobrodziejó,“ a w środku zawierał kopami błędów, odjął mu urząd sekretarza, pozostawiając tylko wydział rejestrów, z tém atoli zastrzeżeniem, aby zaniechał zupełnie ogonków.

Pan Maciej tedy nic prawie nie robił, a że nie miał potrzeby rano wstawać i cały dzień być na nogach, że *wiwendę*, jak mawiał, miał doskonałą, więc cenił sobie przytułek w Gapimuchach, i strzegł się go postradać. Pamiętając na to, starał się ile możności nie naprzykrzać stryjowi, oraz stosować się do zwyczajów i regularnego urządzenia domu, co ś. p. Jan Kapistran bardzo lubił.

Przedewszystkiem, jako człowiek z dobrym apetytem, pilnował się troskliwie godzin, w których podawane były: śniadanie pierwsze i drugie, obiad, podwieczorek i kolacja; żeby zaś którego z tych posiłków Boże broń nie opuścić, stawiał się nieodmiennie na pół godziny przed terminem, w sali jadalnéj. Trzeba atoli przyznać, że robił to w celach nietylko gastronomicznych; oprócz apetytu, ciągnęło go do pokoju jadalnego jeszcze co innego. Tem czem innem był pewien obraz, czyli jak nazy-

wał *malatura* holenderskiéj szkoły, wystawiająca ciemności nieprzeniknione; téj malaturze przyglądał się od kilku lat codziennie, pięć razy na dobę z wielką uwagą, starając się dociec, co mianowicie reprezentują niektóre przedmioty wyraźniejsze, wyskakujące wśród cieniów.

Czasem w dnie pogodne, gdy strumienie światła zalewały pokój, stawał w oknie, spoglądał na słońce, którego blask sprawiał mu w nosie miłe łechtanie, i kichał. Znajdował w tém niewypowiedzianą przyjemność.



Na takiém zatrudnieniu schodziło zwykle pół godziny i gdy nadszedł stryj, p. Maciéj zasiadał wraz z nim do stołu, i zmiatał dary boże z talerza nie przeszkadzając dobroczyńcy niepotrzebnem odzywaniem się.

Jeżeli stryja nie było—a trafiało się często, że wyjeżdżał za interesami, i bawił za domem po kilka dni, wówczas p. Maciej nie chodził do sali jadalnéj, i nie przyglądał się malaturze, tylko udawał się do apartamentu

pani Marcinowéj, zaufanej gospodyni p. Jana Kapistrana, która miała pewną słabość do kuzynka pańskiego.

U niej miał nietylko dobrą *wiwendę*, ale prawdziwe *używantes*. Pani Marcinowa nie żałowała dlań najlepszych kąsków, gdyż potrafił się wkraść w jéj łaski; co zaś najwięcéj cenił, to możność zalania robaka przed jedzeniem, co go mijało przy stryju, nie pijącym wcale wódki.

Dla przypodobania się gospodyni, miał w repertoarze kilka konceptów, które po kolei nieodmiennie powtarzał, a z których nieodmiennie p. Marcinowa jednakowo się śmiała.

I tak raz np. zapytywał:

— Pani Marcinowa? co starsze, czajka czy jajka?

— No, jużci czajka — odpowiadała śmiejąc się już naprzód gospodyni.

— Jakto! a z czegóż czajka? z jajka!

— A prawda.

— Więc cóż starsze?

— Kiedy tak, to jajka.

— A kto zniósł jajka? czajka! — mówił w trjumfie p. Maciéj.

— Bodaj pana z temi konceptami!

I następował kieliszek wódki, na który pan Maciéj oblizywał się zawczasu.

Drugi raz znowu było:

— Czy pani Marcinowa potrafi zjeść dwa jajka na czczo?

Albo:

— Co cięższe, czy funt pierza, czy funt ołowiu?

Temi niewinnemi koncepcikami jednał sobie przychylność gospodyni; skutkiem zaś téj przychylności, która objawiała się przedewszystkiem dogadzaniem żołądkowi, pan Maciéj zaczął tyć widocznie i tak się czuł szczęśliwym, że o jedno tylko prosił codziennie Pana Boga, to jest, aby mu tak było *do końca śmierci*.

Perjodycznie, w dnie targowe, p. Marcinowa wyjeżdżała w interesach kobiecego gospodarstwa do poblizkiego miasteczka; wówczas także pan Maciéj wynajdował sobie jakiś interes, gdyż oddzielnie nie dostawał koni do wyjazdu. Interesem tym, była zazwyczaj jakaś *reperatura*, w niektórych szczegółach przyodziewku, co miał dopełnić żydek krawiec w miasteczku; chociaż jako żywo, było to tylko pozorem, gdyż *reperaturą* podrzędniejszą zajmowała się z własnéj woli sama pani Marcinowa, grubsze zaś załatwiał również na miejscu tenże sam izraelita wędrujący regularnie po okolicy. Nie kontrowała jednak p. Maciejowi, gdyż chętnie bardzo widziała w nim towarzysza podróży.

Fundusze kieszonkowe p. Macieja były bardzo szczupłe; pochodziły one prawie wyłącznie z hojności stryjaszka, który jednak świadcząc wiele kuzynkowi w naturze, nie widział znowu potrzeby sypać gotówkę jak z rogu obfitości; więc ograniczały się zwykle na kilku złotych. Wyjeżdżał jednak z dobrą miną, gdyż był pewny, że chociażby mu brakło do zapłacenia w oberży, pani Marcinowa nie zostawi go własnemu przemysłowi, lecz wykupi go pieniędzmi stryjaszkowemi, zmalwersowawszy rachunek.

Poczciwa gospodyni nie robiła pod tym względem żadnego skrupułu, i jeżeli zapewniała głośno, że nie ukrzywdziła nigdy pana na tyle, co czarne za paznogciem, to w najlepszéj w świecie wierze. Robiąc z jego kieszeni wydatek na kuzynka, nie widziała w tém nic zdrożnego, co jéj bardzo łatwo wybaczyć można.

Przybywszy do miasteczka, pan Maciéj nie myślał bynajmniéj o reperaturze, tylko udawał się prosto, jakby mu oczy wybrał, do oberży, gdzie siadłszy za stolikiem, kazał sobie przedewszystkiem podać szklankę *arbaty*, bardzo mocnéj, i do tego śmietanki od wściekłéj krowy, co miało oznaczać arak.

Zazwyczaj przy dniu targowym, znalazł się jaki znajomy amator szermierki bilardowéj; więc bez straty czasu rozpoczynała się gra o *arbatę* albo papierosy, trwająca póty, póki p. Marcinowa załatwiwszy się z interesami, nie przyszła po p. Macieja do oberży.

Gospodyni nalegała do powrotu, p. Maciéj ociągał się, nadużywając wpływu, jaki miał na nią, i pomimo szemrań, utargował zawsze z jakie pół godziny.

— Pan Maciéj się tu zagra w te *bulwy* — mówiła — i kontent sobie; a ja przecie nie jestem czasowa, muszę wracać do krów.

— No, no, dobrze, zaraz, tylko zapłacę.

Przy zapłacie pokazywało się zwykle, że p. Maciejowi brakło drobnych, i p. Marcinowa, jak było do przewidzenia dokładała z swojéj, a raczéj pańskiéj kieszeni.

. . . .

Tak upływało życie Maciusiowi w domu stryja, który pomimo przepowiedni Marcinowéj, że nie będzie miał czasu umrzeć, wśród zajęć czynnego życia zachorował i po niedługim czasie przeniósł się do wieczności, zapisawszy, jak już wiemy, dwa tysiące pięćset rubli p. Maciejowi.

Z śmiercią p. Jana Kapistrana, wszystko się zmieniło w Gapimuchach. Zastawną summę nieboszczyka, spłacił sukcesorom jakiś krewny właściciela i objął majątek, a p. Maciéj, rozumie się, musiał się wynosić.

Ale był to już teraz najmniejszy dla niego kłopot. Dostawszy do ręki dwa tysiące pięćset rubli, był przekonany, że posiada miljony i roił Bóg wié co na przyszłość. Ostatecznie wahał się pomiędzy dwiema alternatywami: czy wziąść za te pieniądze dzierżawę, czy dać na procent. Ale nie pozwolono mu nawet dobrze się nad tém zastanowić.

Ponieważ testament był urzędowy i wiedziano zaraz o legatach, więc już na pogrzebie nieboszczyka przycze-

pił się do p. Macieja jeden z dalekich krewnych, który dawniéj znać go nie chciał — teraz zaś ni ztąd ni z owąd wielką poczuł do niego sympatję.

Był to pan Prokop dziedzic Lisiéj Wólki, folwarku kilkuwłókowego, na którym biedę klepał, opędzając się na wszystkie strony nietylko żydkom i sekwestratorom, ale nawet własnym parobkom, którym zalegał nieraz roczne albo więcéj zasługi. To położenie, wyrobiło w nim wielki spryt w wynajdywaniu kapitalików i ludzi łatwowiernych; dzięki temu sprytowi, mógł egzystować do dziś dnia, gdyż tu mazał a tu pisał, jak w szubieniczce; mydlił oczy wszystkim dobroduszną powierzchownością, którą w nim okoliczności wyrobiły, i uchodził za lepszego, niż był w rzeczywistości.

Pan Prokop dowiedziawszy się o sumce spadłéj na Maciusia, od razu zagiął parol na niego i już na pogrzebie skaptował ze wszystkiém; po pogrzebie zaś zabrał gwałtem do swojego domu, gdzie karmił go i poił przez kilka dni, sadzając na pierwszém miejscu, czém do reszty zawrócił głowę panu Maciejowi, nie przywykłemu do odbierania takich honorów.

Zgadało się nareszcie o pieniądzach, i postawiono na stół kwestję, co z niemi zrobić.

Pan Maciéj przyznał się panu Prokopowi, że miał zamiar wziąść dzierżawę—że jednak była wątpliwość, czy znajdzie prędko stosowną do posiadanych funduszów a korzystną, do S-go Jana zaś było jeszcze więcéj niż pół roku, więc tymczasem gotów był wypożyczyć pieniądze na procent, byle na pewną hipotekę.

Pan Prokop myśl tę mu pochwalił, dodając przestrogę, żeby się nie wdał przypadkiem z jakim wielkim panem, mającym znaczne dobra, tylko jeżeli miał pożyczyć, to chyba na jaki folwarczek mały, a pewny.

Na to p. Maciéj nie mógł się zgodzić, twierdząc, że

na dużych dobrach pieniądze pewne i łatwiéj je wydostać, niż z małéj *habendy*.

— Maciusiu, głupiś, jak cię kocham, i nie znasz się na rzeczy—odrzekł na to p. Prokop. —Dam ci najlepszy przykład. Wpuść szczupaka do dużego jeziora – wszak on tam pewny, nie zginie—ale dostań-no go ztamtąd!

To rozumowanie swoją jasnością olśniło Maciusia, i dało mu wiele do myślenia, a rezultatem tego myślenia było, że odrzuciwszy propozycje pewnego panka z sąsiedztwa, właściciela paruset włók, co prawda, porządnie odłużonych, dał pierwszeństwo p. Prokopowi, i na jego Lisiéj Wólce ulokował dwa tysiące rubli, z warunkiem oddania sumy w razie znalezienia dzierżawy, co nie mogło nastąpić prędzéj, jak na Ś-ty Jan. Resztę, to jest pięćset rubli, przeznaczył na oporządzenie się i wyekwipowanie.

Pan Prokop zaproponował Maciusiowi, aby zamieszkał u niego, co tenże zaakceptował, z zastrzeżeniem utrzymania koni, za które płacić się zobowiązał, co panu Prokopowi niezmiernie było na rękę. Maciuś więc sprawił sobie *fajtonik*, parę szkap rejestrowanych, przyjął do nich chłopca, i oporządził się od stóp do głów, już nie u żyda, lecz u katolika, z czego rad się chełpił.

Z próżniaka stał się niezmiernie czynnym, szukając niby dzierżawy, a rzeczywiście włócząc się od komina do komina, lub przesiadując w miasteczku, gdzie grywał w bilard, popijając arbatę ze śmietanką od wściekłéj krowy.

Taki żywot prowadzi już od sześciu lat, bo tyle czasu upłynęło od zgonu Jana Kapistrana. Pomimo niezmordowanych poszukiwań, dzierżawy dotychczas nie znalazł.

Co rok, na miesiąc lub dwa przed Ś-tym Janem, pomiędzy nim a p. Prokopem, powtarza się nieodmiennie jedna i ta sama scena:

— Prokopku! kochanie—mówi p. Maciéj—ja muszę gwałtem poszukać sobie dzierżawy; Święty Jan za pasem.

— A któż ci broni?

— Przecie mnie trzeba pieniędzy... miałeś oddać jeszcze na tamten Święty Jan.

— Żebyś był wziął dzierżawę, byłbym oddał... tak samo teraz... znajdź, to będą pieniądze.

— Jakże tak szukać z gołemi rękoma... trzeba przecie dać zadatek.,.

— Na zadatek się znajdzie.·. mniejsza o to.

Pan Prokop, który jako biegły psycholog znał na wylot Maciusia, dawał mu na rachunek kapitału kilkadziesiąt rubli, mówiąc:

— No widzisz, masz, a jak zrobisz kontrakt, to ci wypłacę resztę.

Maciuś brał do ręki pieniądze, odpowiadając:

— Dobrze, przystaję na to; ale jakbyś mi miał nie dopisać na święty Jan, to jak cię duszą kocham, łeb ci obedrę.

Pan Prokop przystawał chętnie na tę alternatywę, bo znał dobrze Maciusia, i wiedział, że z dzierżawy nic nie będzie.

Jakoż dostawszy do rąk kilkadziesiąt rubli, pan Maciéj siadał do *fajtoniku* i jechał do miasteczka, gdzie bawił się tak długo, dopóki nie przejadł całego zadatku na ową mityczną dzierżawę.

W roku bieżącym, gdy pan Prokop obliczył skrupulatnie tak dawane corocznie zadatki, jak utrzymanie Maciusia, jego koni i furmana, po potrąceniu umówionego procentu, jaki obowiązywał się płacić, pokazało się, że dwa tysiące rubli zredukowały się już do tysiąca; a że dzierżawy podrożały i corocznie idą w górę, przeto można być pewnym, że z chwalebnych zamiarów p. Macieja nic nie będzie, i że reszta sumy u p. Prokopa uwięziona, nie tak prędko będzie wymagalną.

Jak się skończy ten cały obrachunek, i co pan Maciéj pocznie z sobą, gdy wysączy resztę swojego kapitału, przewidziéć trudno.

Znajdowali się ludzie radzący mu, ażeby zamiast szukać dzierżawy, poszedł gdzie w obowiązek, który têm łatwiéjby znalazł, że mógł stawić za siebie kaucję. Ale p. Maciéj tak się têm obraził, że przyjść do siebie nie mógł z alteracji, i wieczną w sercu swojém zachował urazę do nieproszonych wścibskich.

Na takiéj stopie stoją interesa p. Macieja. Gdy w jego losach nastąpi jakaś stanowcza zmiana, donieść wam nie omieszkam. Tymczasem ostrzegam, abyście się nie dziwili, jeżeli przypadkiem dojdzie do waszéj wiadomości, że wyszedł na tak zwaną ofiarę losu, wstydzącą się wyciągać rękę do przechodzących, ale za to rozsyłającą po okolicy listy, zaczynające się od słów takich. np.

Jaśnie Wielmożny Panie, Czcigodny i dostojny dobrodzieju!

Będąc zapewnionym o rzadkich przymiotach Jego wysokiego usposobienia uczuć szlachetnych, biorę za pióro, abym mógł skreślić me wyrazy do łaskawego i cierpliwego wysłuchania i t. d.

Reszty się domyślcie.

— —

KARJEROWICZ.

Do dziś dnia, a przynajmniéj do bardzo niedawnych czasów, jedyną karjerą o jakiéj marzyli młodzi synkowie obywatelscy, było korzystne pod względem finansowym ożenienie się.

Obecnie, prawdę powiedziawszy, zmienia się to po trochu na lepsze. Obywatele ziemscy, lubo jeszcze nie w wielkiéj liczbie, pozbywszy się przesądów, zaczynają kształcić synów specjalnie; pragną mieć z nich inżynierów, techników, fabrykantów, lekarzy etc. słowem ludzi, mających gotowy sposób do życia.

Ale nie dawno jeszcze ogół myślał inaczéj. Przeszedłszy jako tako szkoły gimnazjalne, w których do siódméj klasy dochodziła jaka dziesiąta część, załatwiwszy się byle zbyć z Marymontem (i to także bardzo mała stosunkowo liczba), synkowie wracali do domu, gdzie zaczynano myśleć o ich wyprawie.

Wyprawą takiego synka było i bywa po części do dziś dnia, wydzielenie z majątku ojcowskiego, do wiernych rąk, jakiego folwarczku, a w braku tego, wyszukanie mu jakiéj dzierżawki.

Nie chodzi tu o rzeczywistą korzyść, lecz o postawienie się w oczach ludzi.

Taki młodzik, osiadłszy na ojcowskim folwarku lub nędznéj dzierżawie, jest już sobie panem niby na własnym zagonie i człowiekiem niezależnym, chociaż rzeczywiście, szczególniéj w drugim przypadku, egzystencja jego wisi na włosku.

Ale on rachuje na bogate ożenienie.

Ożenienie takie, z zamiarem z góry powziętym bez względu na osobę, mającą zostać towarzyszką dozgonną, bo tu główną rzeczą tylko interes, nie jest czém innem, tylko spekulacją, a staranie się, zabiegi około tego, manipulacją, mającą wszystkie cechy, lepiéj lub gorzéj odegranéj komedji.

Więc wszystko tu robi się dla pozorów i zamydlenia oczu.

Karjerowiczowi chodzi o to, żeby zaprezentował się w świecie, jak może najlepiéj, a że zazwyczaj środki ku temu ma ograniczone, więc dopełnia zadania z prawdziwém zaparciem się.

Zaparcie to dochodzi niekiedy do znakomitych rozmiarów. Karjerowicz w domu, u siebie, żyje jak anachoreta, niedba o wygody, pości, suszy — całe jego życie jest na zewnątrz domowego ogniska.

Mieszka jak pustelnik — łóżko z ubogą a często brudną pościelą, prosty stolik, reprezentujący biurko, stara szafka do sukien — oto cały jego sprzęt — zasmolona baba, cały dwór; — ona jest gospodynią, kucharką i lokajem.

Ale on tego wszystkiego nie czuje, będąc niemal gościem w domu; w ciągłych wycieczkach, jakich wymaga polowanie na żonę, przyjeżdża do siebie ledwo na parę dni, więc niewygody i prywacje nie dają mu się we znaki, owszem są bodźcem do podwojenia energji.

W domu jest jak na popasie. Przyjechał zkądciś nadedniem — śpi do południa — obudziwszy się przy-

woluje wielkim głosem gospodynię na konferencję, któréj treścią przedewszystkiem obiad.

W rezultacie narady pokazuje się zwykle, że w śpiżarni nic niema — więc trzeba poprzestać na zaciereczkach i kilku jajach, kupionych we wsi za gotowy grosz.

Druga kwestja tycze się bielizny. Robi się skrupulatny przegląd takowéj, a szczególniéj kołnierzyków i mankietów — a że po kilku dniach bujania, w skutek konieczności przyzwoitego zaprezentowania się w gości-



nie, pokazują się braki — przeto ordynuje się pośpieszne pranie; posyła się po parę funtów mydła do najbliższéj karczmy, jeżeli niema swojéj we wsi, i pan sam dozoruje roboty, żeby mógł prędzéj znowu wyjechać.

Na wyjezdnem trzeba się ogolić, ubrać. Wtedy zazwyczaj rwetes — gospodyni przywoływaną jest co chwila to do przyszycia guziczka, to do odprasowania krawatu — co moment trzeba czegoś szukać — pędzelek do golenia gdzieś się zapodział — hałas, piekło — wreszcie słychać na podwórzu przeraźliwy kwik wieprza, któremu

wydarto pęczek szczeciny, mający zastąpić miejsce pędzelka.

Nakoniec pan odjeżdża — teraz zupełnie co innego.

Ekwipaż jest jedynym zbytkiem, na który sili się Karjerowicz, poświęcając wszystko.

Więc przed sienią stoi przyzwoita nejdyczanka, wolant albo nawet powozik — koniki jeżeli nie paradjery, to co najmniéj schludne, w wypucowanych chomontach lub szorach — *człowiek* w liberji — osoba nader ważna, zazwyczaj chłop hardy i poufały, utrzymywany kosztem wielkich ofiar.

Ekwipaż, to dom Karjerowicza — gdy weń wsiędzie, czuje się dopiero panem — to téż mina inna zupełnie i spotykający go po drodze wieśniacy kłaniają mu się z uszanowaniem większém, niż właśni jego podwładni.

Lubo podobni Karjerowicze rzadko są w domu i nie trzymają go otwartym, zdarza się przecież, że kiedy niekiedy trafi im się czyjaś wizyta. Trzeba widzieć, jaką to wywołuje krętaninę.

Ludzie rozesłani są po chałupach za kupnem jakiéj sztuki drobiu, a nieraz się zdarza, że wychudła kura, siedząca na jajach, ku rozpaczy gospodyni, idzie na ofiarę.

Wprawdzie grzech za pokutę nie starczy, bo ugryźć jéj nie można, i jest pole do narzekania na wiejską kuchnię i niedbalstwo domowego zarządu -- ale *decorum* zachowano — była na stole pularda.

Czasem zdarza się, że gość w poufalszych stosunkach z panem domu zostający, wstępuje w przejeździe z miasteczka, zkąd wiezie zapasy do domu — ileż to razy część tych zapasów, jak chleb, bulki i mięso, spożywaną bywa wraz z gospodarzem domu.

Karjerowicz, jakiego przedstawiłem, zwykle ostatecznie robi dobry interes — wynajduje żonę. Jakie tam późniéj pożycie, to nie należy do rzeczy — ale pod względem materjalnym, ponieważ nie miał nic do strace-

nia, więc koniec końcem zyskał. Bywają z nich nawet dobrzy gospodarze, gdyż przejście z życia koczowniczego w stan rzeczywiście osiadły, zachęca do pracy.

Ale jest inny rodzaj Karjerowiczów, zostających na pozór w lepszych warunkach, którzy jednak gorzéj wychodzą.

Jest to młodzież majętna, a próżniacza.

Taki jegomość zwykle ma kilkadziesiąt włók gruntu, na których, długów, legatów dla rodziny i t. p. niemal połowa wartości. Wszelako materjał jest, i gdyby ten pan wziął się do pracy umiejętnie, ze znajomością rzeczy, mógłby łatwo oczyścić majątek, a swoją drogą wynaleźć sobie żonę według upodobania.

Ale on od razu powiada sobie, że musi się ożenić bogato, przynajmniéj tak, aby wziętym posagiem mógł spłacić długi.

I odprawia polowanie tak samo, jak tamten, z tą tylko różnicą, że ekwipaż suty, konie drogie i szyk pod każdym względem.

Dom restauruje na wielką skalę, bo wypada zapraszać do siebie osoby, mające wpływ na upatrzoną pannę i pokazać im swoją zamożność; — więc daje nowe posadzki, wykleja ściany obiciami, wprawia drogie szyby w okna, sprowadza meble, bez względu, że je znowu zmieni żeniąc się — wreszcie sam ubiera się u Chabou, a przyjechawszy do domu, gdzie jest panna, służbie sypie rublami, żeby rozgłaszali, że to dobry pan, odprawia ze swoją wybraną podróże do wód i t. d., słowem, stara się o to, ażeby jak najwięcéj wydawać pieniędzy, wmawiając w siebie, że to wszystko mu się wróci, bo dopomoże do zrobienia interesu.

I nareszcie, gdy dosięga zamierzonego celu, robiąc tak zwaną *karjerę*, pokazuje się, że stracił niemal tyle ile ma dostać za panną — a gdy doliczymy do tego rozmaite nieprzewidziane kwestje, wyrastające jak grzy-

by po deszczu, w chwili gdy ma się odbierać ów pożądany posag, a głównie wymagania żony, zastosowane wedle chwalebnego u nas zwyczaju, nie do wiana jakie wnosi mężowi, lecz do stanu majątkowego rodziców, pokaże się najczęściej, że taki Karjerowicz zamiast zyskać, stracił.

Wypadki więc tego rodzaju są bardzo częste; ponieważ jednak skutki nie pokazują się zazwyczaj odrazu, lecz po upływie pewnego czasu, tak, że można im przypisywać najróżnorodniejsze przyczyny, przeto przykłady podobne, choćby najwymowniejsze, nie działają nigdy tak jakby powinny.

WYPRAWA PANA PROTA.

Przed staroświeckim dworem wioski, leżącej w okolicy miasteczka Radziejowa (nazwiska nie widzę potrze-



by wymienić), stała bryka w cztery konie gniade zaprzężona. Woźnica w szaraczkowym płaszczu z białemi herbowemi guzikami i staréj lakierowanéj czapce, spoglądał to w niebo, to w okna domu, jak gdyby się przy-

mawiał o kieliszek wódki, i z niecierpliwości zacinał kiedy niekiedy konie. Ale bo téż czas był fatalny; drobny deszczyk ze śniegiem padał od wczorajszego wieczora, co obiecywało tak zwaną trzydniówkę; zimno było przenikliwe, jak się to trafia o téj porze — bo muszę dodać, że działo się to w sam wielki tydzień, we środę, w końcu miesiąca Marca.



We dworze wielki panował rwetes, jak to zwykle w wielki tydzień w naszych dworkach szlacheckich. Pani Protowa, jejmość maleńka, tłuściutka, lat czterdziestu kilku, dreptała z pokoju do pokoju i ze wszystkich kątów dochodził krzykliwy jéj głosik, przed którym truchlało wszystko co żyło przy dworze. Dwie jéj córeczki, panienki kilkunastoletnie, jak się mówi, podlotki, dopomagały matce, więcéj się kręcąc i fertając, niż co robiąc,

a siostra cioteczna gospodyni panna Prakseda, tytułowana przez wszystkich łowczanką, na pamiątkę dziadka, który był ongi łowczym Przedeckim, dziewica równych lat z panią Protową, opatrzona w łokciową konotatkę sprawunków mających się porobić na święta, suszyła głowę panu Protowi, który uzbrojon w stoicką cierpliwość, puszczał mimo uszu instrukcje, zapijając grzane piwo,



gwoli rozgrzania żołądka na drogę, co było rzeczą niezbędną na taką flagę i przenikliwe zimno.

Pan Prot był to szlachcic wysoki, z zawiesistym wąsem, a łbem goluteńkim jak kolano i sięgający z okładem sześćdziesiątki. Po nad buremi oczami zwieszały się brwi gęste, strzępiaste, nadające jego fizjognomji wyraz niemal srogości. Ale ten wyraz kłamał: pan Prot był łago-

dny jak baranek; czasem tylko, rzadko, bardzo rzadko, w chwilach fenomenalnych, gdy mu co zbytecznie dojadło, unosił się passją, z którą nie było mu bynajmniéj do twarzy; jąkał się wtedy, plątał, wymyślał nie wiedzieć po jakiemu i wybuch ten mijał natychmiast, stanowiąc epokę w kronice domowéj. Ale bo téż, jak miało mu być do twarzy, kiedy kląć nawet nie umiał; strzegł się używania wszelkich djabłów i piorunów, a kiedy wypadała konieczna potrzeba dla energji stylu, mówił: trzysta dębów zjadł! albo: tam do sęka!

Jakim był pan Prot i w domowém życiu, i w stosunkach ze światem, najlepiéj malował nadany mu przydomek Safanduły, pod którym więcéj był znany niż pod swojém rodowém nazwiskiem. Nie mówiono inaczéj na całą okolicę, tylko: byłem u Safanduły, widziałem się z Safandułą na odpuście, grad wybił owies Safandule. Człowiek z dobrém sercem i z głową nie tak znów zakutą, nawet dosyć wykształcony jak na partykularnego szlachcica, był najdoskonalszym ciemięgą, jakiego wyobrazić sobie było można — a był nim czysto przez lenistwo. Miewał on, acz bardzo rzadko, swoje chwile ruchliwości umysłowéj, a nawet pod pewnym względem inicjatywy; ale to trwało tak długo, dopóki nie okazała się potrzeba czynu; naówczas pokazywał się tém, czém był, to jest Safandułą. Nie zdolny stanąć w obronie własnego przekonania, łatwo zrażający się lada przeciwnością, był niewolnikiem cudzego zdania i byle kto mógł go prowadzić na pasku; korzystała z téj łatwości żona, którą pomimo to sumienie kazało mu szanować, bo téż rzeczywiście gdyby nie ona, dawnoby na dobréj wiosce chleba nie mieli.

Słuchając bezmyślnie klektania panny łowczanki, przypominającéj o szafranie i cykacie, i objaśniającéj dodatki i poprawki poczynione w konotatce, pan Prot (bo wolę go tak nazywać, unikając ile możności przydomku

dawanego mu tylko za oczy) wypił piwo co do kropli, potém otarł serwetą wąsy, i z kapciucha zawieszonego na guziku, nałożył sobie fajkę na drogę, drajkenigiem pruskim. Pan Prot był zwolennikiem fajki, a palił zawsze drajkenig pruski przemycany, bo było to jeszcze za tych błogich czasów, gdy zwyczajny szlachcic ćmił sobie drajkenig pruski albo i nasz krośniewski, a co najwięcéj gelbwirginią, nie kosztując się na diubeki i żukowy; ale bo też mówiąc nawiasem, drajkenigi i wirginje można było palić naówczas, gdy dziś nabrały jakichś własności infekcyjnych.

Pan Prot tedy fajki z ust nie wypuszczał czy to w domu, czy w drodze, a miał niemiecką porcelanową z odlewką, sprowadzoną umyślnie z Torunia, na któréj wypisane było gotyckim charakterem: Glück! Cygar p. Prot nie używał; miał tylko zawsze pudełko jedno dla gości, które przychodziło mu także przemycanym sposobem za pośrednictwem żydków. Nazywały się te cygara *Biada*. Poufalsi znajomi p. Prota utrzymywali, że nazwa była trafna, bo w rzeczy saméj, biada tym co je palili! cztery konie, jak to mówią, trzeba było zaprządz, chcąc żeby ciągnęły.

Pan Prot atoli, sam ich nie palił, poprzestawał jak powiedziałem na drajkenigu; te też i w obecnéj chwili naładowawszy sobie kapciuch na drogę, zapalił fajkę i pożegnawszy obie kobiety, udzielające mu jeszcze instrukcji, mianowicie co do sześciu jendorów, które oddzielną furmanką pod opieką ogrodnika Mateusza szły na sprzedaż do Włocławka, oraz pogłaskawszy Marynię i Franię, które pocałowały papę w rękę, — wsiadł na brykę, rozwinął ogromny płócienny parasol i zrobiwszy znak krzyża św. ruszył z przed dworku.

Snać jednak musiał nie szczerze się przeżegnać, albo być natenczas pod wpływem jakiéj grzesznéj myśli, bo droga jakoś mu się nie wiodła od samego początku. Wiatr

ciął prosto w oczy, napędzając wielkie płaty wilgotnego śniegu topniejącego natychmiast; a chociaż miał parasol, to wiadomo, że ten użyteczniejszy jest przeciwko deszczowi: śnieg ciekawski zacina z boku, zajrzy najciaśniejszą szparką, czasem zdaje się z ziemi unosić ku niebu. Pomimo więc téj ochrony zaglądał to z prawéj to z lewéj strony w oczy p. Prota i moczył mu wąsy, co zdawało się go niecierpliwić. Nadto nim jeszcze wyjechali ze wsi, baba idąca po wodę z kubełkiem przeszła drogę przed koń-



mi tak, że nie można było już jéj wyminąć, chociaż Wacho śmignął na konie; na polu zaś już blizko granicy, przebiegł zając. Te dwa smutne prognostyki oddziałały na humor pana Prota, który miał powód przewidywać, że ta podróż nie obejdzie się bez przypadków, i był prawie pewny, że albo koło u bryki spadnie albo uwięzną gdzie w jakiéj dziurze.

Droga była krwawa. Koła szły w rozrobioném błocie, grężnąc co chwila po szynkle, bryka przechylała się

na bok, i kilka razy o mało nie przewróciła; jechać można było tylko stępą, a pomimo to konie ściągały się i parskały. Pan Prot nie mógł odżałować, że do przodka nie kazał założyć złoto-gniadéj, a na jéj miejsce do dyszla nie wziął wałacha konopiatego przezwanego *drwalem*, bo tak był leniwy i tępy, że jak to mówią, drwa rąbać było można na nim — za to do ciągu w ciężką drogę jedyny. Złoto-gniada za rącza była do dyszla, to téż ściągała się w błocie, tak że aż pan Prot patrzeć na to nie mógł, i gdérał bezustanku na Wacha:

— Postronki u złotéj za krótko; popuść trochę...

— Czego śmigasz niepotrzebnie?

— Ejże, ogierowi wytniesz ślépie...

— Schowaj bicz...

Rozkazy te były zupełnie nie potrzebne, bo Wacho ani myślał stosować się do nich, wmawiając za każdym razem panu, że mu się tylko zdaje; gdéranie to jednak, było dla pana Prota urozmaiceniem nudnéj drogi i niejakim dowodem samodzielności, któréj mu najniesprawiedliwiéj, jak był przekonany, zaprzeczano.

Po dwugodzinnéj drodze, znajdowali się we wsi pana Romualdego, przyjaciela z lat dawnych pana Prota — a było to, jak obszył, na pół drogi do Włocławka. Pan Prot spojrzał tęsknie w kierunku dworku bielejącego po za topolami obnażonemi z liści; spojrzawszy pomyślał, i odezwał się do Wacha:

— A możeby wstąpić i koniom wytchnąć?

— Bogać by się nie zdało.

— No, to jedź do dworu — rzekł pan Prot, przekonywając się z tego przyświadczenia Wacha, że myśl była dobra — tylko nie wyprzęgaj, bo pojedziemy zaraz daléj, niech jeno się szkapy wysapią, a derami nakryj, i stań gdzie od wiatru.

Dojeżdżając do dworu, przypomniał sobie jeszcze je-

den szczegół, czém dał dowód nie małéj przytomności umysłu:

— A uważaj—dodał—na Mateusza; jak będzie przejeżdżał z jendorami, to go zatrzymaj, bo pojedziemy razem z nim.

Za całą odpowiedź, Wacho *pęknął* z bicza, popędził kłusa na suchym bo piaszczystym dziedzińcu i stanął przed dworem.

W chwilę, nim pan Prot zdążył wygramolić się z bryki, ukazał się na progu p. Romualdy uśmiechnięty do gościa, w lisiurze i jałowiczych butach, z fajką w zębach.

— A! sąsiada dobrodzieja!... kopę lat, jak mi Bóg miły; zkądże bogowie prowadzą? czy do mnie umyślnie?

— Co prawda, mimochodem tylko sąsiadku; jadę do Włocławka — rzekł p. Prot zlazłszy z bryki i ocierając mokre wąsy o policzki p. Romualdego. — Jejmości brakło rozmaitych rzeczy na święta.

— Aha! sprawunki... no, to nic pilnego... wyprzęgaj! — krzyknął p. Romualdy na Wacha — pogawędzimy.

— Nie mogę, jak rany boskie kocham; nie wyprzęgaj! Muszę jechać, jak sąsiadka szanuję... trochę tylko wytchniemy.

— Czy sąsiadowi źle w głowie, czy co? na taką drogę!... *parfors* każę wziąść konie.

— Na miłość boską, dajno sąsiadek pokój — zawołał strwożony p. Prot — nie mam czasu, tyle sprawunków... żona już ciasto zarobiła...

— Ani słucham! proszę do pokoju...

Pan Romualdy był jednym z tych gospodarzy, co to łapkiby zastawiali po drodze na gości; p. Prot zaś z samego charakteru swojego jako safanduła, był nadzwyczaj miękki. O ile trudno mu było wybrać się gdzieś z odwiedzinami, o tyle gdy już przyjechał, dosiadywał z drugimi i przetrzymywał ich nawet, odjeżdżając ostatni,

a już co od półmiska albo kieliszka, to się nigdy wymówić nie potrafił.

Pomimo to, trwała przed gankiem utarczka z dobry kwadrans, wreszcie stanęło na tém, że konie się wyłożą, ale tylko na godzinkę, ani minuty dłużéj. Wacho dostał dyspozycję, aby nie czekając rozkazu, zajechał sam. Poczém nim weszli do pokoju, obeszli wprzód naokoło konie i obejrzeli je najskrupulatniéj ze wszystkich boków.

— Wié sąsiad, że ogier się *rozfasował.*

— *Przepryskuje*; boję się żeby, do sęka, nie zazołzował.

— Otręby! — rzekł dyktatorskim tonem p. Romualdy — nic jak otręby! Ale złota cóś spaszowała.

— Ściągnęła się przy dyszlu... za rącza...

— Ale bo któż widział... klacz przodkowa...

— Żałuję... jeszcze na taką drogę... aj! jaka droga! Niech mi sąsiadek daruje — dodał p. Prot delikatnie — ale zdałoby się groblę wyreperować na Bachorzy...

— A to po kiego licha! jak kto uwięźnie, to poślę po niego konie, i kwita... a za to zje ze mną obiadek...

— Prawda i to — rzekł p. Prot przekonany.

P. Romualdy klepał wciąż złoto-gniadą.

— Wié sąsiad co — rzekł po chwili — możebyśmy ucięli handelek...

— Jaki handelek?

— Na złotą.

— A! za żadne pieniądze.

— Ejże! jakby było czém oczy obetrzeć.

— Ale gdzie tam! nigdy... klacz własnego chowu... A do tego faworytka żony... — dodał po chwili.

— Dam deresza.

— Dziękuję za deresza... co mi po nim?

— Nie widziałeś go sąsiad teraz! każę go wyprowadzić. Ale proszę tymczasem do pokoju.

Wszedłszy do pokoju, sąsiedzi powitali się raz

jeszcze na nowo *na tém miejscu*, jak to u nas jest w szlacheckim obyczaju, cmoktając się głośno w policzki. Pan Prot wycisnął pocałunek na chudéj rączce pani Romualdowéj, matrony jeszcze nie staréj, ale suchéj i kościstéj, z zaciśniętemi ustami i wiecznie namarszczonéj, która pożałowawszy p. Prota, że na taką flagę musiał wyjechać z domu, i zapytawszy o zdrowie jego małżonki i córeczek, oraz panny łowczanki, jak nakazują przepisy przyzwoitości względem gościa, wyszła z pokoju.



Pan Prot wziął się do dzieci, których troje czy czworo kręciło się po pokoju, wycałował wszystkie jedno po drugiém, a najmłodszego Stefcia po brzuchu własnym wywindował aż na ramiona i obniósł po pokoju; zsadziwszy go wreszcie na ziemię, zatarł ręce i spytał, jak miał we zwyczaju:

— No, cóż tam *ex publicis*?

Ale nie dowiedział się wiele pan Prot w téj materji, bo to była chwila politycznéj ciszy w Europie,

więc spojrzał machinalnie na zegarek i rozsiadłszy się na kanapie, rozpoczął rozmowę z innéj beczki...

— Stefcio rośnie jak na drożdżach.

— A rośnie, wisus — rzekł p. Romualdy z uczuciem rodzicielskiéj dumy — już tyli prawie co Orszulka.

— Wykapany tatuś; będzie miał pewno ze siedm lat?

— Ej, gdzież tam; pięć skończy na Matkę Boską zielną.

— Jezus Marja! to chłop będzie...



— Urwipołeć okrutny... hajdamaka... Stefek! poznałeś tego wujka?

Stefek, który wszystkich gości nazywał wujkami, zamiast odpowiedzi, z hajdamacką miną zaczął się bujać na poręczy krzesła i świstać.

— Znasz mnie, hę? powiedz — zapytał p. Prot, starając się nadać fizjognomji wyraz jak najprzyjemniejszy.

— Znam — rzekł Stefcio, patrząc na pana Prota figlarnie.

— Jakże się nazywam?

— Safandula...

— He, he, he! — zaśmiał się p. Prot, któremu nie przyszło nawet na myśl, że wykapany tatuś powtarzał zepewne to, co słyszał u starszych.

— Smarkacz jakiś — rzekł ojciec — co on ma za koncepta! Pocałuj za to wujcia po francuzku.

Na to wezwanie, Stefcio jednym susem znalazł się na kolanach p. Prota.

Całowanie po francuzku, zależy jak wszystkim wiadomą, na szczypaniu się w policzki. P. Romualdy, kochający dzieci do słabości, zamiast abecadła uczył ich figlów; Stefcia więc, który jako najmłodszy był jego faworytem, nauczył francuzkiego całowania, a że własne swoje policzki przeznaczył na pole prób i wcale ich nie oszczędzał, przeto Stefcio wyćwiczony był znakomicie i łzy wyciskał wszystkim wujkom i ciociom bywającym w domu. Skoro więc wziął w swoje obroty p. Prota, ten wyszedł z nich z sińcami, ale pomimo to pogłaskał chłopaka po głowie, i gdy ten wyciągnąwszy mu zegarek z kieszeni zaczął około niego majstrować, przykładając go sobie do ucha, p. Prot rzekł:

— Dowcipny kanalja; będzie wisus. Czy się już uczy?

— Uczył się abecadła przy pannie Nerwowicz, ale jakeśmy ją odprawili...

— Ej, do sęka! to niema już téj blondynki, co to...

— Co to się sąsiad tak brał do niéj?... ha! ha! ha!

— Ja? ale gdzież tam!

— Niema się co zapierać, niema... przystojna była, ani słowa; tylko, że grymasów póty...

— Cóś nie długo popasała... to tak, jak ta nasza francuzka.

— E, z francuzką co innego było... rzekł p. Romualdy przymrużając oko z wyrazem domyślności — ja

wiem; już to uderz się sąsiad piersi, jegomościna to sprawka...

— Moja? co znowu!

— No, no, wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi; domyślam się, że byłbyś ją sąsiad rad zatrzymał, ale nie wypadało scen robić w domu.

— Ale, jak rany boskie kocham, nie rozumiem...

— Jedno tylko mam za złe sąsiadowi — mówił daléj p. Romualdy, który niezmiernie lubił tego rodzaju prześladowania — jak można było zachować tak mało ostrożności...

Słysząc te słowa, p. Prot najnaiwniéj w świecie zmieszał się i stanął w pąsach, chociaż nie miał sobie nic a nic do wyrzucenia. Dowodziło to wyraźnie, że w safandule uważanym jako jednostka ludzkiego gatunku, płynie krew tak samo, jak w zwyczajnym człowieku; cała różnica jest w jéj temperaturze. Dla tego safanduła pozwala z siebie żartować i bardzo rzadko gniewa się o to, czegoby zwyczajny człowiek nie zniósł z zimną krwią.

Pan Prot nie chcąc się bronić ani sprzeczać, wolał odwrócić zręcznie rozmowę.

— A nauczył się przynajmniéj czego Stefcio przy niéj? — zapytał.

— Powiedz wujciowi, co umiesz — rzekł ojciec.

— Umię M — rzekł po chwili namysłu chłopiec.

Nie byłby bardzo mądry wujcio z téj odpowiedzi, gdyby p. Romualdy nie był objaśnił, że Stefcio nauczył się abecadła do litery M.

— No, jak na początek, to nie źle — rzekł p. Prot, i objawił chęć przekonania się dotykalnie o zdolnościach zaimprowizowanego siostrzeńca.

Wezwany uroczyście Stefcio, zaczął najprzód galopować na kolanie p. Prota, wiercąc zawzięcie palcem w nosku — poczém zachęcony głaskaniem i komplimentami, zdecydował się poddać egzaminowi i w kilkuminu-

towych przerwach, wygłosił wszystkie litery od A do M. Potrzebował na to dwadzieścia ośm minut.

— Ślicznie — rzekł wujek ocierając pot z czoła i głaszcząc Stefcia, a w duchu myślał sobie, że byłoby tego już dosyć.

Ale p. Romualdy wpadł w sztos popisywania się z synem.

— No, a teraz z geografji — rzekł, i biorąc chłopca za wielki palec u ręki, zapytał: — Co to za część świata?

— Eulopa — odrzekł zapytany, po długim znowu namyśle i galopowaniu na kolanie.

— A ta?

— Aflika.

— Widzi sąsiad! — rzekł p. Romualdy z trjumfem — nawet na wyrywki.

— Pojętny chłopak, jak rany boskie kocham — zakonkludował p. Prot.

Pedagogiczne to posiedzenie przerwał służący w szaraczkowéj liberji, wnosząc na tacy wódkę i zimną zakąskę. P. Prot poruszył się mimowolnie na kanapie, i delikatnie zsadził z kolan Stefcia.

Safanduła uważany w stosunku do innych ludzi, jeżeli traci na porównaniu, to z pewnością nie wtenczas, gdy idzie o zbadanie jego żołądkowych zdolności. Rzekłbym nawet, że pewne wskazówki każą wnosić, jakoby zdolności te wyrabiały się w nim w stosunku wprost odwrotnym do innych funkcji szlachetnych. P. Prot gotów był wypić i zjeść w każdéj chwili, cóż dopiero teraz, gdy po swojém śniadaniu dwie mile drogi ujechał. To téż nie dając się wcale prosić, przyjął nader wdzięcznie przepicie p. Romualdego „do sąsiada,“ łyknął jednym haustem kielich dzięglówki domowego przepalania i wziął się do zmiatania z talerzy śledzi, rydzów marynowanych i gomółek z karolkiem.

Na tém zeszła wyznaczona na popas godzina, a ze-

szła jak nic przy miłéj pogawędce o spodziewanych urodzajach, o przeszłém polowaniu, o chartach p. Andrzeja i ogierach p. sędziego, a smarując ostatni kawałek chleba, p. Prot widział doskonale przez okno, że Wacho już zajechał, ale udał, jakoby tego nie spostrzegł, boć po śledziach należało się czegoś napić, a był pewny, że p. Romualdy o tém nie przepomni. Jakoż niebawem Marcinek wniósł na tacy dwie buteleczki porteru i dwie lampki pękate.

Pan Prot w téj chwili przypomniał sobie, że miał w kieszonce u kamizelki zegarek.

— Aj, do sęka! — rzekł sprawdzając minuty i rozsiadając się wygodniéj na kanapie — pięć kwadransy bez pięciu minut, jak rany boskie kocham!

— Patrz sąsiad, koszulka jest — odrzekł nie uważając bynajmniéj na to p. Romualdy, i podsuwając p. Protowi lampkę czarnego płynu pokrytego na ćwierć cala prześliczną, ślinkę pobudzającą pianką.

P. Prot nic nie odpowiedział, tylko wziął szklankę we dwa palce, uniósł trochę, zdmuchnął ostrożnie piankę, i uroczyście wlał dwie trzecie płynu przez usta do gardła; potém dolną wargą ogarnął wąsy, postawił szklankę na stole i zasiadłszy się w kącie kanapy, nadął usta i dmuchnął długo, przeciągle.

Sąsiedzi wyczerpawszy podczas śniadania repertoar zwykłéj pogawędki, siedzieli jakiś czas naprzeciw siebie, dopijając pierwszéj szklanki i spoglądając tylko jeden na drugiego w milczeniu; p. Romualdy bębnił palcami na stole marsza, p. Prot parę razy odezwał się z ciężkiem westchnieniem: Oj tak, tak!

Byłby w kłopocie, gdyby go się zapytano, do czego to stosował.

Gdy p. Romualdy nalewał drugą szklankę, p. Prot zapytał:

— Dawno też sąsiadek widział się z Nietoperskim?

Ten, którego p. Prot wymówił nazwisko, był sąsiadem p. Romualdego; p. Prot znał się z nim bardzo mało i tém samém nie troszczył się o niego zbytecznie; to téż zapytanie to, tak sobie byle coś powiedzieć, rzucił takim tonem, jakby mówił: Ciekaw jestem, o czém tam Wacho myśli na bryce?

— Z Nietoperskim? — pochwycił p. Romualdy — byłem u niego tydzień temu. Niech Bóg broni! — dodał trącając w szklankę p. Prota.

— Co, niech Bóg broni?

— W długach już póty... niema jednego żydka łapserdaka w okolicy, któryby mu nie siedział w kieszeni. Wié sąsiad, sprzedaje majątek — mówił p. Romualdy odkorkowując drugą butelkę.

— Ej, do sęka!... to już tak źle? — rzekł p. Prot kończąc z pośpiechem szklankę.

— Cóż ma robić; jak nie sprzeda na wiosnę, to na święty Jan zabiorą mu przez subhastę.

— Mój Boże! — wygłosił p. Prot delektując się porterem — majątek od tylu lat w rodzinie; jeszcze pono za Augusta II...

Niechaj nikogo nie dziwi to odezwanie się p. Prota, zaczepiające o historję, a tém samém dowodzące, że p. Prot czytuje. Rzeczywiście literatura bywa nie obcą safandułom — czytają oni, chociaż z innych pobudek i z inną korzyścią niż zwyczajni ludzie. Częstokroć abonują *dzieła* w miasteczku, jeżeli jest księgarnia, bo miło jest leżąc w szlafroku do góry brzuchem na sofie, czytać książkę, która nas bawi i jest przyzwoitą wymówką zaniedbywania innych obowiązków. Ztąd téż safanduła bywa niekiedy oczytanym. Znałem ludzi tego gatunku, którzy recytowali z pamięci tysiące wierszy Mickiewicza, Słowackiego lub Pola i pamiętali nazwiska wszystkich bohaterów i bohaterek Kraszewskiego lub Kaczkowskiego; ale każdy z nich otworzyłby wielkie oczy

gdyby kto śmiał się go zapytać, z jakiego téż punktu zapatruje się na tych autorów. Bądź co bądź, trafiają się okoliczności, że safanduła może mieć pretensję do uchodzenia za erudyta, jak np. względnie do p. Romualdego, p. Prot był erudytem, i rad był, że mógł to okazać.

— Tak — mówił daléj — za Augusta II; ale najznakomitsze rodziny upadają nierządem. Iluż to imion dawniéj znanych w historji, dziś niema ani śladu... Tęczyńscy, Firlejowie...

— Prymasowscy... — dołożył p. Romualdy wścibiając swoje trzy grosze...

— Jacy Prymasowscy?

— A ci, co mieli pałac w Warszawie na Senatorskiéj ulicy...

— Jak żyję nie słyszałem... wiem, że tam mieszkali prymasi i ztąd nazwa pałacu.

— E, to kwestja; mógł mieszkać który prymas, ale to nic nie dowodzi; nie pisaliby przecie: pałac Prymasowskich.

— Nie pisaliby? a gdzież sąsiadek czytał?

— W kurjerze... a gdzieżby? wiesz sąsiad dobrze, że w książki się nie wdaję.

— W kurjerze! — rzekł pan Prot z pogardliwym giestem.

— Drukowane czarno na białem — mówił p. Romualdy, popierając swoje zdanie egzemplarzem tego pisma, których kilka walało się po kątach.—Patrz sąsiad, najwyraźniéj... „Skład“... czegoś tam... „wprost pałacu Pry-ma-sow-skich“... toć przecie o gramatyce mam trochę wyobrażenia...

Powstała ztąd sprzeczka, podsycana z jednéj strony erudycją, z drugiéj wiarą w nieomylność kurjera, a z któréj o mało nie wynikł zakład; ale przerwał ją Wacho, trzasnąwszy z bicza, bo mu się sprzykrzyło czekać.

P. Prot wstał z kanapy, wysączywszy sumiennie resztki porteru, najlepsze, jak utrzymywał, bo z chiną, i zaczął się zbierać do odjazdu. P. Romualdy molestował zatrzymując na obiadek, ale p. Prot tym razem trzymał się jakoś ostro. Nałożył sobie fajkę i zapaliwszy ją, chciał pożegnać jejmość dobrodzikę, ale pokazało się, że jest gdzieś u gospodarstwa, co było rzeczą bardzo naturalną przy wielkim tygodniu; więc zostawił jéj tylko ukłony, potém wycałował policzki gospodarza i zaczął szukać czapki. Ale czapki nie było. Napróżno przepatrzono wszystkie kąty, znikła, jak kamfora. Dopiero, gdy wyprowadzono śledztwo z dzieci i Marcinka, wydało się, że ją wzięto do folwarku na jaja, które miano z niéj podkładać pod kury, jak się to praktykuje dotychczas w gospodarstwach racjonalnie prowadzonych.

P. Prot zanadto miał poszanowania dla wszystkiego, co tchnęło tradycją, aby się o to gniewał; gospodarz zaś pochwycił skwapliwie tę okoliczność, rad, że ma środek zatrzymania gościa dłużéj i zrobienia mu tym sposobem figla, o czém przemyśliwał od chwili, gdy się przekonał, że p. Protowi pilno. P. Romualdy do okrucieństwa czasem posuwał swoją gościnność.

— Widzi sąsiad! — rzekł — samo się składa; zjemy razem obiadek. Niechże już tam sobie nasadzają kury; nie będziemy im przeszkadzać; jejmość moja nie darowałaby sąsiadowi, gdyby z jego powodu nie miała kurcząt...

— Ale mój sąsiadku...

— Będzie szczupak po żydowsku i karasie smażone.

— Ale widzi sąsiadek — bronił się już słabiéj pan Prot — najgorzéj z temi sprawunkami...

— Wielkie rzeczy! po obiedzie nie będę zatrzymywał... wyjedziesz sąsiad o czwartéj, staniesz w Włocławku na szóstą... i jutro pozałatwiasz...

— Hm! do sęka... ale bo to już jutro wielki czwartek... i droga paskudna... — bąkał p. Prot, podczas gdy gospodarz wyszedł przed sień i oznajmił Wachowi, że ma wyprządz...

Wacho otworzył gębę i niedowierzająco patrzał na p. Romualdego, ale we drzwiach ujrzał swojego pana, który rozkaz potwierdził, dodając głosem ile możności pewnym siebie:

— Ale bądź gotów, bo zaraz po obiedzie jedziemy.

Wacho przekręcił czapkę na lewe ucho, podrapał się w prawe, ruszył ramionami i śmignąwszy biczem zajechał przed stajnię.

Sąsiedzi wrócili do pokoju.

— Zrobiemy marjasza? — zapytał gospodarz.

P. Prot zajrzał nie wiedzieć po co do zegarka.

— No! byle nie długo... parę partji.

— Póki obiadu nie dadzą.

Więc zasiedli do marjasza, którego obaj zapalonymi byli zwolennikami, a przez cały czas nie było słychać, tylko: dwadzieścia w dzwonki, dobre początki; dwadzieścia czerwieni, niech to pana nie rumieni, skupuję niżnika, biję kozerą i t. p., i tak zeszło do obiadu.

Po trzech czy czterech pulach, Marcinek dał znać, że waza już na stole. Sąsiedzi wstali i przeszli do jadalnego pokoju, zostawiając karty na swojém miejscu, i przykazując Marcinkowi, żeby, niech Bóg broni, nie sprzątał, bo właśnie p. Romualdy dawszy p. Protowi suchą dublę, odpędził go od puli, i walka miała się skończyć po obiedzie.

Nim jeść zaczęto, było dużo hałasu z dziećmi, których państwo Romualdostwo mieli sześcioro, a ta konsolacja potrzebowała pół godziny czasu na przyzwoite usadowienie się przy stole. „Wykapany tatko“ przyszedł z płaczem, skarżąc się, że mu Adaś przyciął we

drzwiach Australję, z czego ojciec wraz z panem Protem wnieśli, że ma wielkie zdolności do geografji.

Po obiedzie, nie czekając na czarną kawę, którą p. Romualdy kazał przynieść do swojego pokoju, sąsiedzi poszli kończyć pulę, co trwało około trzech kwadransy. Przez ten czas p. Prot, który już parę razy odezwał się, że trzeba kazać zaprzęgać, zauważył przez okno, nie śmiałbym przysiądz czy nie z pewném ukontentowaniem, iż horyzont, który przed obiadem zaczynał jakby się rozjaśniać, zasępił się teraz na nowo i deszcz z dużemi płatami śniegu zaczął padać w najlepsze.

Po skończeniu puli, p. Prot przedsięwziął sumienną obserwację stanu nieba z pomocą gospodarza, który, ukazawszy mu z rozmaitych okien domu cztery kardynalne punkta widnokręgu, i przyzwawszy na pomoc barometr spadający wciąż widocznie, łatwo przekonał gościa, że dziś wyjeżdżać jest niepodobieństwem.

— Ale — rzekł p. Prot goniąc ostatkiem argumentów — jeżelić barometr spada, to i jutro będzie tak samo.

— Przepraszam sąsiada — odrzekł p. Romualdy — w sobotę pełnia, a obserwowałem już nieraz, że na dwa dni przed kwadrą, pogoda się zmienia; poszedłbym w zakład, że jutro się wypogodzi.

— Ale sprawunki...

— Jak sąsiad wyjedziesz jutro do dnia, to wszystko pozałatwiasz i wrócisz jeszcze na noc do domu.

— Ha! — rzekł z rezygnacją p. Prot, i zaniechawszy dyspozycji dla Wacha, zasiadł napowrót do marjasza. A z jakąż swobodą grał teraz, gdy miał widok przepędzenia w ten sposób całego wieczoru. Nic mu tego widoku nie mąciło, a myśl o jutrzejszéj podróży, o żonie i o sprawunkach odganiał jak najdaléj od siebie. Bo safanduła obawia się tylko niebezpieczeństwa, grożącego mu bezpośrednio — dalsze, rzekłbyś że dlań nie istnieją. Pod tym względem obdarzony jest dzie-

cinną zaprawdę nieświadomością następstw swojego safandulstwa.

P. Prot tak był rad z obecnéj chwili, że nie irrytował się nawet zbytecznie nieszczęściem w grze, prześladującém go bezustannie. Raz tylko, gdy nie dograł partji mając sto trzydzieści, spojrzał na sufit i rzekł z niechęcią: „Siedzę pod belką, czy co u sęka?“ i przestawił krzesło na drugą stronę stołu; drugi raz zaś, gdy przez parę partji wszystkie kozery szły do p. Romual-



dego, uderzył w stół pięścią i zawołał: „nie! tu żyda musieli zabić w tém miejscu!“

Te dwa odezwania się, były jedyną jego protestacją przeciwko niewzględności fortuny, i gdy po kolacji i herbacie, wypadało udać się na spoczynek (bo nazajutrz postanowił wstać bardzo rano), i gospodarz i gość byli w wybornych humorach.

P. Romualdy odprowadził p. Prota do przeznaczonego dlań pokoiku gościnnego. Gdy przechodzili przez kredens, p. Prot spostrzegł wyprostowanego na ich wi-

dok, swojego ogrodnika Mateusza, na teraz mającego pod swoją opieką sześć jendorów przeznaczonych na sprzedaż do Włocławka, ale pomimo tego dowodu zaufania, znajdującego się w stanie nie koniecznie trzeźwym, o czém świadczyły oczy zbielałe i wytrzeszczone, jak gdyby miały ochotę wyjść z oprawy.

P. Prot nieprzyjemnie został dotknięty widokiem zaufanego sługi, bo zapomniał był zupełnie i o nim i o jendorach.



— A co ty tu robisz? — zapytał.

— Czekam, proszę wielmożnego pan — odrzekł Mateusz ze czkawką.

— Za czem?

— Pewno pojedziemy; wielmożna pani mówiła, żeby...

— No, no, idź spać — rzekł p. Prot przerywając — pojedziemy jutro do dnia...

— A konie?

— Jakto, konie? alboż nie wyprzężone? — zawołał p. Romualdy.

— A nie, proszę wiel. pana... czekałem, rychło pojedziemy...

— A to głupiec, no proszę... wyprzęgaj zaraz...

— Stanąłem z bryką pod ścianą za folwarkiem, i porzuciłem na przegryzkę trochę siana...

— To dobrze, a teraz wyprząż do stajni i idź spać.

— Więc jutro rano dopiero? — zapytał Mateusz z uporem nietrzeźwego sługusa — wielmożna pani mówiła...

— Mówiła przedewszystkiem, żebyś nie zaglądał do kieliszka — rzekł zniecierpliwiony p. Romualdy, i wypchnął go za drzwi, gdzie słychać było mruczenie mające być protestacją przeciw zuchwałemu przypuszczeniu.

Pokoik gościnny, do którego p. Romualdy zaprowadził swojego gościa, znajdował się na tyle domu w przystawce, której drugą połowę zajmowała spiżarnia. P. Prot znał go doskonale, tu bowiem przemieszkiwał przez lat kilkanaście zmarły niedawno staruszek, krewny p. Romualdego, zwany przez wszystkich dziadusiem; p. Prot w tym samym pokoju grał z nim nie raz, nie dziesięć w marjasza.

Na kominku palił się suty ogień, jak bywało za czasów dziadusia, i gdy weszli, na raz obudwom on sam przypomniał się, tak jakby go wczoraj widzieli.

— Mój Boże! — odezwał się po chwili p. Prot, rozbierając się z pewnèm ociąganiem — poczciwy dziaduś! wié sąsiadek, jakieśmy weszli do tego pokoju, stanął mi na myśli, jak żywy...

— I mnie to samo... — odrzekł p. Romualdy, siadając przed kominkiem...

— To już będzie pewno trzeci miesiąc, jak umarł... Panie, przyjmij go do chwały twojej — rzekł p. Prot oglądając się na około, jak gdyby zwracał uwagę cienia, jeżeliby się tu znajdował, że pamięta o jego duszy.

— A tak, przed nowym rokiem... w sam dzień młodzianków...

— Poczciwe człowieczysko! szkoda go — rzekł p. Prot z tym samym znowu ruchem.

— Zapewne! co on to nam nieraz naopowiadał o tém i o owém...

— Aha! o swoich rezydencjach...

— Jak był na dworze starosty, a potem u wojewody. U starosty był jeszcze młodym chłopcem, ale musiał uciekać wybiwszy ząb starościcowi przez jakiś psi figiel.

— Prawda. Ale jak to było z wojewodą? zapomniałem już.

— Z wojewodą? o! to było dobre. Był tam rezydentem razem z dziadusiem jakiś łowczyc podobno Gostyński, młody chłop, ale taki personat, że nazywali go wszyscy podkomorzym. Otóż razu jednego — a był to dzień w którym dziaduś miał służbę — wchodzi sobie do przedpokoju...

— Kto... dziaduś?

— A tak... i patrzy, a tu w otwartem oknie stoi rozparty łowczyc, wychyliwszy się przez pół, i wygląda na ogród... a był w opiętym żupaniku bez kontusza...

— Dziaduś?

— Ale gdzie tam, łowczyc. Dziadusiowi aż ręka zaświerzbiała na ten widok, więc plunął w garść, i przybliżywszy się na palcach do łowczyca, jak go trzaśnie z całéj siły.

— Ola Boga!

— Ale o mało 'paraliżu nie dostał, gdy tamten odwrócił się raptem, i dziaduś poznał w nim samego wojewodę, który podobniusieńką miał figurę.

— Masz do sęka! i jakże?

— Obaj otworzywszy gęby, patrzeli na siebie przez chwilę, nareszcie dziaduś opamiętawszy się, podkasał

poły i buch we drzwi, a nie oparł się aż u swojego wuja pod Przedczem...

— I! coby mu tam było!

— Podobno wojewoda śmiał się do rozpuku, ale dziaduś jak raz uciekł, tak niechciał już powrócić za żadne pieniądze...

— Już to na rezydencjach jakoś mu nie szło...

— Ale zawsze nabrał pańskiej maniery; znać było zaraz, że nie za piecem się chował — a co miał za koncepta! Raz mojemu Ignasiowi, najstarszemu... bo to był jego faworyt... dał na imieniny dukata, i powiada: „naści czerwony złoty, ale daj słowo honoru, że przez tydzień książki w rękę nie weźmiesz.“

— Ba i bardzo!

— Chłopiec na to jak na lato, a uczył go wtenczas organista; przez cały tydzień bąki zbijał... boć nie wypadało mi bronić... aż dziaduś powiada do mnie: patrz wasan, co to będzie za honorowy człowiek.“

— Poczciwy dziaduś... panie świeć nad jego duszą — rzekł p. Prot oglądając się znowu.

— Albo za francuzów, jak się bił z prusakami...

— Ba! ba! jeżeliby to wszystko miała być prawda co opowiadał...

— Co płatnie z konia, to przez brzuch, a co wyjmie palasz, to kartofel na końcu ostrza...

— He, he, he! — śmiał się p. Prot; ale jakoś z przymusem, pomimo wesołéj treści rozmowy.

— A co to za zdrowie było; ręczę, że gdyby nie ta fistuła, to byłby żył jeszcze z jakie dziesięć lat...

— Niezawodnie!

— I przytém wesół był aż do saméj śmierci. Pamiętasz sąsiad... tu, na tem samem łóżku...

— I. [illegible] tam... dajmy już pokój — przerwał p. Prot — nie naruszajmy nieboszczyków, pogadajmy lepiéj o czém innem...

— Toć mu przecie nie ubliżamy — zaopponował p. Romualdy.

Ale pan Prot nie chciał już wracać do téj materji, i zaczął o cenach zboża. Więc gawędzili tak jeszcze z godzinę, bo jakoś rozbierał się nader wolno i co zdjął z siebie jaką część odzienia, to się przysiadał do p. Romualdego i grzebał w kominie. Nareszcie gospodarza sen już zmorzył, więc bez względu na to, że p. Prot nie miał jeszcze ochoty kłaść się do łóżka, złożywszy mu życzenie dobréj nocy, wyszedł z pokoju.

Pan Prót wierzył w duchy jak stara baba, co także było jedną z cech jego safandulstwa, — więc gdy ujrzał się sam, doznał nader niemiłego uczucia; mimowoli obejrzał się po pokoju, usiadł przed kominkiem i przyłożył na ogień parę kawałków drzewa, którego spore naręcze zostawił na szczęście Marcinek. Siedział tak z godzinę, usiłując rozweselić umysł płomieniem, podsycanym troskliwie — ale to nie wiele pomagało. I dziwić się temu nie można. P. Prot nie był w tym pokoju od dnia, w którym widział na marach dziadusia — cóż więc osobliwego, że gdy wszedł teraz, ten obraz nasuwał się jego rozdrażnionéj wyobraźni.

Siedząc przed kominem, odwrócony tyłem do pokoju, co chwila z nerwowym ruchem oglądał się po za siebie, zdawało mu się bowiem, że nieboszczyk stoi gdzieś koło niego, i chce go wziąść za ramię. Do tego jak na złość wiatr szumiał na dworze, poruszając co chwila okiennicą źle przypasowaną i wygrywając w kominie jakieś fanatystyczne nokturno. Na każdy niespodziany stuk lub skrzypnięcie okiennicy, mrowie przechodziło mu po skórze; przewidywał z niepokojem, że bardzo złą noc przepędzi i nie wyśpi się na jutrzejszą drogę, więc złorzeczył z całego serca swojemu bałamuctwu.

Przywidzenie, że ktoś stoi za nim i trąca go w ramię, było dlań tak nieznośne, że postanowił bądź co bądź położyć się. Nakładłszy przeto co było drzewa na ogień, który buchnął jasnym i wesołym płomieniem, udał się do łóżka; ale pościel w którą się kładł, przeobrażała się w jego wyobraźni na mary, a na tych marach leżał dziaduś zupełnie jak przed trzema miesiącami. Ten widok tak mu się uprzytomnił, tak natarczywie stawał w myśli i przed oczyma, że pomimo ich gwałtownego zmrużania, sen ani myślał przybywać mu w pomoc, owszem, mimo własnéj chęci i woli wpatrywał się w ogień komina, a wyobrażając sobie ciągle nieboszczyka na tém samém miejscu na którem zamknął oczy na wieki, to jest na łóżku obok siebie, odmawiał za duszę zmarłą zdrowaśki, jak gdyby dla zaskarbienia sobie jéj względności. Za rodzonego ojca nie wymodlił się tyle, co przez tę noc za poczciwego dziadusia.

Jak długo tak leżał, sam nie wiedział. Nareszcie chcąc nie chcąc przeszedł w ten stan na pół senny, z którego gdyby go nagle obudzono, nie byłby zdolnym powiedzieć, czy spał czy czuwał. I w stanie tym widział najwyraźniéj, jak drzwi będące wprost jego łóżka otworzyły się, jak wszedł niemi dziaduś odziany w białe prześcieradło i stanąwszy w progu kiwał na niego. Towarzyszyły temu widzeniu żałosne jęki i głuchy brzęk kajdan, który po chwili tak się wzmógł, że p. Prot ocknął się nagle i uniósł na łokciu. Chociaż przestraszony, z pociechą pomyślał, że spał i że to wszystko było snem tylko; ale gdy oprzytomniawszy, spojrzał przed siebie, trochę włosów jakie posiadał, dębem powstały mu na głowie. Ogień w kominie wygasł, i tylko jedna głownia tlejąc jeszcze przerywanym płomieniem, rzucała na pokój blask fantastyczny. Przy tém świetle niepewném, p. Prot ujrzał rzeczywiście dziadusia, który

stojąc w prześcieradle przy samych drzwiach, kiwał nań ręką długą i suchą, i jęczał tak samo, jak mu się zdawało we śnie.

Gdyby p. Prot był zdolny do uważnego zbadania przyczyn tego zjawiska, byłby się przekonał, że obudził go nie brzęk kajdan lecz silniejsze stuknięcie okiennicy, że owe jęki pochodziły z komina, w którym wiatr grał po swojemu wyjąc żałośnie, że wreszcie rolę dziadusia wziął na siebie wiszący przy drzwiach na gwoździu ręcznik, przygotowany na jutro do umywania. Dodajmy, że przed kominem stało krzesło pozostawione na tem miejscu od wczoraj, od którego padał cień wprost na ścianę tam gdzie wisiał ręcznik; nic więc dziwnego, że z materjałów tych, głownia dopalająca się w kominie z pomocą migotliwego swego płomienia, urządziła ruchliwą fantazmagorję, podobną w oczach p. Prota do nieboszczyka dziadusia, jak dwie krople wody do siebie. Ale p. Prot był w stanie takiego rozdrażnienia, że ani myślał zapuszczać się na pole dociekań; bezwiednie obrał inną drogę, to jest polecając się wszystkim świętym i swemu aniołowi stróżowi, nakrył się kołdrą na głowę, z postanowieniem przeleżenia w tėj pozycji do rana.

Nazajutrz, gdy p. Romualdy wstał o godzinie siódmėj, pewny że jego gość gotuje się już do drogi, zdziwił się niepomału dowiedziawszy się od Marcinka, który wziął obuwie i rzeczy do czyszczenia, że p. Prot śpi jeszcze w najlepsze. Zatarł ręce z ukontentowania, bo postanowił sobie zatrzymać p. Prota jak się da najdłużėj — a okoliczności przychodziły mu same w pomoc. Więc najprzód przykazał Marcinkowi najsurowiėj, aby ani zajrzał do gościnnego pokoju, a bojąc się żeby p. Prot nieobudził się z innej jakiėj przyczyny, sam pomimo niepogody zaciągnął się na wartę pod jego oknem, spędzając z tego stanowiska drób,

psy i ludzi. W ten sposób upłynęło ze trzy godziny, ku wielkiemu zadowoleniu p. Romualdego. Nakoniec koło wpół do jedenastej, p. Prot dał znak życia przyzywając na całe gardło Marcinka. P. Romualdy przetrzymał go jeszcze z kwadrans bo był pewny, że bez butów i odzienia nie wyjdzie — nareszcie zacierając ręce, wszedł sam do niego.

— Dzień dobry sąsiadowi — rzekł figlarnie — jakże się spało?

— Która to godzina? — zapytał p. Prot, podnosząc się na łóżku i nie odpowiadając nawet na dzień dobry.

— Jeszcze nie tak późno.

— Ale! licha tam... każ sąsiadek z łaski swojéj otworzyć okiennice.

— P. Romualdy zawołał Marcinka, i kazał mu odłożyć okiennice, a potem przynieść drzewa na komin.

— Niech najprzód rzeczy przyniesie — prosił się p. Prot namacawszy próżnią na krześle, gdzie był złożył odzienie.

— Nic pilnego — zimno w pokoju — musi wprzód napalić.

W téj chwili uchyliła się okiennica i światło dzienne zajrzało do pokoju. P. Prot sięgnął pod poduszkę po zegarek.

— A! jak rany boskie kocham, to już jedynasta! w imię ojca i syna... a tom zaspał.

— Wielkie rzeczy; bardzo się cieszę, że sąsiadowi dobrze się spało.

— E, gdzie tam! myszy czy szczury nie dały mi oka zmrużyć przez całą noc — zasnąłem dopiero nad ranem.

— Dziaduś nie przyśnił się sąsiadowi?

— Nie — rzekł sucho p. Prot patrząc w okno — Jakże tam na świecie?

— Paskudnie. Już to widzę, że tak będzie do soboty.

— Tam do sęka! Niechże cię licho nie weźmie! — zawołał p. Prot wyskoczywszy z łóżka i zbliżywszy się w negliżu do okna.

— Nie zięb-no się sąsiad — rzekł p. Romualdy — niema nic pilnego; toć i tak przed obiadem nie puszczę.

— To, to, to... jeszcze czego...

— A naturalnie... już teraz wszystko jedno.

— Jak rany boskie kocham! — rzekł p. Prot powróciwszy do łóżka i otulając się kołdrą — com ja narobił! trzeba było wczoraj jechać... żona tam czeka na sprawunki... niechże cię licho nie weźmie!

— Mnie ile razy żona da konotatkę do miasta, to albo udam żem zgubił, albo co innego kupię... i odzwyczaiłem ją tym sposobem.

— Ba! łatwo mówić — mruknął p. Prot przez zęby.

Na to wszedł Marcinek z naręczem drzewa; ale nim ogień rozpalił, nim rzeczy przyniósł, nim p. Prot się rozgrzał i wypiwszy kawę, którą mu przyniesiono do łóżka, wziął się do ubierania, upłynęło czasu nie mało — i gdy wszedł do pokojów gospodarstwa, było już blizko wpół do pierwszéj.

— P. Romualdy zaproponował parę partij marjasza nim podadzą obiad; p. Prot przystał, ale tymczasem posłał do Wacha z poleceniem aby zaprzęgał. W godzinę doniesiono mu, że Wacho pił do samego rana w karczmie, a teraz śpi w jakiéjś dziurze, tak że nie można go znaleść.

Ta wiadomość tak znękała i rozstroiła p. Prota, że gdy wkrótce podano obiad, jadł go prawie półgębkiem co u niego było osobliwością. P. Romualdy jako gospodarz domu i przyjaciel, czuł się w obowiązku przyjścia w pomoc swoją radą.

— Po kiego licha — rzekł poufnie — masz sąsiad sam jeździć do Włocławka. Posłać Mateusza i kwita!

— E! co sąsiad gada!

— No, wielkie rzeczy! Pójdzie do którego znajomego kupca z konotatką i weźmie co trzeba; pieniądze będzie miał przecie za jendory, a gdyby brakło, to pokredytują, tylko sąsiad napisz kartkę... Czy nie mam racji?

P. Prot potrząsnął głową.

— A zresztą — mówił dalej p. Romualdy — niema czasu do stracenia; Wacho jeżeli się spił, to się tak prędko nie pokaże, i dzisiaj już sąsiad nie będziesz mógł wyjechać... a Mateusz może wrócić najdalej na jutro przed południem.

U safanduły władze pojmowania i sądu o rzeczach są tak elastyczne, że komukolwiek bardzo łatwo przychodzi dociągnąć je na swoją miarę, i tak trwają dopóty, aż przyjdzie ktoś inny i skurczy je albo rozciągnie podług swojego widzenia. Własnym siłom safanduła pod tym względem nie dowierza i nie posługuje się niemi wcale.

P. Romualdy mówił tak pięknie, że przekonał zupełnie p. Prota; więc posłano po Mateusza, który wysłuchał wszystkiego z powagą, czując się podniesionym tym nowym dowodem zaufania, i odchodząc, rzekł tylko solennym tonem te proste słowa, ale którym nadał donioślejsze znaczenie przyłożeniem ręki do serca:

— Przecie *spoździwam* się, że dam sobie radę.

Te wyrazy, a więcej jeszcze ton jakim były wyrzeczone, uspokoiły zupełnie p. Prota, i był już najswobodniejszy do samego wieczora.

Nie długo po odjeździe Mateusza, gdy deszcz nieco pofolgował, p. Romualdy kazał przyprowadzić na dziedziniec deresza i przejeżdżać go pod oknami. P. Prot jako koniarz przyszedł do okna i patrzał, a p. Romualdy z niechcenia zaczął wyszczególniać wszystkie dobre strony źrebca: wyłamanie karku, odsadę ogona, zbiór

nóg i t. d., a w miarę jak mówił, wszystkie uprzedzedzenia p. Prota do deresza, topniały jak śnieg wiosenny na słońcu, i ani się spostrzegł jakim sposobem przyszło do handlu. W godzinę, był już szczęśliwym posiadaczem tego konia, w zamian za faworytkę żony, złotogniadą, na którą p. Romualdy dawno już zęby ostrzył.

Zakropiono litkup miodkiem domowego sycenia, na który przybył także ks. proboszcz — bo we wsi p. Romualdego był kościół; a że zebrało się trzech amatorów preferansa, więc wieczorem zrobiono pulkę po trzy punkta za grosz, która przeciągnęła się aż do godziny jedynastéj.

Gdy przyszło udać się na spoczynek, p. Prot przypomniał sobie o dziadusiowym pokoju i jego dziwach; zdobył się więc na energję i oświadczył stanowczo, że za żadne pieniądze spać tam nie będzie, z powodu sąsiedztwa z spiżarnią, w któréj myszy i szczury zanadto dokazują. Posłano mu zatem w izdebce pisarza, któremu p. Romualdy pozwolił wyjechać na święta do rodziców. Ponieważ do pokoju tego nie były przywiązane żadne wspomnienia, przeto już i mary zeszłonocne nie miały powodu dręczyć p. Prota, który zaledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął smaczno i spał przez całą noc jak najlepiéj.

Nazajutrz rano, a był to już wielki piątek, p. Romualdy obudziwszy się późniéj niż zwykle, dowiedział się od Marcinka, który właśnie odnosił wyczyszczone rzeczy p. Protowi, że ten już nie spał i zaraz miał wstawać. Upłynęła wszakże blisko godzina, a p. Prot się nie pokazywał, więc zniecierpliwiony p. Romualdy, poszedł sam do niego.

Dochodząc do drzwi, usłyszał kilkakrotnie powtarzane wyrazy: pójdź tu, pójdź tu, na, chleba!

— Widocznie z psem się jakimś bawi — pomyślał p. Romualdy, ale wszedłszy cóż zobaczył. Oto p. Pro-

ta jeszcze w łóżku, a na kołdrze leżącego w jego nogach psa, który wyszczerzał zęby i warczał groźnie, ile razy p. Prot poruszył się chcąc wstać z łóżka.

— Wystaw sobie sąsiadek - zawołał gość ucieszony zjawieniem się gospodarza — co mi ten Marcinek narobił. Przyniosłszy rzeczy, wpuścił jakiegoś psa, który mi się nie da ruszyć z łóżka.

— Ha! ha! ha! to pies pisarza... jaki hardy na swoich śmieciach!... a pójdziesz, Bukiet! a na dwór!



Psisko stuliwszy ogon zeskoczyło na ziemię, i wlazło pod łóżko, zkąd go p. Romualdy ledwo kijem wypłoszył i na dwór wypędził.

Oswobodzony tym sposobem p. Prot, ubrał się i poszedł z gospodarzem na kawę. Pogoda jakoś się nie poprawiała, deszcz jak padał, tak padał. Ten stan powietrza zdawał się oddziaływać na usposobienie p. Prota, który stracił humor zupełnie. Mateusza można się było spodziewać nie zadługo, poczém wypadało już wracać do domu; a im bliższą była ta chwila, tém niespo-

kojniejszym był p. Prot. Zaczynał zapytywać siebie, czy dobrze zrobił, posyłając na swojém miejscu do Włocławka Mateusza.

Nie mając co robić, sąsiedzi zasiedli do marjasza, i to rozerwało troszeczkę p. Prota; ale po południu nie mógł już grać w żaden sposób, tak nerwowo wyglądał powrotu Mateusza. Wszakże wyglądał na próżno; zbliżał się wieczór, a Mateusz nie przyjeżdżał. P. Prot poszedł z gospodarstwem domu do kościoła na passją, ale kazał sobie dać znać, jak tylko Mateusz się pokaże, bo nie wątpił, że lada chwila nadjedzie. Ale i nabożeństwo się odbyło i noc zapadła, a o Mateuszu ani słychu. P. Prot nie wiedział co wnosić: przychodziło mu już na myśl, czy czasem nie zrozumiawszy dobrze jego rozkazów, Mateusz prosto z Włocławka nie pojechał do domu? — i miał już ochotę pożegnać p. Romualdego. Ale nuż nie? jak się pokazać żonie i pannie łowczance bez Mateusza i sprawunków!? Ta wątpliwość gryzła niezmiernie p. Prota i na spoczynek udał się znękany i upadły zupełnie na duchu.

Noc przepędził równie niespokojną, jak przed dwoma dniami w dziadusiowym pokoju; tylko że mary co go dziś dręczyły, były zupełnie innego rodzaju. Żona, deresz, łowczanka, jendory, Mateusz, złotogniada, wszystko to plątało się po jego mózgu i wyprawiało jakieś piekielne tańce, gmatwało się w jakieś wypowiedzieć się nie dające dziwolągi, jak to zdarza się nieraz w śnie gorączkowym. Śniło mu się przez całą noc coś, co go nękało, co mu dokuczało niewypowiedzianie, a przecież obudziwszy się, nie byłby w stanie powiedzieć, co mianowicie tak go dręczyło. Jedno tylko z tego snu utkwiło mu głębiéj w umyśle i rozwinęło się w pojęcie, że żona i łowczanka kamienowały go kawałkami niezdarzonego ciasta i babami z zakalcem. Ktoby go był téj nocy słyszał jak się przewracał na łóżku i jęczał przez

sen, byłby go wziął za zbrodniarza, z którym sumienie załatwia jakieś stare porachunki.

Skutkiem tego wstał z okropnym bólem głowy, a gdy zobaczył Marcinka, zapytał go przedewszystkiem o Mateusza; miał nadzieję, pewność nawet, że zobaczy go przy swojém łóżku zaraz od rana, ale tém przykrzejszy był zawód, gdy się dowiedział niestety! że Mateusz wcale nie przyjechał.

P. Prot myślał, że się przesłyszał, i powtórzył zapytanie, a otrzymawszy kategoryczne téj wiadomości potwierdzenie, stracił zupełnie głowę. Przy kawie o czém inném nie mówił, tylko o możliwych ewentualnościach Mateuszowéj wyprawy. Czy pojechał do domu? czy téż bałamuci jeszcze w Włocławku? Zdania były pro i contra; ale nikt nie byłby wziął na siebie odpowiedzialności za skutki jakieby nastąpiły, gdyby p. Prot powrócił do domu tak późno i jeszcze do tego bez sprawunków.

Nareszcie ks. proboszcz, który przyszedł święcić do dworu, zakonkludował, że jeżeli Mateusz pojechał wprost do domu, to się już stało: sprawunki są, i już wszystko jedno czy p. Prot przyjedzie na południe, czy na wieczór. Jeżeli zaś Mateusz jeszcze nie wrócił, to bez niego powrót p. Prota nie będzie ... tak mile widziany, jakby to było w zwyczajnych okolicznościach. W każdym więc razie, zaczekać można śmiało jeszcze chociażby do czwartéj, a nawet piątéj.

P. Prot uznawszy słuszność tych uwag, postanowił więc czekać jeszcze, ale humor miał już tak zepsuty, że nic go naprawić nie mogło. Usiadł wprawdzie jeszcze do marjasza, lecz grał jak fuszer, co pierwszy raz karty wziął do ręki. Skupował pamfila na początku gry, bił królem świętnym nie czekając na czterdzieści, nie uważał jakie karty wychodziły, słowem po jednéj puli musieli przestać grać.

Wstyd go było już nawet okazywać, jak go to

obchodzi, i że po prostu boi się pokazać żonie. Jak mógł przeto politykował; świstał, bawił się ze Stefciem, który mu szczypał policzki po francuzku, ale co chwila zbliżał się do okien, bębnił w szyby i klął po swojemu: bodajeś trzysta dębów zjadł! niech cię licho nie porwie! kroć sto tysięcy pirogów! Ale ta parodja klątwy, jak łatwo się domyślić, nie przynosiła mu najmniejszéj ulgi.

Tak zeszło do godziny piątéj wieczór, i p. Prot kazał już zaprzęgać, gdy w bramie pokazały się konie i bryka, a na niéj skulony, zmokły, skrzywiony jak nie boskie stworzenie — Mateusz.

Panu Protowi zabiło serce gwałtownie, i zamiast jakby kto inny zrobił pójść wprost do Mateusza i rozpytać o wszystko, udał że go nie widzi i schował się w kąt jakiś, aby ochłonąć. Ledwo go znaleziono i niemal przemocą przyprowadzono do bryki, na któréj siedział Mateusz, nie myśląc złazić. P. Prot stanąwszy przy bryce wziął się pod boki:

— Gdzieś ty siedział — rzekł — trzysta djachłów zjadłeś!... ja czekam, czekam, jak głupi, wyglądam... a tu ani posła ani osła. No! gadajże...

Ale Mateusz niepewną nogą złaził pomaleńku z bryki i ani myślał gadać; dostrzegł tylko p. Prot, że był zapłakany i nawet teraz łkał jeszcze.

— Co się zrobiło? ty beczysz?... Jak rany boskie kocham!... beczy!... co się stało... gadaj zaraz!

Za całą odpowiedź, Mateusz przykucnął przy panu i objąwszy oburącz jego kolana, rzewnie płakał.

— Co to znaczy? czy powiész dzisiaj? — zawołał p. Prot niespokojnie, i jakieś niemiłe przeczucie wstrząsnęło całym jego organizmem.

— Ja nieszczęśliwy człowiek... — słychać było tylko wśród łkania i nic więcéj.

Trwało tak z dobry kwadrans, ku wielkiéj niecierpliwości p. Romualdego, a niespokojności p. Prota. Na-

reszcie, po licznych prośbach i groźbach, zaczął mówić, i oto co z jego słów przerywanych szlochami i zaklęciami wymiarkować mogli.

Gdy odjechał we czwartek, wlókł się kilka godzin, bo coś mu się ciągle psuło u woza i u półszorków; musiał wstępować, to do kowala żeby dostać lonu do osi, to do karczmy *względem* sznurka do przywiązania czegoś — tak przynajmniéj twierdził — słowem, że stanął w Włocławku na samą noc, tak, że z jendorami nie było już co robić tego dnia.

Przenocowawszy, w piątek rano zaprzągł do wózka i wyjechał na rynek. Skoro tylko się pokazał z jendorami, zaczęły się schodzić jedna po drugiéj służące, przekupki, żydówki, słowem tłum się zrobił i wszyscy oglądali towar. Mateusz, jak mówił, nie wiedział gdzie oczy podziać, ale zdaje się, że musiał przywitać się na czczo z kwaterką, bo (zawsze podług jego opowiadania) jak zaczęto jendory oglądać, targować, w rękach ważyć, a pomiędzy sobą kłócić się i szwargotać, to po półgodzinnym takim targu, gdy się obejrzał, ani jednego jendora na bryce nie było. Narobił więc hałasu, udał się na policję, ale nic nie wskórał; jendory przepadły, jakby kamień w wodę wrzucił.

— Bodajże cię najsiarczystsze... pirogi zatrzasły!— zowołał p. Prot, gdy Mateusz po rozlicznych omówieniach, zakończył swoje sprawozdanie — A cóż się z sprawunkami zrobiło?

— E! gdzie mnie tam w głowie były sprawunki!... — rzekł Mateusz łkając.

— Jakto! niceś nie kupił?

— A za cóż?

— Mówiłem ci przecie, że gdy będzie potrzeba, dostaniesz na kredyt; dałem ci kartkę.

— *Żabaczyłem* na śmierć...

— No, patrzcie państwo! to cymbał dopiero!... i dwa

czy trzy dni siedział... Cóżeś, do sęka, robił przez ten czas?

— Chodziłem na ratusz... kazali mi poznawać jendory, ale oskubane... djabełby ich poznał!... dwie żydówki wsadzili do kozy...

Nie było co gadać daléj z Mateuszem, który beczał wciąż. Fakt był, że jendory przepadły i sprawunki nie były porobione; to już było dostateczne, żeby ściąć z nóg p. Prota. Ale cóż na to mógł poradzić? pozostawało je-



dno, to jest przysposobić się na burzę, i jechać. Żeby jednak zyskać jakąkolwiek dywersję, wysłał na pierwszy ogień Mateusza, sam zaś został jeszcze na rezurrekcję i dopiero po nabożeństwie, w nocy wyjechał.

Szczęście przynajmniéj, że się wypogodziło, i że noc byla widna, jak zawsze przed niedzielą wielkanocną, która przypada jak wiadomo, po pełni.

Ale nie tu jeszcze był koniec przygód p. Prota. Wacho z powodu trzygodzinnéj stójki przed dworem (bo zajechał był jeszcze przed rezurrekcją) w najgorszym był

humorze; przytém nie podobał mu się handel z p. Romualdym na deresza, a że miał także trochę w czubie, więc zacinał go często najniesprawiedliwiéj w świecie, albo téż zdzierał bezpotrzebnie.

Wywoływało to napomnienia ze strony p. Prota, na które Wacho odpowiadał mruczeniem. Nie dosyć na tém; parę razy jakby umyślnie wjechał w wybój, jakich na téj drodze nie brakowało, tak, że o mało nie wywrócił. Nareszcie chcąc ominąć kałużę błyszczącą z daleka na środku drogi, zjechał w rów i uwiązł tak, że konie nie mogły bryki wyciągnąć pomimo największych wysileń.

To już przyprowadziło p. Prota do ostatniéj passji. Tyle przejść i przeciwności, wytrąciło z pionu jego charakter; co dowodzi, że krew, którą jak przekonałem na początku tego opowiadania, safanduła posiada tak dobrze jak zwyczajni ludzie, burzy się w nim niekiedy, chociaż wprawdzie bardzo rzadko i na krótko. P. Prot powstał na siedzeniu i wziął za łeb Wacha.

— Ty hultaju jakiś... ty, ty... łajdaku, pijaku!... ty, ty... poczekaj! — wołał p. Prot trzęsąc się ze złości i kręcąc czuprynę Wacha — Infamis jakiś... *miesiąc* mu świéci, jak w południe... a on będzie mi w dziury wjeżdżał!...

— Co mię pan za łeb targa! — rzekł Wacho obruszając się.

— I jeszcze będzie hardy!—zawołał p. Prot do desperacji przywiedziony, a wzburzenie krwi doszedłszy do kulminacyjnego punktu, jak lampa na wypaleniu, zabłysło jeszcze świetnie. — Poczekaj! nie wiem czém mię nazwiesz, hultaju jakiś, jeżeli za powrotem nie dostaniesz dwadzieścia batów odlewanych... zobaczysz!!... Ruszaj! — dodał już nie z taką furją, tonem jaki w muzyce nazywa się *diminuendo* — weź léjce krótko i wszystkiemi czterema razem... nuże!

Wacho wziął léjce krótko, ale uwiązał je u wasąga;

następnie złazł z bryki, a podkasawszy poły u płaszcza, przesadził przez rów i ruszył w pole.

— Co on, zwarjował! — rzekł p. Prot — gdzie ty idziesz?

— W Prusy.

— Czyś oszalał?... wróć się zaraz!

— Albo ja głupi czekać jak mi pan każe dać dwadzieścia batów...

— Widzicie go!

— Nie potrzebuję, żeby mi pan zdrowie odbierał...

— A to dopiero!... słychane to rzeczy... wrócisz się czy nie?

— Nie głupim!... Ma mnie pan za moje dobre, włosy ze łba wydzierać i batami straszyć...

— No, patrzcie państwo!... za jego dobre! ty infamisie jakiś... czy to dobrem nazywasz, żeś się upił?

— Ja się upił?... a kto to panu powiedział... ja kieliszka wódki w gębie nie widziałem...

— A teraz, toś pewno nie pijany, kiedy wjeżdżasz w dziury i hece wyprawiasz?

— Ja panu wiernie służę kiej pies, już na czwarty rok... a pan za moje dobre, chce mi zdrowie odbierać... — rzekł Wacho płacząc.

— Co ten, beczy znowu!... chodź zaraz, bo mi już cierpliwości brakuje...

— A baty? — zapytał Wacho becząc ciągle.

— Głupiś!... ja żartowałem... — rzekł p. Prot, już prawie udobruchany, tak był wrażliwy na płacz.

Wacho zbadał widać doskonale charakter safanduły, a mając na sumieniu nie jedno z tych kilku dni podróży, chciał zmazać wszystko za jednym zamachem. Doprowadził więc rzeczy do tego, że p. Prot uroczyście darował mu wszystkie winy, i dopiéro wtenczas powrócił do bryki.

Ale nie zaraz wydostali się z błota; ledwo w pół

godziny, używszy we dwóch wielkiéj biedy, dali sobie radę.

P. Prot przyjechał do domu dobrze już po północy. Jakie było nazajutrz przyjęcie, i jak się p. Prot z tego wszystkiego wykręcił, nie powiem, bom przy tém nie był; domyślam się tylko, że nie musiało mu pójść gładko, bo nie lubił nigdy wspominać o téj swojéj wyprawie. Za to, dla wszystkich w sąsiedztwie była przez długi czas materją do rozmowy i żartów, a gdy kto miał przed sobą podróż w interesach wymagających sprężystego działania, mówiono mu: Udaj się do safanduły, on ci to sprawi.

KREDYT SĄSIEDZKI.

Jednego pięknego poobiedzia, w pogodny i pachnący dzień czerwcowy, pan Bonawentura dziedzic Topólki, w przejeździe z miasteczka, gdzie ukończył właśnie interes o sprzedaż wełny, wstąpił do sąsiada swojego i dobrego przyjaciela, pana Rocha dziedzica Kłopotek.

Zajeżdżając przed dom, spostrzegł stojący na boku w jednego konia zaprzężony wózek, w którym poznał ekwipaż Jankla Kwiatka, najpierwszego bankiera, kupca zbożowego i szachraja na całą okolicę.

— Bestja Kwiatek — mruknął sobie pod nosem pan Bonawentura — wié, że u Rocha ciężki przednowek, to już go drze ze skóry. Że téż to my nie możemy się wyzwolić z tego żydowskiego kredytu... tfu!

Pan Bonawentura te ostatnie słowa mówił już zsiadając z bryki, a po chwili wtoczył się do sieni sapiąc, bo był okazałéj tuszy. Na progu odpoczął sobie trochę i za jedną drogą popatrzył za objeżdżającym klomb Janem przysłoniwszy sobie ręką oczy, bo zdawało mu się, że łysa trochę napada na prawą nogę.

Ale na szczęście pokazało się, że się omylił; więc uspokojony wziął za klamkę i wszedł do pokoju, rzekłszy:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odrzekł gospodarz domu

p. Roch, roztwierając szeroko ramiona i obejmując niemi gościa, który po serdeczném oddaniu uścisków, jak przystało na dobrego przyjaciela i sąsiada, spojrzał zyzem na obecnego Jankla Kwiatka.

Ten ostatni, był to przystojny żydek w długim bronzowym surducie, z gładką twarzą i prześlicznym czarnym zarostem, który nosił na sposób rzymski. Siedział przy stole ssąc cygaro otrzymane od gospodarza domu, palące się nie w poprzek jak zwykle, lecz wzdłuż — tak, że pod spodem ogień dochodził już do ust, gdy na wierzchu liść był nie tknięty na całém cygarze. Ale zdawał się być z niego bardzo zadowolony, bo i sam gospodarz innych nie używał i właśnie takie samo trzymał w ustach.

Za wejściem p. Bonawentury, Jankiel Kwiatek powstał z krzesła z powagą bankiera czującego na sercu dobrze wyładowany pugilares, i bez żadnéj skwapliwości, gdyż wiedział, że z pana Bonawentury jako obywającego się bez żydowskiego kredytu, nic mu nie przyjdzie.

Pan Roch zdawał się być w ciężkich opałach; gdyż pot spływał mu po policzkach ozdobionych gorączkowemi rumieńcami, jak bywa zwykle przy trudnych do załatwienia obrachunkach.

— Cóż tam słychać u sąsiada?— zagaił rzecz p. Bonawentura.

— A cóż! źle mości dobrodzieju — odrzekł p. Roch — biéda i basta!

— No, urodzaje bo, jak uważałem, dobre — rzekł p. Bonawentura, patrząc ze znaczeniem na Jankla — żyto i pszenica wykłosiły się ślicznie; rzepak za jakie dwa tygodnie da się sprzątnąć; pieniążki będą.

Na te słowa p. Roch tak ciężko westchnął, a Jankiel tak się jakoś poruszył, że aż pan Bonawentura spojrzał po nich.

Kwiatek zrobił minę obojętną i zaczął spoglądać

w okno, jakby tam zobaczył cóś arcyciekawego. P. Roch zapomniawszy o obecności gościa, którego bawić nakazywał mu obowiązek gospodarza domu, milcząc zaczął przechadzać się wzdłuż i wszerz po pokoju.

Pan Bonawentura, jako człowiek pomimo swojéj otyłości delikatny, znalazł się w kłopocie zmiarkowawszy, że przyjechał nie w porę i że pomiędzy panem Rochem a Janklem Kwiatkiem odbywa się jakaś sprawa tajemniczéj natury. Udawał więc, że nie zwraca uwagi na zakłopotanie gospodarza domu, chrząknął parę razy i przemówił jakieś parę słów, na które otrzymał odpowiedź ni w pięć, ni w dziewięć, chociaż okraszoną przymuszonym uśmiechem.

Po kilku chwilach naprężonéj sytuacji, Jankiel Kwiatek zbliżył się do p. Rocha i rzekł półgłosem:

— Nu, jakże będzie?

Pan Bonawentura pomimo swojéj delikatności nadstawił ucha, ale p. Roch tak cicho cóś odbąknął, że nie można było nic usłyszeć.

— Ja nie mogę czekacz — rzekł nieco wyraźniéj Jankiel Kwiatek.

I znowu szepty, prowadzone z jednéj strony z spokojem, z drugiéj z gorączkowym pośpiechem, nareszcie gość usłyszał wymówione dobitniéj przez gospodarza domu:

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę.

— Nu, jak pan chce — rzekł już prawie głośno Jankiel Kwiatek — ja swojego nie myszlę darowacz.

Pan Roch był w położeniu nieznośném; zaciął pięści i zdawało się, że miał ochotę huknąć Jankla Kwiatka w łeb — ale przy świadku, jakim był p. Bonawentura, nie wypadało. Świerzbiał go trochę język, boć sama konieczność nakazywała argumentami odpowiedzieć na argumenta; pole było po temu i materjału nie brakowało — ale i w tém krępowała go obecność gościa, przy którym trudno jakoś było wypowiedzieć wszystko, co się miało na sercu.

Więc rzekł po chwili do Jankla Kwiatka:

— Przyjedź pan jutro.

— Nie mogę — odrzekł tenże — ja muszę dzisz się obrachowacz.

Położenie pana Rocha było politowania godne; spostrzegł to p. Bonawentura, z półsłówek łatwo się domyśliwszy tego, o czém już zresztą wiedział z wieści, i żal mu się zrobiło sąsiada, bo pomimo otyłości miał bardzo dobre serce — a odnalazłszy to serce, poczuł się na prawdę obywatelem.

Więc wziął uroczyście pana Rocha pod rękę, rzekłszy tajemniczo: „Sąsiadku, proszę na parę słówek"... i wyprowadził go do drugiego pokoju, rzuciwszy pełném znaczenia spojrzeniem na Jankla Kwiatka.

Znalazłszy się w drugim pokoju, p. Bonawentura zamknął drzwi na klamkę, potém pociągnął pana Rocha aż do okna i rzekł:

— Powiedz mi sąsiad, dla czego się wdajesz z tym łapserdakiem żydem, który cię obdziera?

P. Roch z początku miał zamiar fanfaronować, ale na brzmienie głosu jakim p. Bonawentura wymówił te słowa, coś go tknęło, że to nie jest powiedziane na wiatr i że może z tego korzystać. Ktokolwiek wlazł w długi, staje się nadzwyczaj elastycznym, i w jednéj chwili ustąpi z swoich przekonań, jeżeli mu to zrobi kredyt. Ludzie nie zaciągający długów i nie mający ciężkich terminów na karku, nigdy tego nie zrozumieją.

Więc pan Roch chcący z razu robić sekret, rzekł po krótkim namyśle:

— A cóż pocznę? siedzi mi w kieszeni od roku przeszło i ssie jak pijawka.

— Dużo mu sąsiad jesteś winien?

— Około tysiąca rubli — rzekł cichutko p. Roch — chce mi zabrać rzepak za psie pieniądze; a tak mię bestja

opisał, że jak mu teraz nie oddam, to do drugiego Św. Jana dług z pewnością urośnie do dwóch tysięcy.

Rzekłszy to, pan Roch spojrzał z pod oka na pana Bonawenturę. Pan Bonawentura milczał zamyśliwszy się raptem i sapał, ale w wyrazie jego wydętych ust i w spojrzeniach, które niekiedy rzucał na pana Rocha, było tyle współczucia, że ten ostatni rzekł po chwili:

— Tak, sąsiadku! raz wlazłszy w te parszywe długi, przyjdzie w końcu pójść z torbami, jak żonę i dzieci kocham!

Pan Bonawentura poruszył się; w chwilowéj walce, serce zwyciężyło, więc rzekł stanowczo:

— A kiedyżbyś sąsiad mógł zapłacić ten dług?

— Żeby tak przynajmniéj na Św. Michał, toby mi było łatwiéj... zboża się wymłóci... mogę wynająć parową młocarnię...

— Jeżeli sąsiad oddasz z pewnością na Św. Michał (bo mam wypłatę o téj porze), to ja żyda spłacę... dla saméj satysfakcji, żeby mu utrzéć nosa...

— Ojcze! dobrodzieju! zbawco! — zawołał p. Roch rzucając się w objęcia p. Bonawentury — oddam w sam dzień co do grosza, szelmą ostatnim mnie nazwiesz... Otóż to! tacy powinni być obywatele! gdyby był pomiędzy nami kredyt sąsiedzki, ci parszywcy nie panoszyliby się naszą krwawą pracą.

Pan Bonawentura uczuł się wzruszonym i podniesionym tym dowodem wdzięczności sąsiada, więc rzekł:

— Pójdźmy i obrachujmy żyda; zapłacisz sąsiad tyle co mu się rzetelnie należy; gdy zobaczy gotówkę, spuści ze swoich pretensyj — a mam właśnie przy sobie pieniądze za wełnę. Sąsiad mnie napiszesz mały rewersik, a z żydem wyjdziesz *ex nexu*.

Było to ulubione wyrażenie p. Bonawentury, i używał go ile razy się tylko dało, gdy była mowa o interesach.

Powróciwszy do pokoju, w którym zostawili żyda, p. Bonawentura zagaił rzecz, jako pośrednik, a Jankiel wydobył z pugilaresu rozmaite rewersy i kwitki, na usprawiedliwienie swoich pretensyj.

Pokazało się, że pan Roch sprzedał w roku zeszłym na przednowku paręset korcy żyta i sto jęczmienia; ale kontrakt ów był tak zrobiony, jakby Jankiel Kwiatek wiedział naprzód z pewnością, że zboża nie zobaczy. Więc prawie nie wspomniano o sposobie odstawy, lecz



za to obwarowano się silnie na przypadek niedotrzymania umowy, naznaczając po 75 kop. kary, za każdy nieodstawiony korzec.

W przewidywaniu nieakuratności, zawarowano to sobie, jak najsilniéj, więc zaledwie udało się panu Bonawenturze utargować z jakiéjś pozycji niejasno określonéj rsr. 84 kop. 19½, i koniec końcem pokazało się, że p. Roch winien na czysto Janklowi Kwiatkowi summę rsr. 1358 kop. 75.

P. Bonawentura zwracał uwagę, że kontrakt zrobio-

ny w roku zeszłym, oznaczał zbyt nizkie ceny zboża, w porównaniu z praktykującemi się naówczas i że korzyść była ogromna; ale Jankiel Kwiatek, który lubił się wyrażać ozdobnie, dowiódł jasno jak na dłoni, że ponieważ zboże nie było odstawione, a w obecnym czasie ogromny *brak stagnacji* w handlu i *fluktuacje* cen czynią je znacznie niższemi od *przeszłegorocznych*, to właśnie przemawia za nim, gdyż miał odbierać zboże za lepszéj popłaty.

Nie było co gadać; pan Bonawentura wydobył więc — kto wié czy nie z pewném ścisnieniem serca — pugilares z kieszeni, wypłacił Janklowi Kwiatkowi rsr. 1358 kop. 75; panu Rochowi do ręki dla okrągłości dołożył rsr. 141 kop. 25; ten zaś wystawił na imię p. Bonawentury mały rewersik, w którym okrągłą summę rsr. 1500 obiecuje mu oddać na dzień 29 Września tegoż samego roku z procentem prawnym, bo większego p. Bonawentura nie żądał.

Żyd ukłonił się i odjechał, przy pożegnaniu zapewniając p. Rocha, że to nie potrzebuje przerywać ich stosunków i polecając się nadal ze swoim kredytem, co p. Roch jako wiecznie „potrzebnicki,“ zanotował sobie skwapliwie w pamięci.

Sąsiedzi zostali sami.

Pana Rocha cieszyło daleko więcéj to, że miał 141 rubli gotówki, aniżeli że spłacił Jankla Kwiatka i wyszedł z nim *en nexu;* bądź co bądź przyznawał w duchu, że zrobił doskonały interes i był w brylantowym humorze, chcąc chociaż tym sposobem okazać wdzięczność panu Bonawenturze. Pod wpływem świeżego czynu obywatelskiego, rozmowa naturalnie kręciła się w jedném kółku; pan Roch zaczął opowiadać facecyjki ze swoich stosunków z Janklem Kwiatkiem. Szelma żyd chciał go doić, ale i on téż płatał mu sztuczki.

I tak np. jęczmień mu się nie urodził, więc pomimo, że sprzedał sto korcy, mógł odstawić zaledwie dwa-

dziescia. Żyd się szarpał, bo odstąpił komuś do gorzelni, ale nic nie pomogło.

— Patrz sąsiad — rzekł p. Roch, dobywając z kantorka papiery — jaki list do mnie wyrznął.

P. Bonawentura wziął list i czytał:

„Wielmożny Panie Dob.!

„Mam honor posełać umyslnego z prośbą o łaskawego rozkazania jęczmienia 4ch rzędowego wymłócić i na moje conto do rąk Boruchowi Grünapfel całe sto korcy jak najprędzéj odesłać zechce raczył“...

P. Bonawentura przerwał czytanie i rzekł:

— Boruchowi Grünapfel? czy to czasem nie dla mnie do gorzelni był ten jęczmień? zakupiłem od niego sto korcy, a odstawił mi tylko dwadzieścia i o mały włos kijem odemnie nie oberwał.

— Bardzo być może — odrzekł śmiejąc się p. Roch — bo właśnie tyle tylko mu mogłem dać. Widzi sąsiad, jacy to złodzieje! muszą się zawsze pomiędzy nas wkręcić. Czy to nie bylibyśmy mogli zrobić sami między sobą tego interesu? I ręczę, że sąsiad zapłaciłeś z jakie kilka złotych drożéj na korcu, niż ja dostałem.

Jakoż, po zbadaniu téj kwestji, pokazało się, że rzeczywiście tak było.

Pan Roch mówił daléj:

— Był u mnie w tym interesie z pięć razy, ale zawsze albo mnie nie zastał, albo się schowałem. Raz, pamiętam, byłem na odjezdném; wytrzymałem go z parę godzin przed sienią, nie wpuszczając do domu, a potém wsiadłem na bryczkę i odjechałem mu z przed nosa, nim się spostrzegł. Trzeba było widzieć jego minę.

Pana Bonawenturę nie bardzo bawiło to opowiadanie, i żałował w duchu, że p. Roch nie zwierzył mu się z tém wcześniéj; bo, chociaż inaczéj się wychodzi z żydem, a inaczéj z obywatelem i sąsiadem, kto wié, czy byłby mu pożyczył tysiąc pięćset rubli.

Niespokojny z tego powodu p. Bonawentura na odjezdnem rzekł jak najdelikatniéj:

— Mój sąsiadku, przez miłość Boską, słowo!... na święty Michał musisz oddać, bo mam spłatę temi pieniędzmi.

— Sąsiaduchnu złoty, kpem mnie nazwiesz...

— A! niechże Bóg broni!

— Pozwolę, jak rany Boskie kocham, pozwolę, jeżeli ci nie oddam w sam święty Michał... kiedyż to wypada?

I pan Roch wziął na poradę kalendarz, a znalazłszy co szukał, rzekł:

— 29 Września... we wtorek... o!

— Tylko aby z pewnością, mój sąsiedzie... bo winien jestem Makaremu, a to systemat człowiek, wiesz sąsiad, że nie będzie czekał godziny.

— Sąsiadku, we wtorek, w samo południe, psem mnie nazwiesz...

— Ale dajżeż sąsiad pokój...

Pomimo kilkakrotnych jeszcze tego samego rodzaju zapewnień, p. Bonawentura odjechał w najgorszym sosie; p. Roch przeciwnie był w złotym humorze, i po odjeździe sąsiada śpiewał sobie przez cały dzień: rom, tom, tom. I, rzecz dziwna, nie pomyślał ani przez chwilę o wziętych 1500 rublach, jako o długu; zdawało mu się tylko, że się skwitował z Kwiatkiem i basta. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby pieniądze wzięte nie od żyda i nie na lichwiarski procent, były długiem, myślał sobie: jakoś to będzie, przecie Bonawentura mnie powinien zaczekać.

P. Bonawentura jednak uważał to za święty dług, i ile tylko razy spotkał się z panem Rochem, wspominał okolicznie, o systematycznym Makarym i o potrzebie akuratności; tak, że się to wreszcie nie podobało panu Rochowi, który zaczął bąkać, że wolałby dać żydowi naj-

większy procent, niż zaciągać dług wdzięczności względem pana Bonawentury.

To oziębiło nieco ich stosunki.

Nadchodził święty Michał.

Na tydzień przed tym terminem, p. Bonawentura wystylizował na czterech stronicach sążnisty list do pana Rocha, który przeczytawszy go od deski do deski, nie mógł się domyślić o co jego sąsiadowi chodziło.

Było tam bowiem trochę i tego i owego, ale na prawdę nic, bo jedno drugiego się nie trzymało; więc pan Roch śmiejąc się ruszał ramionami, aż dopiero przeczytawszy maleńki dopisek, zatrząsł się.

W przypisku tym stało:

„Makary kilka razy już przypomniał mi o wypłacie; spodziewam się, że sąsiad nie zrobisz mi zawodu“

P. Roch czuł się bardzo obrażonym.

— Cóż to on żyd, czy co — zawołał — czy to ma być po obywatelsku? zkąd mu wezmę? przecie spodni z siebie dla niego nie sprzedam!

Wypadało jednak odpisać, bo posłaniec czekał.

P. Roch nie miał czasu na koncypowanie listu, tak jak pan Bonawentura, który swój redagował przez trzy dni; więc odpisał prosto z mostu, jak mógł najgrzeczniéj:

„Kochany sąsiedzie!

Ponieważ sąsiad widocznie rachujesz na mój dług dla spłacenia Makarego, przeto abyś do mnie nie miał pretensji w razie, gdyby z tego wynikły jakie nieprzyjemności, oświadczam wcześnie, że na święty Michał w żaden sposób nie mogę zwrócić 1500 rubli; muszę młócić do siewu, boć przecie to pierwsze, a do tego zboże nie sypie; więc chyba w zimie mogę się zobowiązać, o czém zawiadomiwszy etc.“

Pan Bonawentura chociaż był potrochu przygotowany na zły rezultat, przeczytawszy ten list oburzył się niezmiernie; szczególniéj zaś rozgniewała go sofistyczna

wzmianka o pretensji i cyniczny pomysł zasłonięcia się od niéj.

Uważał to za czyste kpiny.

Od téj chwili wojna zdawała się być blizką wypowiedzenia; na pozór nie zerwali jeszcze z sobą stosunków, ale p. Bonawentura wszędzie opowiadał o nierzetelności pana Rocha, a ten nawzajem o chciwości i nieobywatelskiem postępowaniu pana Bonawentury, i obadwaj mieli do siebie pretensje.

Pan Bonawentura myślał sobie: zróbże tu komu dogodność, kupisz sobie nieprzyjaciela. Jak mi Bóg miły, wolę niech mi pieniądze leżą bez procentu nawet, aniżeli mam być niespokojny o swoje, i jeszcze obgadywany jako chciwiec.

I miał świętą rację.

Pan Roch znowu myślał sobie:

— Udajże się tu o pomoc do obywatela! dopomina się o głupie tysiąc pięćset rubli, jak gdyby od tego już zależała jego egzystencja! Jak rany boskie kocham, wolę żyda. Prawda, że n nie zedrze procentami, ale przynajmniéj poczeka, mam spokojną głowę. Zresztą, można zbesztać, w mordę dać, gdy nikt nie widzi, człowiek ma jakąś satysfakcję.

I ten także miał niby rację.

Jednak, trzeba było jakoś na ten dług poradzić, bo p. Bonawentura dopominał się nie na żarty. Więc zniecierpliwiony pan Roch, chcąc już raz wyjść z panem Bonawenturą *ex nexu*, pojechał do miasteczka i sprzedał Janklowi Kwiatek znowu dwieście korcy żyta i sto jęczmienia, pod uciążliwszemi jeszcze warunkami niż poprzednio; tylko, że niestety nie mógł wydobyć na ten kontrakt więcéj zadatku jak pięćset rubli.

Więc z temi pieniędzmi pojechał zaraz do pana Bonawentury, a jakkolwiek nie chciał robić skandalu i pragnął zachować dobrą komitywę, nie mógł się powstrzy-

mać od zrobienia delikatnéj aluzji do tego, jak to jest źle po obywatelsku naciskać współobywatela o głupi dług.

Zrozumiawszy aluzję pan Bonawentura, również delikatnie dał do zrozumienia, że od powietrza, głodu, ognia i od dłużnika podobnego panu Rochowi, niech go Bóg strzeże.

Uraził się o to mocno p. Roch, a chcąc zaprotestować faktycznie, z impozycją rzucił na stół pięć papierków tęczowych, mówiąc:

— Płacę, a za przetrzymanie terminu przepraszam — Było to już bowiem około Wszystkich Świętych.

— Czy tu ma być wszystko? — rzekł jak mógł najdelikatniéj pan Bonawentura.

Panu Rochowi krew uderzyła do głowy.

— Wszystkiego nie mam, co mogę, to daję! — zawołał — jest pięćset rubli, proszę o kwit!

P. Bonawentura zamilkł jak zmyty, schował pięćset rubli i dał na nie kwit, a żegnając się z panem Rochem, przysięgał sobie w duchu, że póki życia, ani temuż, ani żadnemu z sąsiadów, grosza złamanego nie pożyczy.

. . . .

Powiedźcież mi teraz, jeżeli pomiędzy obywatelstwem napotykają się wierzyciele tak niedelikatni jak p. Bonawentura i dłużnicy tak nieoględni jak p. Roch, jak się tu obyć bez kredytu żydowskiego?

Bóg widzi, niepodobna!

KONIEC.

SPIS RZECZY.



